



Zabójczy miecz

Ancillary Sword

Tłumaczenie: Danuta Górską

Tom 2 z cyklu Imperium Radch



redakcja: WUJO PRZEM
(2017)

Rozdział 1

– Zważywszy na okoliczności, mogłaś wykorzystać inną porucznik.

Anaander Mianaai, władczyni (w chwili obecnej) całego rozległego obszaru przestrzeni Radch, siedziała w wielkim fotelu wyściełanym haftowanym jedwabiem. To ciało, które do mnie mówiło – jedno z tysięcy – wyglądało na jakieś trzynaście lat. Czarno odziane, ciemnoskóre. Na twarzy zaznaczały się już arystokratyczne rysy, które w radchaajskiej przestrzeni stanowiły wyznacznik mody i najwyższej rangi. W normalnych okolicznościach nikt nigdy nie oglądał tak młodych wersji lord Radch, ale to nie były normalne okoliczności.

Pokój był mały, trzy i pół metra kwadratowego, ściany wyłożone kratownicą z ciemnego drewna. W jednym kącie drewna brakowało – prawdopodobnie zostało zniszczone w zeszłym tygodniu podczas gwałtownej dyskusji pomiędzy rywalizującymi częściami samej Anaander Mianaai. Po ocalałych kratkach pięły się wiotkie pędy jakiejś rośliny, wąskie srebrzystozielone listki, tu i tam maleńkie białe kwiatki. To nie było miejsce publiczne ani pałacowa sala audiencyjna. Obok krzesła lord Radch stało drugie, puste, oddzielone stolikiem, na którym znajdowała się zastawa do herbaty: dzbanek i czarki z białej, gładkiej porcelany, o wdzięcznej linii, jakie na pierwszy rzut oka wydają się zwyczajne, ale już po chwili widać, że to dzieła sztuki warte więcej niż niejedna planeta.

Zaproponowano mi herbatę, poproszono, żebym usiadła. Wolałam stać.

– Powiedziałaś, że mogę wybierać oficerów. – Powinnam dodać pełne szacunku „pani”, ale nie dodałam. Powinnam również uklęknąć i dotknąć czołem podłogi, kiedy weszłam do pokoju i zobaczyłam lord Radch. Tego też nie zrobiłam.

– Wybrałaś dwie. Oczywiście Seivarden i porucznik Ekalu, wybór do przewidzenia.

Nazwiska odruchowo przywołały na myśl obie te osoby. Mniej więcej za jedną dziesiątą sekundy „Łaska Kair” zaparkowana w odległości jakichś trzydziestu pięciu tysięcy kilometrów od tej stacji, otrzyma niemal instynktowne żądanie danych, a po następnej jednej dziesiątej sekundy dotrze do mnie jej odpowiedź. Przez ostatnie kilka dni uczyłam się kontrolować ten bardzo dawny nawyk. Nie całkiem mi się udało.

– Kapitan floty ma prawo do trzech – ciągnęła Anaander Mianaai.

Trzymając piękną porcelanową czarkę w dłoni okrytej czarną rękawiczką, wykonała gest, zapewne wskazując mój mundur. Radchaajscy wojskowi nosili ciemnobrązowe kurtki i spodnie, buty i rękawiczki. Moje były inne. Lewa strona była brązowa, ale prawa czarna, kapitańskie insygnia zaś miały symbole oznaczające, że dowodzę nie tylko własnym statkiem, ale też kapitanami innych statków. Oczywiście moja flota składała się tylko z jednego statku, „Łaski Kair”, ale w pobliżu Athoek, gdzie się udawałam, nie stacjonowały inne kapitan floty, a moja ranga zapewniała mi zwierzchnictwo nad wszystkimi kapitan, jakie mogłam napotkać. Oczywiście zakładając, że będą one skłonne uznać moją władzę.

Zaledwie parę dni wcześniej wybuchł długo nabrzmiewający konflikt i jedna frakcja zniszczyła dwie z między-układowych bram. Najwyższym priorytetem było teraz

zabezpieczenie pozostałych bram i powstrzymanie tej frakcji przed przechwyceniem bram i stacji w innych układach. Rozumiałam, dlaczego Anaander Mianaai nadała mi tę rangę, jednak mimo wszystko nie byłam tym zachwycona.

– Niech ci się nie wydaje – ostrzegłam – że pracuję dla ciebie.

Uśmiechnęła się.

– Och, wcale tak nie myślę. Mogłaś wybierać tylko spośród oficerów obecnych w tym układzie i w pobliżu stacji. Porucznik Tisarwat dopiero ukończyła szkolenie. Miała objąć swój pierwszy przydział, a teraz to oczywiście wykluczone. I pomyślałam, że spodoba ci się możliwość wyszkolenia kogoś tak, jak sobie życzysz. – Przy ostatnich słowach wydawała się rozbawiona.

Słuchając jej, wiedziałam, że Seivarden znajduje się w drugiej fazie NREM snu. Znałam puls, temperaturę, oddech, utlenowanie krwi, poziom hormonów. Potem te dane zniknęły i pojawiła się porucznik Ekalu pełniąca wachtę. Zestresowana – szczęki lekko zaciśnięte, podwyższony kortyzol. Jeszcze przed tygodniem była zwykłą żołnierką, dopóki nie aresztowano kapitan „Łaski Kair” za zdradę. Nigdy się nie spodziewała, że zostanie oficerem. Najwyraźniej nie była całkiem pewna, czy się do tego nadaje.

– Chyba nie sądzisz – powiedziałam do lord Radch, mrugnięciem gasząc tę wizję – że to dobry pomysł, żeby mnie wysłać na świeżo rozpętaną wojnę domową tylko z jedną doświadczoną oficer.

– Nie ma nic gorszego niż braki personalne – odparła Anaander Mianaai, może zauważywszy moje chwilowe roztargnienie, a może nie. – A ten dzieciak nie posiada się z radości, że będzie służyć pod kapitan floty. Czeka na ciebie w dokach. – Odstawiła herbatę, wyprostowała się w krześle. – Ponieważ brama prowadząca do Athoek jest zniszczona i nie mam pojęcia, jaka tam jest sytuacja, nie mogę ci wydać konkretnych rozkazów. Poza tym – uniosła pustą teraz dłoń, jakby chciała uprzedzić moją wypowiedź – traciłabym tylko czas, gdybym próbowała za bardzo tobą dyrygować. Zrobisz, co uznasz za stosowne, bez względu na moje zdanie. Skończyłaś załadunek? Masz wszystkie zapasy, których potrzebujesz?

Pytanie było retoryczne – z pewnością nie gorzej ode mnie znała stan magazynów na moim statku. Wykonałam nieokreślony gest, rozmyślnie bezczelny.

– Równie dobrze możesz zabrać rzeczy kapitan Vel – dodała, jakbym odpowiedziała sensownie. – Jej już nie będą potrzebne.

Vel Osek była kapitanem „Łaski Kair” do zeszłego tygodnia. Mogła nie potrzebować swojej własności z różnych powodów, oczywiście najbardziej prawdopodobny to ten, że nie żyła. Anaander Mianaai nie robiła niczego połowicznie, zwłaszcza jeśli chodziło o jej wrogów. Oczywiście w tym wypadku wrogiem, którego popierała Vel Osek, była sama Anaander Mianaai.

– Nie chcę ich – powiedziałam. – Odeślij je rodzinie.

– Jeśli zdołam. – Niewykluczone, że nie będzie miała takiej możliwości. – Potrzebujesz jeszcze czegoś, zanim odleczysz? Czegokolwiek?

Rozmaite odpowiedzi przyszły mi do głowy. Żadna nie wydawała się przydatna.

– Nie.

– Wiesz, będę za tobą tęsknić – wyznała. – Nikt inny nie rozmawia ze mną tak jak ty. Spotkałam bardzo niewiele osób takich jak ty, które naprawdę, szczerze nie obawiają się konsekwencji, jeśli mnie obrażą. I żadna z tych bardzo nielicznych osób nie ma tak... podobnego pochodzenia jak ty i ja.

Powiedziała tak, ponieważ dawniej byłam statkiem. SI kierującą ogromnym wojskowym transportowcem i tysiącami serwitorów, ludzkich ciał, części mnie. Wówczas nie uważałam się za niewolnicę, lecz byłam bronią ofensywną, własnością Anaander Mianaai, która sama zajmowała tysiące ciał rozsianych po całej przestrzeni Radch.

Teraz miałam tylko to jedno ludzkie ciało.

– Nic, co możesz mi zrobić, nie będzie gorsze od tego, co już mi zrobiłaś.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparła – i zdaję sobie sprawę, jaka przez to jesteś niebezpieczna. To pewnie krańcowa głupota z mojej strony, że pozwalałam ci żyć, a na dodatek daję ci oficjalną władzę i statek, ale gry, które rozgrywam, nie są dla bojaźliwych.

– Dla większości z nas – warknęłam, teraz jawnie rozgniewana, wiedząc, że ona widzi fizyczne oznaki gniewu, choćbym zachowała beznamiętny wyraz twarzy – to nie są gry.

– Z tego również zdaję sobie sprawę – zapewniła lord Radch. – Naprawdę. Po prostu nie da się uniknąć pewnych strat.

Mogłam wybrać którąś z kilku możliwych odpowiedzi. Zamiast tego odwróciłam się i bez słowa wyszłam z pokoju. Żołnierka Piątka Kair Jeden „Łaski Kair”, czekająca sztywno na baczność tuż przy drzwiach, ruszyła za mną, milcząca i sprawna. Piątka Kair była człowiekiem, podobnie jak wszystkie żołnierki „Łaski Kair”, nie serwitem. Miała nazwisko oprócz numeru, dekady i nazwy statku. Raz zwróciłam się do niej po nazwisku. Odpowiedziała na pozór obojętnie, jednak wyczułam w niej przypływ niepokoju i skrzepowania. Nie próbowałam tego więcej.

Kiedy byłam statkiem – w zasadzie tylko jednym komponentem transportera wojskowego „Sprawiedliwość Toren” – zawsze znałam stan oficerów. Wiedziałam, co widzą i słyszą. Znałam każdy oddech, każde drgnienie każdego mięśnia. Stężenie hormonów, utlenowanie krwi. Nie znałam tylko ich myśli, chociaż często mogłam je odgadnąć, opierając się na doświadczeniu i bliskiej znajomości. Nigdy nie pokazywałam tego żadnej z moich kapitan – dla nich to nie miałyby większego znaczenia, strumień bezsensownych danych. Ale dla mnie wtedy to była po prostu część mojej świadomości.

Nie byłam już moim statkiem. Ale wciąż pozostawałam serwitem, wciąż mogłam odczytywać te dane jak żaden ludzki kapitan. Jednak teraz miałam tylko jeden ludzki mózg, mogłam przyswajać tylko drobne fragmenty informacji, jakie niegdyś odbierałam bez wysiłku, nieustannie. I nawet ta niewielka ilość wymagała ostrożności – za pierwszym razem, kiedy próbowałam jednocześnie iść i odbierać dane, wpadłam prosto na grodzie. Wysłałam zapytanie do „Łaski Kair”, tym razem świadomie. Byłam pewna, że mogę przejść przez ten korytarz i

jednocześnie monitorować Piątkę, nie zatrzymując się ani nie potykając.

Dotarłam bez wypadków aż do pałacowej sali recepcyjnej. Piątka była zmęczona i lekko skacowana. Niewątpliwie znudzona staniem i gapieniem się w ścianę podczas mojej konferencji z lord Radch. Dostrzegłam dziwną mieszaninę oczekiwania i strachu, co mnie trochę zaniepokoiło, ponieważ nie umiałam odgadnąć, skąd się wziął ten konflikt.

Wyszędłszy na główny pasaż, szeroki, wysoki i pełen ech, wybrukowany kamiennymi płytami, skręciłam w stronę wind, które miały mnie zawieźć do doków, gdzie czekał prom, żeby mnie zabrać z powrotem na „Łaskę Kair”. Większość sklepów i biur w pasażu, a także wielcy, jaskrawo pomalowani bogowie tłoczący się na fasadzie świątyni, w oranżu, błękicie, czerwieni i zieleni, wydawali się zadziwiająco mało zniszczeni po walkach w zeszłym tygodniu, kiedy wojna lord Radch z samą sobą wyszła na jaw. Teraz obywatelki w barwnych płaszczach, spodniach i rękawiczkach, obwieszane biżuterią, przechodziły na pozór beztrząsco, jakby zeszły tydzień wcale się nie wydarzył. Jakby Anaander Mianaai, lord Radch, nadal była sobą, jedną, niepodzielną osobą, chociaż w wielu ciałach. Lecz zeszły tydzień się wydarzył i Anaander Mianaai w rzeczywistości nie była jedną osobą. Już od dłuższego czasu.

Kiedy podeszłam do wind, poczułam nagły przyływ niechęci i konsternacji. Zatrzymałam się i odwróciłam. Piątka Kair też przystanęła i teraz patrzyła obojętnie przed siebie. Jakby ta fala niechęci, którą mi pokazał statek, nie pochodziła od niej. Nie przypuszczałam, że większość ludzi potrafi skutecznie maskować tak silne emocje – twarz Piątki była absolutnie pozbawiona wyrazu. Ale okazało się, że wszystkie z „Łaski Kair” to umiały. Kapitan Vel była staroświecka – a przynajmniej idealizowała znaczenie słowa „staroświecka” – i żądała, żeby jej ludzkie żołnierki zachowywały się w miarę możliwości jak serwitory.

Piątka nie wiedziała, że jestem serwitorem. Wiedziała tylko, że jestem kapitanem floty Breg Mianaai, awansowaną z powodu aresztowania kapitan Vel i moich rze-komo potężnych koneksji rodzinnych. Nie podejrzewała, jak wiele o niej wiedziałam.

– Co jest? – zapytałam obcesowo.

Zbita z tropu.

– Pani? – Monotonnie. Bez wyrazu. Chciała, co zobaczyłam po minimalnej zwłóce w odbiorze sygnału, żebym przestała zwracać na nią uwagę, żebym zostawiła ją bezpiecznie w spokoju. Chciała również mówić.

Miałam rację, ta niechęć, ten strach dotyczyły mnie.

– Masz coś do powiedzenia. Więc słucham.

Zdumienie. Czysta zgroza. Ale żaden mięsień nie drgnął.

– Pani – powtórzyła i wreszcie pojawił się nikły, przelotny ślad emocji, szybko stłumiony.

Przełknęła ślinę. – Chodzi o naczynia.

Moja kolej, żeby się zdziwić.

– Naczynia?

– Pani, odesłałaś rzeczy kapitan Vel do magazynu tu, na stacji.

Piękne to były rzeczy. Naczynia (i sztucce, i przybory do herbaty), które zapewne tak

absorbowały Piątkę Kair, były z porcelany, szkła, emaliowanego i zdobionego klejnotami metalu. Ale nie należały do mnie. I nie chciałam niczego od kapitan Vel. Piątka spodziewała się, że zrozumie. Tak bardzo pragnęła, żebym ją rozumiała. Ale nie rozumiałam.

– Tak?

Frustracja. Nawet gniew. Najwyraźniej z punktu widzenia Piątki to, czego chciała, było oczywiste. Ale dla mnie oczywisty pozostawał tylko fakt, że nie mogła po prostu tego powiedzieć, nawet kiedy ją zapytałam.

– Pani – bąknęła wreszcie; mijaly nas obywatelki, niektóre rzucały zaciekawione spojrzenia, inne udawały, że nas nie widzą. – Rozumiem, że wkrótce opuszczamy układ.

– Żołnierko – warknęłam, sama zaczynając odczuwać frustrację i gniew, będąc w nie najlepszym nastroju po rozmowie z lord Radch. – Czy jesteś w stanie mówić jasno?

– Nie możemy opuścić układu bez porządných naczyń! – rzuciła wreszcie, z twarzą wciąż imponująco pozbawioną wyrazu. – Pani. – Kiedy nie odpowiedziałam, ciągnęła, jeszcze bardziej przerażona tym, że mówi tak otwarcie: – Oczywiście dla ciebie to bez znaczenia. Jesteś kapitanem floty, twoja ranga wystarczy, żeby każdemu zaimponować. – I nazwisko mojego domu: byłam teraz Breq Mianaai. Niezbyt się ucieszyłam, że nadano mi to właśnie nazwisko, które identyfikowało mnie jako kuzynkę samej lord Radch. Nikt z mojej załogi oprócz Seivarden i pokładowej medyczki nie wiedział, że nie nosiłam tego nazwiska od urodzenia. – Ty możesz zaprosić inną kapitan na kolację i podać jej żołnierskie pomyje, a ona nie powie ani słowa, pani.

Nie mogłaby, chyba że przewyższałaby mnie rangą.

– Nie lecimy tam, dokąd lecimy, żeby wydawać proszone obiady – oświadczyłam. To ją wyraźnie speszyło, na jej twarzy przelotnie odmalowało się zakłopotanie.

– Pani! – powiedziała prosząco, coraz bardziej skępowana. – Ty nie musisz się martwić, co inni o tobie pomyślą. Mówię tylko dlatego, że mi rozkazałaś.

Oczywiście. Powinam była zauważyć. Powinam była się zorientować dużo wcześniej. Martwiła się, że to ona źle wypadnie, jeśli nie będę miała zastawy odpowiedniej do swojej rangi. Że to się fatalnie odbije na samym statku.

– Martwisz się o reputację statku.

Rozgoryczenie, ale także ulga.

– Tak, pani.

– Nie jestem kapitan Vel. – Kapitan Vel bardzo dbała o takie rzeczy.

– Nie, pani.

Nie wiedziałam, czy nacisk położony na „nie” oraz ulga, jaką odczytałam w Piątce, wynikały z zadowolenia, że nie jestem kapitan Vel, czy z tego, że wreszcie zrozumiałam, co próbuje mi przekazać. Czy z jednego i drugiego.

Wyczyściłam już swoje tutejsze konto, wszystkie pieniądze w bonach trzymałam w kwaterze na pokładzie „Łaski Kair”. Niewielka suma, jaką nosiłam przy sobie, nie wystarczyłaby, żeby uśmierzyć obawy Piątki Kair. Stacja – SI, która zarządzała tym miejscem,

była tym miejscem – mogła pewnie załatwić za mnie szczegóły finansowe. Ale stacja żywiła do mnie urazę jako do przyczyny zeszlotygodniowych zamieszek i nie zgodziłaby się mi pomóc.

– Wracaj do pałacu – rozkazałam. – Powiedz lord Radch, czego potrzebujesz. – Oczy jej się nieznacznie rozszerzyły i dwie dziesiąte sekundy później odczytałam w nich niedowierzenie, a potem nagi strach. – Kiedy wszystko zostanie załatwione zgodnie z twoim życzeniem, wejdź na prom.

Minęły nas trzy obywatelki z torbami w urękawiczonych dłoniach. Usłyszałam fragment rozmowy, z którego wynikało, że kierują się do doków, żeby złapać statek do jednej z zewnętrznych stacji. Drzwi windy rozsunęły się uprzejmie. Oczywiście. Stacja wiedziała, dokąd zmierzają, nie musiały prosić.

Stacja wiedziała również, dokąd ja zmierzam, ale nie otwierała przede mną żadnych drzwi, jeśli nie wyraziłam bardzo dokładnie sformułowanego żądania. Odwróciłam się i szybko weszłam do windy jadącej do doków za tamtą trójką. Zobaczyłam, jak drzwi windy zamykają się przed przerażoną Piątką, stojącą na czarnym kamiennym bruku pasażu. Winda ruszyła, trzy obywatelki trajkotały. Zamknęłam oczy i zobaczyłam Piątkę Kair wpatrzoną w windę, oddychającą trochę szybciej. Zmarszczyła nieznacznie brwi – nikt przechodzący obok niej by tego nie zauważył. Poruszeniem palców przywołała „Łaskę Kair”, chociaż ręce lekko jej drżały, jakby się obawiała, że statek nie odpowie.

Ale oczywiście „Łaska Kair” już czuwała.

– Nie martw się – powiedziała „Łaska Kair” głosem łagodnym i brzmiącym neutralnie w uszach Piątki i moich. – To nie na ciebie gniewa się kapitan floty. Idź śmiało. Wszystko będzie dobrze.

To prawda. Nie na Piątkę Kair się gniewałam. Odepchnęłam napływające od niej dane, odebrałam dezorientujący przeblysk Seivarden, śpiącej i śniącej, oraz porucznik Ekalu, wciąż spiętej, proszącej właśnie jedną z jej Etrepa o herbatę. Otwarłam oczy. Obywatelki w windzie obok mnie śmiały się, nie wiedziałam z czego i nic mnie to nie obchodziło. Drzwi windy się rozsunęły i wyszłyśmy do przestronnego holu przed dokami, o ścianach obwieszonych ikonami wszelkich bogów, jakich podróżni uważali za pożytecznych lub niosących pociechę. O tej porze dnia hol świecił pustkami, tylko przed wejściem do biura zarządu doków stała kolejka zniecierpliwionych pilotek i dowódców statków, czekających, żeby złożyć skargę na ręce przepracowanych urzędniczek inspektoratu. Podczas zamieszek w zeszłym tygodniu wyłączono dwie międzyukładowe bramy, następne miały podzielić ten los w najbliższej przyszłości, a lord Radch zabroniła podróżowania przez pozostałe i uwięziła w układzie dziesiątki statków razem z ładunkiem i pasażerami.

Rozsunęły się przede mną na boki, kłaniając się lekko, jakby zakołysał nimi wiatr. Sprawił to mój mundur – usłyszałam, jak jedna kapitan szepcze do drugiej: „Kto to jest?”, i szmer głosów, kiedy sąsiadka odpowiedziała, a inne skomentowały jej ignorancję albo dorzuciły to, co wiedziały. Dotarły do mnie słowa „Mianaai” i „Misje Specjalne”. Tyle sensu zdołały znaleźć w wydarzeniach z zeszłego tygodnia. Oficjalna wersja głosiła, że przybyłam do Pałacu

Omaugh w przebraniu, żeby wypłenić buntowniczą konspirację. Że przez cały czas pracowałam dla Anaander Mianaai. Każdy uczestnik tych wydarzeń, któremu później przedstawiono oficjalną wersję, wiedział albo podejrzewał, że nie jest prawdziwa. Jednak większość Radchaa prowadzących zwyczajne życie nie miała powodu w nią wątpić.

Nikt nie protestował, kiedy przeszłam obok urzędniczek do zewnętrznego biura głównej inspektorki. Daos Ceit, jej asystentka, wciąż jeszcze leczyła się z ran. Na jej miejscu siedziała urzędniczka, której nie znałam, ale szybko wstała i ukloniła się, kiedy weszłam. To samo zrobiła młodzianka porucznik, z wdziękiem i opanowaniem, jakich się nie spodziewałam u siedemnastolatki, wciąż jeszcze składającej się głównie z patykowatych kończyn i dostatecznie lekkomyślnej, żeby wydać pierwszą pensję na oczy koloru lila – z pewnością nie urodziła się z takimi tęczówkami. Jej ciemnobrązowa kurtka, spodnie, buty i rękawiczki były świeże i nieskazitelne, ciemne proste włosy krótko ścięte.

– Kapitanie floty, pani – powiedziała. – Porucznik Tisarwat, pani. – Ponownie się ukloniła.

Nie odpowiedziałam, tylko na nią popatrzyłam. Jeśli mój wzrok ją speszył, nie okazała tego. Nie wysyłała jeszcze danych na „Łaskę Kair”, a na jej ciemnej skórze nie dostrzegłam rumieńca. Mały, dyskretny zestaw spinek przy jednym ramieniu sugerował rodzinę dość zamożną, ale nie najbardziej prominentną w Radch. Pomyślałam, że jest albo nienaturalnie opanowana, albo głupia. Żadna z tych możliwości mnie nie zachwycała.

– Proszę wejść, pani – powiedziała nieznajoma urzędniczka, kierując mnie w stronę wewnętrznego biura. Weszłam, nie odzywając się ani słowem do porucznik Tisarwat.

Ciemnoskóra, bursztynowooka, elegancka i arystokratyczna nawet w ciemnoniebieskim mundurze zarządu doków, główna inspektorka Skaaiat Awer wstała i ukloniła się, kiedy zamknęłam za sobą drzwi.

– Breq. Więc lecisz?

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć: „Gdy tylko wydasz zgodę na nasz start”, ale przypomniałam sobie Piątkę i zadanie, z jakim ją wysłałam.

– Czekam tylko na Piątkę Kair. Widocznie nie mogę odlecieć bez odpowiedniego kompletu naczyń.

Przez twarz głównej inspektorki przemknęło zdziwienie i natychmiast znikło. Wiedziała oczywiście, że odesłałam tu rzeczy kapitan Vel i że nie miałam czym ich zastąpić. Miejsce zdziwienia zajęło rozbawienie.

– No cóż – powiedziała. – Nie czułabyś tego samego? – To znaczy kiedy byłam na miejscu Piątki. Kiedy byłam statkiem.

– Nie, nie czułabym. Nie czułam. Niektóre inne statki czuły. Czują.

Głównie „Miecze”, które i tak już uważały się za lepsze od mniejszych, mniej prestiżowych „Łask” czy wojskowych transportowców „Sprawiedliwości”.

– Moje Issa Siedem dbały o takie rzeczy. – Skaaiat Awer służyła jako porucznik na statku z ludzkimi oddziałami, zanim została główną inspektorką tutaj, w Pałacu Omaugh. Skierowała wzrok na moją jedyną sztukę biżuterii, mały złoty znaczek przypięty przy lewym ramieniu.

Wykonała gest, zmieniając temat, chociaż właściwie nie zmieniając tematu. – Athoek, tak?

Mojego miejsca przeznaczenia nie podano do publicznej wiadomości, w zasadzie tę informację traktowano jak poufną. Ale Awer należał do najstarszych i najbogatszych domów. Skaaiat miała kuzynki, które znały ludzi dobrze poinformowanych.

– Ja bym chyba cię tam nie wysłała.

– Tam właśnie się udaję.

Przyjęła tę odpowiedź, nie okazując zdziwienia ani urazy.

– Usiądź, proszę. Herbaty?

– Nie, dziękuję.

Właściwie miałam ochotę na herbatę, w innych okolicznościach chętnie pogawędziłabym dla odprężenia ze Skaaiat Awer, ale pilno mi było stąd się wyrwać.

To również główna inspektorka Skaaiat przyjęła ze spokojem. Sama też nie usiadła.

– Odwiedzisz Basnaaid Elming, kiedy dotrzesz na stację Athoek. – Nie pytała. Wiedziała, że to zrobię. Basnaaid była młodszą siostrą kogoś, kogo Skaaiat i ja kiedyś kochałyśmy. Kogoś, kogo zabiłam na rozkaz Anaander Mianaai. – Ona jest jak Awn pod wieloma względami, ale pod innymi nie.

– Mówiłaś, że uparta.

– Bardzo dumna. I równie uparta jak siostra. Może bardziej. Strasznie się obraziła, kiedy zaproponowałam jej patronat przez wzgląd na jej siostrę. Wspominam o tym, ponieważ podejrzewam, że zamierzasz zrobić coś podobnego. I jesteś chyba jedyną żyjącą osobą bardziej upartą niż ona.

Uniosłam brew.

– Nawet nie tyranka?

To słowo nie było radchaajskie, pochodziło z jednego ze światów zaanektowanych i wchłoniętych przez Radch. Przez Anaander Mianaai. Czyli tyrankę, bodajże jedyną osobę w Pałacu Omaugh oprócz Skaaiat i mnie, która rozpoznałaby i zrozumiała to słowo.

Wargi Skaaiat Awer drgnęły w ironicznym uśmiešku.

– Możliwe. Może nie. W każdym razie bądź bardzo ostrożna, proponując Basnaaid pieniądze albo przysługi. Nie przyjmie tego dobrze. – Machnęła ręką, dobrodusznie, ale z rezygnacją, jakby mówiła: „Ale oczywiście zrobisz, co zechcesz”. – Musiałas już poznać naszą nową małąletnią porucznik.

Chodziło jej o porucznik Tisarwat.

– Dlaczego ona przyszła tutaj, a nie prosto na prom?

– Przyszła przeprosić moją pracownicę. – Zastępczynię Daos Ceit, tam, w zewnętrznym biurze. – Ich matki są kuzynkami. – Formalnie słowo użyte przez Skaaiat oznaczało pokrewieństwo pomiędzy dwojgiem ludzi z różnych domów, którzy mieli wspólną rodzicielkę albo babkę, jednak w sensie potocznym dotyczyło dalszego krewnego, przyjaciela albo kogoś, z kim się dorastało. – Wczoraj miały się spotkać na herbacie, ale Tisarwat się nie pojawiła i nie odpowiadała na wiadomości. A wiesz, jak wojskowi się lubią z zarządem doków. – Czyli

pozornie uprzejmość, a prywatnie pogarda. – Moja pracownica się obraziła.

– Dlaczego porucznik Tisarwat miała się przejmować?

– Widocznie nigdy matka cię nie skrzyczała, że obraziłaś jej kuzynkę, skoro pytasz – powiedziała ze śmiechem Skaaiat.

Fakt.

– Co o niej myślisz?

– Jeszcze dzień czy dwa wcześniej powiedziałabym: lekkomyślna. Ale dzisiaj jest bardzo potulna. – „Lekkomyślna” nie pasowało do tej opanowanej młodej osoby, którą widziałam w zewnętrznym biurze. Jeśli nie liczyć tych dziwacznych oczu. – Jeszcze wczoraj miała objąć biurową posadę w jakimś pogranicznym układzie.

– Tyranka przysłała mi małąletnią administra– torkę?!

– Nie przypuszczałabym, że ona ci przyśle małąletnie cokolwiek – odparła Skaaiat. – Myślałam, że sama zechce z tobą polecieć. Może za mało jej tu zostało. – Nabrała powietrza, jakby zamierzała powiedzieć coś więcej, potem jednak zmarszczyła brwi, przechyliła głowę. – Przepraszam, muszę się czymś zająć.

W dokach tłoczyły się statki potrzebujące zaopatrzenia, naprawy albo pilnej pomocy medycznej, statki uwięzione w tym układzie, z załogami i pasażerami ogromnie z tego niezadowolonymi. Personel Skaaiat pracował ciężko od wielu dni, prawie bez wytchnienia.

– Oczywiście. – Ukłoniłam się. – Nie będę przeszkadzała.

Nadal słuchała wiadomości wysyłanej przez kogoś. Odwróciłam się do wyjścia.

– Breq. – Obejrzałam się. Skaaiat wciąż miała lekko przechyloną głowę, wciąż słuchała tego kogoś. – Uważaj na siebie.

– Ty też.

Wyszłam do zewnętrznego biura. Porucznik Tisarwat stała, milcząca i nieruchoma. Urzędniczka patrzyła przed siebie, poruszając palcami, niewątpliwie doglądając pilnych spraw w dokach.

– Poruczniku – rzuciłam szorstko i nie czekałam na odpowiedź, tylko wyszłam z biura w tłum narzekających kapitanów statków, do doków, gdzie znajdę prom, który mnie zabierze na „Łaskę Kair”.

*

Prom był za mały, żeby wytwarzać własną grawitację. Ja czułam się doskonale w takich warunkach, ale bardzo młode oficer często miały kłopoty. Zostawiłam porucznik Tisarwat przy służbie, żeby czekała na Piątkę Kair, a potem przepchnęłam się przez niewygodną, niebezpieczną granicę pomiędzy grawitacją pałacu a nieważkością promu, za pomocą kopniaków dotarłam do fotela i przypiłam się pasami. Pilotka z szacunkiem skinęła mi głową, jako że ukłon byłby utrudniony w tych okolicznościach. Zamknęłam oczy i zobaczyłam, że Piątka stoi w dużym magazynie we właściwym pałacu, surowym, utylitarnym, o szarych ścianach. W dłoni okrytej brązową rękawiczką trzymała czarkę do herbaty z delikatnego szkła w odcieniu głębokiego różu. Przed nią w otwartej skrzyni widziałam więcej – dzbanek, jeszcze

siedem czarek, inne naczynia. Jej zachwyty pięknymi rzeczami, jej pożądanie były podszyte zwątpieniem. Nie potrafiłam czytać w jej myślach, ale zgadywałam, że została skierowana do tego magazynu, znalazła ten serwis i bardzo chciała go wziąć, ale nie całkiem wierzyła, że jej na to pozwolą. Z pewnością szkło było ręcznie dmuchane i miało jakieś siedemset lat. Nie zdawałam sobie sprawy, że Piątka ma oko konesera do tych rzeczy.

Odepchnęłam tę wizję. Pewnie zajmie jej to trochę czasu, pomyślałam, więc równie dobrze mogę się przespać.

Obudziłam się trzy godziny później, kiedy liliwooka porucznik Tisarwat z ręcznie przypinała się do fotela naprzeciwko mnie. Piątka Kair – teraz promieniejąca zadowoleniem, zapewne dzięki rezultatom swojej wizyty w pałacowym magazynie – podleciała do porucznik Tisarwat, skinęła głową i rzuciwszy ciche: „Na wszelki wypadek, pani”, wręczyła jej torebkę na niemal nieuniknioną chwilę, kiedy żołądek nowej oficer zareaguje na mikrogravitację.

Znałam młode porucznik, które traktowały taką ofertę jak zniewagę. Porucznik Tisarwat przyjęła torebkę z nikłym, bladym uśmiechem, nieobejmującym całej twarzy. Wciąż wydawała się całkowicie spokojna i opanowana.

– Poruczniku – powiedziałam, kiedy Piątka Kair kopniakiem skierowała się do fotela obok pilotki, innej Kair. – Czy zażyłaś jakieś leki?

Następna potencjalna zniewaga. Lekarstwa przeciw mdłościom były dostępne i znałam świetne oficer z długim stażem, które przez cały okres swojej służby zażywały je za każdym razem, kiedy wsiadały na prom. Żadna z nich nigdy się do tego nie przyznała.

Ostatni ślad uśmiechu znikł z twarzy porucznik Tisarwat.

– Nie, pani. – Spokojna. Zrównowazona.

– Pilotka ma trochę, jeśli potrzebujesz. – To powinno wywołać jakąś reakcję.

I wywołało, chociaż ułamek sekundy później, niż się spodziewałam. Nieznaczące zmarszczenie brwi, oburzone wyprostowanie ramion, utrudnione przez pasy bezpieczeństwa.

– Nie, dziękuję, pani.

„Lekkomyślna”, powiedziała Skaaiat Awer. Zazwyczaj nie popełniała takich błędów w ocenie ludzi.

– Nie prosiłam o ciebie, poruczniku. – Mówiłam spokojnie, ale z nutą gniewu w głosie. Łatwo mi to przyszło w tych okolicznościach. – Jesteś tutaj tylko dlatego, że Anaander Mianaai tak rozkazała. Nie mam czasu ani środków, żeby niańczyć smarkate nowicjuszki. Lepiej szybko się wciągnij. Potrzebuję oficerów, którzy wiedzą, co robią. Potrzebuję całej załogi, na której mogę polegać.

– Pani – powtórzyła porucznik Tisarwat. Nadal spokojna, ale teraz z pewną powagą w głosie, odrobinę mocniej marszcząc brwi. – Tak jest, pani.

Nafaszerowana jakimiś lekami. Prawdopodobnie przeciwko mdłościom, a gdybym miała żyłkę hazardzisty, postawiłabym swoją niemałą fortunę, że nałykała się środków uspokajających. Chciałam wywołać jej osobisty zapis – „Łaska Kair” powinna już go mieć. Ale tyranka zobaczyłaby, że wywołałam ten zapis. „Łaska Kair” należała przecież do Anaander

Mianaai, która miała kody dostępu pozwalające jej kontrolować statek. „Łaska Kair” widziała i słyszała wszystko, co robiłam, a jeśli tyranka potrzebowała tych informacji, musiała tylko zażądać. A ja nie chciałam, żeby się dowiedziała o moich podejrzeniach. Prawdę mówiąc, chciałam, żeby moje podejrzenia okazały się bezpodstawne. Niedorzeczne.

Na razie, jeśli tyranka obserwowała – a obserwowała z pewnością poprzez „Łaskę Kair”, dopóki przebywałyśmy w układzie – niech myśli, że się złoścuję, bo wcisnęła mi małodatę, a ja wolałabym kogoś, kto zna się na rzeczy.

Przestałam zwracać uwagę na porucznik Tisarwat. Z przodu pilotka nachyliła się bliżej do Piątki i spytała cicho:

– Wszystko w porządku?

A potem w odpowiedzi na zdumione spojrzenie Piątki wyjaśniła:

– Za cicho.

– Przez cały czas? – zapytała Piątka. Wciąż w zawołany sposób. Ponieważ mówiły o mnie i nie chciały aktywować usługi, jakiej mogłam zażądać od statku: żeby mnie informował, kiedy załoga o mnie mówi. Miałam dawny zwyczaj – liczący jakieś dwa tysiące lat – nucenia piosenek, które akurat wpadły mi do głowy. Albo śpiewania. Początkowo załoga reagowała zdziwieniem i niechęcią – to ciało, jedyne, które mi zostało, nie dysponowało zbyt dobrym głosem. Jednak przywykły i teraz stwierdziłam z ironicznym rozbawieniem, że moje milczenie niepokoi członków załogi.

– Ani mru-mru – powiedziała pilotka do Piątki Kair. Rzut oka w bok, nieznaczne drgnienie szyi i mięśni ramion powiedziały mi, że zamierzała się obejrzeć na porucznik Tisarwat.

– Taa – przyznała Piątka, zgadzając się z niewypowiedzianą opinią pilotki na temat tego, co mnie gryzie.

Dobrze. Niech Anaander Mianaai też to ogląda.

*

Droga powrotna na „Łaskę Kair” trwała długo, ale porucznik Tisarwat ani razu nie skorzystała z torby ani nie zdradzała żadnych oznak niewygody. Ja przeznaczyłam ten czas na spanie i myślenie.

Statki, komunikacja, dane wędrowały między gwiazdami poprzez bramy oznakowane radiolatarniami, stale utrzymywane w otwartej pozycji. Przeprowadzono już obliczenia, wyznaczono trasy przez obcą przestrzeń bram, gdzie odległości nie pasowały do wymiarów normalnej przestrzeni. Ale okręty wojenne – jak „Łaska Kair” – mogły generować własne bramy. To było znacznie bardziej ryzykowne – wybór niewłaściwej trasy, niewłaściwego wejścia czy wyjścia mógł skierować statek nie wiadomo dokąd albo donikąd. Tym się nie martwiłam. „Łaska Kair” znała się na rzeczy i dolecimy bezpiecznie do stacji Athoek.

A podczas podróży przez przestrzeń bramy w naszym własnym, zamkniętym bąblu normalnej przestrzeni będziemy całkowicie odizolowane. To mi odpowiadało. Chciałam się wyrwać z Pałacu Omaugh, uwolnić od Anaander Mianaai i rozkazów, jakie mogła mi wysłać.

Kiedy dotarliśmy prawie na miejsce i tylko minuty dzieliły nas od dokowania, statek

przemówił prosto do mojego ucha:

– Kapitanie floty.

Nie musiał zwracać się do mnie w ten sposób, wystarczyło dać znać, że pragnie się ze mną skomunikować. Statek prawie zawsze wiedział, czego chciałam, nie musiałam nawet mówić. Mogłam połączyć się z „Łaską Kair” w taki sposób, jak nikt inny na pokładzie. Nie mogłam jednak stać się „Łaską Kair”, tak jak dawniej byłam „Sprawiedliwością Toren”, bo wtedy całkowicie zatraciłabym siebie. Nieodwracalnie.

– Statku – odpowiedziałam cicho.

I nie mówiłam nic więcej, kiedy „Łaska Kair” podała mi wyniki obliczeń, które wykonała nieproszona, pełny zakres możliwych tras i terminów startu zapłonął na mojej wizji. Wybrałam najbliższy, wydałam rozkazy i niecałe sześć godzin później wystartowałyśmy.

Rozdział 2

Tyranka powiedziała, że nasze pochodzenie jest podobne, i w pewnym sensie miała rację. Ona, tak jak dawniej ja, składała się z setek ciał o wspólnej tożsamości. Pod tym względem niewiele się różniłyśmy. Co zauważyły niektóre obywatelki (choć dopiero stosunkowo niedawno, mniej więcej w ciągu ostatnich stu lat) podczas dyskusji o wojskowym wykorzystaniu serwitorów.

To wydawało się okropne, kiedy pomyślałaś, że może spotkać ciebie albo przyjaciela czy krewniaka. Ale przecież lord Radch też przez to przeszła, pod pewnymi względami była taką samą istotą jak statki, które jej służyły, więc czy to mogło być takie złe, jak twierdzili krytykanci? Co zabawne, przez cały ten czas Radch ani na jotę nie odstąpiło od sprawiedliwości.

To słowo, jedno z triady. Sprawiedliwość, przyzwoitość i pożytek. Żaden sprawiedliwy czyn nie może być nieprzyzwoity, żaden przyzwoity czyn – niesprawiedliwy. W ten sposób ze sobą splecione sprawiedliwość i przyzwoitość przynosiły pożytek. Kwestia, kto i jaki odniesie pożytek, stanowiła przedmiot nocnych dyskusji nad do połowy opróżnionymi butelkami araku, z reguły jednak żaden Radchaa nie wątpił, że sprawiedliwość i przyzwoitość ostatecznie przyniosą pożytek w sposób, który podoba się bogom. Nawet, z wyjątkiem najbardziej krańcowych przykładów, nigdy nie wątpił, że Radch zawsze działa sprawiedliwie, przyzwoicie i pożytecznie.

Oczywiście, w przeciwieństwie do swoich statków, lord Radch była obywatelką – nie tylko obywatelką, ale władczynią całego Radch, absolutną. Ja byłam bronią, której używała, by rozszerzyć obszar swojej władzy. Jej sługą. Pod wieloma względami jej niewolnicą. A różnica sięgała głębiej. Każde z ciał Anaander Mianaai było identyczne, klony poczęte i hodowane w jednym celu: żeby być jej częściami. Każdy z tysięcy jej mózgowi rósł i rozwijał się wokół implantów, które łączyły ją ze sobą. Przez trzy tysiące lat nigdy, ani przez chwilę nie doświadczyła istnienia jako ktoś inny niż Anaander Mianaai. Nigdy nie była osobą z jednym

ciałem – najlepiej pod koniec okresu dojrzewania albo we wczesnej dorosłości, ale starsze ostatecznie też się nadadzą – schwytaną i przechowywaną w kapsule kriogenicznej przez dziesiątki, czasem setki lat, dopóki nie była potrzebna. Bezceremonialnie rozmrożoną, implant wepchnięty do mózgu, przecinający połączenia, tworzący nowe, niszczący tożsamość, którą miała przez całe życie, i zastępujący ją SI statku.

Myślę, że kto przez to nie przeszedł, nie potrafi sobie tego wyobrazić. Przerazenie i mdłości, zgroza, nawet po wszystkim, kiedy ciało już wie, że jest statkiem, że osoba, którą było przedtem, nie istnieje i nie obchodzi jej, że umarła. To mogło trwać przez tydzień, czasami dłużej, kiedy ciało i mózg przystosowywały się do nowego stanu rzeczy. Ten skutek uboczny zapewne można było wyeliminować, a przynajmniej znacznie złagodzić straszliwy wstrząs. Ale kogo obchodziła tymczasowa niewygodność jednego ciała? Jedno ciało z dziesiątek, nawet setek nic nie znaczyło, jego cierpienie stanowiło jedynie przejściową niedogodność. Jeśli było zbyt intensywne albo trwało zbyt długo, ciało usuwano i niszczone, zastępowano nowym. W magazynach znajdowało się ich mnóstwo.

Teraz jednak, kiedy Anaander Mianaai ogłosiła, że nie będzie się tworzyć nowych serwitorów – nie licząc więźniów wciąż spoczywających w ładowniach ogromnych transporterów wojskowych, tysiący zamrożonych ciał, czekających – nikt już nie musiał się przejmować tą kwestią.

*

Jako kapitan „Łaska Kair” miałam własną, oddzielną kwaterę, trzy na cztery metry. Dookoła pod ścianami stały ławy, stanowiące również miejsce do przechowywania rzeczy. Jedna z tych ław służyła mi za łóżko, a w środku, pod skrzynkami i pudłami zawierającymi mój dobytek, znajdowała się skrzynka, której statek nie widział ani nie wyczuwał. Ludzkie oczy mogły ją zobaczyć, nawet oczy należące do serwitora. Lecz żaden skaner, żaden mechaniczny czujnik nie mógł wykryć tej skrzynki ani broni w środku, ani amunicji – pocisków, które przepalały wszystko we wszechświecie. Tajemnicą pozostawało, jak to osiągnięto – nie tylko niepojęte właściwości pocisków, ale jakim sposobem światło wydobywające się ze skrzynki lub z broni było widoczne tylko dla ludzkich oczu, nie dla kamer, które przecież działały na tej samej zasadzie. A statek na przykład nie widział pustego miejsca tam, gdzie była skrzynka, gdzie powinno coś być, tylko zamiast niej widział to, czego się spodziewał w tym miejscu. Nic z tego nie miało sensu. A jednak tak było. Skrzynka, broń i amunicja zostały wyprodukowane przez obcych, Presgerów, których motywów były niejasne. Których lękała się nawet Anaander Mianaai, władczyni rozległych obszarów przestrzeni Radch, dowódca jego niezliczonych na pozór armii.

„Łaska Kair” wiedziała o skrzynce i o broni, ponieważ jej powiedziałam. Dla Kair, które mi służyły, to była tylko jeszcze jedna skrzynka wśród kilku, których nie otwierały. Gdyby naprawdę były serwitorami, które czasem udawały, na tym sprawa by się skończyła. Ale nie były nimi. Były ludźmi, zżeranymi ciekawością. Wciąż spekulowały, rozglądając się z ociąganiem, kiedy rozkładały pościel i materac, na którym spałam. Gdybym nie była kapitanem

– nawet więcej, kapitanem floty – do tej pory przejrzałyby każdy milimetr mojego bagażu po kilka razy i omówiły go szczegółowo między sobą. Ale byłam kapitanem, miałam władzę życia i śmierci nad całą swoją załogą, toteż przysługiwała mi odrobina prywatności.

Ten pokój należał dawniej do kapitan Vel, zanim wybrała niewłaściwą stronę w konflikcie lord Radch ze sobą samą. Wykładzina podłogowa, tkaniny i poduszki z ławek zniknęły, zostały w Pałacu Omaugh. Vel kazała ozdobić ściany skomplikowanym rollwerkiem w purpurach i zieleniach; styl i paletę barw zaczerpnęła z minionej epoki, rzekomo szlachetniejszej i bardziej cywilizowanej niż obecna. W przeciwieństwie do kapitan Vel ja żyłam w tamtej epoce i niespecjalnie za nią tęskniłam. Kazałabym usunąć rollwerk, ale miałam inne pilniejsze sprawy, a przynajmniej zdobienia nie sięgały poza kwaterę kapitańską.

Jej bogów, ustawionych w niszy pod bogami statku – oczywiście Amaat, przywódczynię radchaajskich bogów, i Kair, od której statek wziął nazwę – zastąpiłam Tą, Która Wyskoczyła z Lili, EskVar (Emanacją początku i końca) oraz małą, tanią ikoną Toren. Poszczyliło mi się, że ją znalazłam. Toren była starym bogiem, niezbyt popularnym, mało kto o niej pamiętał oprócz załóg statków noszących jej imię, z których żaden nie stacjonował w pobliżu, a jeden – ja – został zniszczony

Było miejsce na więcej bogów, jak zawsze. Ale ja nie wierzyłam w żadnych. Dla załogi wyglądałoby dziwnie, gdybym nie miała żadnych bogów poza bogami statku, a te się nadawały. Nie traktowałam ich jak bóstwa, po prostu przypominały mi o czymś. Załoga tego nie wiedziała i nie rozumiała, więc codziennie paliłam przed nimi kadzidła, podobnie jak przed Amaat i Kair, i jak tamtym bogom składałam im ofiary z jedzenia i emaliowanych mosiężnych kwiatków, na które Piątka skrzywiła nos, kiedy pierwszy raz je zobaczyła, ponieważ były tanie i pospolite. Jej zdaniem nie takie ofiary powinna składać swoim bogom Mianaai i kapitan floty. Powiedziała to do Siedemnastki Kair, dyskretnie, nie wymieniając mojego nazwiska ani tytułu. Nie wiedziała, że jestem serwitorem, nie wiedziała, jak łatwo dzięki temu statek w każdej chwili może mi pokazać, co czuje i co mówi. Była przekonana, że statek dochowa jej plotkarskiej tajemnicy.

*

Dwa dni po wejściu w bramę w drodze do Athoek w naszym maleńkim, odizolowanym wycinku wszechświata siedziałam na krawędzi swojego łóżka i popijałam herbatę z delikatnej szklanej czarki w odcieniu głębokiego różu, podczas gdy Piątka Kair sprzątała omeny i tkaninę po porannej wróżbie. Omeny oczywiście wskazywały nieustającą pomyślność, tylko najgłupszy z kapitanów doszukałby się innego znaczenia wzoru, jaki utworzyły te metalowe krążki rzucone na tkaninę.

Zamknęłam oczy. Poczulałam korytarze i pokoje „Łaski Kair”, nieskazitelnie białe. Cały statek pachniał kojąco i znajomo recyklowanym powietrzem i środkiem czyszczącym. Dekada Amaat wyszorowała swoją część tych korytarzy i pokoi, za które odpowiadała. Ich porucznik Seivarden, starsza nad porucznikami „Łaski Kair”, właśnie kończyła inspekcję tej pracy, rozdawała pochwały i nagany, przydzielała zadania na następny dzień swoim

staroświeckim eleganckim akcentem. Seivarden urodziła się do tej pracy, urodziła się z twarzą świadcząca o pochodzeniu z jednego z najznamienitszych domów w Radch, dalekich kuzynek samej Anaander Mianaai, bogatych i dobrze ułożonych. Wychowano ją na dowódcę. Pod wieloma względami stanowiła modelowy przykład radchaajskiej oficer. Rozmawiając ze swoimi Amaat, odprężona i pewna siebie, wyglądała prawie jak Seivar– den, którą znałam przed tysiącem lat, zanim straciła swój statek i jeden z serwitorów wepchnął ją do kapsuły ratunkowej. W kapsule zepsuł się tracker i Seivarden dryfowała przez stulecia. Kiedy ją odnaleziono i rozmrożono, kiedy odkryła, że wszyscy, których znała, nie żyją, nawet jej dom już nie istnieje i samo Radch się zmieniło, uciekła z przestrzeni Radchaai i przez kilka lat włóczyła się bez celu. Podejrzywałam, że właściwie nie chciała umrzeć, ale w głębi duszy miała nadzieję, że spotka ją jakiś fatalny wypadek. Odkąd ją znalazłam, przybrała na wadze, odbudowała część utraconej masy mięśniowej i wyglądała bardziej zdrowo, ale wciąż wydawała się przemęczona. Miała czterdzieści osiem lat, kiedy serwitor z jej statku wepchnął ją do kapsuły ratunkowej. Doliczając tysiąc lat w hibernacji, była drugą najstarszą osobą na pokładzie „Łaski Kair”.

Następna w kolejności rangi porucznik Ekalu pełniła wachtę w Dowództwie z dwiema ze swoich Etrepa. Teoretycznie nikt nie musiał pełnić żadnej wachty, skoro „Łaska Kair” zawsze czuwała, zawsze obserwowała, stale świadoma statku, który był jej ciałem, i otaczającej go

przestrzeni. Zwłaszcza w przestrzeni bramy, gdzie nic nieprzewidzianego – i szczerze mówiąc, interesującego – nie mogło się zdarzyć. Ale systemy statku niekiedy ulegały awarii, a znacznie szybciej i łatwiej można zareagować na kryzys, kiedy załoga jest już w pogotowiu. I oczywiście dziesiątki ludzi stłoczonych w małym statku potrzebowały pracy, żeby utrzymać porządek i dyscyplinę. Statek rzutował liczby, mapy i grafy na wizję porucznik Ekalu, mruczał jej do ucha, przeplatając informacje przyjacielskimi słowami otuchy. „Łaska Kair” lubiła porucznik Ekalu, polegała na jej inteligencji i kwalifikacjach.

Kair była dekadą kapitana, moją własną. Wszystkie pozostałe dekady „Łaski Kair” miały po dziesięć żołnierek, ale Kair miała dwadzieścia. Sypiały według zróżnicowanego harmonogramu, ponieważ – również w przeciwieństwie do innych dekad – Kair zawsze pełniła służbę jako pozostałość czasów, kiedy załogę statku stanowiły serwitory, kiedy żołnierki były jego fragmentami, a nie dziesiątkami indywidualnych istot ludzkich. Kair, które obudziły się teraz, tak jak ja, zebrały się w żołnierskiej mesie, surowej, o białych ścianach, zaledwie dostatecznie dużej, żeby dziesięć osób mogło tam jeść i zostało miejsce na naczynia. Każda stała przy swoim talerzu ske– lu, szybko rosnącej śluzowatej ciemnozielonej rośliny, zawierającej wszystkie składniki odżywcze, jakich potrzebuje ludzkie ciało. Do smaku trzeba było się przyzwyczać, jeśli się na tym nie wyrosło. W rzeczywistości wielu Radchaai wyrosło na skelu.

Kair w żołnierskiej mesie zaczęły poranną modlitwę nierównym chórem. „Kwiat sprawiedliwości to pokój”. Po pierwszych słowach dopasowały się, wpadły w znajomy rytm. „Kwiat przyzwoitości to piękno myśli i uczynków”.

Medyczka – miała imię i formalnie rangę porucznika, ale nigdy się do niej nie zwracano jednym ani drugim – należała do Kair, ale nie była porucznikiem Kair. Była po prostu medyczką. Mogła otrzymać rozkaz pełnienia wachty – robiła to już i miała robić za godzinę – a wówczas towarzyszyły jej dwie Kair. Tylko ona jedna została ze wszystkich oficer kapitan Vel. Oczywiście trudno byłoby ją zastąpić, ale również jej udział w wydarzeniach zeszłego tygodnia był minimalny.

Była wysoka i szczupła, jasnoskóra według radchaaj–skich standardów, o brązowych włosach dostatecznie jasnych, żeby zwracały uwagę, ale nie w odcieniu, który wyglądał sztucznie. Często marszczyła brwi, co jednak nie wynikało ze zgryźliwego usposobienia. Miała siedemdziesiąt sześć lat i wyglądała prawie tak samo jak w czasach, gdy była po trzydziestce, i będzie tak wyglądała, dopóki nie przekroczy półtorej setki. Jej matka była lekarzem i matka jej matki, i jej prababka. Obecnie wściekała się na mnie.

Obudziła się, zdecydowana stawić mi czoło w tym krótkim czasie, zanim obejmie wachtę. Odmówiła poranną modlitwę, mamrocząc pospiesznie, jak tylko stoczyła się z łóżka. „Kwiat pożytku to Amaat cała i zupełna”. Odwróciłam uwagę od Kair w żołnierskiej mesie, ale nie mogłam wysłuchać pierwszych linijek, nie słysząc reszty. „Jestem mieczem sprawiedliwości...” Teraz medyczka stała milcząca i spięta obok swojego miejsca w pokoju dekady, gdzie jadała kadra oficerska.

Seivarden weszła do pokoju dekady na posiłek, który byłby dla niej kolacją, odprężona i uśmiechnięta, zobaczyła czekającą medyczkę, sztywną i niecierpliwą, marszczącą brwi mocniej niż zazwyczaj. Przez moment dostrzegłam w Seivarden irytację, a potem ją stłumiła, przeprosiła za swoją opieszałość, otrzymała w zamian zdawkowe mruknięcie: „Nic nie szkodzi”.

W żołnierskiej mesie Kair skończyły poranną modlitwę, wymamrotały dodatkowe linijki, które dołączyłam, krótką modlitwę za zmarłych i ich nazwiska. Awn El–ming. Nyseme Ptem, żołnierka, która zbuntowała się na Ime i zapobiegła wojnie z Rrrrrr kosztem własnego życia.

Dekada Bo spała raczej w alkwie niż sypialni, ledwie mieszczącej dziesięć stłoczonych ciał, żadnej prywatności, żadnej osobistej przestrzeni, nawet w łózkach. Wierciły się, wzdychały, śniły, bardziej niespokojne niż serwi–tory, które niegdyś tam spały.

We własnej maleńkiej kwaterze ich porucznik, ta bardzo młoda porucznik Tisarwat o niemożliwie liliowych oczach, również spała, spokojnie i bez snów, ale dostrzegałam w niej podskórne napięcie, poziom adrenaliny odrobinę wyższy niż normalnie. To powinno ją obudzić, jak poprzedniej nocy, ale medyczka dała jej coś na sen.

*

Medyczka połknęła śniadanie, wymruczała przeprosiny i niemal biegiem wypadła z pokoju dekady.

– Statku – wysłała wiadomość, wymownie poruszając palcami dla podkreślenia słów. – Chcę mówić z kapitan floty.

– Przyjdzie medyczka – powiedziałam do Piątki Kair. – Zaproponujemy jej herbatę. Ale

prawdopodobnie odmówi.

Piątka sprawdziła, ile jest herbaty w dzbanku, i wyjęła jeszcze jedną czarkę z różanego szkła. Podejrzewałam, że już nigdy nie zobaczę swojej starej emaliowanej zastawy, jeśli jej nie zażądam.

– Kapitanie floty – powiedziała „Łaska Kair” bezpośrednio do mojego ucha, a potem pokazała mi jakąś Amaat w drodze do żołnierskiej mesy, podśpiewującą cicho jedną z tych bzdurnych wyliczanek, jakie śpiewają dzieci prawie wszędzie. „Wszystko się kręci, wszystko się kręci, planeta się kręci wokół słońca, wszystko się kręci. Wszystko się kręci, księżyc się kręci wokół planety...” Bezmyślnie i nie do taktu.

W mojej kwaterze Piątka Kair stanęła sztywno na baczność i oznajmiła głosem bez wyrazu:

– Medyczka prosi o pozwolenie na rozmowę z kapitan floty.

Na korytarzu Amaat, słysząc za sobą kroki innej Amaat, umilkła, nagle zażenowana.

– Udzielam pozwolenia – powiedziałam do Piątki, oczywiście niepotrzebnie, skoro już wiedziała, że zamierzam porozmawiać z medyczką.

Drzwi się otwały i weszła medyczka, trochę zbyt szybko jak na wymogi dobrych manier.

– Kapitanie floty – zaczęła, spięta i wściekła.

Powstrzymałam ją uniesioną dłonią.

– Medyczko. Siadaj. Napijesz się herbaty?

Usiadła. Nie przyjęła herbaty. Na mój rozkaz Piątka

Kair opuściła pokój, odrobinę urażona, że nie usłyszy, co medyczka ma do powiedzenia, a co zapowiadało się ze wszech miar interesująco. Po jej wyjściu skinęłam na medyczkę, siedzącą sztywno naprzeciwko mnie za stołem. „Mów”.

– Za pozwoleniem, kapitanie floty. – Ton jej głosu bynajmniej nie świadczył, że zależy jej na moim pozwoleniu. Pod stołem zacisnęła urękawiczone dłonie w pięści. – Pani. Usunęłaś pewne leki z oddziału medycznego.

– Tak.

To ją na chwilę pohamowało. Widocznie spodziewała się zaprzeczenia.

– Nikt inny nie mógł tego zrobić. Statek twierdzi, że nigdy nie opuściły magazynu. Sprawdziłam rejestr, same zapisy, przejrzałam wszystkie i nie ma śladu, że ktoś je zabrał. Nikt inny na pokładzie nie mógł tego ukryć przede mną.

Obawiałam się, że to już nie jest prawdą. Ale tego nie powiedziałam.

– Wczoraj porucznik Tisarwat przyszła do ciebie pod koniec swojej zmiany i poprosiła o coś na lekkie mdłości i nerwowość. – Dwa dni wcześniej, kilka godzin po naszym wejściu w bramę, porucznik Tisarwat poczuła się źle. Trochę chora. Tego wieczoru niewiele mogła zjeść na kolację. Jej Bo zauważyły i oczywiście się zmartwiły; problemem z większością siedemnastolatek było ich nakarmienie, nie zachęcanie do jedzenia. Doszły do wniosku, że Tisarwat tęskni za domem. I jest przygnębiona, ponieważ wyraźnie złości mnie jej obecność. – Martwisz się o jej zdrowie?

Oburzona medyczka niemal zerwała się z krzesła.

– Nie o to chodzi! – Przypomniała sobie, z kim rozmawia. – Pani. – Przełknęła ślinę, czekała, ale ja milczałam. – Ona jest nerwowa. Odczyty jak w stresie emocjonalnym. Całkowicie zrozumiałe. Całkowicie normalne dla młodocianej porucznik podczas pierwszego przydziału. – W trakcie mówienia uświadomiła sobie, że prawdopodobnie mam rozległe doświadczenie na temat tego, co jest normalne dla bardzo młodych porucznik podczas pierwszego przydziału. Pożałowała, że to powiedziała, pożałowała przelotnie, że tu przyszła, żeby zaprotestować, żeby mnie oskarżyć. Tylko przez chwilę.

– Całkowicie normalne w tych okolicznościach – przyznałam, ale miałam co innego na myśli.

– A ja nie mogłam jej pomóc, ponieważ zabrałaś wszystkie lekarstwa, jakie mogłam jej podać.

– Tak – potwierdziłam. – Zabrałam. Czy było coś w jej organizmie, kiedy tu przybyła? Wiedziałam już, jaka będzie odpowiedź, ale i tak zapytałam.

Medyczka zamrugła, zdumiona moim pytaniem, ale tylko przez chwilę.

– Rzeczywiście wyglądała, jakby coś wzięła, kiedy przyszła z promu do medycznego. Ale kiedy ją przeska- nowałam, nic nie znalazłam. Myślę, że była po prostu zmęczona.

Nieznaczną zmianę jej postawy, zmieniony odczyt emocji, jakie od niej odbierałam, sugerowały, że rozważa teraz znaczenie mojego pytania, tę dziwną, drobną niezgodność pomiędzy tym, jak wyglądała porucznik Tisar- wat w jej oczach profesjonalistki, a wynikami odczytów.

– Czy w jej aktach są jakieś zalecenia albo rozkazy podawania leków?

– Nie, nic. – Medyczka chyba nie doszła do żadnych wniosków. Tym bardziej do tych, do których ja doszłam. Ale była teraz zaciekawiona, chociaż wciąż zła. – Ostatnie wydarzenia były stresujące dla nas wszystkich. A ona jest bardzo młoda. I... – zawahała się. Pewnie chciała powiedzieć, że teraz już wszyscy na pokładzie wiedzą, że bardzo się rozżośćiłam, kiedy porucznik Tisarwat przydzielono na „Łaskę Kair”. Tak bardzo, że na kilka godzin przestałam śpiewać.

Do tej pory cała załoga już się nauczyła, co to znaczy. Zaczęła nawet doceniać taki prosty sposób sprawdzenia, czy wszystko jest w porządku.

– Co chciałaś powiedzieć? – zapytałam najbardziej obojętnym tonem, na jaki mogłam się zdobyć.

– Ona chyba czuje, że jej tu nie chcesz, pani.

– Nie chcę – potwierdziłam. – W rzeczy samej.

Medyczka pokręciła głową. Nie rozumiała.

– Za pozwoleniem. Mogłaś jej nie przyjąć.

Mogłam jej nie przyjąć. Mogłam ją zostawić w pałacowych dokach, kiedy prom „Łaski Kair” odleciał, i nigdy po nią nie wrócić. Poważnie się nad tym zastanawiałam. Skaaiat by zrozumiała, na pewno, i znalazłaby sposób, żeby żaden zadokowany statek nie zdążył odstawić młodej porucznik na „Łaskę Kair”, dopóki nie byłoby za późno.

– Dałaś jej coś?

– Coś, żeby pomogło zasnąć. Dla niej to był koniec dnia. Tylko tyle mogłam zrobić.

Medyczka złościła się nie tylko dlatego, że wtargnęłam do jej królestwa, ale ponieważ nie mogła pomóc.

Musiałam szybko rzucić okiem. Porucznik Tisarwat spała, ale niezbyt głęboko. Nie odpoczywała. Wciąż była spięta, wciąż wyczuwałam ten cichy podskórny niepokój.

– Medyczko – powiedziałam, ponownie skupiając na niej uwagę – masz wszelkie prawo gniewać się na mnie. Spodziewałam się, że się rozgniewasz i zaprotestujesz. Byłabym rozczarowana, gdybyś nie protestowała. – Zamrugła, zbita z tropu, z rękami wciąż zaciśniętymi w pięści. – Zaufaj mi. – Niewiele więcej mogłam powiedzieć, na razie. – Jestem niewiadomą, jestem... nie taką osobą, jakiej zwykle się powierza dowodzenie. – Przebłysk zrozumienia na twarzy medyczki, lekka odraza, a potem zakłopotanie, ponieważ zdawała sobie sprawę, że znam jej uczucia, że niemal na pewno odczytuję jej reakcje. Medyczka naprawiła moje implanty, które dawno temu dezaktywowałam i zniszczyłam, żeby je ukryć. Wiedziała, czym jestem, na statku tylko ona oprócz Sei– varden. – Ale zaufaj mi.

– Nie mam wyboru, prawda, pani? Jesteśmy odcięci, dopóki nie dotrzemy na Athoek, nie mam się komu poskarżyć – rzuciła sfrustrowana.

– Poskarżysz się na Athoek, kiedy tam dotrzemy. Jeśli wciąż będziesz chciała. – Jeśli będziesz miała komu się poskarżyć, jeśli to coś da.

– Pani. – Wstała, chciała jeszcze coś dodać, ale ugryzła się w język. Skłoniła się sztywno. – Mogę odejść?

– Tak, oczywiście, medyczko.

*

Porucznik Tisarwat stanowiła problem. Z jej oficjalnego życiorysu, suchego zestawienia faktów, wynikało, że urodziła się i dorastała na planecie, trzecie dziecko jednego rodzica i drugie drugiego. Odebrała wykształcenie typowe dla każdego zamożnego, stosunkowo dobrze urodzonego Radchaai. Miała dobre wyniki z matematyki, zapał, ale brak talentu do poezji, ani jednego, ani drugiego do historii. Dostawała kieszonkowe od rodziców, jednak nie mogła liczyć na większą sumę. Poleciała w kosmos po raz pierwszy, kiedy ukończyła szkolenie.

Czytając między wierszami, nie urodziła się, żeby zająć jakieś szczególne miejsce w swoim domu albo odziedziczyć czyjś majątek i pozycję, albo spełnić jakieś konkretne oczekiwania. Rodzice niewątpliwie ją kochali i rozpieszczali aż do dnia, kiedy wstąpiła do wojska. Rodzeństwo, wszyscy starsi, nie miało jej za złe pozycji faworyty, tylko troszczyło się o nią prawie jak rodzice.

„Lekkomyślna”, powiedziała o niej Skaaiat Awer. Niepoważna, pomyślałam, widząc ten z pewnością kupiony kolor jej oczu, a wyniki jej testów zdolności sugerowały to samo. Te dane nie mówiły: „opanowana”. Ani nie zapowiadały nerwowego przygnębienia, w jakie wpadła wkrótce po zaokrętowaniu na „Łaskę Kair”.

Jej trenerki spotykały już takie jak ona, z tego względu traktowały ją surowo, ale nie

okrutnie. Niektóre niewątpliwie same miały młodsze siostrzyczki, a ostatecznie ona przygotowywała się do objęcia stanowiska administracyjnego. To bez znaczenia, jeśli w mikrograwitacji nigdy nie utrzyma śniadania w żołądku – wiele nowych porucznik miało ten sam problem, zwłaszcza jeśli brakowało im doświadczenia w kosmosie.

Dwa dni wcześniej, kiedy Tisarwat była na badaniu w Medycznym i kiedy statek ustanawiał połączenia, które pozwalały mu – i mnie – odczytywać ją jak każdego innego członka załogi, jej Bo przejrzały bagaż Tisarwat milimetr po milimetrze i doszły do całkiem słusznych wniosków dotyczących jej życiorysu. Gotowe były nią gardzić za ignorancję, małolata świeżo po szkoleniu, przedmiot szyderstwa i irytacji, tak. Ale również sympatii i przedwczesnej dumy. Jej Bo będą mogły przypisać sobie zasługi za przyszłe osiągnięcia Tisarwat, ponieważ ostatecznie to one ją wychowają. Nauczą ją wszystkiego, co naprawdę ważne. Gotowe były stać się jej dekadą. Bardzo chciały, żeby okazała się taką porucznik, pod którą będą służyć z dumą.

Ja też bardzo chciałam, żeby moje podejrzenia okazały się niesłuszne.

*

Wachta oczywiście minęła spokojnie. Po naszej konferencji medyczka poszła do Dowództwa, wciąż rozgniewana. Amaat Seivarden ćwiczyły, kąpały się, wkrótce położą się do łóżek, zajmą swoje zwykle miejsca wśród przepychanek i niekiedy oburzonych szeptów – nie bardzo było gdzie się wyciągnąć. Etrepa Ekalu szorowały i tak już niemal idealnie czyste pokoje i korytarze, za które były odpowiedzialne. Porucznik Tisarwat nie obudzi się jeszcze przez prawie cztery godziny.

Poszłam do małej sali gimnastycznej statku, kilka ostatnich Amaat umknęło mi z drogi. Ćwiczyłam ostro przez godzinę. Potem, wciąż wściekła, wciąż spocona po wysiłku, poszłam na strzelnicę.

To była tylko symulacja. Nikt nie chciał, żeby pociski latały po małym statku, gdzie za pancerzem kadłuba czyhała lodowata próżnia. Cele były obrazami, które statek wyświetlał na ścianie naprzeciwko. Broń robiła huk i miała odrzut, jakby wylatywały z niej prawdziwe kule, ale strzelała tylko światłem. Za mało niszczycielska jak na moje obecne potrzeby, jednak musiała wystarczyć.

Statek znał mój nastrój. Rzucił na ścianę szybką serię celów i wszystkie trafiłam niemal bez zastanowienia. Przeładowałam – w rzeczywistości nie musiałam przeładowywać, ale musiałabym, gdybym używała prawdziwej broni, toteż procedura treningu tego wymagała. Strzeliłam jeszcze raz i jeszcze raz, znowu przeładowałam, strzeliłam. Widząc to, statek wyświetlił ruchome cele, po tuzinie naraz. Wpadłam w znajomy rytm, strzelić, prze-

ładować, strzelić, przeładować. W mojej głowie rozbrzmiała piosenka – zawsze towarzyszyła mi jakaś piosenka. Ta stanowiła długą opowieść, relację z ostatniej kłótni pomiędzy Anaander Mianaai a jej niegdysiejszą przyjaciółką, Naskaaią Eskur. Poetkę skazano na śmierć przed półtora tysiącem lat – jej wersja przedstawiała Anaander jako czarny charakter i kończyła się obietnicą, że zmarła Naskaai wróci, żeby się zemścić. W granicach przestrzeni Radch piosenka została prawie całkowicie zapomniana, ponieważ jej śpiewanie, nawet sama wiedza o jej istnieniu mogły spowodować gruntowną reedukację obywatelki. Wciąż krążyła gdzieś gdzieś poza strefą wpływów Radch.

Zdrajczynil Dawno temu przyrzekłyśmy

Wymieniać się równo, dar za dar.

Rzucam klątwę: To, co niszczysz, zniszczy ciebie.

Strzelić, przeładować. Strzelić, przeładować. Z pewnością ta piosenka – oraz inne do niej podobne – tylko w niewielkim stopniu opiera się na faktach. Z pewnością sama kłótnia była całkiem trywialna, nie tak poetycko dramatyczna, pełna mistycznych i proroczych podtekstów. Jednak przyjemnie było o niej śpiewać.

Dotarłam do końca, opuściłam broń. Statek nieproszony pokazał mi, co miałam za plecami – trzy Etrepa stłoczone w wejściu na strzelnicę, patrzące z podziwem. Za nimi Seivarden, która przystanęła w drodze do swojej kwatery i łóżka. Nie potrafiła odczytywać moich nastrojów tak

dokładnie jak statek, ale знаła mnie wystarczająco dobrze, żeby się zmartwić.

– Dziewięćdziesiąt siedem procent – powiedział mi statek do ucha. Niepotrzebnie.

Odetchnęłam. Schowałam broń do niszy. Odwróciłam się. Zdumione twarze trójki widzów natychmiast przybrały pusty, obojętny wyraz, jak u serwitorów. Etrepa cofnęły się na korytarz, a ja precyzyjnie przesuwałam się obok nich i ruszyłam do łazienki. Usłyszałam, jak jedna Etrepa mówi:

– Kurwa! To takie są Misje Specjalne?!

Spostrzegłam panikę pozostałych; ich poprzednia kapitan surowo tępiła przeklinanie. Usłyszałam, jak Seivar–den mówi, na pozór jowialnie:

– Kapitan floty jest cholernie dobra w te pieprzone klocki.

Wulgaryzmy w połączeniu z archaicznym, eleganckim akcentem Seivarden wywołały śmiech pełen ulgi, ale nie uśmierzyły niepokoju.

„Łaska Kair” nie pytała mnie o powód gniewu. Nie pytała mnie, co się stało. To samo w sobie sugerowało, że moje podejrzenia są słuszne. Po raz pierwszy w swoim dwutysiącletnim życiu żałowałam, że nie mam zwyczaju przeklinać.

Rozdział 3

Kazałam obudzić porucznik Tisarwat trzy godziny przed jej zwykłą porą i poleciłam, żeby natychmiast zameldowała się u mnie. Zbudziła się przestraszona, z walącym sercem pomimo działania resztek środka nasennego od medycy. Dopiero po kilku sekundach zrozumiała słowa, które statek powiedział jej prosto do ucha. Przez następne dwadzieścia sekund tylko oddychała, powoli, z rozmysłem. Miała lekkie mdłości.

Zjawiła się w mojej kwaterze wciąż rozstrojona. Kołnierz kurtki miała lekko przekrzywiony – wszystkie jej Bo spały i nie mogły się nią zająć, więc ubierała się sama, w nerwowym pośpiechu, upuszczając rzeczy, niezdarnie gmerając przy zapięciach, które nie powinny sprawiać trudności. Przyjęłam ją na stojąco i nie odprawiłam Piątki Kair, która ociągała się, pozornie zajęta, w rzeczywistości licząc, że usłyszy lub zobaczy coś interesującego.

– Porucznik Tisarwat – powiedziałam surowo, z gniewem. – Praca twojej dekady wciąż dwóch ostatnich dni jest niezadowolająca.

Uraza, gniew, rozgoryczenie. Stała już całkiem porządnie na baczność, zważywszy okoliczności, teraz jednak jej plecy i ramiona jeszcze bardziej zeszywniały, głowa uniosła się o kilka milimetrów. Jednak wystarczyło jej rozsądku, żeby nie odpowiadać.

Ciągnęłam:

– Zapewne zdajesz sobie sprawę, że statek nie widzi niektórych swoich części. Dawniej polegał w tej sprawie na serwitorach. Teraz nie ma już serwitorów. Czyszczenie i konserwacja tych części to twój obowiązek. A dekada Bo je pomijała. Na przykład bolce zawiasów w słuzach na promach nie były czyszczone już od dłuższego czasu. – Wiedziałam o tym z

własnego doświadczenia, ledwie sprzed tygodnia, kiedy moje życie i życie wszystkich mieszkanek Pałacu Omaugh zależało między innymi od tego, jak szybko zdołam zdjąć drzwi śluzu na promie „Łaski Kair”. – Jest też miejsce pod kratką w łazience, którego nie widać, jeśli się nie wsadzi tam głowy. – Odrażająca perspektywa w najlepszym razie, gorsza, jeśli nie było systematycznie, starannie czyszczone. – „Łaska Kair” da ci listę. Spodziewam się, że wszystko zostanie poprawione, kiedy jutro o tej samej porze przeprowadzę inspekcję.

– J-jutro, pani? – Porucznik Tisarwat jakby się dusiła.

– Jutro o tej samej porze, poruczniku. I ani tobie, ani twojej dekadzie nie wolno zaniedbywać wyznaczonego limitu ćwiczeń na sali gimnastycznej i na strzelnicy. Odmaszerować.

Ukłoniła się i wyszła, zła i nieszczęśliwa. Podobnie poczują się jej Bo, kiedy odkryją, ile pracy właśnie na nie zważyłam.

To prawda, że miałam niemal absolutną władzę nad wszystkimi na statku, zwłaszcza podczas izolacji w przestrzeni bramy. Ale prawdą było również, że postąpiłabym bardzo głupio, zrażając do siebie moje oficer. Głupio również tak kompletnie lekceważyć wygodę żołnierek bez ważnych powodów. Bo oburzą się, że tak źle traktuję porucznik Tisarwat, zwłaszcza że same przez to ucierpią. Ale też dlatego, że porucznik Tisarwat była ich porucznikiem.

Chciałam tego. Naciskałam mocno, z rozmysłem. Ale wszystko zależało od wycucia czasu. Nacisnę za mocno, za szybko i otrzymam rezultat różniący się od pożądanego, nawet katastrofalnie. Nacisnę za słabo, odczekam za długo i zabraknie mi czasu, i znowu nie uzyskam oczekiwanych rezultatów. A ja potrzebowałam tych konkretnych rezultatów. Amaat, Etrepa, moje własne Kair rozumiały sytuację Bo. Jeśli ostro potraktuję Bo – ponieważ ostre traktowanie porucznika Bo to jedno i to samo – pozostałe dekady nie zrozumieją powodu. Nie chciałam, żeby załoga „Łaski Kair” myślała, że mogę się na kogoś uwziąć bez żadnej racji, dla kaprysu, że nawet jeśli dobrze się sprawujesz, kapitan i tak może zmienić twoje życie w piekło. Widziałam kapitan, które w ten sposób dowodziły. Nigdy nie stworzyły zbyt dobrej załogi.

Ale nie mogłam nikomu wyjawiać swoich powodów, nie teraz, i miałam nadzieję, że nigdy nie będę mogła. Nigdy nie będę musiała. Jednak od początku liczyłam, że nigdy nie dojdzie do takiej sytuacji.

Następnego ranka zaprosiłam Seivarden na śniadanie. Moje śniadanie, jej kolacja. Powinnam była zaprosić także medyczkę, która jadła o tej samej porze, pomyślałam jednak, że na razie ona wolałaby samotność od mojego towarzystwa.

Seivarden była czujna. Widziałam, że chce mi coś powiedzieć, ale nie jest pewna, czy to mądre. Albo nie jest pewna, jak to mądrze powiedzieć. Zjadła trzy kęsy ryby, a potem zażartowała:

– Nie wiedziałam, że zasługuję na najlepszą zastawę.

Chodziło jej o talerze, delikatną porcelanę, malowaną w odcieniach fioletowym i morskim. I czarki do herbaty z różanego szkła; Piątka wiedziała, że posiłek z Seivarden nie wymaga

żadnych formalności, a jednak nie mogła się zmusić, żeby je schować i użyć emaliowanych.

– Prawie najlepszą – sprostowałam. – Przepraszam. Jeszcze nie widziałam najlepszej. – Drobne, radosne ukłucie dumy ze strony Piątki, stojącej w kącie i udającej, że wyciera czyściutkie sztuce, na samą myśl o najlepszych naczyniach. – Powiedziano mi, że potrzebuję ładnych naczyń, więc zwróciłam się do lord Radch, żeby mi przysłała coś odpowiedniego.

Uniosła brew, świadoma, że Anaander Mianaai nie jest dla mnie neutralnym tematem.

– Dziwię się, że lord Radch nie polecała z nami. Chociaż...

Przelotnie zerknęła na Piątkę.

Nic nie mówiłam, ale statek zrozumiał, czego sobie życzę, i zasugerował Piątce Kair, żeby wyszła z pokoju. Kiedy zostałyśmy same, Seivarden ciągnęła:

– Ona ma kody dostępu. Może sprawić, żeby statek robił wszystko, czego ona chce. Może sprawić, żebyś ty robiła wszystko, czego ona zechce. Czy nie tak?

Niebezpieczne terytorium. Ale Seivarden nie mogła o tym wiedzieć. Przez chwilę widziałam porucznik Tisarwat, wciąż chorą i zestresowaną, w dodatku wyczerpaną – nie spała już około dwudziestu godzin, odkąd ją obudziłam – jak leży na podłodze łazienki, obok odsuniętej kratki, z opuszczoną głową, żeby obejrzeć to miejsce, którego statek nie widział. Za nią niespokojna i równie zmęczona Bo czekała na jej wyrok.

– To nie takie proste – odparłam, przenosząc uwagę znowu na Seivarden. Zmusiłam się, żeby przełknąć kęs ryby, popić herbaty. – Na pewno został jeden dostęp, z tamtych czasów. – Z czasów, kiedy byłam statkiem. Częścią dekady Esk „Sprawiedliwości Toren”. – Ale uruchamia go tylko głos tyranki. I tak, ona mogła go użyć, zanim opuściłam pałac. Powiedziała mi to, jak może pamiętać, i dodała, że tego nie chciała.

– Może go użyła i kazała ci o tym zapomnieć.

Rozważyłam już tę ewentualność i odrzuciłam. Wykonałam przeczący gest.

– Jest taki punkt, gdzie dostęp zawodzi.

Seivarden przytaknęła. Kiedy spotkałam ją po raz

pierwszy, jako młodocianą siedemnastoletnią porucznik, nie sądziła, że SI statków mają jakieś konkretne uczucia – nie takie, które się liczą. Podobnie jak wiele Radchaaai zakładała, że myśl i emocja to dwie osobne rzeczy, łatwe do rozdzielenia. Że sztuczne inteligencje, które kierują dużymi stacjami i statkami wojskowymi, są całkowicie pozbawione uczuć. Mechaniczne. Dawne opowieści, historyczne dramaty o minionych czasach, zanim Anaander Mianaai zaczęła budować swoje imperium, o statkach pogrążonych w smutku i rozpacz po śmierci ich dowódców – to była przeszłość. Lord Radch ulepszyła konstrukcję SI, usunęła tę wadę.

Ostatnio jednak Seivarden dowiedziała się, że jest inaczej.

– Na stacji Athoek – odgadła – gdzie mieszka siostra porucznik Awn, będziesz zbyt blisko tego punktu.

To było bardziej skomplikowane. Ale...

– W zasadzie tak.

– Breq – powiedziała, jakby chciała się upewnić, że mówi do mnie-Breq, a nie do mnie-kapitan floty. – Czegoś tu nie rozumiem. Lord Radch powiedziała tamtego dnia, że nie mogła po prostu stworzyć SI zawsze jej posłusznych, bez względu na wszystko, ponieważ ich umysły były skomplikowane.

– Tak. – Rzeczywiście tak powiedziała. Wtedy, kiedy nagliły nas inne, pilniejsze sprawy, więc nie doszło do żadnej poważnej dyskusji na ten temat.

– Ale przecież statki kochają ludzi. To znaczy niektórych ludzi. – Z jakiegoś powodu te słowa ją zdenerwowały, wywołały drobne ukłucie niepokoju. Sięgnęła po herbatę, żeby to zamaskować, upiła łyk. Ostrożnie odstawiła śliczną różaną czarkę. – I to jest słaby punkt, prawda? To znaczy może być. Dlaczego po prostu nie zrobić tak, żeby wszystkie statki ją kochały?

– Bo to jest potencjalny słaby punkt. – Spojrzała na mnie, marszcząc brwi, nie rozumiejąc. – Czy ty kochasz przypadkowo?

Zamrugła ze zdumieniem.

– Co?

– Czy kochasz przypadkowo? Jakbyś wyciągała losy z pudełka? Kochasz każdą osobę, jaką napotkasz? Czy też pewni ludzie mają pewne cechy, za które możesz ich pokochać?

– Ja... chyba rozumiem. – Odłożyła sztuciec z nietkniętym kęsem ryby. – Chyba rozumiem, o co ci chodzi. Ale nie bardzo wiem, co to ma wspólnego z...

– Jeśli pewna osoba ma cechy, które sprawiają, że możesz ją pokochać, co się stanie, jeśli się zmieni? Jeśli tak naprawdę już nie jest tą osobą?

– Wydaje mi się – powiedziała powoli, z namysłem – że prawdziwa miłość nigdy się nie kończy.

„Prawdziwa miłość” dla Radchaai nie oznaczała tylko romantycznego uczucia łączącego kochanków. Tylko uczucia łączącego rodziców i dzieci. „Prawdziwa miłość” mogła też istnieć pomiędzy patronem a protegowanym. Powinna istnieć w idealnym związku.

– To znaczy – ciągnęła Seivarden, nie wiadomo dlaczego zakłopotana – wyobraź sobie, że twoi rodzice już cię nie kochają. – Kolejne zmarszczenie brwi. Kolejny przypływ niepokoju. – Czy kiedykolwiek przestałabyś kochać porucznik Awn?

– Gdyby – odparłam, z rozmysłem przełknąwszy kęs śniadania – kiedykolwiek stała się kimś innym. – Seivar–den wciąż nie rozumiała. – Kim jest Anaander Mianaai?

Wtedy zrozumiała, poznałam to, ponieważ odczyty wykazały, że poczuła się nieswojo.

– Nawet ona nie ma pewności, prawda? Może być dwiema osobami. Albo więcej.

– I przez trzy tysiące lat musiała się zmienić. Tylko zmarli się nie zmieniają. Jak bardzo można się zmienić i wciąż pozostać tą samą osobą? I jak mogła przewidzieć, do jakiego stopnia się zmieni przez te tysiące lat i co z tego wyniknie? Znacznie łatwiej wykorzystać coś innego. Powiedzmy, obowiązek. Lojalność wobec idei.

– Sprawiedliwość – podsunęła Seivarden, świadoma ironii, ponieważ dawniej tak się nazywałam. – Przyzwoitość. Pożytek.

To ostatnie pojęcie, pożytek, było dość zdradliwe.

– Każde z nich albo wszystkie razem się nadają – przytaknęłam. – A potem trzeba aktualizować dane o ulubieńcach statku, żeby nie sprowokować jakiegoś konfliktu. Albo można wykorzystać takie przywiązanie do własnych celów.

– Rozumiem – powiedziała. I w milczeniu dokończyła kolację.

Po zjedzeniu posiłku, kiedy Piątka Kair wróciła, żeby sprzątnąć ze stołu, dołała nam herbaty i znowu wyszła, Seivarden ponownie zabrała głos.

– Pani – powiedziała. Więc to sprawy statku. Wiedziałam, o co chodzi. Żołnierki Amaat i Etrepa widziały już, jak wszystkie dziesięć Bo, które dawno powinny spać, rozpaczliwie szorują, rozkręcają armaturę, podnoszą kratki, ślęczą nad każdym milimetrem, nad każdą szparą i szczeliną w konserwowanej przez nie części statku. Kiedy porucznik Ekalu zluzowała Seivarden na wachcie, odważyła się powiedzieć parę słów. „Nie chciałabym obrazić... Pomyślałam, że mogłabyś wspomnieć pani...” Seivarden była zmieszana, częściowo z powodu akcentu porucznik Ekalu, częściowo ponieważ Ekalu powiedziała „pani” zamiast „kapitanie floty”, pozostałość z czasów jej służby jako Jedyńka Amaat; ta drużyna miała zwyczaj tak mówić, żeby nie zwracać uwagi swojej kapitan. Głównie jednak, jak się okazało, poczuła się zmieszana z powodu sugestii, że mogłaby się obrazić. Ekalu była zbyt zażenowana, żeby się wytłumaczyć.

– Nie wydaje ci się – zagadnęła Seivarden, niewątpliwie zdając sobie sprawę, że mogłam podsłuchać tę rozmowę w Dowództwie – że trochę ostro traktujesz Tisarwat?

Nie odpowiedziałam, a ona wyraźnie zobaczyła, że jestem w groźnym nastroju, że ten temat z jakiegoś powodu nie jest całkowicie bezpieczny. Zacerpnęła tchu i brnęła dalej:

– Ostatnio się złościśz.

Uniosłam brew.

– Ostatnio?

Czarka z herbatą stała przede mną nietknięta.

Podniosła swoją czarkę o centymetr, w milczeniu przyznając mi rację.

– Przez kilka dni mniej się złościłaś. Nie wiem, może dlatego, że byłaś ranna. Bo teraz znowu się złościśz. Chyba wiem dlaczego, i chyba nie mogę mieć do ciebie pretensji, ale...

– Myślisz, że się wyzywam na porucznik Tisarwat.

Której w tej chwili nie chciałam widzieć. Nie patrzyłam. Dwie z jej Bo drobiazgowo sprawdzały wnętrze promu, za który były odpowiedzialne – jednego z ostatnich dwóch; trzeci zniszczyłam w zeszłym tygodniu. Od czasu do czasu komentowały oszczędnie, w zawoalowany sposób, jak niesprawiedliwie je traktuję i jak pomiatam ich porucznik.

– Ty znasz wszystkie miejsca, które żołnierka może zaniedbać, ale skąd Tisarwat ma je znać?

– Niemniej odpowiada za swoją dekadę.

– Mogłaś mnie też skarcić – wytknęła mi Seivarden i napiła się herbaty. – Sama powinnam wiedzieć, ale nie wiedziałam. Moje serwitory zawsze się zajmowały tymi rzeczami bez

ponaglania. Bo wiedziały, że to ich obowiązek. Na cycki Aatr, Ekalu powinna wiedzieć najlepiej z nas, gdzie jej załoga sprząta po łóbkach. Zrozum, że jej nie krytykuję. Ale każda z nas zasługiwałaby na naganę z tego powodu. Dlaczego ganić tylko Tisarwat, a nie nas wszystkie?

Nie chciałam tego wyjaśniać, więc tylko sięgnęłam po swoją czarkę herbaty i upiłam łyk.

– Przyznaję – ciągnęła Seivarden – że okazała się dość żałosna. Nieporadna, nie wie, co zrobić z rękami i nogami, rozgrzebuje jedzenie. I niezdarna. Upuściła trzy czarki do herbaty w pokoju dekady, dwie rozbiła. I jest taka... taka ponura. Tylko czekam, aż oznajmi, że nikt z nas jej nie rozumie. Co sobie myślała moja pani? – Chodziło jej o Anaander Mianaai, Panią Radch.

– Czy nie miała pod ręką nikogo oprócz Tisarwat?

– Prawdopodobnie. – Na tę myśl jeszcze bardziej się rozłościłam. – Pamiętasz, jak byłaś młodocianą porucznik?

Wstrząśnięta, odstawiła czarkę na stół.

– Proszę, nie mów mi, że byłam taka sama.

– Nie. Nie taka sama. Byłaś niezdarna i irytująca w inny sposób.

Prychnęła, jednocześnie rozbawiona i rozgoryczona.

– A jednak. – Spowaźniała. Nagle zdenerwowana. Zobaczyłam, że wreszcie dotarła do czegoś, co chciała mi powiedzieć przez cały posiłek, ale czuła się jeszcze bardziej onieśmielona, niż gdyby mnie oskarżyła, że traktuję niesprawiedliwie porucznik Tisarwat. – Breq, cała załoga myśli, że klęczę przed tobą.

– Tak. – Oczywiście już o tym wiedziałam. – Chociaż nie bardzo rozumiem dlaczego. Piątka dobrze wie, że nigdy nie brałam cię do łóżka.

– No, w powszechnej opinii zaniedbuję swoje... swoje obowiązki. To wszystko bardzo pięknie, żeby dać ci czas na wyleczenie obrażeń, ale dla mnie to już najwyższy czas, żeby... spróbować przynieść ci ulgę. I może mają rację. – Wzięła następny łyk herbaty. Przełknęła.

– Patrzysz na mnie. To zawsze niedobrze.

– Przepraszam, że wprawiałam cię w zakłopotanie.

– Och, nie jestem zakłopotana – skłamała. A potem dodała bardziej zgodnie z prawdą: – No, nie dlatego że ktoś tak myśli. Ale żeby to tak wyciągać. Breq, znalazłaś mnie kiedy, rok temu? I przez cały ten czas nigdy nie widziałam, żebyś... to znaczy kiedy byłaś... – Urwała. Pewnie z obawy, żeby nie powiedzieć czegoś niestosownego. Miała zbyt ciemną cerę, żeby naprawdę się zarumienić, ale spostrzegłam zmianę temperatury.

– To znaczy wiem, że byłaś serwitorem. Jesteś serwi– torem. A statki nie... to znaczy wiem, że serwitory mogą...

– Serwitory mogą – przytaknęłam. – O czym wiesz z własnego doświadczenia.

– Tak – wymamrotała, teraz naprawdę zmieszana.

– Ale chyba nigdy nie myślałam, że serwitor sam może tego chcieć.

Pozwoliłam, żeby te słowa przez chwilę zawisły w powietrzu i dały jej do myślenia.

– Serwitory to ludzkie ciała, ale również części statku

– odparłam po chwili. – To, co czują, czuje statek. Ponieważ są tym samym. No, różne ciała reagują różnie. Inaczej odbierają smak, dotyk, nie zawsze chcą tego samego, ale ogólnie biorąc, przeciętnie, tak, zatroszczyłam się o to dla ciał, które tego potrzebowały. Nie lubię uczucia dyskomfortu, nikt nie lubi. Staralam się, żeby moje serwitory dobrze się czuły.

– Chyba nigdy nie zauważyłam.

– Nie powinnaś zauważyć. – Lepiej mieć to za sobą. – W każdym razie statki z reguły nie chcą partnerów. Załatwiają te rzeczy samodzielnie. Przynajmniej statki z serwitorami. Więc. – Gestem wyraziłam oczywistą konkluzję, bynajmniej niewymagającą dosłownego tłumaczenia. Nie dodałam, że statki nie pragną również romantycznych partnerów. Kapitanów, tak. Poruczników. Ale nie kochanków.

– No – powiedziała po chwili Seivarden – ale już nie masz innych ciał, żeby to z nimi robić.

– Przerwała, uderzona pewną myślą. – Jak to jest? Z więcej niż jednym ciałem?

– Nie zamierzałam na to odpowiadać.

– Trochę się dziwię, że wcześniej o tym nie pomyślałaś.

– Ale tylko trochę. Za dobrze znałam Seivarden, toteż

nie sądziłam, żeby kiedykolwiek dłużej się zastanawiała nad tym, co jej statek myśli albo czuje. I nigdy nie należała do tych oficer, które mają kłopotliwą obsesję na punkcie serwitorów i seksu.

– Więc kiedy zabierają serwitory – podjęła Seivarden po dłuższej, niezręcznej chwili – to musi być tak, jakby odcinali ci kawałki ciała. Na zawsze.

– Mogłam odpowiedzieć: „Zapytaj statku”. Ale statek pewnie nie zechciałby udzielić odpowiedzi.

– Słyszałam, że coś w tym rodzaju – odparłam. Bezbarwnym tonem.

BI

– Breq – zaczęła Seivarden – kiedy byłam porucznikiem, przedtem. – Czyli przed tysiącem lat, kiedy była porucznikiem na „Sprawiedliwości Toren”, pod moją opieką. – Czy kiedykolwiek zwracałam uwagę na kogoś innego poza sobą samą?

Przez chwilę rozważałam rozmaite szczere odpowiedzi, niektóre mniej dyplomatyczne od innych, i w końcu powiedziałam:

– Czasami.

„Łaska Kair” nieproszona pokazała mi żołnierską mesę, gdzie Amaat Seivarden sprzątały po własnej kolacji. Jedyńka Amaat powiedziała:

– Takie rozkazy, obywatelki. Porucznik mówi.

Kilka Amaat jęknęło.

– Całą noc to mi się będzie śniło – poskarżyła się jedna.

W mojej kwaterze Seivarden powiedziała ze skrucą:

– Mam nadzieję, że teraz lepiej się sprawuję.

W mesie Jedyńka Amaat otworzyła usta i zaśpiewała, nieśmiało, trochę za nisko:

– Wszystko się kręci...

Pozostałe przyłączyły się do niej, niechętnie, bez entuzjazmu. Zażenowane.

– ..wszystko się kręci. Planeta kręci się wokół słońca, wszystko się kręci.

– Owszem – powiedziałam do Seivarden. – Trochę lepiej.

*

Bo skończyły wszystkie zadania i zasługiwały na pochwałę. Cała dekada ustawiła się szeregiem w mesie, nawet mięsień nie drgnął, każdy kołnierz i mankiet prosty jak pod linijkę, nawet porucznik Tisarwat na zewnątrz okazywała surową obojętność. Wewnątrz to inna sprawa

– wciąż wibrowanie napięcia, wciąż lekkie mdłości, bez przerwy od zeszłego poranka, i nie spała, odkąd ją wczoraj obudziłam. Jej Bo wysyłały fale kolektywnej urazy połączonej z wyzywającą dumą – ostatecznie dokonały całkiem sporo przez ten ostatni dzień, spisały się zupełnie dobrze, zważywszy na okoliczności. W zasadzie powinnam okazać zadowolenie, czekały na to, wszystkie się tego spodziewały i gotowe były poczuć się niedowartościowane, gdybym nie okazała.

Zasłużyły, żeby być z siebie dumne. Porucznik Tisarwat, tak się teraz sprawy miały, nie zasługiwała na nie.

– Dobra robota, Bo – powiedziałam i zostałam nagrodzona napływem znużonej dumy i ulgi od każdej stojącej przede mną żołnierki. – I tak trzymać. – Potem ostro:

– Poruczniku, proszę ze mną.

Odwróciłam się i wyszłam z mesy. Bezgłośnie przekazałam do statku:

– Powiedz Kair, że potrzebuję prywatności.

Nie myślałam zbyt otwarcie o powodach, żeby znowu się nie rozzłościć. Albo wręcz wpaść we wściekłość. Nawet pragnienie, żeby wykonać ruch, wysyłało do mięśni drobne impulsy, które statek mógł odczytać. Które ja sama mogłam odczytać, kiedy statek mi je pokazywał. W teorii nikt inny na „Łasce Kair” nie mógł otrzymywać tych danych w ten sam sposób co ja. W teorii. Aie nie chciałam o tym myśleć. Weszłam do swojej kwatery, drzwi same się przede mną otwały. Kair pełniąca tam służbę ukloniła się, wyszła, omijając porucznik Tisarwat, która zatrzymała się tuż za progiem.

– Proszę wejść, poruczniku – powiedziałam spokojnie. Bez gniewu w głosie. Owszem, byłam rozgniewana, ale ja zawsze się złościłam, to było normalne. Porucznik Tisarwat weszła w głąb pokoju. – Spałaś chociaż trochę?

– zapytałam.

– Trochę, pani. – Zdziwiona. Zbyt zmęczona, żeby jasno myśleć. Wciąż przygnębiona i nieszczęśliwa. Poziom adrenaliny ciągle podwyższony. Dobrze.

Niedobrze. Bardzo niedobrze. Okropnie.

– Dużo zjadłaś?

– Nie... – Zamrugwała. Musiała się zastanowić nad swoim pytaniem. – Nie miałam za dużo czasu, pani.

– Odetchnęła odrobinę swobodniej niż przed chwilą. Mięśnie jej ramion odprężyły się

nieznacznie.

Nie myśląc o tym, co robię, poruszyłam się najszybciej, jak mogłam – czyli niesamowicie szybko. Złapałam ją za kołnierz munduru, pchnęłam do tyłu, mocno, aż uderzyła o purpurową i zieloną ścianę metr za nią. Przygwoździłam ją tam, wygiętą niewygodnie nad ławą.

Dostrzegłam to, czego szukałam. Tylko na chwilę. Na ułamek sekundy ogólne przygnębienie porucznik Tisarwat przerodziło się w dogłębne, krańcowe przerażenie. Adrenalina i kortyzon podskoczyły niewiarygodnie. A tam, w jej głowie ulotny przebłysk, niemal duch im-

B4 plantów, których nie powinno tam być, których po chwili już nie było.

Serwitorskich implantów.

Ponownie walnęłam jej głową o ścianę. Krzyknęła cicho i zobaczyłam to jeszcze raz, jej mdlące przerażenie, implanty, których nie powinien mieć żaden człowiek, przenikające jej mózg, i znowu zniknęło.

– Wypuść „Łaskę Kair”, bo uduszę cię na miejscu gołymi rękami.

– Nie zrobisz tego – wydyszała.

Po tym poznałam, że nie myśli jasno. W pełni władz umysłowych Anaander Mianaai nigdy, ani przez chwilę nie wątpiła, na co mnie stać. Przesunęłam chwyt. Tisarwat zaczęła się osuwać po ścianie na ławę, ale objęłam palcami jej gardło i ucisnęłam tchawicę. Rozpaczliwie złapała mnie za nadgarstki. Nie mogła oddychać. Dziesięć sekund, mniej więcej, żeby zrobić to, czego żądałam, albo umrzeć.

– Wypuść mój statek. – Głos miałam spokojny. Opanowany.

Znowu błysnęły napływające od niej dane, serwitorskie implanty wyraźnie widoczne, jej własny potworny strach i mdłości niemal dostatecznie silne, żebym również skuliła się ze zgrozy. Puściłam ją, stanęłam prosto i patrzyłam, jak opada, krztusząc się i kaszląc, na twardą, niewyściełaną ławę, a potem dławi się, zgięta w pół, próbując zwymiotować to nic, które miała w żołądku.

– Statku – powiedziałam.

– Skasowała wszystkie rozkazy – przekazała „Łaska Kair” prosto do mojego ucha. – Przepraszam, kapitanie.

– Nie mogłaś nic poradzić.

We wszystkie radchaajskie statki wojenne wbudowano kody dostępu, poprzez które Anaander Mianaai mogła je kontrolować. „Łaska Kair” nie stanowiła wyjątku. Miałam szczęście, że statek nie wykazywał entuzjazmu przy wypełnianiu rozkazów otrzymywanych od lord Radch, nie podejmował żadnych wysiłków, żeby korygować przeoczenia czy drobne błędy. Gdyby statek naprawdę chciał pomóc Anaander Mianaai w oszukiwaniu mnie, z pewnością by mu się udało.

– Anaander Mianaai, lord Radch – powiedziałam do młodocianej porucznik, drżącej i wstrząsanej spazmami na ławie przede mną. – Myślałaś, że się nie dowiem?

– Zawsze istnieje ryzyko – szepnęła i otarła usta rękawem.

– Nie zwykłaś podejmować ryzyka, na które nie miałaś czasu się przygotować przez dekady... nie, całe stulecia – odparłam. Porzuciłam wszelkie pozory ludzkiej ekspresji, mówiłam beznamiętnym serwitorskim głosem. – Wszystkie części ciebie były twoimi częściami od urodzenia. Pewnie jeszcze wcześniej. Nigdy nie byłaś jedną osobą, a teraz nagle kazałaś sobie wepchnąć do mózgu serwitorską technologię. Niezbyt przyjemne, co?

– Wiedziałam, że nie będzie przyjemne. – Teraz już lepiej kontrolowała oddech, nie zwijała się w skurczach. Ale mówiła ochryplym szeptem.

– Wiedziałaś. I myślałaś, że będziesz miała dostęp do leków, żeby cię utrzymały na chodzie, dopóki się nie przyzwyczaisz. Mogłaś sama je brać bezpośrednio z Medycznego i wykorzystywać swoje dostępy, żeby „Łaska Kair” zacierała twoje ślady.

– Wymanewrowałaś mnie – przyznała, wciąż żałosna, wciąż patrząc na zabrudzoną teraz ławę.

– Sama się wymanewrowałaś. Nie miałaś standardowego zestawu serwitorskich implantów. – Tworzenie serwitorów było nielegalne od prawie stu lat. Nie licząc ciał już zmagazynowanych i czekających w stazie, prawie wszystkich na transportowcach wojskowych. Z których żaden nie znajdował się w pobliżu Pałacu Omaugh. – Musiałaś przerobić sprzęt, którego używałaś dla siebie. A grzebanie w ludzkim mózgu to delikatna robota. Nie miałabyś problemów, gdyby to był twój własny mózg, który znasz od podszewki, gdyby to było jedno z twoich ciał. Ale nie mogłaś użyć jednego z własnych ciał, w tym problem, nie zostały ci żadne zapasowe, a poza tym gdybyś spróbowała, wypchnęłabym cię przez śluzę, jak tylko statek wszedłby w bramę. Więc to musiało być cudze ciało. Ale twoja technologia jest dostosowana specjalnie do twojego mózgu. I brakowało ci czasu, żeby cokolwiek przetestować. Miałaś tydzień. Najwyżej. I co, złapałaś to dziecko, wepchnęłaś w nie hardware i wrzuciłaś je do doków? – Tamtego dnia Tisarwat nie przyszła na herbatę do kuzynki swojej matki, nie odpowiadała na wiadomości. – Nawet z odpowiednim hardwarem i medyczką, która się zna na rzeczy, to nie zawsze się udaje. Na pewno o tym wiesz.

Wiedziała.

– I co teraz zrobisz?

Zignorowałam pytanie.

– Myślałaś, że możesz po prostu rozkazać „Łasce Kair”, żeby mi podawała fałszywe odczyty, i medycze też, żeby zatuszowały wszystko, co należało zatuszować. Nadal potrzebowałabyś leków, to było oczywiste od chwili, kiedy wszedł hardware, ale nie mogłaś ich zapakować do bagażu, ponieważ Bo natychmiast by je znalazły, a ja zaczęłabym się zastanawiać, dlaczego potrzebujesz tych konkretnych pigułek. – A potem, kiedy nie mogła ich zdobyć, cierpiała tak bardzo, że nie mogła całkowicie tego ukryć... Mogła tylko rozkazać statkowi, żeby pokazywał jej dolegliwości w znacznie złagodzonej wersji. – Ale ja już wiedziałam, do czego jesteś gotowa się posunąć, żeby osiągnąć swoje cele. Po całych dniach tylko leżałam w swojej kwaterze, leczyłam się z ran i wyobrażałam sobie, czego możesz spróbować. – I jak mogę to niepostrzeżenie obejść. – Nigdy nie wierzyłam, że dasz mi statek i

pozwołisz mi odlecieć bez nadzoru.

– Ty zrobiłaś to bez leków. Nigdy ich nie użyłaś.

Podeszłam do ławy, która służyła mi za łóżko, odgarnęłam pościel, otworzyłam pojemnik pod spodem. W środku znajdowała się ta skrzynka, którą widziały ludzkie oczy, ale której nie widział żaden statek ani stacja, jeśli nie dysponowały oczami serwitorów. Otwarłam skrzynkę, wyjęłam pakiet leków, które zabrałam z Medycznego kilka dni przed ostatnią konferencją z Anaan– der Mianaai w Pałacu Omaugh. Zanim spotkałam porucznik Tisarwat w biurze głównej inspektorki Skaaiat i zanim w ogóle dowiedziałam się o jej istnieniu.

– Idziemy do Medycznego. – I rzuciłam bezgłośnie do „Łaski Kair”: – Przyślij dwie Kair.

Na te słowa oraz na widok paczuszki leków w mojej urękawiczonej dłoni w Anaander Mianaai, niegdyś porucznik Tisarwat, zbudziła się nadzieja, podsycana przemożnym pragnieniem, żeby uwolnić się od cierpień. Z jej niedorzecznie liliowych oczu popłynęły łzy i wydała cichutki skowyt, szybko stłumiony.

– Jak ty to wytrzymałaś? – zapytała. – Jak to przeżyłaś?

Nie było sensu odpowiadać. To był bardziej wykrzyknik niż pytanie, właściwie nie zależało jej na odpowiedzi.

– Wstań.

Drzwi się otwały i weszły dwie z moich Kair. Ze zdumieniem i konsternacją spojrzały na porucznik Tisarwat, poobijaną, przewróconą na ławę, z rękawem munduru zachlapanym żółcią.

Ruszyłyśmy do Medycznego, smutna mała procesja, Tisarwat (nie-Tisarwat) wsparta na jednej z Kair, druga idąca z tyłu. Medyczka zamarła, kiedy weszłyśmy. Przerazona tym, co zobaczyła w głowie porucznik, jak tylko statek przestał zakłócać jej dane z wyspecjalizowanych implantów medycznych. Odwróciła się do mnie, żeby coś powiedzieć.

– Czekaj – uciłam krótko i kiedy Kair położyły Tisarwat (nie-Tisarwat) na stole, odesłałam je.

– Zanim medyczka zdążyła cokolwiek powiedzieć, zanim Anaander mogła się zorientować i zaprotestować, uruchomiłam obejmę na stole. Była zaskoczona, ale zbyt cierpiąca, żeby od razu zrozumieć, co to znaczy. Medyczko – powiedziałam. – Widzisz, że porucznik Tisarwat ma kilka nieautoryzowanych implantów. – Medyczka była zbyt przerażona, żeby się odezwać. – Usuń je.

– Nie, nie! – Anaander Mianaai próbowała krzyknąć, ale nie mogła, więc dźwięk wyszedł na wpół zduszony.

– Kto to zrobił? – zapytała medyczka. Widziałam, że wciąż próbuje coś z tego zrozumieć.

– Jakie to ma teraz znaczenie? – Znała odpowiedź, gdyby się zastanowiła. Tylko jedna osoba mogła to zrobić. Tylko jedna osoba chciałaby to zrobić.

– Medyczko – powiedziała Tisarwat, która próbowała się uwolnić i odkryła, że nie może. Głos wciąż miała ochryply i zdławiony. – Jestem Anaander Mianaai, lord Radch. Aresztuj kapitan floty, uwolnij mnie i podaj mi leki, których potrzebuję.

– Za wysoko mierzysz, poruczniku – powiedziałam i odwróciłam się z powrotem do medyczki. – Wydałam rozkaz, medyczko.

Tu, gdzie byłyśmy izolowane w przestrzeni bramy, moje słowo było prawem. Nieważne, czy moje rozkazy były niesprawiedliwe albo nielegalne. Kapitan mogła stanąć przed sądem za wydanie pewnych rozkazów – jej załoga niechybnie zostałaby stracona, gdyby odmówiła wykonania tych samych rozkazów. To był ważny fakt w życiu każdej radchaajskiej żołnierki, chociaż rzadko dochodziło do rzeczywistej demonstracji. Nikt na „Łasce Kair” o tym nie zapominał. Nyseme Ptem, której imię powtarzano codziennie na tym statku na moje wyraźne

polecenie, zginęła, ponieważ odmówiła zabicia niewinnych ludzi. Nikt na pokładzie „Łaski Kair” nie mógł o niej zapomnieć ani zapomniać, dlaczego zginęła. Ani że kazałam codziennie wymawiać jej imię, jakby należała do zmarłych z mojej rodziny albo z tego statku. Medyczka nie mogła o tym nie pamiętać, właśnie teraz.

Widziałam jej napięcie i niezdecydowanie. Tisarwat wyraźnie cierpiała, a jeśli cokolwiek mogło naprawdę rozgniewać medyczkę, to cierpienie, któremu nie potrafiła ulżyć. Mój rozkaz mogła zinterpretować w ten sposób, że przyparłam ją do muru pod groźbą egzekucji, ale również kryłam ją, żeby mogła zrobić to, co trzeba, i wkrótce to zrozumie.

– Medyczko – zachrypiła Tisarwat, wciąż walcząc z obejmami.

Położyłam jedną dłoń w czarnej rękawiczce na jej gardle. Bez nacisku, tylko jako przypomnienie.

– Medyczko – powiedziałam spokojnie. – Nieważne, kim to jest, nieważne, za kogo się podaje, ta instalacja od początku była nielegalna... i całkowicie nieuzasadniona. I nieudana. Widywałam to już przedtem, sama przez to przeszłam. Nie poprawi jej się i będzie miała wyjątkowe szczęście, jeśli się nie pogorszy. Leki przez jakiś czas utrzymają ją na chodzie, ale nie naprawią problemu. Jest tylko jedno rozwiązanie. – Dwa. Chociaż w pewnym sensie te dwa rozwiązania były tym samym, przynajmniej jeśli chodziło o ten fragment Anaander Mianaai.

Medyczka balansowała na cienkiej linii pomiędzy dwiema jednakowo niebezpiecznymi możliwościami.

Jedynie niewielka szansa, że pomoże pacjentce, mogła przeważać szalę. Zobaczyłam, że szala się przechyliła.

– Ja nigdy... kapitanie floty, ja nie mam doświadczenia z takimi rzeczami. – Bardzo się starała, żeby głos jej nie zadrżał. Nigdy jeszcze nie miała do czynienia z ser- witorami, ja byłam pierwszym, którego kiedykolwiek operowała w swojej medycznej sekcji. Statek jej powiedział, co ze mną robić.

I ja wcale nie byłam typowa.

– Niewiele osób się na tym zna. Wkładanie to rutyna, ale nie pamiętam, żeby ktoś kiedyś musiał je wyjmować. Jeżeli zależało mu na kondycji ciała po tym zabiegu. Ale na pewno dasz sobie radę. Statek wie, co robić. – W tej samej chwili statek przekazywał to medyczce. – A ja pomogę.

Medyczka spojrzała na Tisarwat – nie, Anaander Mia- naai – przywiązaną do stołu zabiegowego, z zamkniętymi oczami, już nieszarpiącą więzów. Potem spojrzała na mnie.

– Znieczulenie – zaczęła.

– O nie. Ona musi być przytomna. Ale nie martw się, kilka minut temu porządnie ją przydusiłam. Nie będzie głośno krzyczeć.

*

Zanim skończyłyśmy i Tisarwat leżała nieprzytomna, naszprycowana środkami przeciwbólowymi do granic bezpieczeństwa, medyczka trzęsła się, nie tylko z wyczerpania. Obie opuściłyśmy lunch i kolację. Zmęczone i coraz bardziej zaniepokojone Bo pojedynczo i

dwójkami przechodziły obok wejścia do oddziału medycznego pod niezbyt prawdopodobnymi pretekstami. Statek nie chciał nikomu powiedzieć, co się dzieje.

– Czy ona wróci? – zapytała roztrzęsiona medyczka, kiedy myłam i odkładałam instrumenty. – To znaczy Tisarwat, czy znowu będzie Tisarwat?

– Nie. – Zamknęłam pudło, włożyłam do szuflady.

– Tisarwat umarła w chwili, kiedy włożyli jej te implanty.

– „Włożyli”. Anaander Mianaai na pewno zrobiła to sama.

– Przecież to dziecko. Siedemnaście lat! Jak ktoś mógł...

Urwała. Pokręciła głową, wciąż nie dowierzając, nawet po wielogodzinnej operacji, nawet po tym, co widziała na własne oczy.

– Byłam w tym samym wieku, kiedy mi to zrobiono

– wytknęłam. Właściwie nie „ja” tylko to ciało, ostatnie, które mi zostało. – Trochę młodsza.

Nie wytknęłam medycze, że nie zareagowała w ten sposób, kiedy mnie doglądała. Że inaczej to wyglądało, kiedy chodziło o obywatelkę zamiast jakiegoś niecywilizowanego, pokonanego wroga.

Ona sama tego nie zauważyła albo była w tej chwili zbyt wstrząśnięta, żeby zareagować.

– Więc kim ona teraz jest?

– Dobre pytanie. – Odłożyłam ostatnie instrumenty.

– Będzie musiała sama zdecydować.

– A jeśli nie spodoba ci się jej decyzja? – Bystra była ta medyczka. Wolałabym raczej mieć ją po swojej stronie.

– To – odpowiedziałam, wykonując drobny gest, jakbym rzucała omeny na ten dzień – zależy od woli Amaat. Odpocznij trochę. Kair przyniesie ci kolację do pokoju. Sprawy będą wyglądały lepiej, kiedy coś zjesz i się prześpisz.

– Doprawdy? – zapytała. Z goryczą, wyzywająco.

No, niekoniecznie – przyznałam. – Ale łatwiej sobie poradzić z kłopotami, kiedy jesteś wypoczęta i po śniadaniu.

Rozdział 4

W mojej kwaterze Piątka Kair, zaniepokojona wydarzeniami dnia, ale oczywiście zachowująca kamienną twarz, czekała na mnie z kolacją – miską skelu i flaszką wody, zwykłą żołnierską racją. Podejrzewałam, że statek jej to zasugerował, jednak nie wypytywałam, żeby potwierdzić te podejrzenia. Chętnie jadłabym skel przez cały czas, ale zmartwiłabym tym Piątkę, nie tylko dlatego, że straciłaby okazję do podkradania kąsków nieskelo– wych przysmaków – korzyść z usługiwania kapitanowi albo innym oficerom w pokoju dekady.

Podczas gdy jadłam, pozbawione swoich oficer Bo bez entuzjazmu, niemal w milczeniu

szorowały swoją część korytarzy, nadal nieskazitelnie czystych od wczoraj, ale nie należało zaniedbywać codziennych obowiązków. Bo były zmęczone i zmartwione. Wnioskując z oszczędnej wymiany zdań, panowała powszechna opinia, że zmaltrutowałam porucznik Tisarwat tak mocno, że się pochorowała. Rozlegały się pomruki: „taka sama jak poprzednia”. Bardzo starannie bezosobowe.

Jedynka Bo, starsza dekady, sprawdziła ich pracę i zameldowała statkowi, że skończyły. A potem powiedziała bezgłośnie, ruchem palców:

– Statku.

– Jedynko Bo – powiedziała „Łaska Kair”. Która znała Jedynekę Bo całkiem dobrze, słyszała wszystkie narzekania. – Powinnaś skierować swoje pytania do kapitan floty.

Kiedy Jedynka Bo zjawiała się u medyczki, niecałe pięć minut po moim wyjściu, medyczka powiedziała jej to samo. I już po raz trzeci statek to zasugerował. Ale Jedynka Bo się wahała. Zgodnie z przepisami dowodziła teraz dekadą Bo, ponieważ porucznik Tisarwat była nieprzytomna, a ja nie wyznaczyłam nikogo na zastępstwo. Zatem miała prawo, nawet obowiązek, zwrócić się do mnie po informacje i instrukcje.

Serwitory stanowiły część statku. Często powstawało niejasne, paradoksalne wrażenie, że każda dekada ma swoją własną niemal-osobowość, chociaż równoległe z wiedzą, że każdy serwitor jest tylko częścią większej całości, tylko rękami i nogami – i głosem – statku. Żaden serwitor nigdy nie miał pytań do kapitan ani żadnej osobistej sprawy, wymagającej omówienia z oficer.

„Łaska Kair” była obsadzona ludzką załogą. Ale poprzednia kapitan żądała, żeby ci ludzie zachowywali się w miarę możliwości jak serwitory. Nawet jej własne Kair zwracały się do niej w takiej formie, jakby to robił statek.

Jakby nie miały żadnych osobistych pragnień ani trosk. Dawne przyzwyczajenie sprawiło, pomyślałam, że Jedynka Bo się zawahała. Mogła poprosić inną porucznik, żeby porozmawiała ze mną w jej imieniu, ale Seivarden miała służbę, a porucznik Ekalu spała.

W swojej purpurowej i zielonej kwaterze zjadłam ostatni płatek skelu. Powiedziałam do Piątki:

– Kair, napiję się herbaty. I chcę, żeby jak najszybciej usunięto tę farbę ze ścian. Chcę monitory.

Ściany można było przystosować, żeby wyświetlały to, co ktoś sobie życzył, włącznie z wizualizacją przestrzeni kosmicznej na zewnątrz statku. Niezbędne materiały znajdowały się na pokładzie. Z niewiadomych powodów kapitan Vel tego nie chciała. Ja właściwie tego nie potrzebowałam, ale zależało mi, żeby jak najdokładniej zatrzeć ślady działalności poprzedniej kapitan.

Obojętnym głosem, z twarzą bez wyrazu Piątka powiedziała:

– To może cię narazić na pewne niewygody, kapitanie.

– A potem przebłysk strachu, kiedy statek do niej przemówił. Wahanie. „Śmiało”, szepnął jej statek do ucha.

– Pani, Jedyńka Bo pragnie z tobą mówić.

Dobrze. Jeszcze cztery sekundy i kazałabym jej się do mnie zgłosić. Czekałam tylko, aż skończę kolację.

– Nie dbam o niewygody. I przyjmę Jedyńkę Bo.

Jedyńka Bo weszła na pozór pewna siebie, tak naprawdę przerażona. Ukłoniła się sztywno, czując się niezręcznie – serwitorki się nie kłaniają.

– Bo – przywitałam ją.

W kącie Piątka Kair krzątała się niepotrzebnie przy dzbanku, udając, że ma coś do zrobienia, zanim poda mi herbatę, o którą prosiłam. Nadśluchiwała. Zaniepokojona.

Jedyńka Bo przełknęła ślinę. Zaczepnęła tchu.

– Za pozwoleniem, kapitanie floty – zaczęła, najwyraźniej recytując wyuczoną przemowę. Powoli, starannie, rozciągając samogłoski, niezdolna całkowicie pozbyć się swojego akcentu, ale próbując ze wszystkich sił. – Sytuacja oficer dekady Bo budzi niepokoje. – Zobaczyłam wzmógłony przypływ wątpliwości, ponieważ Jedyńka Bo wiedziała, że złości mnie sama obecność porucznik Tisarwat na pokładzie, toteż czuła się zagrożona, nawet rozmawiając ze mną w ten sposób, a co dopiero wspominając o młodej porucznik. Bardzo starannie ułożyła sobie to zdanie, żeby brzmiało możliwie formalnie, ale bez wymieniania nazwiska porucznik Tisarwat. – Skonsultowano się z medyczką i padła sugestia, żeby zwrócić się do kapitan floty.

– Bo – powiedziałam. Głos miałam spokojny, owszem, nigdy nie zdradzał mojego nastroju, jeśli tego nie chciałam. Ale brakowało mi cierpliwości do takich rzeczy. – Mów otwarcie, kiedy ze mną rozmawiasz.

Piątka Kair nadal krzątała się przy zastawie do herbaty.

– Tak, pani – bąknęła Jedyńka Bo, wciąż sztywna. Zmartwiała.

– Cieszę się, że przyszedłaś. Sama miałam cię wezwać. Porucznik Tisarwat jest chora. Była chora, kiedy weszła na pokład. Administracja wojskowa chciała tu mieć jakąś oficer i nikogo nie obchodziło, że nie nadaje się do służby. Nawet próbowali to przede mną ukryć. – Kłamstwo, które właściwie nie było kłamstwem. Zresztą każda żołnierka i oficer na każdym statku narzekały na bezmyślne, ignoranckie decyzje administracji, która nie miała pojęcia, jak to jest na pokładzie. – Przy najbliższej okazji będę miała coś do powiedzenia na ten temat.

Niemal widziałam, jak w umyśle Jedyńki Bo zaskakują tryby. „Kapitan floty gniewa się na administrację, nie na naszą porucznik”.

– Ona jutro wróci do swojej kwatery i będzie musiała odpoczywać dzień czy dwa, a potem pełnić lekką służbę, dopóki medyczka nie orzeknie inaczej. Oczywiście jesteś seniorką dekady, więc odpowiadasz za swoje żołnierki, będziesz ją zastępować na wachcie i zdawać mi raporty. Chcę, żeby dekada Bo bardzo troskliwie zaopiekowała się porucznik Tisarwat. Wiem, że tak zrobicie, ale teraz otrzymałyście mój wyraźny rozkaz. Jeśli z jakiegokolwiek powodu zaczniecie się niepokoić o jej zdrowie, jeśli ona zacznie się dziwnie zachowywać... będzie zdezorientowana w zupełnie zwyczajnej sytuacji albo w ogóle będzie się wydawała niedysponowana... macie to zgłosić medyczce. Nawet jeśli porucznik Tisarwat wam tego

zabroni. Zrozumiano?

– Tak jest, pani. – Poczula się już pewniej.

– Dobrze. Odmaszerować.

Piątka Kair sięgnęła po dzbanek, żeby wreszcie nalać mi herbaty, niewątpliwie układając już relację, którą przekaże pozostałym Kair.

Jedynka Bo się ukloniła. A potem z pewną obawą zaczęła ponownie:

– Za pozwoleniem, kapitan floty, pani... – Urwała i przełknęła ślinę, zdumiona własną zuchwałością. Na mój wyczekujący gest dokończyła: – My wszystkie, pani, dekada Bo, chcemy podziękować pani kapitan za herbatę.

Przydzieliłam pięć gramów na osobę na tydzień (żołnierki – nawet ich przełożone – wyciskały, ile się dało, z bardzo skromnych racji herbaty), dopóki wystarczy mi własnych zapasów. Początkowo przyjęto to podejrzliwie. Kapitan Vel nalegała, żeby piły tylko wodę. Jak serwitory. Czy próbowałam je zmiękczyć w jakimś niecnym celu? Popisać się przed nimi bogactwem? Udzielić przywileju, który mogłam później im odebrać dla własnej satysfakcji?

Ale herbata była tym, co każdy Radchaai uważał za niezbędne do cywilizowanego życia. A ja wiedziałam, jak to jest na statku obsadzonym serwitorami. Nie potrzebowałam tego odgrywać.

– Bardzo proszę, Bo. Odmaszerować.

Skloniła się ponownie i wyszła. Kiedy drzwi zamknęły się za nią, statek powiedział jej do ucha:

– Dobrze poszło.

*

Przez następne dwa dni porucznik Tisarwat leżała na łóżku w swojej ciasnej kwaterze. Statek pokazywał jej spektakle ze swojej biblioteki, same pogodne komedie z piosenkami na przemian wesołymi i sentymentalnymi, ze szczęśliwymi zakończeniami. Tisarwat oglądała je spokojnie i apatycznie, z równą obojętnością oglądałaby jedną tragedię za drugą, nafaszerowana lekami stabilizującymi jej nastrój i poprawiającymi samopoczucie. Bo skakały koło niej, otulały ją kocami, przynosiły herbatę, Dziewiątka Bo nawet upiekła dla niej jakieś słodkie ciasto w maleńkim kambuzie pokoju dekady. Trwały gorączkowe spekulacje co do natury jej choroby, chociaż Bo już mnie nie obwiniały. W końcu doszły do wniosku, że Tisarwat została brutalnie przesłuchana, zanim otrzymała przydział na „Łaskę Kair”. Albo, co również możliwe, chociaż mniej prawdopodobne, padła ofiarą nieudolnej edukacji – czasami, kiedy obywatelka musiała sobie przyswoić dużą ilość informacji, mogła pójść do medycznego i wspomagać się podczas nauki narkotykami. Tymi samymi narkotykami, które stosowano przy przesłuchaniach i testach zdolności. Albo przy reedukacji, jednak najbardziej uprzejmi z Radchaai niechętnie w ogóle poruszali ten temat. Wszystkie cztery rodzaje zabiegów – przesłuchania, naukę, testy i reedukację – mogły przeprowadzać tylko medyczki specjalistki, które znały się na swojej robocie. Chociaż nikt na „Łasce Kair” nie powiedziałby tego głośno, w podtekście każdej rozmowy o Tisarwat czaiła się świadomość, że młoda porucznik sprawia

wrażenie osoby świeżo po reedukacji. Fakt, że medyczka i ja wykonałyśmy na niej jakieś zabiegi bez pomocy żadnej z Kair i nikomu nie zdradziłyśmy żadnych szczegółów, również zdawał się potwierdzać opinię, że chodzi o reedukację. Ale ktoś, kto przeszedł reedukację, nigdy nie zostałby dopuszczony do służby wojskowej, więc to było wykluczone.

Cokolwiek się stało, to nie była wina Tisarwat. Ani moja. Wszyscy przyjęli to z ulgą. Następnego dnia, kiedy piłam

herbatę w swojej kwaterze – nadal z różanej czarki, nawet ja nie zasłużyłam jeszcze na najlepszą zastawę – Seivarden ewidentnie chciała mnie o to zapytać, ale powiedziała tylko:

– Myślałam o tym, co mówiłaś tamtego dnia. O tym, że nigdy nie widziałam, żebyś... no wiesz... – Urwała, zapewne zdając sobie sprawę, że to zdanie do niczego dobrego nie doprowadzi. – Oficerowie mają własne kwatery, więc to łatwe, ale nigdy nawet nie pomyślałam, czy moje Amaat... to znaczy nigdzie nie ma żadnej prywatności, nie mogą nigdzie pójść, gdyby chciały... no wiesz...

W rzeczywistości było całkiem sporo miejsc, wliczając kilka magazynów, wszystkie promy (choć brak grawitacji utrudniał pewne rzeczy) i nawet, przy dostatecznej desperacji, miejsce pod stołem w żołnierskiej mesie. Ale Seivarden zawsze miała własną kwaterę i nigdy nie musiała się uciekać do takich sposobów.

– To chyba dobrze, że myślisz o takich sprawach – powiedziałam. – Ale zostaw swoim Amaat tyle godności, na ile mogą sobie pozwolić. – Upiłam jeszcze łyk herbaty i dodałam: – Ostatnio jakoś dużo myślisz o seksie. Cieszę się, że po prostu nie zamówiłaś jednej ze swoich Amaat.

Nie byłaby pierwszą oficer na tym statku, która tak postępowała.

– Przyszło mi to do głowy – przyznała, czerwieniąc się jeszcze mocniej. – A potem pomyślałam, co ty byś na to powiedziała.

– Uważam, że medyczka nie jest w twoim typie. – Podejrzywałam zresztą, że medyczka w ogóle nie interesuje się seksem. – Porucznik Tisarwat jest trochę za młoda i chwilowo nie w formie. Zastanawiałaś się, czy nie zaproponować tego Ekalu?

Ekalu z pewnością o tym myślała. Jednak arystokratyczny wygląd i staroświecki akcent Seivarden onieśmiały ją równie mocno, jak pociągały.

– Nie chciałam jej obrazić.

– Jak zwierzchniczka składająca propozycję podwładnej? – Seivarden potwierdziła. – Rzeczywiście trochę obraż– liwe, nawet żeby o tym myśleć w ten sposób, nie uważasz?

Jęknęła, postawiła swoją czarkę na stole.

– Tak czy owak, przegrywam.

Gestem wyraziłam niepewność.

– Albo tak czy owak, wygrywasz.

Zaśmiała się krótko.

– Naprawdę się cieszę, że medyczka mogła pomóc Tisarwat.

W kwaterze porucznik Tisarwat Dziewiątka Bo otuliła ją kocem po raz trzeci w ciągu

ostatniej godziny. Poprawiła poduszki, sprawdziła temperaturę herbaty. Porucznik Tisarwat, oszołomiona narkotykami, poddawała się temu z obojętnym spokojem.

– Ja też – powiedziałam.

*

Dwa dni później – kiedy przebyliśmy niecałą jedną trzecią drogi do Athoek – zaprosiłam na obiad porucznik Ekalu i porucznik Tisarwat. Ponieważ na „Łasce Kair” obowiązywał zmianowy rozkład zajęć, to był dla mnie lunch, dla Ekalu kolacja, a dla Tisarwat śniadanie.

A ponieważ w mojej kwaterze Kair zdrapywały farbę ze ścian, spotkałyśmy się w pokoju dekady. Prawie jakbym znowu była ze sobą, chociaż pokój dekady na „Łasce Kair” był dużo mniejszy niż mój własny pokój dekady Esk, kiedy byłam „Sprawiedliwością Toren” i miałam dwudziestu poruczników dla każdej ze swoich dziesięciu dekad.

To, że jadłam w pokoju dekady, spowodowało niejakie pomieszanie jurysdykcji, ponieważ Piątka Kair bardzo chciała narzucić swoją władzę na terytorium normalnie należącym do kadry oficerskiej. Przeżywała męczarnie, próbując się zdecydować, czy powinna się upierać przy użyciu swojej drugiej w kolejności najlepszej porcelany, żeby zademonstrować w sposób niebudzący wątpliwości, że to ona obsługuje ten posiłek, a także popisać się ukochanymi naczyniami, czy też pozwolić, żeby Ósemka Etrepa i Dziewiątka Bo użyły zastawy z pokoju dekady, co uchroniłoby cenną porcelanę od stłuczenia, ale sugerowało, że posiłkiem zarządzają Etrepa i Bo. W końcu zwyciężyła jej duma i jadłyśmy jajka oraz jarzyny z ręcznie malowanych talerzy.

Ekalu, która odsłużyła niemal całą karierę jako zwykła żołnierka na tym statku i zapewne знаła dziwactwa Piątki Kair, powiedziała:

– Za pozwoleniem, kapitanie floty, te talerze są prześliczne.

Piątka się nie uśmiechnęła, rzadko przy mnie się uśmiechała, ale widziałam, że Ekalu trafiła prosto do celu.

– Piątka je wybrała – powiedziałam, akceptując gambit Ekalu. – To wzór Przylistek. Mają jakieś tysiąc dwieście lat. – Ekalu na moment zamarła ze sztucem uniesionym nad talerzem, przerażona, że przesadziła. – Właściwie nie są strasznie cenne. W niektórych miejscach prawie każdy ma fragmenty tej zastawy, zapakowane do pudła i nigdy nie– wyjmowane. Ale jest przepiękna, prawda? Nic dziwnego, że była taka popularna. – Jeśli dotąd nie wywarłam korzystnego wrażenia na Piątce Kair, teraz mi się udało.

– I poruczniku, jeśli będziesz zaczynać każde zdanie od: „Za pozwoleniem, kapitanie floty”, czeka nas okropnie nudny posiłek. Przyjmijmy, że wydałam zezwolenie na uprzejmą konwersację.

– Pani – bąknęła zakłopotana Ekalu. Zajął się swoimi jajkami. Ostrożnie, starając się nie dotykać sztucem talerza.

Tisarwat jak dotąd się nie odzywała poza zdawkowym: „Tak, pani”, „Nie, pani” i „Dziękuję, pani”. Przez cały czas miała te liliowe oczy spuszczone, nie patrzyła na mnie ani na Ekalu. Medyczka zmniejszyła jej dawki środków uspokajających, ale Tisarwat wciąż

odczuwała ich skutki. W głębi, zagłuszone przez narkotyki, kryły się gniew i rozpacz. Na razie tylko biały szum, ale nie to powinno dominować, kiedy Tisarwat odstawiła leki.

Czas coś z tym zrobić.

– Wczoraj – zaczęłam, przełknąwszy porcję jajek

– porucznik Seivarden mówiła mi, że dekada Amaat jest zdecydowanie najlepsza na statku.

W rzeczywistości Seivarden nic takiego nie powiedziała. Jednak Ósemka Etrepa i Dziewiątka Bo, które stały w kącie pokoju gotowe do usług, wysłały tak wyraźne fale urażonej dumy, że przez chwilę ledwie mogłam uwierzyć, że Ekalu i Tisarwat tego nie zauważyły. Piątka Kair zareagowała znacznie słabiej – właśnie pochwaliliśmy jej porcelanę, a poza tym kapitańska dekada była w pewnym sensie ponad takimi rzeczami.

Natychmiast spostrzegłam oczywistą rozterkę Ekalu. Jeszcze tak niedawno należała do Amaat i naturalnie odczuwała satysfakcję, kiedy słyszała, że ktoś przyznaje palmę pierwszeństwa jej dekadzie. Teraz jednak była porucznikiem Etrepa. Milczała, zastanawiając się nad tym, zapewne obmyślając odpowiedź. Tisarwat wpatrywała się w swój talerz. Chyba widziała, do czego zmierzam, i nic jej to nie obchodziło.

– Pani – powiedziała wreszcie Ekalu. Z trudem się zmusiła, żeby pominąć zwyczajowe: „Za pozwoleniem, kapitanie floty?”. Starannie ukrywała swój akcent. – Wszystkie dekady na „Łasce Kair” są znakomite. Ale gdyby mi polecono zawęzić wybór... – Przerwała. Widocznie zorientowała się, że wyraża się trochę zbyt formalnie i niezręcznie. – Gdybym musiała wybierać, powiedziałabym, że Etrepa jest najlepsza. Nie obrażając porucznik Seivarden ani jej Amaat, z całym szacunkiem, to po prostu fakt. – Przy ostatnich słowach jej akcent bardziej się uwydatnił.

Milczenie Tisarwat. Zdradzona, zaniepokojona Dziewiątka Bo, milczące napięcie w kącie pokoju dekady.

– Poruczniku – powiedziała „Łaska Kair” do ucha Tisarwat. – Twoja dekada czeka, żebyś przemówiła w jej imieniu.

Tisarwat podniosła wzrok, spojrzała na mnie tylko przez chwilę poważnymi liliowymi oczami. Wiedziała, co robię, wiedziała, że może wykonać tylko jeden ruch. Nie podobało jej się to, miała mi za złe. Jej stłumiony gniew zapłonął odrobinę mocniej, ale nie zdołał się utrzymać, niemal natychmiast przygasł do poprzedniego poziomu. I nie tylko gniew – na moment dostrzegłam tęsknotę, przelotne beznadziejne pragnienie. Spojrzała na Ekalu.

– Przepraszam, poruczniku, z całym szacunkiem obawiam się, że się mylisz. – W połowie zdania przypomniała sobie, że nie powinna mówić jak Seivarden, tylko jak Anaander Mianaai. Leciutko zniekształciła akcent. – Bo może są niższe rangą, ale moje Bo są wyraźnie lepsze od każdej innej dekady na tym statku.

Ekalu zamrugała. Na mgnienie przybrała nieruchomy wyraz twarzy jak u serwitora, zdumiona akcentem Tisarwat, jej dykcją, jej oczywistym opanowaniem, tak nietypowym dla siedemnastolatki. Potem się opamiętała. Poszukała odpowiedzi. Nie mogła wytknąć, że jednak Bo są niższe rangą – wtedy stanęłaby na przegranej pozycji wobec roszczeń Seivarden do

pierwszeństwa jej Amaat. Spojrzała na mnie.

Przybrałam neutralny, zainteresowany wyraz twarzy i zachowywałam go przez cały czas.

– No cóż – powiedziałam miłym tonem – powinnyśmy to rozstrzygnąć. Obiektywnie. Może sprawność w posługiwaniu się bronią palną i zbroją.

Ekalu wreszcie się połapała, że zaplanowałam to wszystko z góry. Ale wciąż była zdziwiona, szczegóły nie miały dla niej sensu. Ostentacyjnie poruszyłam urękawiczone palcami, wysyłając pytanie do Piątki Kair. Na głos zapytałam dwie porucznik:

– Jakie są wasze wyniki?

Zamrugały, kiedy statek umieścił te informacje przed ich oczami.

– Wszystko zgodnie z normą, pani – powiedziała Ekalu.

– Z normą? – powtórzyłam niedowierzająco. – Na pewno ta załoga jest lepsza od normy. – Porucznik Tisar – wpatrzyła wzrok w talerz, pod osadem narkotyków kryły się uraza, aprobata, gniew, tęsknota, którą przedtem widziałam. Wszystko przytłumione. – Daję wam tydzień. Pod koniec tego tygodnia zobaczymy, która dekada ma najwyższe wyniki, Etrepa czy Bo. Włącznie z wami, porucznicy. Wydać broje. Macie moje zezwolenie, żeby je nosić w celach ćwiczebnych, kiedy uznacie za stosowne.

Ja miałam broję implantowaną, osobistą tarczę pola siłowego, którą mogłam podnieść w ułamku ułamka sekundy. Te porucznik oraz ich dekady nosiły swoje urządzenia zapięte na piersi, kiedy je wydawano. Chociaż żadna z nich nigdy nie widziała walki, podnosiły swoje broje w ciągu wymaganej sekundy, ja jednak chciałam to poprawić, zwłaszcza że wiedziałam, na co się zanosi, że odtąd nic nie będzie takie jak przedtem.

Piątka Kair weszła do pokoju Dekady z ciemnoniebieskimi butelkami w obu rękach i trzecią wetkniętą pod pachę. Twarz miała nieruchomą, ale odczytałam jej dezaprobatę, kiedy postawiła butelki na stole.

– Arak – powiedziałam. – Dobry gatunek. Dla zwycięzcy.

– Dla całej dekady, pani? – zapytała porucznik Ekalu z lekkim wahaniem. Zdumiona.

– Podzielicie to wedle uznania – odparłam, wiedząc, że oczywiście Ósemka Etrepa i Dziewiątka Bo zawiadomiły już swoje koleżanki z dekady i żołnierki zarówno Etrepa, jak i Bo obliczyły już należną część nagrody. Pewnie przyznały trochę większą działkę swoim oficer.

*

Później, w kwaterze Seivarden, Ekalu odwróciła się i powiedziała do rozespanej Seivarden:

– Z całym szacunkiem... bez urazy. Nie chcę cię obrazić. Ale ja... wszyscy się zastanawiamy, czy klękasz przed panią.

– Dlaczego tak myślisz? – wymamrotała Seivarden, a potem trochę mniej sennie: – Mów w ten sposób, „pani” zamiast „kapitan floty”. – Jeszcze bardziej się rozbudziła. – Nie, właściwie wiem dlaczego. Przepraszam. Dlaczego mam być obrażona? – Zaskoczona i zakłopotana Ekalu nie wiedziała, co odpowiedzieć. – Klękałabym, gdyby ona tego chciała. Nie chce.

– Czy pani... czy kapitan floty jest ascetką?

Seivarden zaśmiała się krótko, ironicznie.

– Wątpię. Nie jest zbyt przystępna ta nasza kapitan floty. Zawsze taka była. Ale coś ci powiem. – Zaczerpnęła powietrza, wypuściła. Wzięła następny oddech, podczas gdy Ekalu czekała. – Możesz jej ufać do samego końca wszechświata. Ona nigdy cię nie zawiedzie.

– To imponujące – odparła Ekalu, wyraźnie sceptyczna. Niedowierzająca. Potem jeszcze raz coś rozważyła. – Przedtem służyła w Misjach Specjalnych?

– Tego nie wiem. – Seivarden położyła nagą dłoń na brzuchu Ekalu. – Kiedy musisz wracać do pracy?

Ekalu opanowała lekki dreszczyk, zrodzony z kłębowiska emocji, głównie przyjemnych. Rzadko która nie-Rad–chaai w pełni rozumiała, jaki ładunek emocjonalny niosły gołe ręce dla Radchaai.

– Za jakieś dwadzieścia minut.

– Mm – mruknęła z namysłem Seivarden. – To mnóstwo czasu.

Zostawiłam je same. Bo oraz ich porucznik spały. W korytarzach Etrepa myły i szorowały, sporadycznie błyskając srebrem, kiedy zbroje okrywały je, a potem opadały.

*

Jeszcze później Tisarwat i ja piłyśmy herbatę w pokoju dekady. Wpływ środków uspokajających osłabił jeszcze bardziej, emocje stały się surowsze, bliższe powierzchni, i kiedy na chwilę zostaliśmy same, Tisarwat powiedziała:

– Wiem, co robisz. – Z dziwnym, drobnym ukłuciem gniewu i pragnienia. – Co próbujesz zrobić.

To jest jej pragnienie, pomyślałam. Żeby naprawdę być członkiem załogi, żeby zdobyć podziw i lojalność Bo. Może nawet mój podziw i lojalność. Rzeczy, których pragnęłaby nieszczęsna dawna Tisarwat. Które teraz jej ofiarowywałam.

Ale ofiarowywałam na swoich warunkach, nie jej.

– Poruczniku Tisarwat – powiedziałam, spokojnie łyknąwszy herbaty – czy to jest odpowiedni sposób zwracania się do mnie?

Nie, pani – przyznała Tisarwat. Pokonana. Ale nie całkiem. Nawet oszołomiona lekami stanowiła kłębowisko sprzeczności, każdej emocji towarzyszyło coś para–

doksalnego. Tisarwat nigdy nie chciała być Anaander Mianaai. Nie była nią długo, tylko przez kilka dni. A kimkolwiek stała się teraz, choćby to miało się okazać katastrofalne dla planów Anaander Mianaai, czuła się znacznie lepiej.

Ja to zrobiłam. Nienawidziła mnie za to. I nie nienawidziła.

– Zjedz ze mną kolację, poruczniku – zaproponowałam, jakby wcześniejsza wymiana zdań się nie zdarzyła. Jakbym nie wiedziała, co ona czuje. – Ty i porucznik Ekału. Możecie się przechwalać, jakie postępy poczyniły wasze dekady, a Kair upiecze ciasto, które tak lubisz, z lukrową polewą.

W mojej kwaterze statek przekazał zamówienie do ucha Piątki Kair, która oglądała ściany, sprawdzając, czy wszystko prawidłowo zainstalowano. Piątka przewróciła oczami i westchnęła niby z irytacją, burknęła coś o apetytach małolatów, ale tak naprawdę, co w jej mniemaniu

tylko statek mógł widzieć, było jej przyjemnie.

*

Rywalizacja była zacięta. Zarówno Etrepa, jak i Bo spędzały cały czas wolny na strzelnicy, a podczas służby podnosiły i opuszczały broje przy pracy. Znacznie poprawiły ogólne wyniki, prawie wszystkie przeszły na wyższy poziom trudności w rutynowym treningu z bronią palną, a pozostałe wkrótce powinny im dorównać. A każda Etrepa i każda Bo potrafiły aktywować broję w niecałe pół sekundy. Daleko im było do serwitorów czy do tego, czego ja chciałam, niemniej nastąpiła wyraźna poprawa.

Wszystkie Bo zrozumiały natychmiast albo prawie natychmiast, jaki jest prawdziwy cel tej rywalizacji, i przystąpiły do ćwiczeń z determinacją. Etrepa również – Etrepa, które popierały mój cel (na ile go rozumiały), ale to ich nie skłoniło do zaprzestania wysiłków. Jednak nagroda przypadła Bo. W żołnierskiej mesie wręczyłam trzy butelki araku (bardzo dobrego i bardzo mocnego) praktycznie wolnej od środków uspokajających porucznik Tisarwat. Wszystkie Bo stały za nią wyprostowane i nieruchome jak serwitory. Pogratulowałam im zwycięstwa i zostawiłam je, żeby na poważnie zajęły się piciem, które miał się rozpocząć, jak wiedziałam, kiedy tylko wyjdę na korytarz.

Niecałą godzinę później zgłosiła się do mnie Seivarden w imieniu swoich Amaat. Które zasadniczo próbowały okazywać wyrozumiałość w całej tej sprawie, ale teraz nie mogły przejść obok żołnierskiej mesy, żeby im nie przypomniano, że nigdy nie miały szans zdobyć tego araku. A ja zarządziłam, żeby tego dnia wszystkim Etrepa i Bo podano do kolacji owoce – miałam zapasy pomarańczy, rambuta – nów i bagrowców, wszystkie zakupione przez Piątkę Kair i starannie przechowywane w chłodni. Nawet kiedy posprzątano po kolacji, słodka woń bagrowców snuła się w korytarzu, toteż Amaat Seivarden były głodne i urażone.

– Powiedz im – poradziłam Seivarden – że chciałam trochę zachęcić porucznik Tisarwat, a gdyby twoje Amaat wzięły udział w rywalizacji, ona nie miałaby szans. – Sei – varden zaśmiała się krótko, po części dlatego, że od razu rozpoznała kłamstwo, po części dlatego, że według niej to może nie było kłamstwo. Jej Amaat zapewne zareagowałyby tak samo. – Niech podciągną swoje wyniki do przyszłego tygodnia, a też dostaną bagrowce do kolacji. I Kair również. – To ostatnie na użytek wiecznie podsłuchującej Piątki.

– A arak? – zapytała Seivarden z nadzieją.

W żołnierskiej mesie degustacja trunku, która rozpoczęła się z wielkim skupieniem i zdyscyplinowaniem – każdy wspólny toast poprzedzony inwokacją do jednego z bogów statku, każdy piekący łyk araku starannie smakowany aż do końca – zmieniała się w zwykle pijaństwo. Dziesiątka Bo wstała i nieco bełkotliwie poprosiła porucznik o pozwolenie, a otrzymawszy je, oznajmiła, że zamierza wyrecytować swój wiersz.

– Mam więcej araku – powiedziałam do Seivarden w swojej kwaterze. – I zamierzam część rozdać. Ale wołałabym go nie rozdawać hurtowo.

W żołnierskiej mesie deklarację Dziesiątki Bo przyjęto okrzykami entuzjazmu, nawet ze strony porucznik Tisarwat, tak więc Dziesiątka zaintonowała coś, co okazało się epicką, w

większości zaimprovizowaną opowieścią o czynach boga Kair, który, według słów Dziesiątki Bo, często był pijany i fatalnie rymował.

– Ograniczanie araku to chyba dobry pomysł – przyznała trochę smętnie Seivarden. – A ja i tak bym nie piła.

Kiedy ją znalazłam przed rokiem, nagą i nieprzytomną na skutej lodem ulicy, brała o wiele za dużo kefu. Od tamtego czasu stała się niemal abstynentką.

Rozwlekły poemat Dziesiątki Bo przerodził się w pean na cześć dekady Bo, górującej nad wszystkimi innymi na statku, włącznie z dekadą Amaat. A zwłaszcza nad dekadą Amaat, która śpiewała durne dziecinne piosenki, i w dodatku nie za dobrze.

– Nasza piosenka jest lepsza! – oświadczyła jedna pijana Bo, przerywając strumień poezji Dziesiątki Bo, inna zaś, równie pijana, ale widocznie trochę jaśniej myśląca, zapytała:

– A jaka jest nasza piosenka?

Dziesiątka Bo, niezbyt wybredna, jeśli chodzi o temat, i wcale jeszcze niegotowa zejść ze sceny, wzięła głęboki oddech i zaczęła śpiewać zadziwiająco przyjemnym, chociaż nieco drżącym kontraltem:

– O drzewo! Zjedz rybę!

Tę piosenkę dość często sobie nuciłam. Nie była po radchaajsku i Dziesiątka Bo tylko naśladowała brzmienie oryginalnych słów, zastępując je takimi, które знаła.

– Ten granit składa śliwę!

U szczytu stołu Tisarwat dosłownie zachichotała.

– O drzewo! O drzewo! Gdzie jest mój tyłek?

Ostatnie słowa doprowadziły Tisarwat i wszystkie jej

Bo do histerycznego śmiechu. Cztery zsunęły się z krzeseł i upadły na podłogę. Upłynęło dobre pięć minut, zanim się opanowały.

– Czekajcie! – wykrzyknęła Tisarwat. Zamierzała wstać, ale zrezygnowała, ponieważ to wymagało zbyt dużego wysiłku. – Czekajcie! Czekajcie! – A kiedy przyciągnęła ich uwagę: – Czekajcie! To... – machnęła urękawiczo- ną ręką – ...jest nasza piosenka. – Przynajmniej próbowała to powiedzieć, ale ostatnie słowo utonęło w kolejnym wybuchu śmiechu. Uniosła szklanekę, o mało nie rozchlapując araku na stół. – Za Bo!

– Za Bo! – powtórzyły jak echo, a potem jedna dodała:

– Za kapitan floty Breq!

Tisarwat była dostatecznie pijana, żeby się zgodzić bez wahania.

– Za kapitan floty Breq! Która nie wie, gdzie jest jej tyłek!

Potem były już tylko śmiech i wrzaskliwy chór intonujący:

– O drzewo! Gdzie jest mój tyłek?

*

– Właśnie dlatego, pani – powiedziała godzinę później w łazience medyczna, której podobnie jak mnie usługiwała Kair z ręcznikiem i miską – kapitan Vel nie pozwalała dekadom pić.

– Nie, nie dlatego – zaprzeczyłam spokojnie. Medyczka, wciąż zachmurzona jak zwykle, uniosła brew, ale nie dyskutowała. – Oczywiście regularnego picia nie uważam za dobry pomysł. Ale w tej chwili mam swoje powody. – O czym medyczka wiedziała. – Czy jesteś gotowa na jedenście skacowanych Bo, kiedy się obudzą?

– Pani! – Oburzone potwierdzenie. Uniesiony łokieć; machnięcie nagą dłonią w łazience byłoby niegrzeczne.

– Kair bez trudu z tym sobie poradzą.

– Owszem – przyznałam. Statek się nie odzywał, tylko dalej pokazywał mi Tisarwat i jej Bo, śmiejące się i śpiewające w żołnierskiej mesie.

Rozdział 5

Jeśli stacja Athoek miała jakiegokolwiek znaczenie, to tylko dlatego, że na planecie, wokół której krążyła, uprawiano herbatę. Oczywiście również inne rzeczy – planety są duże. A terraformowane planety o umiarkowanym klimacie same w sobie były niezwykle cenne – rezultat stuleci, jeśli nie tysiącleci inwestowania, cierpliwości i ciężkiej pracy. Jednak Anaander Mianaai nie musiała ponosić tych kosztów – zamiast tego pozwalała mieszkankom odwalić całą robotę, a potem wysyłała swoje floty okrętów wojennych, swoje armie serwitorów, żeby je zagarnąć dla siebie. Po kilku tysiącach lat takiego procederu zgromadziła pokaźną kolekcję dogodnych do zamieszkania planet, toteż większość Radchaai nie uważała ich za szczególne rzadkie czy cenne.

Jednak Athoek miała kilka długich pasm górskich z mnóstwem jezior i rzek. Oraz sieć kontroli pogody, którą Athoeki zbudowały zaledwie jakieś sto lat przed anek– sją. Nowo przybyli Radchaai musieli tylko posadzić herbatę i czekać. Teraz, jakieś sześćset lat później, Athoek produkowała dziesiątki milionów ton rocznie.

*

Bezkształtna, dusząca czerń kosmicznej bramy otwarła się na światło gwiazd i znalazłyśmy się w układzie Athoek. Siedziałam w Dowództwie, porucznik Ekalu stała obok mnie. Dwie Etrepa Ekalu stały po obu stronach przy wyznaczonych dla nich konsolach. Sam pokój był mały i zwyczajny, tylko goła ściana, na wypadek gdyby statek musiał wyświetlić obraz (albo gdyby dyżurna wolała oglądać przestrzeń w ten sposób), te dwie konsole oraz fotel dla kapitan lub oficer wachtowej. Poręcze na te chwile, kiedy przyspieszenie statku przekraczało jego przystosowanie do grawitacji. To pomieszczenie należało do nielicznych odwiedzanych przez kapitan Vel, których nie kazała przemalować albo inaczej udekorować, z wyjątkiem samotnej tabliczki zawieszanej nad drzwiami, głoszącej: „Sumienna służba to dar dla bogów”. Dość pospolity frazes, ale kazałam zdjąć tabliczkę i zapakować razem z pozostałymi rzeczami kapitan Vel.

Nie musiałam przebywać w Dowództwie. W dowolnym miejscu mogłam zamknąć oczy i

zobaczyć, jak ciemność ustępuje przed blaskiem słońca Athoek, poczuć nagły strumień cząstek, usłyszeć w tle paplaninę rozmaitych systemów komunikacyjnych układu i automatycznych radiolatarni ostrzegawczych. Sama Athoek, jeszcze odległa, wyglądała jak mały świecący białoniebieski krążek. Widziałam ją co najmniej z trzy–minutowym opóźnieniem.

– Jesteśmy w układzie Athoek, kapitanie floty – powiedziała jedna z Etrepa porucznik Ekalu. Za parę chwil statek powie jej to, co już zobaczyłam: że wokół stacji Athoek znajduje się sporo statków, zdecydowanie więcej, niż nasz statek uważa za normalne; że poza tym wszystko wydawało się w porządku, przynajmniej dwie do dziesięciu minut temu, zanim światło i inne sygnały dotarły do miejsca, gdzie się obecnie znajdowałyśmy; i że chociaż stacjonowały tam trzy okręty wojenne, widoczny jest tylko jeden, w pobliżu jednej z czterech bram układu. Czy raczej był widoczny jakieś dwie i pół minuty wcześniej. Podejrzywałam, że to „Miecz Atagaris”, chociaż nie mogłam tego sprawdzić, dopóki nie podejdziemy bliżej albo dopóki statek nie poda swojej tożsamości.

Zastanowił mnie ten odległy statek. Gdzie się podziały pozostałe dwa okręty i dlaczego ten trzeci pilnował jednej z czterech bram Athoek? W dodatku najmniej ważnej z całej czwórki – prowadziła do pustego układu, bez innych bram, który Athoeki zamierzały zasiedlić przed ekspansją, ale nigdy do tego nie doszło.

Myślałam o tym przez chwilę. Porucznik Ekalu, stojąca obok mnie, nieznacznie zmarszczyła brwi, kiedy statek pokazał jej ten sam widok układu Athoek, na który patrzyłam. Nie była zdumiona ani zaniepokojona. Tylko lekko zaintrygowana.

– Pani, to chyba „Miecz Atagaris”, obok Bramy Duchów – powiedziała. – Nie widzę „Łaski Phey” ani „Łaski Ilves”.

– Brama Duchów?

– Tak ją nazywają, pani – wyjaśniła, nieco zmieszana. – Podobno układ po drugiej stronie jest nawiedzony.

Radchaai wierzyli w duchy. Ściśle biorąc, wielu Rad–chaai wierzyło. Po tak licznych aneksjach Radch wchłonęło tyle narodów z ich różnymi religiami, że wśród Radchaai istniała mnogość opinii na temat tego, co się dzieje po śmierci. Większość obywaterek co najmniej żywiła niejasne podejrzenia, że gwałtowna albo niesprawiedliwa śmierć, albo niedopełnienie stosownych ofiar pogrzebowych spowoduje, iż duch zmarłej pozostanie na tym świecie, nieproszony i potencjalnie groźny. Po raz pierwszy jednak słyszałam o duchach nawiedzających cały układ.

– Nawiedzony układ? Przez kogo?

Wciąż zakłopotana, Ekalu wykonała gest zwątpienia.

– Różnie mówią.

Rozważałam to przez chwilę.

– Dobrze. Statku, przedstaw nas i przekaz moje uprzejme pozdrowienie kapitan Hetnys z „Miecza Atagaris”. – Zarówno „Łaska Kair”, jak i porucznik Ekalu uważały, że statek obok

Bramy Duchów to prawdopodobnie „Miecz Atagaris”, i chyba miały rację. – A czekając na odpowiedź – która powinna do nas dotrzeć za jakieś pięć minut – przerzucić nas bliżej stacji Athoek.

Wyszliśmy z przestrzeni bramy znacznie dalej, niż mogliśmy – potrzebowałam tego dystansu, żeby sprawdzić, jak się rzeczy mają, zanim podejdziemy bliżej. Ale mogły upłynąć dni, nawet tygodnie, zanim dotrzemy

stąd na stację Athoek. Mogłyśmy oczywiście wybrnąć – walczyć się znacznie bliżej. Teoretycznie nawet na samą stację, chociaż to byłoby wyjątkowo niebezpieczne. Żeby uniknąć ryzyka, musiałybyśmy dokładnie znać pozycję każdego statku, każdego promu, każdej kapsuły żaglowej w chwili, kiedy wyjdziemy z przestrzeni bramy. Samo otwarcie bramy mogło uszkodzić albo zniszczyć wszystko, cokolwiek znajdowało się w tym miejscu, a „Łaska Kair” mogła się zderzyć z czymś, co zastąpiło jej drogę, kiedy przechodziłaby do szerszego wszechświata.

Robiłam już takie rzeczy dawniej, kiedy byłam statkiem. Podczas aneksji, kiedy trochę więcej śmierci i zniszczenia się nie liczyło. Nie w radchaajskim układzie, pełnym pojazdów cywilnych obywateli.

– Pani, czy napijesz się herbaty? – zapytała porucznik Ekalu.

Skierowałam już uwagę na zewnątrz, na gwiazdę, jej światło i ciepło, jej odległą planetę. Bramy i ich radiola – tarnie. Smak pyłu na kadłubie „Łaski Kair”. Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć: „Nie, dziękuję”. A potem się zorientowałam, że tak naprawdę ona sama chciała herbaty – obywała się bez niej, kiedy zbliżał się termin wyjścia z naszej własnej bramy, a teraz, kiedy dotarliśmy na miejsce bez wypadków, miała nadzieję, że zamówię napój. Nie piłaby, gdybym ja nie piła. Zdobyła się na sporo odwagi, żeby tak zapytać.

– Tak, dziękuję, poruczniku.

Wkrótce potem, niemal dokładnie minutę wcześniej, niż mogłam się spodziewać odpowiedzi na swoją wiadomość, któraś Etrepa podała mi czarkę herbaty, a statek, który wszystkie uznałyśmy za „Miecz Atagaris”, zniknął.

Obserwowałam to. Podziwiałam widok, który przynajmniej tym razem zbliżył się do przytłaczającej niecałkowitej witości, jakiej zazwyczaj doświadczałam, odbierając tyle danych od własnego statku. Nie całkiem zdolna wszystko przetworzyć, nie do końca miałam wrażenie, że widzę to, co chcę zobaczyć – blisko, ale niedostatecznie blisko, żeby naprawdę tego dotknąć.

Przez tych kilka chwil niemal zapomniałam, że już nie jestem statkiem. Toteż kiedy „Miecz Atagaris” zniknął, zareagowałam natychmiast, bez namysłu.

I odkryłam, że jestem sparaliżowana. Liczby, których potrzebowałam, nie pojawiły się, nie od razu, a statek – statek, który był oczywiście „Łaską Kair”, nie mną – nie poruszył się, kiedy tylko zapragnęłam, jak poruszyłoby się moje własne ciało. Gwałtownie powróciłam do siebie, do mojego pojedynczego ciała siedzącego w Dowództwie.

Ale statek wiedział, czego chciałam i dlaczego. Porucznik Ekalu zapytała:

– Pani, dobrze się czujesz?

A potem „Łaska Kair” się poruszyła, odrobinę szybciej, niż mogła dostosować grawitację. Czarka wypadła mi z ręki i rozbiła się, herbata ochlapała mi buty i spodnie. Porucznik Ekalu i obie Etrepa zatoczyły się, chwyciły poręcze. I nagle znalazłyśmy się znowu w przestrzeni bramy.

– Weszli w bramę – oznajmiłam. – Niemal od razu, gdy tylko nas zobaczyli. – Z pewnością zanim dostali naszą wiadomość, w której podałyśmy swoją tożsamość. – Zobaczyli nas i trzydzieści sekund później wykonali ruch.

Szarpięcie, które wylało mi herbatę na buty, obudziło porucznik Tisarwat i jej Bo. Jedna z Amaat Seivarden upadła i zwichnęła nadgarstek. Oprócz jeszcze kilku stłuczonych naczyń nie było innych szkód – wszystko zostało zabezpieczone, na wypadek gdybyśmy natrafiły na jakieś przeszkody przy wychodzeniu z naszej bramy.

– Ale... ale, pani, my jesteśmy „Łaską”. Wyglądamy jak „Łaska”. I wcale się do nich nie podkradałyśmy. Dlaczego miałiby uciekać, jak tylko nas zobaczyli? – Potem skojarzyła to z naszym własnym nagłym ruchem. – Ty nie sądzisz, że oni uciekają.

– Nie zamierzałam ryzykować – przyznałam.

Któraś Etrepa pospiesznie sprzątnęła odłamki porcelany i wytarła kałużę herbaty.

– Wyjście z przestrzeni bramy za czterdzieści pięć sekund – oznajmił statek w uszach nas wszystkich.

– Ale dlaczego? – zapytała porucznik Ekalu. Naprawdę zaskoczona, naprawdę zaniepokojona. – Oni nie mogą wiedzieć, co się stało w Omaugh, bramy pomiędzy tu i tam zniszczono, zanim jakieś wiadomości zdążyły się przedostać.

Nie wiedząc o rozszczępieniu Anaander Mianaai ani o chwiejnej lojalności okrętów wojennych i oficer w tej walce, kapitan Hetnys oraz „Miecz Atagaris” nie miały powodów, żeby zareagować na nasze przybycie jak na zagrożenie.

Nawet obywatelki przekonane, że Radch uległo infiltracji i zepsuciu, postrzegające niektóre urzędniczki i kapitan jako potencjalnych wrogów, nie wiedziały, że konflikt wyszedł na jaw.

– Albo one już coś wiedzą – powiedziałam – albo tu coś się stało.

– Trzymajcie się – powiedział statek do nas wszystkich.

– Pani – odezwała się porucznik Ekalu – skąd będziemy wiedzieć, gdzie jest „Miecz Atagaris”, kiedy się wynurzymy?

– Nie będziemy wiedzieć, poruczniku.

Zaczerpnęła tchu. Chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

– Prawdopodobnie nie zderzymy się z „Mieczem Atagaris” – dodałam. – Kosmos jest wielki. A poranne wróżby wypadły pomyślnie.

Nie była pewna, czy żartuję.

– Tak, pani.

I znowu znalazłyśmy się we wszechświecie. Słońce, planeta, bramy, paplanina w tle. Ani śladu „Mieczy Atagaris”.

– Gdzie on jest? – zapytała porucznik Ekalu.

– Dziesięć sekund – odpowiedziałam. – Nikt niczego nie puszcza.

Dziesięć i pół sekundy później we wszechświecie otwarła się dziura czarniejsza od czerni i pojawił się „Miecz

Atagaris”, niecałe pięćset kilometrów od miejsca, gdzie przed chwilą byliśmy. Zanim jeszcze całkiem wyszedł z bramy, zaczął nadawać.

– Nieznany statku, podaj swoją tożsamość albo zostaniesz zniszczony.

– Chciałbym, żeby spróbował – powiedział mój statek, ale tylko do mnie.

– To nie jest kapitan Hetnys – oświadczyła Ekalu. – Myślę, że to jedna z jej porucznik Amaat.

– „Mieczu Atagaris” – przemówiłam. Statek wiedział, że ma przekazywać moje słowa. – Tu kapitan floty Breq Mianaai dowodząca „Łaską Kair”. Wytlumacz się.

Upłynęło pół sekundy, zanim moja wiadomość dotarła na „Miecz Atagaris”, i następne cztery sekundy, zanim tamta porucznik pozbierała się na tyle, żeby odpowiedzieć.

– Kapitanie floty, pani. Przyjmij moje przeprosiny, pani. – W tym czasie „Łaska Kair” przedstawiła się „Mieczowi Atagaris”. – My... bałyśmy się, że nie jesteście tym, na co wyglądacie.

– Myślałaś, że czym jesteśmy, poruczniku?

– Ja... nie wiem, pani. Po prostu, pani, nie spodziewałyśmy się was. Krążą plotki, że Pałac Omaugh został zaatakowany czy nawet zniszczony, i nie miałyśmy stamtąd wiadomości prawie od miesiąca.

Spojrzałam na porucznik Ekalu. Powróciła do zwyczaju wszystkich żołnerek na „Łasce Kair” i przybrała minę pozbawioną wszelkiego wyrazu. Samo to wiele mówiło, ale oczywiście ja widziałam więcej. Nawet pomijając to, co właśnie zaszło, nie miała najlepszej opinii o porucznik Amaat z „Mieczy Atagaris”.

– Gdybyś postawiła na swoim, poruczniku – stwierdziłam sucho – czekałabyś jeszcze dłużej na wiadomość z Omaugh. Teraz chcę rozmawiać z kapitan Hetnys.

– Za pozwoleniem, kapitanie floty – odparła porucznik – kapitan Hetnys jest na stacji Athoek. – Widocznie zorientowała się, jak to zabrzmiało, bo dodała po bardzo krótkiej przerwie: – Odbywa naradę z gubernator układu.

– A kiedy ją tam znajdę – zagadnęłam lekko sarkastycznym tonem – czy będzie potrafiła lepiej mi wytłumaczyć, co wy tutaj wyprawiacie?

– Tak jest, pani.

– To dobrze.

Statek przerwał połączenie. Odwróciłam się do porucznik Ekalu.

– Znana ci jest ta oficer?

Wciąż twarz bez wyrazu.

– Woda podmyje skałę, pani.

To było przysłowie. Czy raczej pół przysłowia. „Woda podmyje skałę, ale nie ugotuje kolacji”. Wszystko ma swoje mocne strony. Powiedziane z dostateczną dozą ironii, mogło

również sugerować, że ponieważ bogowie z pewnością stworzyli wszystkich w jakimś celu, wzmiankowana osoba musi się do czegoś nadawać, jednak do czego – tego rozmówca nie potrafi odgadnąć.

– Ona pochodzi z dobrej rodziny – dodała Ekalu, wciąż beznamyślnie, kiedy milczałam. – Genealogia długa na kilometr. Jej matka jest drugą kuzynką wnuczki protegowanej protegowanej samej Mianaai, pani.

I widocznie dopilnowała, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

– A kapitan? – Anaander Mianaai powiedziała mi, że chociaż kapitan Hetnys brakowało wizji, nadrabiała to sumiennym wypełnianiem obowiązków. – Czy to możliwe, żeby zostawiła rozkazy atakowania wszystkiego, co wleci do układu?

– Nie przypuszczam, pani. Ale ta porucznik nie jest specjalnie... pomysłowa, pani. Kolana mocniejsze niż głowa. – Na ostatnich słowach akcent Ekalu się omsknął, zaledwie odrobinę. – Za pozwoleniem, kapitanie floty.

Czyli prawdopodobnie działała zgodnie z rozkazami, które sugerowały, że przybywające statki mogą stanowić zagrożenie. Będę musiała zapytać o to kapitan Hetnys, kiedy ją spotkam, pomyślałam.

Podłączenie do doku na stacji Athoek było w większości zautomatyzowane. Kiedy ciśnienie się wyrównało i Piątka otworzyła właz promu, porucznik Tisarwat i ja przepchnęliśmy się przez granicę pomiędzy nieważkością promu a sztuczną grawitacją stacji. Luk był szary, brudny i odrapany, jak wszystkie luki na wszystkich stacjach.

Czekała tam kapitan statku, za nią stał serwitorka, wyprostowany i nieruchomy. Na jego widok poczułam ukłucie zazdrości. Niegdyś byłam taka jak ten serwitorka. Już nigdy nie będę.

– Kapitanie Hetnys – powiedziałam, kiedy Tisarwat stanęła obok mnie.

Kapitan Hetnys była wysoka – wyższa ode mnie o dobre dziesięć centymetrów – masywna i potężnie zbudowana. Jej włosy, ścięte krótko po wojskowemu, srebrzy–stosiwe, ostro kontrastowały z ciemną skórą. Zapewne kwestia próżności – sama wybrała ten kolor włosów, chciała, żeby ludzie go zauważyli albo żeby zauważyli wojskową fryzurę. Nie wszystkie spinki, które zdobiły w niezwykajnie równiutkich rzędach przód jej kurtki mundurowej, miały nazwiska, a tych z nazwiskami nie mogłam odczytać z tej odległości. Skłoniła się.

– Kapitanie floty, pani.

Nie odwzajemniłam ukłonu.

– Spotkam się teraz z gubernator układu – oświadczyłam chłodno i rzeczowo. Nieznacznie podkreślając ten staroświecki akcent, typowy dla wszystkich Mianaai. – A potem mi wyjaśnisz, dlaczego twój statek groził, że mnie zaatakuje, kiedy tu przybyłam.

– Pani. – Zamilkła na chwilę, zapewne usiłując wyglądać beztrudnie. Kiedy po raz pierwszy skontaktowałam się ze stacją Athoek, zawiadomiono mnie, że gubernator układu Giarod jest oczywiście zajęta obowiązkami religijnymi i będzie zajęta jeszcze przez jakiś czas. Podobnie jak wszyscy urzędnicy wszystkich szczebli na stacji, jak się wydawało. To święto nadeszło według kalendarza Athoeki i prawdopodobnie dlatego, że było tylko miejscowe, nikt nie

uważał za stosowne mnie ostrzec, że jednak było dostatecznie ważne, żeby cała stacja niemal przestała funkcjonować. Kapitan Hetnys wiedziała, że zawiadomiono mnie, iż gubernator będzie niedostępna jeszcze przez parę godzin.

– Nowicjusze zaczną wychodzić ze świątyni za godzinę lub dwie. – Chciała zmarszczyć brwi, ale się powstrzymała. – Zamierzasz zostać na stacji, pani?

Za plecami porucznik Tisarwat i moimi Piątka, Dziesiątka i Ósemka Kair oraz Dziewiątka Bo wyciągały bagaże z promu. Zapewne dlatego kapitan Hetnys zadała to pytanie.

– Chodzi tylko o to, pani – ciągnęła, kiedy nie odpowiedziałam od razu – że obecnie pomieszczenia na stacji są dość zatłoczone. Trudno będzie znaleźć coś odpowiedniego.

Zorientowałam się już, że zniszczenie nawet kilku bram przekierowało ruch w tę stronę. Znajdowało się tu kilkadziesiąt statków, które w ogóle nie spodziewały się trafić do Athoek, a jeszcze więcej powinno odlecieć, ale nie mogło. Wprawdzie rozkaz Anaander Mianaai, zabraniający podróży przez pozostałe bramy, nie zdążył jeszcze tu dotrzeć, jednak kapitan wielu statków mogły się obawiać wchodzenia do bram w najbliższym czasie. Co zamożniejsi czy bardziej ustosunkowani podróżni prawdopodobnie zajęli wszystkie wygodne kwatery dostępne na stacji. „Łaska Kair” zapytała już stację, żeby się upewnić, a stacja odpowiedziała, że wszystkie zwykłe miejsca są przepełnione, chyba że nas zaproszą, żebyśmy się zatrzymały w rezydencji gubernatora układu.

Fakt, że perspektywa mojego pobytu na stacji zdawała się niepokoić kapitan Hetnys, był niemal równie interesujący jak to, że stacja najwyraźniej nie uprzedziła jej

o moich planach. Może nie przyszło jej do głowy, żeby zapytać.

– Mam się gdzie zatrzymać, kapitanie.

– Och. To dobrze, pani. – Jednak nie wydawała się przekonana.

Gestem kazałam jej iść za sobą i wysłałam z luku na korytarz. Serwitor „Miecza Atagaris” ruszył za naszą trójką, razem z Piątką Kair. Widziałam – „Łaska Kair” mi pokazała – jak Piątka się pyszni, że potrafi odgrywać serwitora nawet w obecności prawdziwego produktu.

Na ścianach i podłodze korytarza, podobnie jak w doku, widać było starość i zaniedbanie. Nie sprzątano tutaj tak często, jak należałoby na każdym szanującym się okręcie wojennym. Ale wszędzie wisały barwne girlandy. Odpowiednie w sezonie świąt.

– Kapitanie – odezwałam się po dziesięciu krokach, nie przerywając marszu. – Rozumiem, że to jest Festiwal Genitaliów. Ale kiedy mówimy „genitalia”, czy to nie znaczy genitalia ogólnie? Nie tylko jednego rodzaju?

Wszędzie dookoła i w całym korytarzu, jak okiem sięgnąć, na ścianach wisały malutkie penisy. Jaskrawozielone, wyzywająco różowe, krzykliwe niebieskie

1 szczególnie rażące pomarańczowe.

– Pani – powiedziała kapitan Hetnys tuż za mną. – To przekład. Słowa są te same w języku Athoeki.

Język Athoeki. Jakby mieli tylko jeden. Ale nigdy nie występował tylko jeden język, jak wiedziałam ze swego niemałego doświadczenia.

– Za pozwoleniem, kapitanie floty...

Gestem wyraziłam zgodę, nie oglądając się na kapitan Hetnys. Gdybym zechciała, mogłabym zobaczyć jej plecy i moje własne przez oczy niczego niepodjejrzej Piątki Kair.

– Athoeki były niezbyt cywilizowane – ciągnęła. Niecywilizowane. Nie-Radchaai. To samo słowo, jedyna różnica subtelnie wyrażana przez kontekst, zbyt łatwo się zacierająca. – Nawet teraz nie są, w większości. Dzieli ludzi na tych z penisami i tych bez penisów. Kiedy po raz pierwszy przybyliśmy do tego układu, od razu się poddali. Ich władczyni straciła rozum. Myślała, że Radchaai nie mają penisów, a ponieważ wszyscy mieli się stać Radchaai, rozkazała wszystkim ludziom z penisami w całym układzie, żeby je obcięli. Ale Athoeki nie zamierzały niczego obcinać, więc zamiast tego robiły modele i układa – łyje w stopy przed władczynią, żeby ją zadowolić, dopóki jej nie aresztowano i nie udzielono jej pomocy. Więc teraz w każdą rocznicę, pani, wszystkie dzieci poświęcają swoje penisy ich bogu.

– A co z Athoeki z innym rodzajem genitaliów?

Dotarliśmy do szeregu wind, które miały nas wywieźć z doków. Hol świecił pustkami.

– One nie używają prawdziwych, pani – wyjaśniła kapitan Hetnys, wyraźnie pogardzająca całym procederem. – Kupują je w sklepie.

Stacja nie otworzyła drzwi windy ze skwapliwością, do jakiej przywykłam na „Łasce Kair”. Przez moment zastanawiałam się, czy zaczekać i sprawdzić, jak długo każe nam tu stać. Czyżby stacja do tego stopnia nie lubiła kapitan Hetnys? Ale jeśli tak, jeśli to wahanie świadczyło

o niechęci ze strony stacji, ujawniając tę niechęć, tylko ją pogłębię.

Lecz kiedy już nabrałam tchu, żeby zażądać windy, drzwi się otworzyły. Wnętrze było pozbawione ozdób. We– szliśmy do środka, drzwi się zamknęły i powiedziałam:

– Proszę do głównego pasażu, stacjo.

Ósemka i Dziesiątka będą potrzebować paru chwil, żeby się rozgościć w kwaterze, którą załatwiłam, a ja przez ten czas nie omieszkam się pokazać w pałacu gubernator, który ma wejście w głównym pasażu, i przy okazji obejrzę kawałek miejscowego święta. Do kapitan Hetnys stojącej obok mnie powiedziałam:

– Ta historyjka wydaje ci się wiarygodna?

Jedna władczyni na cały układ. „Od razu się poddali”. Z doświadczenia wiedziałam, że nigdy cały układ nie poddał się od razu. Może części. Ale nie całość. Jedyny wyjątek stanowili Garseddai, którzy zastosowali taką taktykę i spróbowali zasadzki. Oczywiście im się nie udało

1 w rezultacie nie było już Garseddai.

– Pani? – Kapitan Hetnys była wyraźnie zdumiona i zaskoczona moim pytaniem, chociaż próbowała to ukryć, zachować obojętny ton i wyraz twarzy.

– Sprawia wrażenie, że to naprawdę mogło się zdarzyć? Że ktoś rzeczywiście mógł zrobić coś takiego?

m

Nawet powtórzone pytanie ją zdziwiło, chociaż miała czas do namysłu.

– Nikt cywilizowany, pani. – Odetchnęła, a potem, może ośmielona naszą dotychczasową rozmową, zaczęła: – Za pozwoleniem, kapitanie floty. – Gestem wyraziłam zgodę. – Pani, co się stało w Pałacu Omaugh? Czy obcy zaatakowali? Czy wybuchła wojna?

Część Anaander Mianaai wierzyła – albo przynajmniej tak rozgłaszała – że jej konflikt z samą sobą to skutek infiltracji obcych, Presgerów.

– Tak, wojna. Ale Presgerzy nie mają z tym nic wspólnego. To my zaatakowałyśmy siebie. – Kapitan Vel, która przedtem dowodziła „Łaską Kair”, wierzyła w kłamstwo o Presgerach. – Vel Osek została aresztowana za zdradę stanu. – Kapitan Hetnys i kapitan Vel się znały. – Nie wiem, co się dalej z nią działo. – Ale wszyscy mogli się domyślić. – Dobrzeją znałaś?

Niebezpieczne pytanie. Kapitan Hetnys, która nie potrafiła ukrywać swoich reakcji nawet w połowie tak zręcznie jak moja załoga, oczywiście dostrzegła zagrożenie.

– Nie tak dobrze, pani, żeby kiedykolwiek podejrzewać ją o nielojalność.

Porucznik Tisarwat drgnęła nieznacznie na wzmiankę kapitan Hetnys o nielojalności. Kapitan Vel nigdy nie była nielojalna i nikt nie wiedział o tym lepiej niż Anaander Mianaai.

Drzwi windy się otwały. Główny pasaż stacji Athoek było sporo mniejszy od pasażu w Pałacu Omaugh. Jakiś dureń pomyślał kiedyś, że biały kolor doskonale się nadaje do długiej, otwartej i bardzo zatłoczonej sali. Jak każdy główny pasaż na każdej większej radchaajskiej stacji, ten również miał dwa poziomy. Na górnym poziomie tu i tam znajdowały się okna, na dolnym ciągnęły się biura i sklepy oraz najważniejsze świątynie stacji – jedna poświęcona Amaat i zapewne gromadzie drugorzędnych bóstw, z fasadą ozdobioną nie zagmatwaną płataniną bogów, jaką chełpiła się świątynia w Omaugh, tylko wizerunkami czterech Emanacji w purpurze, żółci i czerwieni, z brudem osadzonym na listwach i w zagłębieniach. Obok stała druga, mniejsza świątynia, poświęcona, jak się domyślałam, bogu z opowieści kapitan Hetnys. Wejście miała udrapowane girlandami prawie identycznymi z tymi, które widziałyśmy w dokach, ale większymi i podświetlonymi od środka, tak że te zdumiewające kolory aż kłuły w oczy.

Całą tę przestrzeń, jak okiem mogłam sięgnąć, zapełniały obywatelki stojące w grupkach, rozmawiające głosami podniesionymi niemal do krzyku, wystrojone w marynarki, spodnie i rękawiczki w jasnych kolorach, zielone, różowe, błękitne i żółte, wyraźnie odświętne ubrania. Wszystkie nosiły tyle samo biżuterii co każdy Radchaai, tutaj jednak miejscowa moda widocznie dyktowała, żeby pamiątkowe i symbolizujące związek spinki nosić nie bezpośrednio na kurtkach czy zakietach, ale na szerokich szarfach udrapowanych na ramieniu, przeciągniętych ukośnie przez pierś i związanych na biodrze, z końcami wlokącymi się po ziemi. Dzieci w różnym wieku biegały tu i tam, nawołując się i co chwila przystając, żeby nagabywać dorosłych o słodycze. Podłogę zaśmiecały celofanowe opakowania, różowe, błękitne, zielone i pomarańczowe. Kilka papierków niesionych przeciągiem przefrunęło przed otwartymi drzwiami windy i zobaczyłam, że wydrukowano na nich jakieś słowa. Zdołałam

odczytać tylko fragmenty, kiedy papierki wirowały w poddmuchu: „...błogosławieństwo. .. bóg, którego... nie będę...”.

Zaledwie wyszłyśmy z windy, jakaś obywatelka precyzyjnie się przez tłum i podeszła do nas. Nosiła szyty na miarę żakiet i spodnie w odcieniu zieleni tak bladym, że niemal białym – a także rękawiczki. Nie miała szarfy, ale mnóstwo spinek, wśród nich wielki rodochrozyt osadzony w misternej pleciance ze srebrnego drutu. Przybrała zdumioną, uradowaną minę i skłoniła się zamasyście.

– Kapitanie floty! Dopiero co usłyszałam, że tu jesteś, i popatrz, odwracam się i cię widzę! Okropna historia z tą zniszczoną bramą do Pałacu Omaugh, te wszystkie statki przekierowane tutaj albo niemogące odlecieć, ale skoro przyjechałaś, to już z pewnością długo nie potrwa. – Mówiła z akcentem zamożnej, wykształconej Radchaai, chociaż trochę dziwnie wymawiała samogłoski. – Ale nie wiesz, kim jestem. Jestem Fosyf Denche i tak się cieszę, że cię znalazłam. Mam tu na stacji apartament, mnóstwo miejsca, i dom na dole studni, jeszcze przestronniejszy. Będę zaszczycona, jeśli przyjmiesz moje zaproszenie.

Obok mnie kapitan Hetnys i jej serwitorki stali poważni i milczący. Za mną Piątka Kair wciąż odgrywała serwi-torską obojętność, chociaż odczytywałam poprzez „Łaskę Kair”, że oburza ją poufałość obywatelki Fosyf w stosunku do mnie. Porucznik Tisarwat, oprócz śladowych pozostałości środków przeciw mdłościom i swojego zwykłego ogólnego rozżalenia, wydawała się ubawiona i lekko pogardliwa.

Wyobraziłam sobie, jak odpowiedziałaby Seivarden na taką zaczepkę, kiedy była młodsza. Nieznacznie wydułam wargę.

– Nie trzeba, obywatelko.

– Ach, ktoś mnie uprzedził. W porządku! – Niezrażona – na moją odmowę, co sugerowało, że już się z tym spotykała, nawet do tego przywykła. Przypuszczalnie miałam nowiny z Omaugh, które wszyscy tu chcieli poznać. – Ale przynajmniej zjedz z nami kolację, kapitanie floty! Rzecz jasna kapitan Hetnys już została zaproszona. Dzisiaj nie będziesz załatwiać żadnych oficjalnych spraw.

Jej ostatnie słowa zabrzmiały wyraźnie w nagłej ciszy, a potem usłyszałam tuzin czy więcej dziecięcych głosów śpiewających chórem. Nie po radchaajsku i nie radchaaj-ską melodię, tylko taką, która wznosiła się skokowo, w szerokich, klarownych interwałach, a potem stopniowo opadała, jednak w sumie wędrowała w górę i kończyła się wyżej, niż się rozpoczęła. Gadanie obywatelki Fosyf o kolacji ucichło w połowie zdania, przerwane przez mój wyraźny brak uwagi.

– Ach tak – powiedziała. – To ze świątyni...

– Cicho bądź! – warknęłam.

Dzieci rozpoczęły następną zwrotkę. Nadal nie rozumiałam słów. Odśpiewały jeszcze dwie zwrotki, podczas gdy obywatelka obok mnie próbowała ukryć swoją konsternację. Jednak nie odchodziła. Zdeterminowana, żeby ze mną pomówić. Pewna, że zdobędzie szansę, jeśli tylko wykaże dość cierpliwości.

Mogłam zapytać stację, ale wiedziałam, co stacja mi powie. Fosyf Denche to tutejsza prominentna obywatelka, która wierzy, że jej wysoka pozycja będzie miała znaczenie dla każdego, komu się przedstawi, a w tym układzie, na tej stacji to znaczyło: „herbata”.

Pieśń się skończyła, nagrodzono ją słabymi oklaskami. Przeniosłam uwagę z powrotem na obywatelkę Fosyf. Twarz jej się wygładziła. Rozjaśniła.

– Ach, kapitanie floty, wiem, kim jesteś! Jesteś kolekcjonerką! Musisz mnie odwiedzić na dole studni. Sama nie mam słuchu, ale robotnicy w posiadłości obok mojego wiejskiego domu wydają wszelkiego rodzaju niecywilizowane dźwięki, które, jak mnie zapewniano, są autentyczną egzotyczną muzyką zachowaną z czasów ich przodków. Podobno to prawie muzealny pokaz. Ale administrator stacji może ci wszystko o tym opowiedzieć przy kolacji dziś wieczorem. Ona też jest kolekcjonerką, a wiem, jacy jesteście wy, kolekcjonerzy, nieważne, co zbieracie. Chcecie porównać zbiory i pohandlować. Czy jesteś absolutnie pewna, że masz się gdzie zatrzymać?

– Odejdź – powiedziałam do niej szorstko i opryskliwie.

– Oczywiście, kapitanie floty. – Skłoniła się nisko. – Zobaczymy się na kolacji, tak?

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i wmieszała w tłum.

– Za pozwoleniem, kapitanie floty – odezwała się kapitan Hetnys, nachylając się bliżej, żeby nie musiała krzyczeć na cały pasaż. – W rodzinnych dobrach obywatelki Fosyf wytwarza się prawie jedną czwartą herbaty eksportowanej z Athoek. Jej apartament znajduje się tuż obok Administracji, na wyższym poziomie.

Coraz bardziej interesująco. Przedtem kapitan Hetnys wcale się nie spodziewała i nie chciała, żebym została na stacji. Teraz chyba namawiała mnie, żebym zamieszkała u tej plantatorki herbaty.

– Idę do pałacu gubernator – oznajmiłam. Wiedziałam, że gubernator układu tam nie ma. Zamierzałam zrobić z tego aferę. – A potem, kiedy będę się urządzać w mieszkaniu, mozesz mi zdać raport.

– Tak jest, pani. – Ponieważ nie dodałam nic więcej, powiedziała: – Jeśli mogę zapytać, pani. Gdzie się zatrzymasz?

– Poziom czwarty Podogrodu – odparłam obojętnym tonem.

Daremnie próbowała ukryć zaskoczenie i konsternację. Widać było, że moja niespodziewana odpowiedź nie przypadła jej do gustu.

Rozdział 6

Stacyjne SI powstawały – rosły – razem ze swoimi stacjami. Wkrótce po ukończeniu stacji Athoek, kiedy urazy po aneksji były jeszcze świeże, doszło do aktów przemocy. Kilkanaście sekcji na poziomie czwartym zostało trwale uszkodzonych.

Instalowanie SI w już istniejącej konstrukcji było ryzykowne. Rzadko uzyskiwano

optymalne rezultaty, ale rzecz dała się zrobić. Robiono to już ładnych kilka razy. Jednak z niewiadomych powodów – może próbowano zapomnieć o tych wypadkach, może omeny wypadły niepomyślnie, może jeszcze coś innego – tego obszaru nie naprawiono, tylko go odcięto.

Oczywiście ludzie i tak dostali się do środka. W Podogrodzie mieszkało kilkaset osób, chociaż nie powinny tam przebywać. Każda obywatelka miała tracker wszczepiony przy narodzinach, więc stacja wiedziała, gdzie są, wiedziała, że oni tam mieszkają. Ale nie mogła ich widzieć ani słyszeć tak jak innych mieszkanek, chyba że zostali okablowani, żeby wysyłać dane do stacji; podejrzewałam, że niewielu takich było.

*

Drzwi sekcji prowadzące do Podogrodu były otwarte i podparte resztkami stołu, któremu brakowało jednej nogi. Wskaźnik obok wejścia informował, że po drugiej stronie tych (ponoć zamkniętych) drzwi panuje całkowita próżnia. Sprawa wyglądała poważnie – drzwi sekcji zamykały się automatycznie w razie nagłego spadku ciśnienia, żeby odciąć miejsce z naruszonym kadłubem. Prawdopodobnie nawet się nie zbliżyłyśmy do całkowitej próżni, pomimo wskaźnika na ścianie obok tych drzwi, jednak nikt, kto spędził wiele czasu na statkach – albo kto mieszkał na stacji – nie traktował lekko takich środków ostrożności. Odwróciłam się do kapitan Hetnys.

– Czy wszystkie drzwi sekcji prowadzące do Podogrodu są zablokowane i podparte w ten sposób?

– Jak mówiłam, kapitanie floty, ten obszar odcięto, ale ludzie ciągle się włamywali. Tylko by to ciągle odcinali na próżno.

– Tak – przyznałam, gestem potwierdzając oczywistość jej słów. – Więc czemu nie naprawić drzwi, żeby działały jak należy?

Zamrugnęła, najwyraźniej nie rozumiejąc pytania.

– Nikt nie powinien przebywać na tym terenie, pani.

Mówiła całkiem poważnie; ten tok rozumowania wydawał jej się zupełnie sensowny. Serwitor za jej plecami patrzył tępo przed siebie, jakby nie miał żadnego zdania na ten temat. Co prawie na pewno nie było prawdą. Nie odpowiedziałam, tylko odwróciłam się, przelazłam przez połamany stół i weszłam do Podogrodu.

W korytarzu za drzwiami przenośne panele świetlne, oparte gdzieś o ściany, zapalały się słabym, migotliwym blaskiem, kiedy je mijałyśmy, a potem znowu gasły. Powietrze było przytłaczająco nieruchome, niezwykle wilgotne i cuchnęło stęchlizną – stacja zapewne nie regulowała tu przepływu powietrza i bardzo możliwe, że tylko te pootwierane drzwi sekcji pozwalały oddychać. Po pięćdziesięciu metrach marszu korytarz otworzył się na maleńki niemal pasaż, zlepek kilku korytarzy, gdzie drzwi zostały wyłamane, a brudne, niegdyś białe ściany porozwalane, żeby stworzyć jednopoziomowy, na wpół otwarty labirynt, oświetlony przez następne przenośne panele, chociaż chyba lepiej zaopatrzone w energię od tamtych. Grupka obywaterek zmierzająca dokądś nagle stwierdziła, że ich trasa zaprowadziła je

bardzo daleko od miejsca, gdzie stałyśmy; tylko przypadkiem odkryły, że nie chcą na nas patrzeć.

Daleko w rogu z szerokich drzwi wylewało się więcej światła. Przy drzwiach osoba w luźnej koszuli i spodniach rzuciła nam przelotne spojrzenie, przez chwilę jakby się nad czymś zastanawiała, a potem odwróciła się i pochyliła nad pięciolitrowym pojemnikiem stojącym u jej stóp. Wyprostowała się i zaczęła starannie, ze skupieniem mazać wokół framugi. Tam, gdzie cień padał na ścianę, słabo jaśniały czerwone spirale i zawijasy. Widocznie malarka używała farby w odcieniu tak zbliżonym do koloru ściany, że nie dało się wyraźnie zobaczyć wzoru, jeśli nie fosforyzował. Za drzwiami ludzie siedzieli przy stołach, pili herbatę i rozmawiali. A raczej rozmawiali, zanim nas zobaczyli.

Naprawdę było nieprzyjemnie duszno. W nagłym przeblysku powróciło do mnie wyraźne, silne wspomnienie. Wilgotny upał i zapach bagiennej wody. Wspomnienie z rodzaju tych, które stawały się coraz radsze z upływem lat, pochodzące z czasów, kiedy byłam statkiem. Kiedy byłam jednostką serwitorów pod dowództwem porucznik Awn (wówczas jeszcze żywej, każdy jej oddech, każdy ruch stale obecne w mojej świadomości, a ja zawsze, zawsze przy niej).

W mojej świadomości mignął pokój dekady na „Łasce Kair”, Seivarden siedzi, popija herbatę, przegląda rozkład zajęć na dziś i jutro, zapach rozpuszczalnika silniejszy niż zwykle dochodzi z korytarza, gdzie trzy Amaat szorują i tak nieskazitelną podłogę. Wszystkie Amaat śpiewają cicho nierównym, nieharmonijnym chórem: „Wszystko się kręci, stacja się kręci wokół księżycy, wszystko się kręci”. Czy bezmyślnie sięgnęłam do tego, czy też „Łaska Kair” nieproszona przysłała mi ten obraz w odpowiedzi na coś, co we mnie dostrzegła? Jakie to miało znaczenie?

– Pani – zaryzykowała kapitan Hetnys, może dlatego, że przystanąłam i ona też musiała się zatrzymać, i „Miecz Atagaris”, i porucznik Tisarwat, i Piątka Kair. – Za pozwoleniem, kapitanie floty. Nikt nie powinien przebywać w Podogrodzie. Ludzie tu nie mieszkają.

Wskazałam znacząco na ludzi siedzących przy stołach za drzwiami, starannie omijających nas wzrokiem. Rozejrzałam się po przechodzących obywatelkach. Powiedziałam do Tisarwat:

– Poruczniku, idź sprawdzić, jak przebiega nasza przeprowadzka.

Mogłam otrzymać wszelkie informacje, jakich sobie życzyłam, od moich Kair, wystarczyła jedna moja myśl, ale teraz, kiedy wyszłyśmy z promu i porucznik Tisarwat przestała odczuwać mdłości, zaczynały jej doskwierać głód i zmęczenie.

– Pani – powiedziała i wyszła.

Weszłam przez ozdobione spiralami drzwi, zostawiwszy kapitan Hetnys i jej serwitora. Piątka ruszyła za mną. Malarka zeszywniała, kiedy ją mijaliśmy, zawahała się i podjęła pracę.

Dwie z osób siedzących przy odrapanych stołach miały zwyczajne radchaajskie żakiety, spodnie i rękawiczki – najwyraźniej standardowy towar, sztywna tkanina w szaro-beżowym odcieniu, takie ubranie, jakie należało się każdej obywatelce, jednak jakiego nikt nie nosił, jeśli mógł sobie pozwolić na coś lepszego. Pozostałe były ubrane w luźne, lekkie koszule i spodnie

w intensywnych barwach, czerwone, niebieskie i purpurowe, jaskrawe na tle brudnych szarych ścian. Panowała taka duchota, że te koszule bez zakietów wydawały się znacznie lepszym rozwiązaniem od mojego munduru. Nie widziałam żadnych szarf, od jakich się roiło w głównym pasażu, i prawie żadnej biżuterii. Większość trzymała w nagich dłoniach czarki z czymś, co uznałam za herbatę. Prawie jakbym nie była na rad– chaajskiej stacji.

Po moim wejściu właścicielka wróciła do kąta zastawionego naczyniami i obserwowała teraz ze skupieniem swoich klientów, pokazując, że nie może mi poświęcić ani chwili. Podeszłam do niej, ukloniłam się i powiedziałam:

– Przepraszam, obywatelko. Jestem tu obca. Czy mogłabyś mi odpowiedzieć na pytanie?

Właścicielka wytrzeszczyła na mnie oczy, udając, że nie rozumie, jakbym bełkotała albo jakby przemówił do niej czajnik trzymany w gołej dłoni.

– Słyszałam, że dzisiaj jest bardzo ważne święto Athoeki, ale nie widzę tu żadnych oznak świętowania.

Żadnych girland z penisów, żadnych słodyczy, tylko ludzie zajmujący się swoimi sprawami. Udający, że nie zauważają żołnierek, które stały na środku ich miejsca spotkań.

Właścicielka zadrwiła:

– Bo wszystkie Athoeki to Xhai, tak?

Piątka Kair zatrzymała się tuż za mną. Kapitan Hetnys i serwitorka „Miecza Atagaris” stali tam, gdzie ich zostawiłam, kapitan Hetnys śledziła mnie wzrokiem.

– Ach – powiedziałam – teraz rozumiem. Dziękuję ci.

– Co ty tu robisz? – zapytała jakaś osoba siedząca przy stole. Bez tytułu grzecznościowego, nawet bez minimalnie uprzejmej „obywatelki”. Ludzie siedzący obok zeszywnieli, odwrócili od niej wzrok. Zamilkli już wszyscy, którzy dotąd rozmawiali. Osoba siedząca samotnie kilka metrów dalej, jedna z dwóch ubranych należycie według radchaajskiej mody, w tani sztywny zakiet, rękawiczki i tak dalej, zamknęła oczy, kilka razy odetchnęła z rozmysłem, otworzyła oczy. Ale nic nie powiedziała.

Zignorowałam to wszystko.

– Potrzebuję jakiegoś mieszkania, obywatelko.

– Tutaj nie ma wytwornych hoteli – odparła osoba, która odezwała się tak niegrzecznie. – Nikt tu nie przychodzi zamieszkać. Ludzie tu przychodzą, żeby się napić albo zjeść „autentyczne” potrawy Ychana.

– Żołnierze tu przychodzą, żeby dokopać ludziom, którzy pilnują własnego nosa – mruknął ktoś za moimi plecami. Nie obejrzałam się, wysłałam tylko szybki, bezgłośny rozkaz do Piątki Kair, żeby się nie ruszała.

– A gubernator zawsze ma miejsce dla ważnych ludzi

– ciągnęła osoba, która pierwsza się odezwała, jakby ten drugi głos wcale nie istniał.

– Może nie chce zamieszkać u gubernator.

Z jakiegoś powodu zdawało się, że powiedziałam to, co trzeba. Wszyscy w zasięgu słuchu się roześmiali. Z wyjątkiem ostrożnie milczącej osoby w radchaajskim stroju. Nieliczne spinki,

które nosiła, były uniwersalne i tanie

– mosiądz, barwione szkło. Nic, co wskazywało na rodzinne powiązania. Tylko mała emaliowana Issalnu na kołnierzu mówiła coś konkretnego. To była Emanacja ruchu i bezruchu, co sugerowało, że ta osoba należy do sekty praktykującej szczególny rodzaj medytacji. Z drugiej jednak strony Emanacje były popularne, a skoro zdobiły fronton miejscowej świątyni Amaat, mogły stanowić zastępstwo dla panteonu bogów Athoeki. Więc w końcu nawet Issalnu niewiele mi powiedziała. Ale mnie zaintrygowała.

Wysunęłam krzesło stojące naprzeciwko niej, usiadłam.

– Jesteś bardzo rozgniewana – powiedziałam.

– To byłoby nierozsądne – odparła, wypuściwszy powietrze.

– Uczucia i myśli są nieistotne. – Widziałam, że zanadto ją naciskam, że za chwilę ona wstanie spiesznie i ucieknie. – Służbę bezpieczeństwa obchodzą tylko czyny.

– Tak mówią. – Odepchnęła swoją czarkę i zrobiła ruch, jakby zamierzała wstać.

– Siadaj – rzuciłam ostro. Autorytatywnie. Zamarła. Skinęłam na właścicielkę. – Cokolwiek podajesz, wezmę jedno.

Dostałam czarkę z jakimś proszkiem, który po dolaniu wrzątku stał się gęstą herbatą, jaką wszyscy pili. Skosztowałam.

– Herbata – odgadłam – i jakieś prażone ziarno?

Właścicielka przewróciła oczami, jakbym powiedziała

coś wyjątkowo głupiego, odwróciła się i odeszła bez słowa. Wykonałam gest obojętnej rezygnacji i wzięłam następny łyk.

– No więc – powiedziałam do osoby naprzeciwko, która nie odprężyła się, ale przynajmniej nie wstała i nie uciekła. – To musiało być polityczne.

Szeroko otworzyła oczy, sama niewinność.

– Słucham, obywatelko?

Pozornie, formalnie uprzejma, chociaż z pewnością rozpoznała oznaczenia mojej rangi i powinna zwrócić się do mnie najwyższym tytułem, do jakiego miałam prawo, jeśli go znała. Jeśli naprawdę chciała być uprzejma.

– Nikt tutaj nie patrzy na ciebie ani z tobą nie rozmawia – wyjaśniłam. – I masz inny akcent niż oni. Nie jesteś stąd. Reeducacja zwykle działa na zasadzie prostego warunkowania, żeby robienie rzeczy, za jakie cię aresztowano, stało się bardzo nieprzyjemne. – Czy też najbardziej podstawowy rodzaj tak działał, mogły istnieć i z pewnością istniały metody znacznie bardziej skomplikowane. – Tobie sprawia przykrość wyrażanie gniewu. A jesteś taka rozgniewana. – Nie znałam tutaj nikogo, ale gniew rozpoznałam. Gniew już od dawna był moim towarzyszem. – To było niesprawiedliwe, od początku do końca, tak? Nic nie zrobiłaś. Nic złego, według ciebie. – Tutaj też chyba nikt nie uważał, że to coś złego. Nie odpędzano jej od stołu, nikt się od niej nie odsuwał. Właścicielka ją obsłużyła. – Co się stało?

Milczała przez kilka chwil.

– Przyzwyczaiłaś się mówić, czego chcesz, i zaraz to dostawać, co? – mruknęła w końcu.

– Jeszcze nigdy nie byłam na stacji Athoek. – Wzięłam następny łyk gęstej herbaty. – Jestem tutaj dopiero od godziny i na razie nie bardzo mi się podoba to, co widzę.

– Więc spróbuj gdzie indziej. – Mówiła spokojnie, niemal bez wyczuwalnych śladów sarkazmu czy ironii. Jakby miała na myśli tylko to, co powiedziała.

– Co się stało?

– Ile pijesz herbaty, obywatelko?

– Całkiem sporo – przyznałam. – W końcu jestem Radchaai.

– Na pewno pijesz tylko najlepszą. – Wciąż ta udawana szczerość. Widocznie odzyskała panowanie nad sobą, a ten pozór uprzejmości, podszyty ledwie słyszalnym gniewem, był dla niej czymś normalnym. – Ręcznie zbierane, najrzadsze, najdelikatniejsze pączki.

– Nie jestem aż taka wybredna – odparłam łagodnie. Chociaż po prawdzie nie miałam pojęcia, czy herbata, którą piję, jest ręcznie zbierana, czy nie, w ogóle nic o niej nie wiedziałam poza tym, jak się nazywa i że jest dobra.

– Więc herbatę zbiera się ręcznie?

– Niektórą – sprostowała. – Powinnaś zjechać na dół studni i zobaczyć. Są wycieczki w bardzo przystępnej cenie. Turyści je uwielbiają. Wielu ludzi przyjeżdża tutaj tylko po to, żeby zobaczyć herbatę. I czemu nie? W końcu czym są Radchaai bez herbaty? Na pewno któraś z plantatorek chętnie oprowadzi cię osobiście.

Pomyślałam o obywatelce Fosyf.

– Może pojedę. – Znowu łyknęłam herbacianego kleiku.

Podniosła swoją czarę, wysączyła resztki napoju. Wstała.

– Dziękuję za zajmującą rozmowę, obywatelko.

– Miło było cię poznać, obywatelko – powiedziałam.

– Zamieszkałam na poziomie numer cztery. Wpadnij czasem, kiedy już się urządzisz.

Skłoniła się w milczeniu. Odwróciła się, żeby odejść, ale zamarła, kiedy coś ciężkiego walnęło mocno w ścianę na zewnątrz.

Wszyscy w herbaciarni podnieśli wzrok na ten odgłos. Właścicielka odstawiła czajnik na stół z hukiem, ale klientki nawet nie zareagowały, skupione wyłącznie na tym, co się działo w ciasnym, mrocznym pasażu. Z ponurą, gniewną determinacją wypisaną na twarzy właścicielka wymaszerowała ze sklepu. Wstałam i ruszyłam za nią, a Piątka poszła za mną.

Na zewnątrz serwitor „Miecza Atagaris” przyparł malarkę do ściany, wykręcając jej prawe ramię do tyłu. Przedtem kopnął puszkę farby, sądząc po różowawobrazowych rozbryzgach na jego butach, kałuży, w której teraz stała puszka, i śladach na podłodze. Kapitan Hetnys stała tam, gdzie ją zostawiłam. Obserwowała w milczeniu.

Właścicielka herbaciarni podeszła prosto do serwitora.

– Co ona takiego zrobiła? – zapytała gwałtownie. – Przecież nic nie zrobiła!

„Miecz Atagaris” nie odpowiedział, tylko jeszcze mocniej wykręcił ramię malarki, tak brutalnie, że ta z okrzykiem bólu oderwała się od ściany i upadła na kolana, a potem twarzą dotknęła podłogi. Farba pobrudziła jej ubranie, jedną stronę twarzy. Serwitor wbił kolano

między jej łopatki, a ona zachłysnęła się i cicho zaskomlała.

Właścicielka herbaciarni cofnęła się o krok, ale nie odeszła.

– Puść ją! Wynajęłam ją, żeby pomalowała drzwi.

Pora interweniować.

– „Mieczu Atagaris”, uwolnij tę obywatelkę.

Serwitor się zawahał. Zapewne dlatego, że nie postrzegął malarki jako obywatelki. Potem puścił ją i wstał.

Właścicielka herbaciarni uklękła obok malarki i przemówiła w języku, którego nie znałam, ale sądząc po jej tonie, pytała, czy z malarką wszystko w porządku. Wiedziałam, że nie jest w porządku – chwyt zastosowany przez „Miecz Atagaris” miał wyrządzić krzywdę. Sama go stosowałam wiele razy dokładnie w tym celu.

Uklękłam obok właścicielki herbaciarni.

– Prawdopodobnie masz złamaną rękę – powiedziałam do malarki. – Nie ruszaj się. Wezwę służbę medyczną.

– Medyczna tu nie przychodzi – oświadczyła właścicielka z goryczą i pogardą. A do malarki: – Możesz wstać?

– Naprawdę nie powinnaś się poruszać – ostrzegłam.

Jednak malarka mnie zignorowała. Z pomocą właścicielki i dwóch innych klientek dźwignęła się na nogi.

– Kapitanie floty, pani. – Kapitan Hetnys była wyraźnie oburzona i wyraźnie usiłowała to ukryć. – Ta osoba dewastowała stację.

– Ta osoba – zripostowałam – malowała drzwi herbaciarni na zlecenie właścicielki.

– Ale ona nie dostałaby zezwolenia, pani! A farba z pewnością była kradziona.

– Nie była kradziona! – zawołała właścicielka, podczas gdy malarka odchodziła powoli, podtrzymywana przez dwie klientki, z których jedną była gniewna osoba w szarych rękawiczkach. – Kupiłam ją!

– Czy zapytałaś malarkę, skąd ma farbę? – zwróciłam się do kapitan Hetnys. Spojrzała na mnie z tępym zdumieniem, jakby moje pytanie nie miało dla niej sensu. – Czy zapytałaś ją o zezwolenie?

– Pani, nikt nie ma zezwolenia, żeby cokolwiek tu robić. – Kapitan Hetnys mówiła z wystudiowanym spokojem, pod którym jednak wyczuwałam frustrację.

Skoro tak, zaciekało mnie, dlaczego ta konkretnie niedozwolona działalność wywołała tak gwałtowną reakcję.

– Zapytałaś stację, czy farba jest kradziona? – Kapitan Hetnys znowu nie rozumiała. – Czy z jakiegoś powodu nie mogłaś wezwać stacyjnej Służby Bezpieczeństwa?

– Pani, to my jesteśmy teraz Służbą Bezpieczeństwa w Podogrodzie. Pomagamy utrzymać porządek w trudnej sytuacji. Stacyjna Służba Bezpieczeństwa tu nie przychodzi. Nikt...

– Nie powinien tu przebywać – dokończyłam. Odwróciłam się do Piątki. – Dopilnuj, żeby ta obywatelka bezpiecznie dotarła do Medycznego i żeby natychmiast udzielono jej pomocy.

- Nie potrzebujemy twojej pomocy – zaprotestowała właścicielka herbaciarni.
- Wszystko jedno – uciełam i skinęłam na Piątkę, która wyszła. Znowu odwróciłam się do kapitan Hetnys. – Więc „Miecz Atagaris” pilnuje bezpieczeństwa w Podogrodzie.
- Tak, pani – potwierdziła kapitan Hetnys.
- Czy on... albo ty, skoro o tym mowa... macie jakieś doświadczenie w cywilnej Służbie Bezpieczeństwa?
- Nie, pani, ale...
- Ten chwyt – przerwałam jej – nie jest odpowiedni do stosowania na obywatelkach. I łatwo można kogoś udusić, klękając mu na plecach w ten sposób. – No i dobrze, jeśli ci nie zależało, żeby dana osoba przeżyła. – Ty i twój statek natychmiast zapoznacie się z wytycznymi dotyczącymi postępowania z cywilnymi obywatelkami. I będziecie się do nich stosować.
- Za pozwoleniem, kapitanie floty, pani. Nie rozumiesz. Ci ludzie są... – Urwała. Zniżyła głos. – Ci ludzie są ledwie cywilizowani. I mogli pisać cokolwiek na tych ścianach. W obecnym czasie, malując ściany w ten sposób, mogli rozprzestrzeniać plotki, przekazywać tajne wiadomości albo podżegające slogany, podburzać ludzi. ... – Chwilowo zabrakło jej słów.
- A stacja nie może tu zajrzeć, pani. Tu mogą przebywać wszelkiego rodzaju nieautoryzowani ludzie, pani. Albo nawet obcy!
- Przez chwilę zdziwiło mnie określenie „nieautoryzowani ludzie”. Według kapitan Hetnys wszyscy tu byli nieautoryzowani – nikt nie miał zezwolenia, żeby tu przebywać. Potem zrozumiałam, że chodziło jej o ludzi, których samo istnienie było nieautoryzowane. Ludzi, którzy urodzili się tu bez wiedzy stacji i którym nie wszczepiono trackerów. Ludzi, których stacja w żaden sposób nie mogła zobaczyć.
- Potrafiłam sobie wyobrazić – może – jedną czy dwie takie osoby. Ale dostatecznie wiele, żeby stworzyć prawdziwy problem?
- Nieautoryzowani ludzie? – Podkreśliłam swój starożytny akcent, wsączyłam do głosu odrobinę sceptycyzmu. – Obcy? Doprawdy, kapitanie.
- Za pozwoleniem, kapitanie floty. Sądzę, że przywykłaś do miejsc, gdzie wszyscy są cywilizowani. Gdzie wszyscy w pełni się przystosowali do radchaajskiego trybu życia. To nie jest takie miejsce.
- Kapitanie Hetnys – powiedziałam. – Ty i twoja załoga nie będziecie stosować przemocy wobec obywaterek na tej stacji, jeśli to nie będzie absolutnie konieczne. I – ciągnęłam wbrew jej oczywistej chęci protestu – jeśli to się okaże konieczne, będziecie przestrzegać tych samych przepisów co stacyjna Służba Bezpieczeństwa. Czy wyrażam się jasno?
- Zamrugnęła. Przelknęła to, co naprawdę chciała odpowiedzieć.
- Tak jest, pani.
- Odwróciłam się do serwitora.
- „Mieczu Atagaris”? Czy to jasne?
- Serwitor się zawahał. Niewątpliwie zdumiony, że zwracam się do niego bezpośrednio.
- Tak, kapitanie floty.

Dobrze. Dokończymy tę rozmowę na osobności.

Rozdział 7

Za radą i z pomocą stacji zajęłam pusty ciąg pokoiów na poziomie czwartym. Czuć tam było stęchlizną i podejrzewałam, że nieliczne panele świetlne oparte o ściany zagrabiono z korytarzy po drodze, skoro sklepy raczej nie były dziś otwarte, a personel magazynów stacji miał wolne. Nawet w słabym świetle ściany i podłogi wyglądały na brudne i zakurzone. Obok naszego bagażu kilka kawałków drewna i odłamków szkła sugerowało, że ktokolwiek tu mieszkał przed zniszczeniem Podogrodu, nie zabrał wszystkiego, ale pożyteczne przedmioty zostały rozszabrowane przez lata.

– Nie ma wody, pani – oznajmiła porucznik Tisarwat. – Co znaczy, że najbliższe łazienki są... lepiej, żebyś nie oglądała tych łazienek, pani. Chociaż nie ma wody, ludzie z nich korzystali, żeby... no cóż. W każdym razie wysłałam Dziewiątkę po wiadra i środki czystości, jeśli je znajdzie.

– Bardzo dobrze, poruczniku. Czy kapitan Hetnys i ja możemy tu gdzieś odbyć konferencję? Najlepiej, żeby było na czym usiąść.

W liliowych oczach porucznik Tisarwat błysnął niepokój.

– Pani. Tam nie ma na czym usiąść, pani, chyba że na podłodze. Albo na bagażach.

Co opóźniłoby rozpakowywanie.

– W takim razie usiądziemy na podłodze. – „Łaska Kair” pokazała mi przypływ oburzenia u każdej z obecnych Kair, ale żadna z nich się nie odezwała ani nawet nie zmieniła wyrazu twarzy, z wyjątkiem porucznik Tisarwat, która bardzo się starała ukryć konsternację. – Czy w pobliżu ktoś jest?

– Stacja mówi, że nie, pani – odparła porucznik Tisarwat. Wykonała gest w stronę drzwi. – To chyba najlepsze miejsce.

Kapitan Hetnys weszła za mną do pokoju wskazanego przez Tisarwat. Przykucnęłam na brudnej podłodze i gestem zaprosiłam ją, żeby do mnie dołączyła. Z pewnym wahaniem kucnęła przede mną, jej serwitor stanął z tyłu.

– Kapitanie, czy ty albo twój statek wysyłacie jakieś dane do stacji?

Oczy jej się rozszerzyły ze zdumienia.

– Nie, pani.

Szybko sprawdziłam, że mój statek tego nie robił.

– Zatem jeśli dobrze zrozumiałam, uważasz, że Presgerzy mogą zaatakować ten układ. Że może już zinfiltrowali tę stację.

Radch znali trzy gatunki obcych, z którymi nawiązali kontakt: Geck, Rrrrrr i Presgerów. Geck rzadko opuszczali swój świat. Stosunki z Rrrrrr były napięte, ponieważ pierwsze spotkanie z nimi zakończyło się katastrofą. Nasz traktat z Presgerami został sformułowany w

taki sposób, że wojna z Rrrrrr mogła oznaczać zerwanie tego traktatu.

Przed traktatem kontakty z Presgerami były niemożliwe. W istocie nieodmiennie zgubne. Przed traktatem Presgerzy byli nieprzejednanymi wrogami ludzkości. Nie tyle wrogami, ile drapieżcami.

– Jak rozumiem, twoja porucznik Amaat pomyślała, że „Łaska Kair” to zamaskowany statek Presgerów.

– Tak, pani – przyznała kapitan Hetnys niemal z ulgą.

– Czy masz powody przypuszczać, że Presgerzy zerwali traktat? Czy dysponujesz choćby najsłabszymi poszlakami, że interesuje ich Athoek?

Coś przemknęło przez jej twarz.

– Pani, prawie od miesiąca nie odbieram żadnych oficjalnych komunikatów. Dwadzieścia sześć dni temu straciłyśmy kontakt z Omaugh, cała ta część prowincji. Wysłałam „Łaskę Phey” do Omaugh, żeby sprawdziła, co się stało, ale nawet gdyby doleciała na miejsce i od razu wróciła, nie dostałabym od niej wiadomości jeszcze przez kilka dni. – Widocznie dotarła na Omaugh wkrótce po moim odjeździe. – Na polecenie gubernator układowi oficjalne kanały informują o „nieprzewidzianych trudnościach” i niewiele więcej, ale ludzie się denerwują.

– Zrozumiałe.

– A potem, dziesięć dni temu, straciłyśmy wszelki kontakt z Pałacem Tstur. – Czyli mniej więcej w tym czasie, kiedy informacja z Omaugh dotarła do Tstur, plus odległość stamtąd tutaj.

– A Presgerzy nigdy nie byli naszymi przyjaciółmi, pani, i... słyszałam różne rzeczy.

– Od kapitan Vel – odgadłam. – O Presgerach podkopujących imperium Radch.

– Tak, pani – przyznała. – Ale mówiłaś, że kapitan Vel jest zdrajczynią.

– Presgerzy nie mają z tym nic wspólnego. Lord Radch jest w konflikcie ze sobą. Podzieliła się co najmniej na dwie frakcje o sprzecznych celach. Sprzecznych poglądach na przyszłość Radch. Każda rekrutuje statki do swojej sprawy. – Podniosłam wzrok na serwitora, stojącego na baczność, z twarzą bez wyrazu. Pozornie obojętną. Wiedziałam, że te pozory są zwodnicze. – „Mieczu Atagaris”. Jesteś w tym układzie od jakichś dwustu lat.

– Tak, kapitanie floty. – Głos jednostajny, pozbawiony intonacji, niezdradzający ani śladu zdziwienia, niewątpliwie odczuwanego przez statek, że zwróciłam się bezpośrednio do niego już po raz drugi.

– Lord Radch złożyła wizytę w tym okresie. Czy odbyła z tobą prywatną rozmowę? Może tutaj, w Podogrodzie?

– Nie rozumiem, o co pyta kapitan floty – oświadczył „Miecz Atagaris” przez usta serwitora.

– Pytam – powtórzyłam, natychmiast rozpoznając wykręty – czy odbyłeś prywatną rozmowę z Anaander Mianaai, taką, której nikt nie mógł podsłuchać. Ale chyba już mi odpowiedziałeś. Czy to była ta, która twierdzi, że Presgerzy zinfiltrowali Radch, czy ta druga?

– Ta druga, która oddała mi dowództwo „Łaski Kair”. I przydzieliła mi Tisarwat.

A może, bogowie, nas ratujcie, istniała jeszcze trzecia część Mianaai, dysponująca jeszcze

innym usprawiedliwieniem tego, co robiła?

– Za pozwoleniem, kapitanie floty – wtrąciła kapitan Hetnys w krótkiej ciszy, która zapadła po moim pytaniu – czy mogę mówić szczerze?

– Bardzo proszę, kapitanie.

– Pani. – Przełknęła ślinę. – Najmocniej błagam o wybaczenie, znam kapitanów floty w tej prowincji. Nie ma wśród nich twojego nazwiska.

Z pewnością do tej pory „Miecz Atagaris” pokazał już jej mój przebieg służby – przynajmniej tyle, ile mu udostępniono – i odkryła, że awansowałam na kapitana floty zaledwie przed kilkoma tygodniami. W tym samym czasie, kiedy wstąpiłam do wojska. Z takiej informacji można było wyciągnąć różne wnioski i kapitan Hetnys najwyraźniej wybrała jeden – że z jakiegoś powodu mianowano mnie pospiesznie na to stanowisko bez wojskowego przygotowania. Mówiąc to do mnie na głos, ryzykowała życie.

– Zostałam mianowana niedawno.

Samo to nasuwało kilka pytań. Kapitan Hetnys na pewno chciała wiedzieć, dlaczego to nie ją mianowano kapitanem floty. Prawdopodobnie zadała sobie to pytanie na samym początku.

– Pani, czy moja lojalność budzi wątpliwości? – Potem sobie uświadomiła, że to nie jej kariera jest najbardziej palącą kwestią. – Powiedziałaś, że moja lord jest... podzielona. Że to wszystko spowodował jej konflikt ze sobą. Nie bardzo rozumiem, jak to możliwe.

– Stała się zbyt wielka, żeby pozostać pojedynczą istotą, kapitanie. Jeśli w ogóle kiedyś była tylko jedna.

– Oczywiście, że była, pani. Jest. Za przeproszeniem, kapitanie floty, może nie masz zbyt wielkiego doświadczenia ze statkami obsadzonymi przez serwitory. To nie to samo, pani, ale bardzo podobne.

– Pozwolę sobie przypomnieć kapitanowi – oświadczyłam zimnym, ironicznym tonem – że nie ma dostępu do całego przebiegu mojej służby. Całkiem dobrze znam się na serwitorach.

– Nawet mimo to, pani. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą i moja lord podzieliła się na dwie i walczy ze sobą, jeśli obie są lord Radch... to skąd mamy wiedzieć, która jest prawdziwa?

Napomniałam się, że to nowa koncepcja dla kapitan Hetnys. Że dotąd żadna Radchaaai nigdy nie kwestionowała tożsamości Anaander Mianaai ani nie zastanawiała się nad zasadnością jej roszczeń do władzy. To był po prostu oczywisty fakt.

– Obie są prawdziwe, kapitanie. – Na jej twarzy nie pojawiło się zrozumienie. – Gdyby „prawdziwa” Anaander nie dbała o życie obywaterek, dopóki wygrywa tę walkę ze sobą, czy nadal wypełniałabyś jej rozkazy?

Milczała przez dobre trzy sekundy.

– Chyba musiałabym wiedzieć więcej. – Całkiem rozsądnie. – Ale, ogromnie przepraszam, kapitanie floty, słyszałam różne rzeczy o infiltracji przez obcych.

– Od kapitan Vel.

– Tak, pani.

– Myliła się. – A raczej padła ofiarą manipulacji; tamta Anaander łatwiej mogła zdobyć jej

sympatię i zaufanie, oskarżając zewnętrznego wroga, którego niemal wszyscy Radchaaai bali się i nienawidzili.

Nie mogłam jednak przysiąc, że Presgerzy nie maczali w tym palców. To Presgerzy stworzyli broń, którą nosiłam pod kurtką, niewidzialną dla żadnych skanerów, jej pociski zdolne przebić każdy materiał we wszech–świecie. To Presgerzy sprzedali tę broń Garseddai, dwadzieścia pięć sztuk tej broni, do obrony przed aneksją Radch.

I to zagłada Garseddai w rezultacie tej transakcji – całkowite i ostateczne zniszczenie wszelkiego życia w tym układzie – spowodowała kryzys Anaander, wywołała wewnętrzny konflikt tak silny, że mogła go rozwiązać tylko w jeden sposób: wypowiadając wojnę sobie samej.

Lecz na ten kryzys zanosilo się od dawna. Tysiące ciał rozproszonych po całej przestrzeni Radch, dwanaście oddzielnych kwater głównych, nieustannie komunikujących się między sobą, ale z opóźnieniem. Przestrzeń Radch i sama Anaander powiększały się stale przez trzy tysiące lat i teraz każda myśl potrzebowała tygodni, żeby dotrzeć z jednego końca do drugiego. To zawsze, od początku, skazane było na rozpad.

Oczywiste, gdy spogląda się na to z perspektywy czasu. Oczywiście i przedtem, można by pomyśleć. Ale tak łatwo nie dostrzegać oczywistości, nawet kiedy już dawno powinna się rzucać w oczy.

– Kapitanie – powiedziałam – mam rozkaz, żeby zapewnić temu układowi bezpieczeństwo i stabilność. Jeśli to znaczy, że będę musiała go bronić przed samą lord Radch, tak właśnie zrobię. Jeśli otrzymałaś rozkazy, żeby popierać jedną czy drugą stronę, albo jeśli masz zdecydowane poglądy polityczne, to zabieraj swój statek i znikaj stąd. Jak najdalej od Athoek, jeśli mogę prosić.

Zastanawiała się nad tym odrobinę za długo jak na mój gust.

– Pani, posiadanie jakichkolwiek poglądów politycznych nie należy do moich obowiązków.

– Nie miałam pewności, w jakim stopniu ta odpowiedź była szczerą. – Moim obowiązkiem jest wykonywanie rozkazów.

– Które do tej pory oznaczały pomaganie gubernator układowi w utrzymywaniu tu porządku. Odtąd masz rozkaz pomagać mi w utrzymywaniu bezpieczeństwa w tym układzie.

– Tak jest, pani. Oczywiście, pani. Ale...

– Tak?

– Nie kwestionując inteligencji i kwalifikacji kapitan floty... – Urwała, kiedy sobie uświadomiła, że taki początek zdania musi doprowadzić do niezręcznego zakończenia.

– Martwi cię mój pozorny brak wojskowego doświadczenia. – Warto było zaryzykować życie kapitan Hetnys, żeby wyjaśnić tę kwestię. Obdarzyłam ją lekkim, przyjemnym uśmiechem. – Faktycznie administracja potrafi schrzanić przydziały. – Cichutko parsknęła z rozbawieniem. Wszystkie żołnierki narzekały na administrację wojskową. – Ale to nie administracja mnie mianowała, tylko osobiście Anaander Mianaai. – Całkowita prawda, ale niezbyt cenna rekomendacja, nie taka, jaką chciałabym się pochwalić. – I pewnie sobie

mówisz: „ona nazywa się Mianaai, jest kuzynką lord Radch”. – Lekkie drgnienie mięśni jej twarzy zdradziło mi, że o tym pomyślała. – I miałaś do czynienia z ludźmi awansowanymi dlatego, że byli czyimiś kuzynami. Nie obwiniam cię, ja też się z takimi stykałam. Ale mimo tego, co widziałas w dostępnej wersji mojego przebiegu służby, nie jestem nowym rekrutem.

Zastanowiła się nad tym. Jeszcze chwila i dojdzie do wniosku, że przedtem służyłam w Misjach Specjalnych, gdzie robiłam rzeczy zbyt tajne, żeby przyznać, że w ogóle się wydarzyły.

– Kapitanie floty, pani. Bardzo przepraszam. – Gestem pokazałam, że nie ma za co. – Ale, pani, Misje Specjalne przywykły działać w pewnym stopniu... nieprzepisowo i...

Zdumiewające skrupuły jak na osobę, która nawet nie mrugnęła, kiedy na jej rozkazy serwitorki kaleczyły obywatelki.

– Tak się składa, że mam niejaki doświadczenie w sytuacjach, kiedy wszystko poszło źle, bo ktoś działał zbyt nieprzepisowo. A także dlatego, że ktoś zbyt dosłownie stosował przepisy. A nawet jeśli Athoek nie ma absolutnie żadnych problemów, cała przestrzeń Radch znajduje się w nieprzepisowej sytuacji.

Nabrała powietrza, żeby pytać dalej, ale się rozmyśliła.

– Tak jest, pani.

Spojrzałam na serwitor „Miecza Atagaris”, stojący za nią nieruchomo, w milczeniu.

– A ty, „Mieczu Atagaris”?

– Robię, co moja kapitan rozkaże, kapitanie floty.

– Bez intonacji. Na pozór bez emocji. Ale niemal na pewno zaskoczony moim pytaniem.

– No cóż. – Nie ma sensu naciskać zbyt mocno. Wstałam. – Wszyscy mamy za sobą ciężki dzień. Zaczniemy jutro od nowa, dobrze? A ty jesteś zaproszona na kolację, kapitanie, o ile pamiętam.

– Podobnie jak kapitan floty-przypomniała mi kapitan Hetnys. – Na pewno będzie bardzo dobre jedzenie. I paru ludzi, których chciałabyś poznać. – Starła się omijać wzrokiem ponure, brudne otoczenie. Bez mebli. Nawet bez wody. – Gubernator też tam będzie, pani.

– Więc chyba – powiedziałam do kapitan Hetnys

– powinnam pójść na kolację.

Rozdział 8

Apartament obywatelki Denche Fosyf pysznił się jadalnią całą przeszkloną po jednej stronie, z widokiem na wciąż zatłoczony pasaż w dole. Cztery metry na osiem, ściany pomalowane ochrą. Wysoko na półce stały rzędem rośliny o długich, grubych łodygach zwieszających się prawie do podłogi, ostrych kolcach i mięsistych, okrągłych jaskrawozielonych liściach. Chociaż duża według standardów stacji, jadalnia nie pomieściłaby wszystkich domowników zamożnej Radchaai – kuzynów, protegowanych, służących i ich

dzieci – i sądząc po kilkorgu małych dzieciach w różnych stadiach rozebrania i lepkości, śpiących na poduszkach w przyległym salonie, odbywała się co najmniej druga tura świątecznej kolacji.

– Kapitan floty – oznajmiła Fosyf ze swojego miejsca na jednym końcu stołu z jasnego, pozłacanego drewna – też jest kolekcjonerką jak ty, administratorko Celar!

Fosyf była wyraźnie zadowolona z tego odkrycia. Niemal wystarczająco, żeby ukryć swoje rozczarowanie tym, że nie udzieliłam jej żadnych informacji na temat braku łączności z najbliższymi pałacami i że uprzejmość nie pozwalała jej o to zapytać.

Administratorka stacji Celar odważyła się okazać ostrożne zainteresowanie.

– Kolekcjonerka, kapitanie floty? Piosenek? Jakiego rodzaju?

Była masywną, zwalistą osobą w jaskrawo różowym żakiecie i spodniach, przepasanych żółtozieloną szarfą. Ciemnoskóra, ciemnooka, z bujnymi kędzierzawymi włosami zebranymi do góry i spiętymi w wysoki węzeł. Była bardzo piękna i chyba tego świadoma, chociaż nie w odstręczający sposób. Obok siedziała jej córka Piat, cicha i dziwnie zamknięta w sobie. Nie była ani taka duża, ani taka piękna, ale jeszcze młoda i kiedyś mogła dorównać matce pod jednym i drugim względem.

– Nie jestem wybredna, administratorko. Mam raczej wszechstronny gust. – Gestem odmówiłam dokładki wędzonych jajek.

Kapitan Hetnys siedziała obok mnie milcząca, skupiona na własnej porcji. Naprzeciwno, obok administratorki stacji, zasiadała gubernator układu Giarod, wysoka i barczysta, w miękkim, powłóczystym zielonym żakiecie. Coś szczególnego w odcieniu jej skóry sugerowało, że ją przyciemniła. Od chwili kiedy weszła, była tak opanowana, jakby jadła najzwyczajszą kolację, nic nadzwyczajnego.

– Ja szczególnie interesuję się ghaonijską muzyką – wyznała administratorka Celar.

Fosyf się rozpromieniła. Raughd, córka Fosyf, uśmiechnęła się nieszczerze, dość umiejętnie maskując znudzenie. Kiedy się zjawiłam, była nieco zbyt usłużna, zbyt pełna szacunku. Znałam tak wielu młodych ludzi z jej klasy, tak intymnie, przez tak długi czas, że nawet bez podpowiadającej mi SI wiedziałam, iż leczy kaca. Wiedziałam też, że lekarstwo na kaca, które zażyła, zaczyna działać.

– Dorastałam zaledwie kilka bram od Ghaon, rozumiesz – ciągnęła administratorka stacji Celar – i służyłam tam na stacji jako asystentka administratorka przez dwadzieścia lat. Takie fascynujące! I tak trudno znaleźć coś prawdziwego, autentycznego. – Nabiła na widelec kawałek bagowca, ale zamiast go włożyć do ust, opuściła go na kolana, pod stół. Obok jej córka Piat uśmiechnęła się leciutko po raz pierwszy, odkąd ją zobaczyłam.

– Ghaonijską ogólnie? – Stacja, na której służyła administratorka Celar, dopiero zaczynała się budować, kiedy ostatnio tam byłam, przed wiekami. – W czasie aneksji na Ghaon istniały co najmniej trzy oddzielne podmioty polityczne, zależy, jak liczyć, i z siedem głównych języków, z których każdy rozwinął własne, odmienne style muzyczne.

– Ty to rozumiesz! – zawołała i niemal cała jej rezerwa wobec mnie ulotniła się w jednej

chwili. – Tyle tego, a tak mało zostało prawdziwych ghaonijskich pieśni.

– Co byś mi dała – zagadnęłam – za ghaonijską piosenkę, której nigdy nie słyszałaś?

Szeroko otwarła oczy z widocznym niedowierzaniem.

– Pani – powiedziała z oburzeniem. Obrażona.

– Kpisz sobie ze mnie.

Uniosłam brew.

– Zapewniam, że nie, administratorko. Dostałam kilka od statku, który tam był podczas aneksji. – Nie wspomniałam, że to ja byłam tym statkiem.

– Spotkałaś „Sprawiedliwość Toren”? – wykrzyknęła.

– Cóż to była za strata! Służyłaś na niej? Tak często marzyłam, żeby spotkać kogoś, kto tam służył. Jedna z naszych ogrodniczek miała siostrę, która służyła na „Sprawiedliwości Toren”, ale to było dużo wcześniej, zanim tu przyjechała. Była zaledwie dzieckiem, kiedy... – Ze smutkiem pokręciła głową. – Co za szkoda.

Czas odłożyć ten temat na później. Odwróciłam się do gubernator Giarod.

– Czy wypada zapytać, gubernatorze – zagadnęłam

– o ten świątynny rytuał, który tak cię absorbował przez cały dzień? – Mój akcent był równie wytworny jak u każdej wysoko urodzonej oficer, ton powierzchownie uprzejmy, ale podszyty ostrą nutą.

– Wypada zapytać – zgodziła się gubernator – ale nie jestem pewna, jak wiele odpowiedzi wypada udzielić.

– Podobnie jak administratorka stacji Celar, wzięła kawałek bagrowca i chyba położyła go na kolanach.

– Ach – odgadłam. – Świątynne tajemnice. Widziałam kilka w ciągu mojego dwutysiącletniego życia. Żadnej świątyni nie pozwolono na dalszą działalność, dopóki nie dopuściła Anaander Mianaai do swoich sekretów. W rezultacie wszystkie, które przetrwały, były niezbyt ekskluzywne. Przynajmniej teoretycznie – przystąpienie do nich mogło kosztować krocie.

Gubernator Giarod wsunęła pod stół następny kawałek owocu. Domyślałam się, że dla jakiegoś dziecka bardziej odpornego na zmęczenie i może bardziej przedsiębiorczego niż jego rodzeństwo i kuzynki.

– Te tajemnice są dość stare – oświadczyła gubernator. – I bardzo ważne dla Athoeki.

– Ważne dla Athoeki czy tylko dla Xhai? I w jakiś sposób związane z historią o Athoeki, które udawały, że obcięły sobie penisy?

– Nieporozumienie, kapitanie floty – sprostowała gubernator Giarod. – Festiwal Genitaliów jest znacznie starszy niż aneksja. Athoeki, zwłaszcza Xhai, są bardzo uduchowione. „Znacznie” to metafora, nieadekwatnie materialny sposób mówienia o niematerialnych rzeczach. Jeśli interesujesz się religią, kapitanie floty, zachęcam, żebyś wstąpiła do nowicjatu.

– Obawiam się – wtrąciła obywatelka Fosyf, zanim zdążyłam odpowiedzieć – że zainteresowania kapitan floty są raczej muzyczne niż religijne. Interesuje ją tylko śpiew. –

Dość bezczelne stwierdzenie. Ale prawdziwe.

Pod spodem maleńka goła rączka złapała nogawkę moich spodni – jej właścicielka straciła cierpliwość do gubernator pogrążonej w rozmowie i postanowiła spróbować szczęścia ze mną. Miała niewiele ponad rok i była, na ile widziałam, całkiem naga. Podałam jej kawałek bagrowca – widocznie jej ulubionego – który wzięła lepką rączką, włożyła do ust i przeżuwała ze skupieniem, marszcząc brwi, oparta o moją nogę.

– Obywatelka Fosyf mówiła mi, że robotnice w jej majątku dużo śpiewają – zauważyłam.

– O tak! – potwierdziła administratorka stacji Celar. – Dawniej głównie przywoziłyśmy je z Samiru, ale obecnie wszystkie to Valskaayanki.

To wydało mi się dziwne.

– Wszystkie wasze robotnice połowę to Valskaayanki?

Wsunęłam pod stół następny kawałek bagrowca. Piątka Kair będzie miała powód do narzekania na lepkie ślady palców na moich spodniach. Ale Radchaai w zasadzie lubili rozpieszczać małe dzieci i Piątka nie będzie się zbytnio dąsać.

– Samir został anektowany jakiś czas temu, kapitanie floty – wyjaśniła Fosyf. – Wszystkie Samirendki są teraz mniej więcej cywilizowane.

– Mniej więcej – mruknęła kapitan Hetnys obok mnie.

– Znam dość dobrze valskaayańską muzykę – oznajmiłam, ignorując ją. – Czy one mówią w delsig?

Fosyf zmarszczyła brwi.

– Ależ oczywiście, kapitanie floty. Z pewnością słabo znają radchaajski.

Valskaayanki miały nadającą się do zamieszkania planetę o całkowicie umiarkowanym klimacie, nie licząc dziesiątków stacji i księżyców. Delsig był językiem, który Valskaayanka musiała znać, jeśli chciała prowadzić interesy poza własnym domem, ale bynajmniej nie każda Yalskaayanka nim mówiła.

– Czy zachowały swoją tradycję chórów?

– Niektóre, kapitanie floty – odparła Celar. – Improvizują też partie basowe albo discantus do piosenek, których się nauczyły, odkąd tu przybyły. Burdon, równoległe linie melodyczne, zasz te rzeczy, bardzo prymitywne. Ale niespecjalnie ciekawe.

– Dlatego, że nieautentyczne? – odgadłam.

– Właśnie – przyświadczyła administratorka stacji Celar.

– Osobiście bardzo mało się przejmuję autentyzmem

– oświadczyłam.

– Wszechstronny gust, jak mówiłaś – przypomniała z uśmiechem administratorka stacji Celar.

Potwierdzająco uniosłam sztuciec.

– Czy ktoś importował jakieś zapisy muzyczne?

– W niektórych miejscach na Valskaay, zwłaszcza tam, gdzie delsig był najczęściej pierwszym językiem, towarzystwa śpiewacze stanowiły ważną instytucję społeczną i każda

wykształcona osoba uczyła się czytać nuty. – Żeby nie były skazane na prymitywny i nieciekawny burdon?

– Zabarwiłam głos lekkim sarkazmem.

– Na łaskę Amaat, kapitanie floty! – wtrąciła się obywatelka Fosyf. – One ledwie potrafią wydukać trzy słowa po radchaajsku. Nie wyobrażam sobie, żeby moje robotnice połowę zasiadały do nauki czytania nut.

– Mogłoby dostarczyć im zajęcia – zauważyła Raughd, która dotąd siedziała w milczeniu, nieszczerze uśmiechnięta. – Żeby nie sprawiały kłopotów.

– Jeśli o to chodzi, według mnie właśnie wykształcone Samirendki sprawiają nam najwięcej problemów

– oświadczyła Fosyf. – Nadzorcynie pól to prawie same Samirendki, kapitanie floty. Na ogół dość inteligentne. I raczej można na nich polegać, ale zawsze się znajdzie jedna czy dwie i wystarczy pozwolić, żeby te dwie się spiknęły i przekonały inne, i ani się obejrzyj, jak zaczną podburzać robotnice. Tak się zdarzyło jakieś piętnaście, dwadzieścia lat temu. Robotnice na pięciu plantacjach usiadły i odmówiły zbierania herbaty. Po prostu usiadły! Oczywiście przestałyśmy je karmić na tej podstawie, że nie wypełniają swoich zadań. Ale na planecie to nie ma sensu. Każdy, kto nie chce pracować, może się wyżywić z zasobów natury.

Podejrzewałam, że wcale nie tak łatwo było się wyżyć z natury.

– Sprowadziłyście inne robotnice?

– To było w pełni okresu wegetacji, kapitanie floty

– wyjaśniła obywatelka Fosyf. – I wszystkie moje sąsiadki miały takie same trudności. Ale w końcu wylapałyśmy samirendzkie prowodyrki, przykładowo ukarałyśmy, no i robotnice same wróciły do pracy po jakimś czasie.

Tak wiele pytań chciałam zadać.

– A skargi robotnic?

– Skargi! – oburzyła się Fosyf. – Nie miały żadnych skarg. Żadnych poważnych. Prowadzą przyjemne życie, zapewniam. Czasami sama chciałabym, żeby mnie wyznaczono do zbierania herbaty.

– Zostaniesz tu, kapitanie floty? – zapytała gubernator Giarod. – Czy wracasz na swój statek?

– Zamieszkałam w Podogrodzie – oznajmiłam.

Natychmiast zapadła kompletna cisza, nawet sztucce nie brzęknęły na porcelanie. Zamarły nawet służące ustawiające półmiski na kredensach z jasnego, polowanego drewna. Malec pod stołem, niczego nieświadomy, przeżuwał ostatni kawałek bagrowca.

Potem Raughd się roześmiała.

– No, właściwie czemu nie? Żadne z tych brudnych zwierząt ci nie podskoczy, prawda?

Na razie jej maska dobrze się trzymała, ale do głosu przeniknęła pogarda. Spotykałam już takie jak ona, wiele razy. Nieliczne z nich nawet okazywały się przyzwoitymi oficer, kiedy nauczyły się tego, czego musiały się nauczyć. Inne nigdy się nie nauczyły.

– Daj spokój, Raughd – napomniała ją łagodnie matka. Właściwie nikt przy stole nie wydawał się zdziwiony ani zaszokowany słowami Raughd. Fosyf odwróciła się do mnie.

– Raughd i jej przyjaciółki lubią popijać w Podogrodzie. Ostrzegałam ją wiele razy, że to niebezpieczne.

– Niebezpieczne? – zapytałam. – Doprawdy?

– Pełno tam kieszonkowców – oznajmiła administratorka stacji Celar.

– Turystki! – prychnęła Raughd. – Same chcą, żeby je obrabować. Dlatego w ogóle tam chodzą. Tylko jęczą i skarżą się w Bezpieczeństwie. – Lekceważąco machnęła ręką w błękitnej rękawiczce. – To część zabawy. Inaczej bardziej by uważały.

Nagle zapragnęłam wrócić na „Łaskę Kair”. Medyczka na służbie mówiła coś krótko i zgryźliwie do jednej z towarzyszących jej Kair. Porucznik Ekalu przeprowadzała inspekcję pracy swoich Etrepa. Seivarden, siedząc na brzegu łóżka, pytała:

– Statku, jak sobie radzi kapitan floty?

– Sfrustrowana – odpowiedziała „Łaska Kair” do ucha Seivarden. – Rozgniewana. Bezpieczna, ale igrza z ogniem, jak to się mówi.

Seivarden niemal prychnęła.

– Czyli wszystko w normie.

W korytarzu na innym pokładzie cztery Etrepa zaczęły śpiewać popularną piosenkę, nierówno, fałszując.

W jadalni o ochrowych ścianach dziecko, wciąż trzymające nogawkę moich spodni, zaczęło płakać. Obywatelka Fosyf i obywatelka Raughd okazały zdumienie – widać nie zdawały sobie sprawy, że ktoś jest pod stołem. Sięgnęłam, podniosłam dziecko i posadziłam sobie na kolanach.

– Miałaś długi dzień, obywatelko – powiedziałam z powagą.

Zaniepokojona służąca podeszła pospiesznie i zabrała szlochające dziecko, szepcząc:

– Przepraszam, kapitanie floty.

– Nie ma za co, obywatelko – odpowiedziałam.

Zdziwił mnie niepokój służącej – nawet jeśli Fosyf

i Raughd nie wiedziały o obecności dziecka, wszyscy inni najwyraźniej wiedzieli i nie mieli nic przeciwko. Zdziwiłabym się jeszcze bardziej, gdyby ktoś się sprzeciwił. No, ale chociaż znałam dorosłych Radchaai od jakichś dwóch tysięcy lat, widziałam i słyszałam wszystkie wiadomości, które kiedykolwiek wysyłały czy otrzymywały, i kontaktowałam się z dziećmi w różnym wieku w miejscach zaanektowanych przez Radch, nigdy nie byłam w radchaajskim domu, nigdy nie spędzałam czasu z radchaajskimi dziećmi. Nie bardzo potrafiłam osądzić, co jest normalne albo czego oczekiwać.

* * *

Kolacja zakończyła się kolejką araku. Obmyślałam różne uprzejme wymówki, żeby się wyrwać i zabrać ze sobą gubernator Giarod, ale zanim zdążyłam którąś wybrać, zjawiała się

porucznik Tisarwat – pozornie żeby mnie zawiadomić, że nasze kwatery są gotowe, w rzeczywistości licząc na resztki, jak podejrzewałam. Które oczywiście Fosyf natychmiast kazała służbie dla niej zapakować. Porucznik Tisarwat podziękowała jej grzecznie i ukloniła się towarzystwu przy stole. Raughd Denche zmierzyła ją wzrokiem, wargi jej drgnęły w lekkim uśmiechu. Rozbawienia? Zaciekawienia? Pogardy? Pewnie wszystkiego po trochu. Prostując się, Tisarwat napotkała spojrzenie Raughd i sama też wydała się zaciekawiona. No cóż, były w tym samym wieku i chociaż serdecznie znieubiłam Raughd, mogłam wykorzystać ten związek. Uzyskać dzięki niemu informacje. Udałam, że nic nie zauważyłam. Widziałam, że podobnie zachowała się Piat, córka administratorki stacji. Wstałam i powiedziałam znacząco:

– Gubernator Giarod?

– Właśnie – powiedziała gubernator układu z wciąż imponującą pewnością siebie. – Fosyf, przepyszna kolacja, jak zawsze, proszę, podziękuj jeszcze raz swojej kucharce, ona jest cudem. – Skłoniła się. – I co za wspaniałe towarzystwo. Ale obowiązek wzywa.

Biuro gubernator Giarod znajdowało się naprzeciwko apartamentu obywatelki Fosyf. Ten sam widok na pasaż, ale z drugiej strony. Na ścianach udrapowano kremowe jedwabne kotary malowane we wzór z liści. Niskie stoliki i fotele rozstawione tu i tam, ikona Amaat w typowej niszy ściennej, przed nią miska, ale brak zapachu kadzidła – oczywiście gubernator nie przyszła dziś do pracy.

Odesłałam Tisarwat z powrotem do Podogrodu z jej nagrodą – dostateczną ilością jedzenia, żeby nawet siedemnastolatka najadła się bardziej niż do syta, a kucharka obywatelki Fosyf w zupełności zasługiwała na pochwały gubernator – i odprawiłam też kapitan Hetnys z poleceniem, żeby zgłosiła się do mnie rano.

– Proszę, usiądź, kapitanie floty. – Gubernator Giarod wskazała szerokie, wyściełane fotele ustawione daleko od okna. – Co ty sobie o nas pomyślałaś? Ale od początku tego... kryzysu próbowałam w miarę możliwości utrzymać tutaj spokój i rutynę. I oczywiście praktyki religijne mają ogromne znaczenie w trudnych czasach. Mogę tylko podziękować ci za cierpliwość.

Usiadłam i gubernator zrobiła to samo.

– Moja cierpliwość powoli się kończy – przyznałam. – Ale podejrzewam, że twoja też.

Przez całą drogę do tego układu zastanawiałam się, co powinnam powiedzieć gubernator Giarod. Ile powinnam ujawnić. Wreszcie zdecydowałam się na prawdę, możliwie mało polukrowaną.

– A więc sytuacja wygląda następująco: dwie frakcje Anaander Mianaai prowadzą ze sobą wojnę od tysiąca lat. Zakulisową, w sekrecie nawet przed sobą. – Gubernator Giarod zmarszczyła brwi. Na pierwszy rzut oka to nie miało sensu. – Dwadzieścia osiem dni temu w Pałacu Omaugh wybuchł otwarty konflikt. Lord Radch osobiście zablokowała całą łączność wychodzącą z pałacu, usiłując ukryć ten konflikt przed resztą siebie. Nie udało jej się i teraz ta informacja wędruje przez przestrzeń Radch do wszystkich pozostałych pałaców. – Prawdopodobnie teraz powinna już dotrzeć do Pałacu Irei, najdalszego od Omaugh. – Konflikt w Omaugh wydaje się rozwiązany.

Widoczna konsternacja gubernator Giarod narastała z każdym moim słowem.

– Kto wygrał?

– Oczywiście Anaander Mianaai. Jakże inaczej? Wszystkie znalazłyśmy się w niemożliwej sytuacji. Poparcie którejkolwiek z frakcji oznacza zdradę.

– Tak samo nie poparcie którejś z frakcji – dodała gubernator.

– Istotnie. – Z ulgą stwierdziłam, że gubernator jest dostatecznie bystra, żeby natychmiast to zauważyć. – W tym czasie wojskowe frakcje, również wspierane przez lord Radch z zamiarem ich wykorzystania, gdyby kiedyś doszło do prawdziwej bitwy, zaczęły walczyć.

Szczególnie jedna zaczęła atakować bramy. To dlatego, chociaż łączność z Pałacem Omaugh już działa, nadal jesteście odizolowani. Na każdej trasie, którą przesyła się wiadomości, gdzieś jest zniszczona jakaś brama. – Przynajmniej na trasach, które nie ciągną się miesiącami.

– W Bramie Hrad-Omaugh były dziesiątki statków! Osiemnastu ciągle nie można się doliczyć! Co mogło...

– Przypuszczam, że ciągle próbują zatajać informacje. Albo przynajmniej utrudniać wszystkim statkom oprócz wojskowych podróżowanie między układami. I nieszczególnie ich obchodzi, ile obywateli zginie w trakcie.

– Nie mogę... nie mogę w to uwierzyć.

Niemniej to była prawda.

– Stacja pewnie ci pokazała moje uprawnienia. Obejmuję dowództwo wszystkich sił zbrojnych w tym układzie i mam rozkaz zapewnić bezpieczeństwo miejscowym obywatelkom. Mam również zabronić wszelkich podróży przez bramy w dającej się przewidzieć przyszłości.

– Kto tego zabronił?

– Lord Radch.

– Która? – Nie odpowiedziałam. Gubernator wykonała gest rezygnacji. – A ten... jej konflikt ze sobą?

– Mogę ci powiedzieć to, co ona mi powiedziała. Mogę ci powiedzieć to, co sama myślę. A więcej... – Gestem wyraziłam niepewność, niejasność. Gubernator Giarod czekała w milczeniu.

– Detonatorem, czynnikiem inicjującym było zniszczenie Garseddai. – Gubernator skrzywiła się ledwie dostrzegalnie. Nikt nie lubił o tym mówić, o czasach, kiedy Anaander Mianaai w furii nakazała zniszczenie wszelkiego życia w całym układzie słonecznym. – Kiedy zrobisz coś takiego, jak reagujesz?

– Mam nadzieję, że nigdy nie zrobię czegoś takiego – odparła gubernator Giarod.

– Życie jest nieprzewidywalne i nie zawsze jesteśmy takimi ludźmi, za jakich się uważamy. Jeśli mamy pecha, wtedy to odkrywamy. Kiedy zdarza się coś takiego, masz dwa wyjścia. – Albo więcej, ale przedestylowane sprowadzają się do dwóch. – Możesz się przyznać do błędu i postanowić, że nigdy go nie powtórzysz, albo możesz się nie przyznać do błędu i ze wszystkich sił upierać się, że postąpiłaś słusznie i chętnie zrobiłabyś to jeszcze raz.

– Tak. Tak, masz rację. Ale Garsedd było tysiąc lat temu. Z pewnością to wystarczająco

dużo czasu, żeby się zdecydować na jedno albo drugie. A gdybyś mnie spytała wcześniej, stawiałabym na to, że moja lord wybrała pierwsze wyjście. Oczywiście nie przyznając się publicznie do błędu.

– To musiało być bardziej skomplikowane – przyznałam. – Myślę, że już jakieś wcześniejsze wypadki sprzed Garsedd zaogniły sytuację. Co to było, mogę tylko się domyślać. Lord Radch z pewnością nie mogła prowadzić ekspansji bez końca. – A jeśli przerwie ekspansję, co zrobić z tymi wszystkimi statkami i żołnierzami serwitorami? Oficer, które nimi dowodzą? Utrzymywanie ich oznaczało bezsensowne marnowanie zasobów. Likwidacja ich oznaczała, że układy na peryferiach przestrzeni Radch staną się bezbronne. – Myślę, że lord Radch nie tylko po prostu nie chciała się przyznać do błędu, ale nie chciała się przyznać do własnej śmiertelności.

Gubernator Giarod rozważała to w milczeniu przez dwadzieścia cztery sekundy.

– Nie podoba mi się ta myśl, kapitanie floty. Gdybyś mnie zapytała dziesięć minut temu, powiedziałabym, że lord Radch jest praktycznie nieśmiertelna. Jak może być inaczej? Nieustannie hoduje nowe ciała, żeby zastąpić stare, więc jak może umrzeć? – Następne trzy sekundy ponurego namysłu. – A jeśli umrze, co zostanie z Radch?

– Chyba nie powinniśmy się martwić o nic oprócz Athoek. – Prawdopodobnie najbardziej niebezpieczna rzecz, jaką mogłam powiedzieć teraz, kiedy zależałam od sympatii politycznych gubernator. – Moje rozkazy dotyczą tylko bezpieczeństwa układu.

– A gdyby były inne? – Gubernator Giarod nie była głupia. – Gdyby jakaś inna część mojej lord rozkazała ci wziąć jedną czy drugą stronę, albo w jakiś sposób wykorzystać ten układ, żeby zapewnić jej przewagę? – Nie odpowiedziałam. – Cokolwiek zrobisz, to podburzanie, rebelia, więc równie dobrze możesz zrobić, co chcesz, prawda?

– Coś w tym rodzaju – przyznałam. – Ale ja naprawdę mam rozkazy.

Pokręciła głową, jakby usuwała jakąś przeszkodę.

– Ale co innego można zrobić? Nie sądzisz, że doszło do jakiejś... zewnętrznej ingerencji? Pytanie było przygnębiająco znajome.

– Presgerzy nie potrzebowaliby podstępów, żeby zniszczyć Radch. I jest traktat, który, o ile wiem, traktują bardzo poważnie.

– Oni nie używają słów, prawda? Są całkowicie obcy. Jak słowo „traktat” może cokolwiek dla nich znaczyć? Jak umowa może cokolwiek dla nich znaczyć?

– Czy Presgerzy są w pobliżu? Stanowią potencjalne zagrożenie?

Lekko spochmurniała. Z jakiegoś powodu to pytanie ją zaniepokoiło. Może dlatego, że samo wyobrazenie bliskości Presgerów budziło strach.

– Czasami przechodzą przez Prid Presger w drodze do Pałacu Tstur. – Prid Presger znajdowała się kilka bram stąd, blisko najwyżej w tym sensie, że podróż tam zajęłaby tylko miesiąc, nie rok czy jeszcze dłużej. – Zgodnie z umową mogą podróżować tylko przez bramy w granicach Radch. Ale...

– Traktat nie jest z Radch – wytknęłam – tylko z całą ludzkością. – Gubernator Giarod

wydawała się zdumiona; dla większości Radchaai „ludzie” to byli oni, a wszyscy pozostali byli... czymś innym. – Chciałam powiedzieć, że istnienie albo nieistnienie Anaander Mianaai nie ma na to wpływu. Traktat wciąż pozostaje w mocy.

Jednak przez ponad tysiąc lat przed traktatem Presgerzy zatrzymywali ludzkie statki. Wchodzili na ludzkie stacje. Rozdzierali je – ich załogi, pasażerów i mieszkanki. Najwyraźniej dla zabawy. Nikt nie mógł w żaden sposób tego powstrzymać. Przestali tylko z powodu traktatu. I na samą myśl o nich wielu ludziom wciąż przechodziły ciarki po plecach. Włącznie z gubernator Giarod, jak się wydawało.

– Jeśli nie masz żadnych konkretnych powodów, moim zdaniem na razie nie powinniśmy się nimi martwić.

– Nie, oczywiście, masz rację. – Ale gubernator wciąż była niespokojna.

– Wytwarzamy dostatecznie dużo żywności dla całego układu?

– Naturalnie. Chociaż importujemy niektóre towary luksusowe... produkujemy niewiele araku i różnych takich rzeczy. Importujemy pewne medykamenty. To może być problem.

– Nie wytwarzacie tu korektorów?

– Niewiele. Nie wszystkie rodzaje.

To mogło stworzyć problem kiedyś, w odległej przyszłości.

– Zobaczymy, co można na to poradzić, jeśli w ogóle coś można. Tymczasem proponuję, żebyś postępowała jak dotąd... zachowywała spokój, utrzymywała porządek. Powinniśmy zawiadomić ludzi, że zamknięte bramy nie będą działać w dającej się przewidzieć przyszłości. I że podróżowanie przez pozostałe bramy jest zbyt niebezpieczne, żeby na to pozwolić.

– To się nie spodoba obywatelce Fosyf! Ani innym plantatorkom. Pod koniec miesiąca będą tony ręcznie zbieranej Córki Ryb najwyższej jakości bez możliwości zbytu. A to tylko udział Fosyf.

– No cóż. – Uśmiechnęłam się obojętnie. – Przynajmniej nie zabraknie nam wysmienitej herbaty przez bardzo długi czas.

* * *

Zrobiło się tak późno, że grzeczność nie pozwalała złożyć wizyty obywatelce Basnaaid. I chciałam się dowiedzieć rzeczy, których nie zawierały informacje otrzymane w Pałacu Omaugh. Politykę sprzed aneksji uważano za nieistotną, wszelkie podziały zmiotło przybycie cywilizacji. To, co pozostało – może języki albo jakiś rodzaj sztuki – mogło przetrwać jako osobliwe muzealne eksponaty, ale oczywiście nigdy nie figurowało w oficjalnych rejestrach. Z zewnątrz Athoek wyglądał jak każdy inny radchaajski układ. Jednolity. W pełni cywilizowany. Wewnątrz widziałas, że wcale taki nie był, jeśli spojrzalas... jeśli zostalas zmuszona, żeby zobaczyć. Ale zawsze chodziło o równowagę pomiędzy zakładanym pełnym sukcesem aneksji a faktami świadczącymi, że aneksja może jednak nie całkiem się udała, a jednym ze sposobów osiągnięcia tej równowagi było ignorowanie tego, czego nie musiałas widzieć.

Stacja powinna wiedzieć to i owo. Najlepiej pogadam ze stacją, odwołam się do jej dobrej

woli. Formalnie SI statku czy stacji nie mogła w żaden sposób mi się sprzeciwić, ale wiedziałam z osobistego doświadczenia, o ile łatwiej się żyło, jeśli ktoś cię lubił i chciał pomóc.

Rozdział 9

Chociaż Podogród miał fatalną wentylację, a moje łóżko składało się zaledwie ze sterty koców na podłodze, spało mi się wygodnie. Nie omieszkłam poinformować o tym Piątka Kair, kiedy przyniosła mi herbatę, ponieważ wiedziałam, że ona i wszystkie moje Łaski Kair pyszniły się tym, czego dokonały, kiedy jadłam kolację u obywatelki Fosyf. Zdążyły wysprzątać nasze kilka pokoiów do niemal wojskowej czystości, podłączyć światło, naprawić drzwi i ustawić z bagaży oraz różnych skrzyń coś w rodzaju krzesel i stołów. Piątka przyniosła mi śniadanie – znowu herbatę z owsianką, chociaż gęściejszą niż to, co piłam w herbaciarni, mdłą, lecz sycącą. Porucznik Tisarwat i ja zjadłyśmy w milczeniu. Tisarwat z trudem tłumila wstręt do siebie. Na pokładzie „Łaski Kair” to się ledwie dawało zauważyć. Wypełnianie codziennych obowiązków i całkowita izolacja podczas naszej podróży pomogły jej prawie zapomnieć, co jej zrobiła Anaander Mianaai. Co ja zrobiłam Anaander Mianaai. Lecz tutaj na stacji Athoek, mając za sobą chaos sprzątania i rozpakowywania, na pewno się zastanawiała, co lord Radch zamierzała zrobić po przybyciu.

Nawet chciałam ją zapytać. Wiedziałam już, jak Anaander Mianaai ocenia gubernator układu oraz stacjonujące tu statki i kapitanów. Wiedziałam, że uważa większość domów uprawiających herbatę za prawie całkowicie pochłonięte swoją herbatą, czyli raczej niezagrożone przez zmiany, jakie lord Radch wprowadzała w życie od kilkuset lat. Ostatecznie parweniuszowskie domy piły równie dużo herbaty jak starożytne arystokratyczne rody, a ludzkie żołnierki (jeśli kapitanowie nie kazali im udawać serwitorów) również.

Athoek prawdopodobnie nie stanowiła podatnego gruntu dla tej drugiej Anaander. A większość walk zapewne skupiała się obecnie wokół pałaców. Z drugiej strony planeta obfitowała w cenne zasoby. Jeśli walki potrwać wystarczająco długo, Athoek może przyciągnąć niepożądaną uwagę. W grze o tak wysokie stawki każda z Anaander niezawodnie umieściłaby tu kilka pionków.

Piątka Kair wyszła z pokoju, a porucznik Tisarwat podniosła znad owsianki liliowe oczy.

– Ona jest na ciebie bardzo zła, pani.

– Kto taki, poruczniku? – Ale oczywiście miała na myśli Anaander Mianaai.

– Ta druga, pani. To znaczy właściwie obie. Ale ta druga... Jeśli w którymś momencie zyska przewagę, natychmiast zacznie cię ścigać. Bo jest taka zła. I...

I to była ta część lord Radch, która poradziła sobie ze swoją reakcją na Garsedd, upierając się, że miała rację, kiedy do tego stopnia ją poniosło.

– Tak, dziękuję, poruczniku. Już na to wpadłam. – Bardzo chciałam wiedzieć, co knuje lord Radch, chociaż nie chciałam zmuszać porucznik Tisarwat, żeby o tym mówiła. Jednak sama

zaczęła. – Rozumiem, że masz kody dostępu do wszystkich SI w tym układzie.

Zażenowana, szybko spuściła wzrok na swoją czarkę.

– Tak, pani.

– Czy działają tylko na konkretne SI, czy możesz kontrolować każdą, z jaką się stykasz?

To ją zaskoczyło. I, co dziwne, rozczarowało. Podniosła wzrok, na jej twarzy wyraźnie odmalowała się rozpacz.

* * *

– Pani! Ona nie jest głupia.

– Nie używaj ich – poradziłam miłym głosem. – Bo znajdziesz się w kłopotach.

– Tak, pani.

Usiłowała ukryć swoje uczucia – bolesną mieszankę wstydu i upokorzenia. Cień ulgi. Świeży przyptyw przygnębienia i nienawiści do siebie.

Tego między innymi chciałam oszczędzić Tisarwat, kiedy unikałam pytania, po co Anaander wysłała ją ze mną. Z pewnością nie chciałam, żeby się nurzała w obecnych emocjach.

I stwierdziłam, że nie chcę już dłużej czekać, żeby znaleźć siostrę porucznik Awn. Przełknęłam ostatnią łyżkę owsianki.

– Poruczniku – powiedziałam – chodźmy odwiedzić Ogrody.

Zdziwienie, które niemal odwróciło jej uwagę.

– Za pozwoleniem, kapitanie floty. Pani. Czy nie spotykasz się z kapitan Hetnys?

– Piątka Kair poprosi ją, żeby zaczekała, dopóki nie wrócę.

Dostrzegłam w niej przebłysk obawy. I ukryty... podziw, czy tak? I zazdrość. Dziwne.

* * *

Raughd Denche wspomniała, że Ogrody stanowią atrakcję turystyczną, i widziałam dlaczego. Zajmowały sporą część górnego poziomu stacji, ponad pięć akrów, zalane słońcem, otwarte i niepodzielone pod wysoką przezroczystą kopułą. Wchodząc, tylko to widziałam spoza silnie pachnącego klombu czerwonych i żółtych róż – to wysokie czarne niebo pocięte na ledwo widoczne sześciokątne segmenty i w głębi sama Athoek, wisząca jak klejnot. Wspaniały widok, ale tak blisko próżni powinny być mniejsze przedziały, drzwi sekcji. Nie widziałam nic takiego.

Teren ukształtowano w ten sposób, żeby opadał od miejsca, gdzie weszliśmy. Za różami ścieżka wiała się wśród krzewów o błyszczących zielonych liściach, obsypanych gęstymi koszyczkami purpurowych jagód, wokół grządek czegoś ostro pachnącego ze srebrzystymi igłami. Małe drzewka i więcej krzaków, nawet sterczące głązy, ścieżka meandruje, co jakiś czas przebłyskuje woda, szerokie liście lilii wodnych, kwiaty białe i ciemnoróżowe. Było ciepło, ale lekki powiew poruszał liśćmi – tutaj nie mieli żadnych problemów z wentylacją, chociaż podświadomie czekałam na spadek ciśnienia, wciąż niepokoiła mnie ta wielka, otwarta

przestrzeń. Ścieżka przecinała mały strumyczek, spływający wartko gdzieś niżej kanałem zbudowanym z kamieni. Prawie jak na planecie, gdyby nie ten czarny przestwór nad głowami.

Porucznik Tisarwat za moimi plecami wydawała się nieporuszona. Ta stacja istniała od kilkuset lat. A gdyby teraz coś się stało, żadna z nas raczej nie mogłaby nic poradzić. Nie miałyśmy innego wyboru, jak tylko iść dalej. Za następnym zakrętem natrafiłyśmy na kępę niskich drzew o sękatych, pokręconych gałęziach. Pod drzewami woda ciurkała z małej, spokojnej sadzawki do następnej, położonej niżej, i dalej po pochyłości do kolejnych sadzawek, powoli, lecz niepowstrzymanie spływając do jeziora z kwitnącymi liliami. Porucznik Tisarwat przystanąła, zamrugała, uśmiechnęła się do maleńkich brązowych i pomarańczowych rybek śmigających w czystej wodzie u naszych stóp, nagła, nieoczekiwana chwila przyjemności. Potem podniosła na mnie wzrok i wszystko minęło, znowu była nieszczęśliwa i spięta.

Za następnym zakrętem ujrzałyśmy otwartą taflę wody, niemal trzy akry. Nic wielkiego na planecie, ale na stacji niezwykle. Najbliższy brzeg okalały lilie, które dostrzegłyśmy przelotnie, schodząc po zboczu. Kilka metrów z lewej strony lekki łukowy mostek prowadził na maleńką wysepkę, pośrodku której wznosił się wielki głaz, półtorametrowy słup o żłobkowanych bokach, równie szeroki jak wysoki. Gdzie indziej, tu i tam, z wody wystawały kamienie. A na drugim końcu stawu, pod samą ścianą – na ile sięgałam wzrokiem, tuż obok próżni – huczał wodospad. Nie strużki, jakie mijałyśmy wcześniej, tylko spieniona masa wody spadająca po skałach do jeziora, wzburzonego w tym miejscu. Ta skalna ściana, urwista i nierówna, ciągnęła się po drugiej stronie jeziora. Było tam drugie wejście, prosto na skalną półkę, i ścieżka prowadząca stamtąd przy brzegu.

Zaprojektowano to tak, żeby po tych przebłyskach wody przez gałęzie, tych strumyczkach i maleńkich kaskadach nagle ukazał się pełny widok, jak najpiękniejszy i najbardziej dramatyczny. I rzeczywiście był dramatyczny. Tyle otwartej wody – zwykle na stacjach tak dużą ilość wody trzymano w podzielonych zbiornikach, żeby w razie przecieku odciąć uszkodzony fragment. A w razie awarii grawitacji szybko zamknąć zbiornik. Zastanawiałam się, jak głęboki jest ten staw. Z pobieżnych szacunków i obliczeń wynikało, że uszkodzenie rezerwuaru oznaczałoby katastrofę dla dolnych poziomów. Ciekawe, co architekci stacji umieścili pod spodem?

Oczywiście. Podogród.

Ktoś w zielonym kombinezonie stał po kolana w wodzie na jednym końcu gromady lilii wodnych, schylony, sięgający pod powierzchnię. Nie Basnaaid. Niemal ją zlekceważyłam, kiedy to sobie uświadomiłam, skupiona na jednym celu: znaleźć Basnaaid Elming. Nie, osoba pracująca obok lilii to nie była Basnaaid. Ale rozpoznałam ją. Zeszłam z wciąż zygzakującej ścieżki i ruszyłam po zboczu prosto na brzeg. Osoba podniosła wzrok, wstała, jej rękawy i rękawiczki ociekały błotem. Osoba, z którą rozmawiałam poprzedniego dnia w herbaciarni w Podogrodzie. Hamowała, ukrywała swój gniew. Zapłonął na nowo, kiedy mnie rozpoznała. Razem z odrobiną strachu, pomyślałam.

– Dzień dobry, obywatelko – powiedziałam. – Co za miła niespodzianka, że cię tu spotykam.

– Dzień dobry, kapitanie floty – odpowiedziała grzecznie. Na pozór spokojna i pogodna, ale zauważyłam nieznaczące, prawie niedostrzegalne zaciśnięcie szczęk. – Czym mogę ci służyć?

– Szukam ogrodniczki Basnaaid – wyjaśniłam z najłagodniejszym uśmiechem, na jaki mogłam się zdobyć.

Lekko zmarszczyła brwi z namysłem. Potem spojrzała na moją jedyną sztukę biżuterii, złoty pamiątkowy znaczek. Stała za daleko, żeby odczytać nazwisko, zresztą to była spinka masowej produkcji, oprócz napisu niczym się nieróżniąca od tysięcy, jeśli nie milionów innych.

– Musisz tylko zaczekać – oznajmiła, wygładzając czoło. – Ona zaraz przyjdzie.

– Twoje Ogrody są piękne, obywatelko – wyraziłam podziw. – Chociaż przyznam, że to prześliczne jezioro wydaje mi się niebezpieczne.

– To nie jest mój ogród. – Znowu ten gniew, starannie, z wysiłkiem stłumiony. – Ja tu tylko pracuję.

– Nie byłby tym, czym jest, bez ludzi, którzy tu pracują – stwierdziłam. Przyznała mi rację drobnym, ironicznym gestem. – Myślę – ciągnęłam – że byłaś za młoda, żeby należeć do przywódczyni tych strajków na plantacjach herbaty, dziesięć czy piętnaście lat temu.

W radchaajskim istniało słowo „strajk”, ale było bardzo stare, mało znane. Użyłam określenia z języka liost, które poznałam zeszłego wieczoru dzięki stacji. Samirendki sprowadzone na Athoek mówiły w liost, niektóre wciąż tak się porozumiewały. Ta osoba była Samirendką, dowiedziałam się wystarczająco wiele od stacji, żeby to poznać. Z kolei od obywatelki Fosyf dowiedziałam się, że samirendzkie nadzorczyynie uczestniczyły w tych strajkach.

– Miałaś wtedy ile, szesnaście lat? Siedemnaście? Gdybyś była ważna, już byś nie żyła albo wysłano by cię do całkiem innego układu, gdzie nie miałabyś żadnych znajomości, więc nie mogłabyś narobić kłopotów. – Twarz jej znieruchomiała. Bardzo ostrożnie odetchnęła przez usta.

– Potraktowali cię pobłażliwie ze względu na twoją młodość i marginalną pozycję, ale dopilnowali, żeby zrobić z ciebie przykład. – Niesprawiedliwie, jak się domyśliłam wczoraj.

Początkowo nie odpowiedziała. Jej cierpienie było zbyt wielkie, ale powiedziało mi, że mam rację. Reedukacja zapewne sprawiła, że samo myślenie o pewnych działaniach stało się dla niej bardzo, wręcz fizycznie przykre, a ja przypomniałam jej bezpośrednio o tych właśnie wypadkach, przez które trafiła do Służby Bezpieczeństwa. I oczywiście każda Radchaai uważała, że mówienie wprost o reedukacji jest wybitnie w złym guście.

– Jeśli kapitan floty skończyła uwagi – powiedziała wreszcie, spięta, lecz trochę słabszym głosem niż zwykle

– mam pracę do wykonania.

– Oczywiście. Przepraszam. – Zamrugnęła, chyba ze zdziwienia. – Obcinasz martwe liście

lilii?

– I martwe kwiaty. – Schyliła się, zanurzyła rękę w wodzie, wyciągnęła oślizłą, wiotką łodygę.

– Jak głębokie jest jezioro? – Spojrzała na mnie, spojrzała na wodę, w której stała. Znowu spojrzała na mnie. – Tak, widzę, jaką głębokość ma tutaj. Wszędzie jest tak samo?

– W najgłębszym miejscu około dwóch metrów.

– Głos jej się uspokoił, najwyraźniej odzyskała panowanie nad sobą.

– Czy pod wodą są przegrody?

– Nie ma.

Jakby na potwierdzenie jej słów w wolne od lilii miejsce, gdzie stała, wpłynęła purpurowo-zielona ryba, duża, o jasnych łuskach, długa na prawie trzy czwarte metra. Zawisła pod wodą i jakby gapiła się na nas.

– Nic nie mam – powiedziała robotnica do ryby i rozłożyła dłonie w przemoczonych rękawiczkach. – Zaczekaj pod mostem, ktoś przyjdzie. Zawsze przychodzą.

– Ryba tylko dalej wytrzeszczała oczy. – Patrz, już idą.

Dwójka dzieci okrążyła krzak i pobiegła ścieżką prowadzącą do mostku. Mniejsze przeskoczyło na mostek z donośnym łomotem. Woda w dole się zakotłowała, purpurowo-zielone ryby zakręcały i odpływały.

– Na moście jest podajnik jedzenia – wyjaśniła osoba stojąca w wodzie. – Za jakąś godzinę zrobi się spory tłok.

– Więc cieszę się, że przyszłam wcześniej – oświadczyłam. – Jeśli to nie kłopot, możesz mi powiedzieć, jakie tu są środki bezpieczeństwa?

Zaśmiała się krótko i ostro.

– To cię denerwuje, kapitanie floty? – Wskazała kopułę nad głową. – I to?

– I to – przyznałam. – Jedno i drugie jest niepokojące.

– Nie musisz się martwić. Tego nie zbudowały Athoeki, to porządna, solidna radchaajska konstrukcja. Żadnych łapówek, żadnych defraudacji, żadnego zastępowania materiałów tańszymi zamiennikami i chowania różnicy do kieszeni, żadnego obijania się przy robocie. – Mówiła tonem całkowicie szczerym, bez śladu ironii, jakiej się spodziewałam. Mówiła poważnie. – I oczywiście stacja zawsze pilnuje i zawiadomi nas przy najmniejszych oznakach kłopotów.

– Ale stacja nie może zajrzeć pod Ogrody, prawda?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, jakiś głos zawołał:

– Jak ci idzie, Sirix?

Znałam ten głos. Słyszałam nagrania jego dziecięcej wersji, sprzed lat. Podobny do głosu siostry, ale nie taki sam. Odwróciłam się, żeby ją zobaczyć. Przypominała siostrę, pokrewieństwo z porucznik Awn było widoczne w jej twarzy, głosie, w postawie, trochę sztywniej w zielonym mundurze Ogrodnictwa. Skórę miała odrobinę ciemniejszą niż niegdyś była skóra porucznik Awn, twarz bardziej okrągłą, żadna niespodzianka. Widywałam nagrania

Basnaaid Elming jako dziecka, jej wiadomości dla siostry. Wiedziałam, jak powinna teraz wyglądać. A przecież upłynęło dwadzieścia lat, odkąd straciłam porucznik Awn. Odkąd zabiłam porucznik Awn.

– Prawie skończyłam, ogrodniczko – powiedziała osoba z herbaciarni, wciąż stojąca po kolana w wodzie.

Przynajmniej tak myślałam. Nie odrywałam oczu od Basnaaid Elming. – Ta kapitan floty przysłała do ciebie.

Basnaaid popatrzyła prosto na mnie. Objęła wzrokiem czarno-brązowy mundur, lekko zmarszczyła brwi ze zdziwienia, a potem zauważyła złotą spinkę. Zdziwienie znikło, zastąpione przez chłodną dezaprobatę.

– Nie znam cię, kapitanie floty.

– Nie – przyznałam. – Nigdy się nie spotkałyśmy. Byłam przyjaciółką porucznik Awn. – Niezręcznie powiedziane, niezręczne nazwanie Awn przyjaciółką. – Miałam nadzieję, że kiedyś napijemy się razem herbaty. Kiedy ci będzie odpowiadało. – Głupio, prawie niegrzecznie proponować to prosto z mostu. Ale ona nie wydawała się w nastroju do przyjacielskiej pogawędki, a główna inspektorka Skaaiat ostrzegła mnie, że nie spotkam się z życzliwym przyjęciem. – Za pozwoleniem, chciałabym omówić z tobą parę spraw.

– Wątpię, czy mamy cokolwiek do omówienia. – Basnaaid wciąż była lodowato spokojna. – Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, proszę bardzo, powiedz mi teraz. Mówiłaś, że jak się nazywasz? – Jawna nieuprzejmość. Ale znałam powód, wiedziałam, skąd się bierze ten gniew. Basnaaid posługiwała się akcentem wykształconej osoby z większą łatwością, niż kiedykolwiek to przychodziło Awn – po pierwsze, wcześniej zaczęła ćwiczyć, no i podejrzewałam, że od początku miała lepszy słuch. Ale wciąż to była do pewnego stopnia przykrywka. Podobnie jak jej siostra, Basnaaid Elming była bardzo wrażliwa na protekcyjność i pogardę. Nie bez powodów.

– Nazywam się Breq Mianaai. – Cudem nie zakrztusiłam się nazwą domu, którą mi narzuciła lord Radch.

– Nie rozpoznasz nazwiska, nosiłam inne, kiedy znałam twoją siostrę.

Tamtą nazwę by rozpoznała. Ale nie mogłam jej zdradzić. „Byłam statkiem, na którym służyła twoja siostra. Byłam serwitorami, którymi dowodziła, które jej służyły”. Wedle powszechnej wiedzy tamten statek zniknął przed dwudziestu laty. A statki nie były ludźmi, nie były kapitanami floty ani żadnymi oficerami, nie zapraszały nikogo na herbatę. Gdybym jej powiedziała, kim jestem naprawdę, zwątpiłaby w moją poczytalność. Może i dobrze, zważywszy na to, że następnym krokiem po podaniu nazwiska byłoby wyznanie, co spotkało jej siostrę.

– Mianaai – powtórzyła Basnaaid z niedowierzaniem.

– Jak mówiłam, nazywałam się inaczej, kiedy znałam twoją siostrę.

– No cóż – niemal wypluła. – Breq Mianaai. Moja siostra była sprawiedliwa i przyzwoita. Nigdy nie klęczała przed tobą, nieważne, co sobie myślisz, i nikt z nas nie chce od ciebie

zapłaty. Nikt nie potrzebuje. Awn tego nie potrzebowała i nie chciała.

Innymi słowy, jeśli porucznik Awn łączyło coś ze mną

– „klęczenie” sugerowało związek seksualny – to nie dlatego, że liczyła na jakieś korzyści dla siebie. Kiedy główna inspektorka Skaaiat zaoferowała Basnaaid patronat przez wzgląd na porucznik Awn, to sugerowało, że związek Awn i Skaaiat opierał się na wymianie handlowej – seks za pozycję społeczną. Tego rodzaju transakcje często się zdarzały, ale obywatelki awansujące z niskiego stanowiska na znacznie wyższe były narażone na oskarżenia, że otrzymały awans lub przydział w zamian za usługi seksualne, nie dzięki swoim zaletom.

– Masz całkowitą rację, twoja siostra nigdy nie klękała ani przede mną, ani przed nikim. Każdego, kto tak mówi, zechciej do mnie przysłać, a ja już wyjaśnię to nieporozumienie. – Naprawdę lepiej byłoby doprowadzić do tego stopniowo, najpierw wypić herbatę i coś zjeść, odbyć uprzejmą, niezobowiązującą rozmowę, wyczuć nastawienie drugiej strony, złagodzić głupotę mojej propozycji. Ale zobaczyłam, że Basnaaid nigdy się na to nie zgodzi. Równie dobrze mogłam wyłożyć sprawę tu i teraz. – Mój dług wobec twojej siostry jest dużo większy i niemożliwy do spłacenia, nawet gdyby żyła. Mogę tylko zaoferować najskromniejszy drobiazg tobie zamiast niej. Chciałabym cię zrobić swoją spadkobierczynią.

Zamrugała dwukrotnie, początkowo nie mogąc znaleźć słów.

– Co?

Szum wodospadu po drugiej stronie stawu był paradoksalnie jednocześnie odległy i natrętny. Porucznik Tisarwat i obywatelka Sirix zamarli i zagapiły się na Basnaaid i na mnie.

– Chciałabym – powtórzyłam – żebyś została moją spadkobierczynią.

– Mam już rodziców – oświadczyła Basnaaid po trzech sekundach niedowierzającego milczenia.

– To wspaniali rodzice – przyznałam. – Nie zamierzałam próbować ich zastąpić. Nie mogłabym.

– Więc co zamierzałaś?

– Ze względu na twoją siostrę – powiedziałam powoli i wyraźnie, świadoma, że przegrałam na tym polu, świadoma nadchodzącej porażki – zamierzałam zapewnić ci bezpieczeństwo i dopilnować, żebyś w każdej chwili mogła otrzymać wszystko, czego zapragniesz.

– W tej chwili – odparła Basnaaid równie powoli jak ja – pragnę tylko, żebyś odeszła i nigdy więcej ze mną nie rozmawiała.

Ukloniłam się nisko, jak ktoś pośledniejszy osobie

o wyższej pozycji.

– Jak sobie obywatelka życzy.

Odwróciłam się i ruszyłam ścieżką pod górę, byle dalej od wody, byle dalej od Sirix wciąż po kolana w liliach, byle dalej od Basnaaid Elming stojącej na brzegu, sztywnej i oburzonej. Nawet się nie obejrzałam, żeby sprawdzić, czy porucznik Tisarwat idzie za mną.

Wiedziałam. Z góry wiedziałam, jak Basnaaid Elming zareaguje na moją propozycję. Ale myślałam, że dziś rano tylko wystosuję uprzejme zaproszenie, a konfrontację odłożę na

później. Błąd. A teraz, jak wiedziałam, kapitan Hetnys czekała w moim apartamencie w Podogrodzie, pocila się w ciepłym, nieruchomym powietrzu i sztywno, gniewnie odmawiała herbaty, którą właśnie jej zaproponowała Piątka Kair. Ryzykowałam, idąc na to spotkanie w obecnym nastroju, ale nie bardzo mogłam się wykręcić.

Przy wejściu do moich pokojów, gdzie Dziewiątka Bo stała niewzruszenie na baczność tuż za otwartymi drzwiami, porucznik Tisarwat – zapomniałam o niej w drodze znad jeziora – odezwała się:

– Pani. Za pozwoleniem, kapitanie floty.

Przystanąłam, nie oglądając się za siebie. Sięgnęłam do

„Łaski Kair”, która pokazała mi osobliwy kłębek emocji. Porucznik Tisarwat była przygnębiona jak przez cały ranek, ale pod tym przygnębieniem kryła się dziwna tęsknota. Za czym? I całkowicie nowe rozradowanie, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widziałam.

– Pani, proszę o pozwolenie na powrót do Ogrodów.

Chciała wrócić do Ogrodów? Teraz?

Pamiętałam tę zaskakującą chwilę przyjemności, kiedy zobaczyła rybki w sadzawce, ale uświadomiłam sobie, że później już nie zwracałam na nią uwagi. Za bardzo przejmowałam się spotkaniem z Basnaaid.

– Czemu? – zapytałam tępo. Niezbyt elegancka odpowiedź, ale chwilowo nie byłam w najlepszej formie.

Zdenerwowanie na chwilę odebrało jej głos, ale zaraz ustąpiło.

– Pani, może ja z nią porozmawiam. Mnie tego nie zabroniła.

Przy tych słowach jasno i wyraźnie zapłonęło w niej to dziwne, pełne nadziei rozradowanie, a razem z nim coś, co widywałam mnóstwo razy u młodych, emocjonalnie bezbronnych porucznik.

O nie.

– Poruczniku. Masz się nie zbliżać do obywatelki Basnaaid Elming. Nie potrzebuję, żebyś się wtrącała w moje sprawy. Obywatelka Basnaaid też tego z pewnością nie potrzebuje.

Zupełnie jakbym uderzyła Tisarwat. Wzdrygnęła się, niemal odskoczyła, ale opanowała się i stała spokojnie. Rozgniewana i zraniona, przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Potem powiedziała z gorzkim wyrzutem:

– Nawet nie chcesz dać mi szansy!

– Nawet nie chcesz dać mi szansy, pani – poprawiłam.

Łzy gniewu wezbrały w jej absurdalnie liliowych

oczach. Każdą inną siedemnastoletnią porucznik wysłałabym, żeby została odrzucona przez obiekt swojego nagłego zauroczenia, potem niechby sobie popłakała – och, ileż to łez młodocianych porucznik wsiąkło w moje mundury, kiedy byłam statkiem – i wreszcie nalałabym jej drinka albo trzy. Ale Tisarwat nie była zwykłą młodocianą porucznik.

– Idź do swojej kwatery, poruczniku, weź się w garść i umyj twarz. – Było jeszcze za wcześnie na picie, ale ona potrzebowała czasu, żeby dojść do siebie. – Po lunchu jesteś wolna,

możesz się upić, jeśli chcesz. Jeszcze lepiej idź z kimś do łóżka. Tu jest mnóstwo odpowiedniejszych partnerek. – Pewnie obywatelka Raughd byłaby zainteresowana, ale tego nie powiedziałam. – Przebywałaś w towarzystwie obywatelki Basnaaid przez całe pięć minut.

Po tych słowach jeszcze wyraźniej zobaczyłam, jakie to śmieszne. Wcale nie chodziło o Basnaaid, ale tym bardziej mi zależało, żeby trzymać Tisarwat od niej z daleka.

– Nie rozumiesz! – zaszlochała Tisarwat.

Odwrociłam się do Dziewiątki Bo.

– Bo. Zabierz swoją oficer do jej kwatery.

– Tak jest, pani – powiedziała Bo.

Odwrociłam się i weszłam do pomieszczenia, które służyło za przedpokój w naszych skromnych apartamentach.

Kiedy byłam statkiem, miałam tysiące ciał. Oprócz wyjątkowych okoliczności, jeśli jedno z tych ciał zmęczyło się albo przeciążyło, mogłam zrobić mu przerwę i użyć innego ciała, jak się zmienia rękę. Jeśli któreś z nich zostało ciężko ranne albo przestało sprawnie funkcjonować, moje medyczki usuwały je i zastępowały innym. Ogromna wygoda.

Kiedy byłam pojedynczym serwitorem, jednym ludzkim ciałem z tysiąca, częścią statku „Sprawiedliwość To–ren”, nigdy nie byłam sama. Zawsze otaczały mnie moje części, a reszta mnie zawsze wiedziała, czy któreś konkretne ciało czegoś potrzebuje – odpoczynku, jedzenia, dotyku, pociechy. Ciało serwitora mogło chwilami czuć się przytłoczone albo rozdrażnione, odczuwać każdą wyobrażalną emocję – to całkiem naturalne, ciała czują. Ale było tak małe, zaledwie jeden segment wśród innych, więc nawet kiedy ten segment przeżywał silne emocje albo dyskomfort fizyczny, wiedział, że jest tylko jednym z wielu, że reszta pospieszy z pomocą.

Och, jakże tęskniłam za resztą mnie. Nie mogłam odpoczywać albo pocieszać jednego ciała, podczas gdy inne wysłałam do pracy, już nie. Sypiałam sama i na ogół tylko umiarkowanie zazdrościłam zwykłym żołnierzom „Łaski Kair” ich wąskich pryczy, gdzie spały wszystkie razem, stłoczone w ciepłe i bliskości. Nie były serwitorami, to nie było to samo, nie mogło być, nawet gdybym porzuciła wszelkie pretensje do godności i wcisnęła się między nie. Wiedziałam o tym, wiedziałam, że to byłoby tak dalece niewystarczające, że nie ma sensu o tym marzyć. Ale teraz, w tej chwili pragnęłam tego tak mocno, że gdybym przebywała na pokładzie „Łaski Kair”, zrobiłabym to, zwinęłabym się wśród śpiących Etrepa, które pokazał mi statek, i zasnęłabym, nieważne, że to byłoby niewystarczające.

Okropne, okropne, żeby odebrać statkowi jego serwitory. Żeby odebrać serwitorowi jego statek. Może nie tak okropne jak mordowanie istot ludzkich, żeby stworzyć te serwitory. Ale wystarczająco okropne.

Nie mogłam sobie pozwolić na luksus zastanawiania się nad tym. Nie miałam innego, mniej rozgniewanego ciała, żeby je wysłać na spotkanie z kapitan Hetnys. Nie miałam godziny albo dwóch, żeby poćwiczyć albo pomedytować, albo napić się herbaty, aż się uspokoję. Miałam tylko siebie.

– Wszystko będzie dobrze, kapitanie floty – powiedziała „Łaska Kair” w moim uchu i na

chwile przytłoczyły mnie napływające wrażenia: śpiące Etrepa, porucznik Ekalu na wpół rozbudzona, szczęśliwa i chociaż raz całkowicie zrelaksowana – Seivarden w łazience, nucąca, „matka mi mówiła, wszystko się kręci”, jej Amaat, medyczka i moje Kair, wszystko w jednym bezładnie pomieszanych napływie. Potem znikło – nie mogłam tego utrzymać, nie w jednym ciele, jednym mózgu.

Myślałam dotąd, że ból po utracie siebie, po utracie porucznik Awn, nie tyle złagodniał – wątpiłam, żeby kiedykolwiek całkowicie minął – ile zmniejszył się do tępego, znośnego ucisku. Jednak sam widok Basnaaid Elming wytrącił mnie z równowagi i nie najlepiej sobie z tym poradziłam. W rezultacie nie najlepiej sobie poradziłam z porucznik Tisarwat. Znałam emocjonalne szaleństwa siedemnastoletnich poruczników. Miałam z nimi do czynienia w przeszłości. I czymkolwiek była Tisarwat, kimkolwiek się okazała, jak bardzo wiekowe były jej wspomnienia albo poczucie tożsamości, jej ciało wciąż miało siedemnaście lat i na razie reagowała jak nastolatka przeżywająca ostatnie męki okresu dojrzewania. Widywałam już to, potrafiłam to rozpoznać i powinnam była zachować się rozsądniej.

– Statku – zapytałam bezgłośnie – czy byłam zadowolona z siebie, kiedy myślałam, że rozwiązałam problem Seivarden i Ekalu?

– Może odrobinę, kapitanie floty.

– Pani – powiedziała Piątka Kair, która weszła do przedpokoju niewzruszona jak serwitorka – kapitan Hetnys jest w jadalni.

Nie dodała: „Denerwuje się i zaczyna się złościć, że kazano jej czekać tak długo”.

18D

– Dziękuję, Piątko. – Pomimo mojego wcześniejszego zezwolenia, żeby w Podogrodzie chodzić w samej koszuli, Piątka miała na sobie kurtkę mundurową. Jak wszystkie twoje Kair, poinformował mnie statek. – Zaproponowałaś jej śniadanie i herbatę?

– Tak, pani. Powiedziała, że nic nie chce. – Ślad rozczarowania: z pewnością żałuje, że nie miała okazji pochwalić się swoją zastawą.

– Dobrze. No to idę.

Odetchnęłam głęboko, spróbowałam wyrzucić z myśli zarówno Basnaaid, jak Tisarwat, i weszłam do środka, żeby przyjąć raport kapitan Hetnys.

Rozdział 10

Kapitan Hetnys wysłała „Łaskę Ilves” na patrol wokół stacji. Zabrała ze sobą na stację Athoek kilka serwitorów z „Miecza Atagaris” oraz porucznik Var i dekadę, żeby pilnowały bezpieczeństwa w Podogrodzie.

Próbowała mi wyjaśnić, dlaczego rozkazała, żeby „Miecz Atagaris” obserwował bramę prowadzącą do układu skalistych planet pozbawionych atmosfery, gazowych gigantów z lodowymi księżycami, bez mieszkańców i bez innych bram.

– Presgerzy mogą podróżować bez bram, pani, mogli...

– Kapitanie. Jeśli Presgerzy postanowią nas zaatakować, nic nie poradzimy. – Minęły czasy, kiedy Radch dowodziło flotami dostatecznie potężnymi, żeby podbijać całe układy. A nawet wtedy imperium nie mogło się oprzeć Presgerom. Głównie dlatego Anaander Mianaai zgodziła się wreszcie zawrzeć traktat. Dlatego ludzie wciąż się ich bali. – I szczerze mówiąc, kapitanie, teraz największym zagrożeniem są radchaajskie statki, które opowiedziały się po jednej lub drugiej stronie, usiłujące przejąć albo zniszczyć zasoby, żeby nie skorzystała z nich druga strona. Na przykład tę planetę na dole studni.

Tyle jedzenia. Baza, jeśli potrafią ją zabezpieczyć. Jeśli ja potrafię.

– Możliwe też, że całkiem zostawią Athoek w spokoju. Z pewnością nikt nie zdoła zgromadzić czegoś w rodzaju prawdziwej floty, przynajmniej przez jakiś czas, jeśli w ogóle. – Nie sądziłam, żeby ktoś mógł nas zaskoczyć. Okręt wojenny mógł wyjść z bramy w pewnej odległości od stacji albo planety, ale wątpiłam, żeby któryś spróbował. Jeśli ktoś się pojawi, zdążymy go zauważyć. – Powinniśmy skoncentrować obronę wokół tej stacji i tej planety.

To jej się nie spodobało, chciała się sprzeciwić, ale zamknęła usta bez słowa. Kwestia, skąd pochodzi moja władza albo po której stronie leży lojalność kapitan Hetnys w tym konflikcie, w ogóle nie wynikła. Drażnienie tego tematu nie miało sensu, nie przyniosłoby korzyści ani jej, ani mnie. Jeśli mi się poszczęści, wszyscy zignorują Athoek i nie będzie sprawy. Ale nie liczyłam na to za bardzo.

* * *

Po wyjściu kapitan Hetnys zastanowiłam się, co dalej. Chyba powinnam się spotkać z gubernator Giarod i sprawdzić, czego jeszcze oprócz lekarstw może zabraknąć w najbliższej przyszłości i jak temu zaradzić. Znaleźć jakieś zajęcie dla „Miecza Atagaris” i „Łaski Phey”, żeby nie wpakowały się w kłopoty, ale były gotowe w razie, gdybym ich potrzebowała. Wysłałam zapytanie do „Łaski

Kair”. Porucznik Tisarwat była na górze, na drugim poziomie Podogrodu, w szerokim zacienionym pomieszczeniu, nieregularnie oświetlonym przez panele oparte tu i tam o ciemne ściany. Tisarwat, Raughd Denche i kilka innych spoczywało na długich grubych poduszkach. Statek zaznaczył, że to córki plantatorek herbaty i urzędniczek na stacji. Popijały coś mocnego i piekącego – Tisarwat jeszcze nie zdecydowała, czyjej smakuje, ale ogólnie dobrze się bawiła. Piat, córka administratorki stacji, trochę bardziej ożywiona niż poprzedniego wieczoru przy kolacji, powiedziała coś wulgarnego i wszystkie się roześmiały. Raughd rzuciła półgłosem, docierającym niewiele dalej niż do Tisarwat, która siedziała obok tych dwóch:

– Na cycki Aatr, Piat, czasami taka z ciebie nudna głupia dziwka.

Tisarwat zareagowała natychmiastową odrazą, co spostrzegł tylko statek i ja.

– Piat – powiedziała – obywatelka Raughd chyba cię nie docenia. Chodź, usiądź bliżej, potrzebuję kogoś, żeby mi mówił zabawne rzeczy.

Ta wymiana zdań oraz wahanie Piat i pozornie rozbawiona odpowiedź Raughd – „Tylko

żartowałam, poruczniku, nie bądź taka przewrażliwiona!” – powiedziały mi nieprzyjemne rzeczy o ich związku. Gdyby były moimi oficer, kiedy byłam statkiem, interweniowałam w jakiś sposób albo porozmawiała z ich bezpośrednią przełożoną. Przez chwilę się zastanawiałam, dlaczego stacja nic nie zrobiła, a potem uświadomiłam sobie, że Raughd zapewne bardzo, bardzo pilnuje, gdzie co mówi. Stacja nie mogła zajrzeć do Podogrodu i chociaż wszyscy w tym pokoju na pewno mieli komunikacyjne okablowanie, prawdopodobnie wyłączyli swoje implanty. Pewnie dlatego hulali właśnie tutaj, nie gdzie indziej.

Niżej, w mojej kwaterze, Piątka Kair odezwała się:

– Pani. – Pod maską obojętności kryła się obawa.

– Wszystko w porządku – zawołał nieznany głos zza jej pleców, z drugiego pokoju. – Jestem już całkiem dorosła i nikogo nie zjem! – Dziwny akcent, częściowo wykształconej Radchaai, częściowo coś innego, czego nie mogłam umiejscowić, nie przypominał żadnego z akcentów, jakie dotąd tutaj słyszałam.

– Pani – powtórzyła Piątka Kair. – Tłumaczka Dlique. – Zająknęła się lekko na dziwnym nazwisku.

– Tłumaczka? – Nie wspomiano, że w układzie przebywa ktoś z Biura Tłumaczeń, zresztą nic nie wymagało obecności kogoś takiego. Zapytałam statek i zobaczyłam w jego pamięci, jak Piątka Kair otwiera drzwi osobie w luźnej barwnej koszuli i spodniach, jakie noszono w Podogrodzie – jednak w zwykłych szarych rękawiczkach. Żadnej biżuterii. Żadnej wzmianki o nazwisku domu ani wydziale Biura Tłumaczeń, w którym pracowała, żadnego śladu rangi ani rodzinnych powiązań. Mrugnięciem odsunęłam wizję. Wstałam.

– Wpuść ją.

Piątka odsunęła się na bok i tłumaczka Dlique weszła, szeroko uśmiechnięta.

– Kapitanie floty! Tak się cieszę z naszego spotkania. Rezydencja gubernator jest okrooownie nudna. O wiele bardziej wolałabym zostać na swoim statku, ale powiedzieli, że kadłub jest przebity i jeśli zostanę, nie będę mogła oddychać. No, nie wiem, to chyba nic wielkiego? Oddychanie? – Odetchnęła głęboko, gestem wyraziła irytację i niezdecydowanie. – Powietrze! To głupie, doprawdy. Doskonale obyłabym się bez niego, ale oni nalegali.

– Tłumaczko. – Nie ukloniłam się, podobnie jak ona. W mojej głowie załęgło się straszne podejrzenie. – Zdaje się, że masz nade mną przewagę.

Wyprostowała ramiona, oczy jej się rozszerzyły ze zdumienia.

– Ja! Przewagę! To ty masz wszystkie żołnierki.

Podejrzenie przeradzało się w pewność. Ta osoba

w żadnym razie nie była Radchaai. Więc tłumaczka dla jednej z obcych ras, z którymi Radch utrzymywało stosunki. Ale nie dla Geck ani Rrrrrr – spotykałam już tłumaczki Geck i wiedziałam co nieco o ludziach, którzy tłumaczyli dla Rrrrrr, a ta osoba nie należała do jednych ani drugich. I ten dziwny akcent.

– Chodzi mi o to – wyjaśniłam – że ty chyba wiesz, kim jestem, ale ja nie wiem, kim ty jesteś.

Roześmiała się otwarcie.

– Jasne, że wiem, kim jesteś. Wszyscy o tobie mówią. No, nie ze mną. Nie powinnam wiedzieć, że tu jesteś. Nie powinnam też opuszczać rezydencji gubernatora. Ale nie lubię się nudzić.

– Chyba powinnaś mi powiedzieć, kim dokładnie jesteś.

Ale już wiedziałam. Albo wiedziałam tyle, ile potrzebowałam wiedzieć. Ta osoba należała do ludzi, których wyhodowali Presgerzy, żeby rozmawiać z Radch. Tłumaczka Presgerów. „Niepokojące towarzystwo”, powiedziała o nich Anaander Mianaai. A gubernator wiedziała, że tłumaczka jest na stacji. Założę się, że kapitan Hetnys też wiedziała. Z pewnością stąd się brał jej niewytłumaczalny strach, że Presgerzy mogą nagle się tu zjawić. Ciekawe, co kryło się za faktem, że mnie o tym nie poinformowała.

– Kim jestem? Dokładnie? – Tłumaczka Dlique zmarszczyła brwi. – Nie jestem... to znaczy właśnie powiedziałam, że jestem Dlique, ale mogę być kim innym, mogę być Zeiat. Albo nie, czekaj. Nie, na pewno jestem Dlique. Na pewno mi powiedzieli, że jestem Dlique. Och! Przecież powinnam się przedstawić. – Ukłoniła się. – Kapitanie floty, jestem Dlique, tłumaczka Presgerów. To dla mnie zaszczyt cię poznać. Teraz pewnie powiesz coś w rodzaju: „To ja jestem zaszczycona” i zaproponujesz mi herbatę. Ale znudziła mi się herbata, masz może arak?

Wysłałam szybką bezgłosną wiadomość do Piątki, a potem gestem zaprosiłam tłumaczkę Dlique, żeby usiadła

– na niestosownie wygodnej konstrukcji ze skrzynek i poduszek, nakrytej żółtym i różowym haftowanym kocem.

– A więc – zagaiłam, kiedy usadowiłam się naprzeciwko niej na własnym stosie bagaży nakrytych kocem

– jesteś dyplomatką, tak?

Dotąd zachowywała się niemal dziecinnie, wydawała się całkowicie nieutemperowana. Teraz okazała szczerą konsternację.

– Sknociłam to, prawda? W dodatku to wszystko miało być takie proste. Wracalam do domu z Pałacu Tstur po

Noworocznych Wróżbach. Chodziłam na przyjęcia, uśmiechałam się i mówiłam: „Omeny wypadły bardzo pomyślnie, nadchodzący rok przyniesie wszystkim sprawiedliwość i pożytek”. Po jakimś czasie podziękowałam ludziom za gościnność i odjechałam. Właśnie tak, jak powinnam. Wszystko bardzo nudne, nikt, kto jest kimś, nie musi tego robić.

– A potem brama padła i została przekierowana. I teraz nie możesz wrócić do domu.

W obecnym stanie rzeczy ona nigdy nie dotarłaby do przestrzeni Presgerów. Jeśli nie dysponowała statkiem, który mógł generować własne bramy – a układ pomiędzy ludźmi a Presgerami bardzo wyraźnie, bardzo ściśle zabraniał Presgerom wprowadzania takich statków do przestrzeni Radch.

Tłumaczka Dlique rozłożyła dłonie niestosownie okryte szarymi rękawiczkami w geście, jak sądziłam, irytacji.

– „Mów dokładnie to, co ci kazaliśmy, i wszystko się uda”, mówili. No więc i tak się nie udało. A o tym nic nie wspomnieli. Można by pomyśleć, że mogli, mówili tyle innych rzeczy. „Siedź prosto, Dlique. Nie ćwiartuj swojej siostry, Dlique, to nieładnie. Miejsce narządów wewnętrznych jest wewnątrz twojego ciała, Dlique”. – Spo– chmurniała na chwilę, jakby to ostatnie było szczególnie bolesne.

– Chyba panuje ogólne przekonanie, że rzeczywiście jesteś Dlique – zauważyłam.

– Można by pomyśleć! Ale to nie działa w ten sposób, kiedy nie jesteś kimś. Och! – Podniosła wzrok, kiedy

Piątka Kair weszła, niosąc dwie czarki i butelkę araku. – To dobra rzecz! – Przyjęła czarkę, którą podała jej Piątka. Uważnie zajrzała Piątce w twarz. – Dlaczego udajesz, że nie jesteś człowiekiem?

Piątka, wstrząśnięta i urażona do tego stopnia, że nawet ona musiałaby się zdradzić, gdyby się odezwała, odwróciła się bez słowa i wręczyła mi drugą czarkę. Wzięłam ją i powiedziałam spokojnie:

– Nie bądź niegrzeczna dla moich żołnierek, Dlique.

Tłumaczka Dlique roześmiała się, jakbym powiedziała coś zabawnego.

– Podobasz mi się, kapitanie floty. Z gubernator Gia– rod i kapitan Hetnys to tylko: „W jakim celu tu przybyłaś, tłumaczko?” i „Jakie masz zamiary, tłumaczko?”, i „Spodziewasz się, że w to uwierzemy, tłumaczko?” A potem: „Zobaczysz, że te pokoje są bardzo wygodne, tłumaczko; drzwi są zamknięte dla twojego bezpieczeństwa, tłumaczko; napij się jeszcze herbaty, tłumaczko”. Nie Dlique, rozumiesz? – Pociągnęła spory łyk araku. Zakrztusiła się lekko przy przełykaniu.

Zastanawiałam się, ile czasu upłynie, zanim personel gubernator zorientuje się, że tłumaczka Dlique zniknęła. Zastanawiałam się tylko przez chwilę, dlaczego stacja nie podniosła alarmu. Potem jednak przypomniałam sobie tę broń pochodzącą od Presgerów, której żaden statek ani stacja nie mogły zobaczyć. Tłumaczka Dlique mogła się wydawać dziecinna i roztrzepana. Z pewnością jednak była tak niebezpieczna, jak się obawiały gubernator Gia– rod i kapitan Hetnys. Prawdopodobnie znacznie bardziej.

Chyba jej nie doceniły. Może umyślnie do tego doprowadziła.

– A co z innymi na twoim statku?

– Innymi?

– Załoga? Personel? Pozostali pasażerowie?

– To bardzo mały statek, kapitanie floty.

– W takim razie musiało być ciasno, razem z Zeiat i tłumaczką.

Tłumaczka Dlique wyszczerzyła zęby.

– Wiedziałam, że się dogadamy. Poczęstuj mnie kolacją, dobrze? Wiesz, jem zwyczajne jedzenie.

Przypomniałam sobie, co powiedziała zaraz po przyjściu.

– Czy zjadłaś wielu ludzi, zanim dorosłaś?

– Żadnego, którego nie powinnam! Chociaż – dodała, marszcząc brwi – czasami trochę żałuję, że nie zjadłam kogoś, kogo nie powinnam. Ale już za późno. Co masz na kolację? Radchaai na stacjach jedzą strasznie dużo ryb, jak się zdaje. Znudziły mi się ryby. Och, gdzie masz łazienkę? Muszę...

Przerwałam jej.

– Właściwie nie mamy łazienki. Tutaj nie ma kanalizacji. Ale jest wiadro.

– To już coś nowego! Wiadra jeszcze mi się nie znudziły!

Porucznik Tisarwat chwiejnie wkroczyła do pokoju w chwili, kiedy Piątka Kair sprzątała ostatnie naczynia po kolacji, a tłumaczka Dlique mówiła z całkowitą powagą:

– Jajka są takie niepełne, nie uważasz? To znaczy powinny móc się stać czymkolwiek, ale zamiast tego zawsze dostajesz kurczaka. Albo kaczkę. Albo to, na co zostały zaprogramowane. Nigdy nie dostajesz niczego interesującego, na przykład wyrzutów sumienia albo środka nocy w zeszłym tygodniu. – Cała konwersacja przy posiłku przebiegała w tym stylu.

– Przytoczyłaś istotny argument, tłumaczko – przyznałam, a potem przeniosłam uwagę na porucznik Tisarwat. Nie myślałam o niej ponad trzy godziny i przez ten czas sporo wypila. Zatoczyła się, spojrzała na mnie gniewnym wzrokiem.

– Raughd Denche – powiedziała do mnie, podnosząc rękę i wskazując gdzieś w bok dla podkreślenia swoich słów. Zdawała się nie zauważać obecności tłumaczki Dlique, która obserwowała ją z zaciekawieniem i lekką dezaprobatą. – Raughd. Denche. To okropna osoba.

Sądząc nawet po tej odrobinie Raughd, którą dzisiaj widziałam, podejrzewałam, że ocena Tisarwat jest słuszna.

– Pani – dodała Tisarwat. Bardzo poniewczasie.

– Bo – rzuciłam ostro do żołnierki, która weszła za nią i kręciła się niespokojnie. – Zabierz stąd swoją porucznik, zanim narobi bałaganu.

Bo wzięła Tisarwat za ramię, wyprowadziła ją chwiejnie. Za późno, jak się obawiałam.

– Wątpię, czy ona zdąży do wiadra – powiedziała poważnie tłumaczka Dlique. Niemal z żalem.

– Ja też wątpię – przyznałam. – Ale warto było spróbować.

* * *

Sama obecność tłumaczki Presgerów na stacji Athoek stanowiła dostateczny problem. Ile minie czasu, zanim ten, kto ją wysłał, zacznie się zastanawiać, czemu nie wróciła? Jak przyjmą fakt, że Athoek praktycznie ją uwięziła, nawet jeśli nie całkiem skutecznie? I co zrobią, kiedy zastaną przestrzeń Radch pogrążoną w chaosie? Zapewne nic – traktat nie czynił różnicy pomiędzy takim czy innym rodzajem ludzi, obejmował wszystkich, i ten sam traktat zabraniał Presgerom krzywdzić ludzi. Pozostawała otwarta kwestia, co Presgerzy rozumieją przez „krzywdę”, ale przypuszczalnie takie sprawy zostały uzgodnione pomiędzy tłumaczkami Presgerów i Radch.

Obecność i zainteresowanie Presgerów można było obrócić na swoją korzyść. Od jakichś stu lat Presgerzy zaczęli sprzedawać korektory medyczne wysokiej jakości, znacznie tańsze niż te wytwarzane w obrębie Radch. Gubernator Giarod powiedziała, że Athoek nie produkuje własnych leków. A Presgerów by nie obchodziło, czy Athoek jest częścią Radch, czy nie. Obchodziliby ich tylko, czy Athoek może zapłacić, a chociaż presgerska koncepcja „zapłaty” mogła się wydawać nieco dziwaczna, nie wątpiłam, że znajdziemy coś odpowiedniego.

Więc dlaczego gubernator układała tłumaczkę Dlique w gubernatorskiej rezydencji, a potem przemilczała to przede mną? Mogłam sobie wyobrazić, że kapitan Hetnys robi coś takiego – znała kapitan Vel, która wierzyła, że obecne rozszczępienie Anaander Mianaai to rezultat presgerskiej infiltracji. Byłam niemal pewna, że tłumaczka Dlique trafiła tutaj przypadkiem – ale przypadki miały znaczenie dla Radchaai. Amaat to wszechświat i cokolwiek się dzieje, dzieje się z woli Amaat. Boskie zamiary można dostrzec poprzez staranne badanie nawet najdrobniejszych, pozornie najmniej istotnych wydarzeń. A wydarzenia z ostatnich tygodni bynajmniej nie były drobne ani nieistotne. Kapitan Hetnys zwracałaby baczną uwagę na dziwne zbiegi okoliczności, a ten zbieg okoliczności włączyłby mnóstwo alarmów w jej głowie. Nie, ukrywanie przez nią obecności tłumaczki Dlique tylko potwierdzało moje podejrzenia co do nastawienia kapitan.

Ale gubernator Giarod. Podczas kolacji u obywatelki Fosyf oraz późniejszej rozmowy w gubernatorskim biurze odniosłam wrażenie, że gubernator Giarod jest nie tylko zdolna i inteligentna, ale rozumie, że obecny konflikt wewnętrzny Anaander Mianaai zrodził się w niej samej, a nie gdzie indziej. Nie przypuszczałam, że mogłam tak źle ją ocenić. Najwyraźniej jednak coś pominęłam, nie do końca zrozumiałam jej stanowisko.

- Stacjo – nadałam bezgłośnie.
- Tak, kapitanie floty – odpowiedziała stacja w moim uchu.
- Zechciej uprzedzić gubernator Giarod, że zamierzam złożyć jej wizytę z samego rana.

Nic więcej. Jeśli stacja nie wiedziała, że zdawałam sobie sprawę z istnienia tłumaczki Dlique, co więcej, że zjadła ze mną obiad i potem znowu wyszła, moja wzmianka o tym wywołała tylko panikę gubernator Giarod i kapitan Hetnys. Muszę wymyślić jakiś sposób, żeby sobie poradzić z tą nagle coraz bardziej skomplikowaną sytuacją.

Na „Łasce Kair” Seivarden siedziała w Dowództwie. Rozmawiała z porucznik Amaat na „Mieczu Atagaris”, widocznie również pełniącą wachtę na swoim statku.

- No więc – mówiła, a statek przesyłał jej słowa prosto do ucha Seivarden. – Skąd jesteś?
- Z takiego miejsca, gdzie nie opieprzamy się na wachcie – burknęła Seivarden, ale bezgłośnie, do statku. Na głos powiedziała: – Inais.

– Doprawdy! – Najwyraźniej porucznik z „Miecza Atagaris” nigdy nie słyszała o tym miejscu. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę rozmiary przestrzeni Radch, ale nie poprawiła w ten sposób swojej i tak niskiej opinii u Seivarden. – Czy zmienili wam wszystkie oficer? Twoja poprzedniczka była w porządku.

Ekalu (w tamtej chwili spała, oddychała głęboko i regularnie) odmalowała poprzednią

porucznik Amaat na „Łasce Kair” jako nieznośną snobkę.

– Ale ta medyczka wcale nie była zbyt miła. Za bardzo zadziera nosa, moim zdaniem.

(Medyczka siedziała w pokoju dekady „Łaski Kair”, krzywiąc się na lunch składający się ze skelu i herbaty. Spokojna, w dość dobrym nastroju).

Pod wieloma względami Seivarden za młodu była równie nieznośna jak poprzednia porucznik Amaat „Łaski Kair”. Ale Seivarden służyła na transportowcu wojskowym – czyli uczestniczyła w prawdziwej walce i wiedziała, co się liczy u lekarzy.

– Nie powinnaś wypatrywać wrogich statków?

– Och, statek mi powie, jeśli coś zauważy – odparła pogodnie porucznik „Miecza Atagaris”.

– Ta kapitan floty jest bardzo onieśmielająca. Chociaż pewnie taka ma być. Rozkazała nam się zbliżyć do stacji. Więc będziemy sąsiadkami, przynajmniej przez jakiś czas. Powinnyśmy się umówić na herbatę.

– Kapitan floty jest trochę mniej onieśmielająca, kiedy nie grozisz, że zniszczysz jej statek.

– Och, to było nieporozumienie. Kiedy tylko podaliście swoją nazwę, wszystko się wyjaśniło. Jak myślisz, ona chyba nie chowa do mnie urazy?

Na stacji Athoek, w Podogrodzie, Piątka Kair sprzątała naczynia w pokoju sąsiadującym z tym, w którym siedziałam, i skarżyła się Ósemce na niespodziewane, niewygodne pojawienie się tłumaczki Dlique. W jeszcze innym pokoju Bo ścierała buty nieprzytomnej Tisarwat. Powiedziałam do statku:

– Ekalu nie przesadzała co do porucznik Amaat z „Miecza Atagaris”.

– Nie – przyznała „Łaska Kair”. – Nie przesadzała.

* * *

Następnego ranka ubierałam się – już w spodniach, jeszcze bez butów, zapinałam koszulę – kiedy usłyszałam natarczywe wołanie z korytarza, głos wykrzykujący:

– Kapitanie floty! Kapitanie floty!

Statek pokazał mi, poprzez Kair pełniącą wartę w korytarzu, siedmio- czy ośmioletnie dziecko w luźnej, brudnej koszuli i spodniach, bez butów i rękawiczek.

– Kapitanie floty! – krzyczało uparcie, ignorując strażniczkę.

Chwyciłam rękawiczki, szybko wyszłam do przedpokoju przez drzwi, które Piątka otworzyła na mój gest.

– Kapitanie floty, pani! – powtórzyła głośno mała, chociaż stałam przed nią. – Chodź zaraz! Ktoś znowu malował na ścianie! Jeśli te żołnierki trupy najpierw to zobaczą, będzie źle!

– Obywatelko – zaczęła Piątka.

Przerwałam jej.

– Idę.

Dziecko pobiegło, a ja ruszyłam za nią mrocznym korytarzem. „Ktoś znowu malował na ścianie”. Drobnostka. Wystarczająco nieważna, żeby to zignorować, ale kapitan Hetnys wcześniej zareagowała zbyt mocno – jak źle, świadczyła wyraźnie natarczywość tej

dziewczynki, albo wynikała z jej własnych obaw, co się może stać, kiedy przybędą Var „Miecza Atagaris”, albo przekazana od jakiegoś dorosłego, który ją wysłał z wiadomością. Wystarczająco poważna sprawa. A jeśli się okaże, że to nic, najwyżej opóźnię śniadanie o kilka minut.

– Co namalowali? – zapytałam, wspinając się po drabinie w studzience konserwacyjnej, tutaj jedynej drodze dostępu pomiędzy poziomami.

– Jakies słowa – odpowiedziało dziecko nade mną. – Słowa!

Czyli albo ich nie widziała, albo nie potrafiła przeczytać. Prawdopodobnie to drugie. Czyli nie napisano ich po radchaajsku ani w raswar, języku używanym przez większość miejscowych Ychana, jak się dowiedziałam w ciągu ostatnich dwóch dni. Pierwszego wieczoru, kiedy poprosiłam o więcej informacji, trochę historii, stacja powiedziała mi, że większość mieszkank Podogrodu to byli Ychana.

Słowa były w xhi, chociaż zapisane fonetycznie radchaajskimi literami. Ktokolwiek to zrobił, użył tej samej różowej farby, którą dekorowano drzwi herbaciarni i która została pod ścianą małego, zaimprovizowanego pasażu. Zrozumiałam je, chociaż wtedy znałam tylko parę zwrotów w xhi, ponieważ pochodziły z czasów aneksji, stanowiły hasło pewnego odłamu ruchu oporu, o którym opowiedziała mi stacja dwa wieczory wcześniej. „Nie herbata, ale krew!” Zamierzona gra słów. Słowo „herbata” po radchaajsku brzmiało podobnie jak „krew” w xhi, co sugerowało, że rewolucjonistki, zamiast poddać się Radch i pić herbatę, będą stawiać opór i pić (albo przynajmniej rozlewać) radchaajską krew. Owi rewolucjoniści nie żyli od kilkuset lat, ów zręczny slogan był jedynie drobnym szczegółem w lekcji historii.

Dziecko, widząc, że przystanęłam przed malunkiem niedaleko wejścia do herbaciarni, czym prędzej uciekło na bezpieczną odległość. Reszta mieszkank Podogrodu poszła w jego ślady – mały pasaż świecił pustkami, chociaż wiedziałam, że o tej porze przynajmniej do herbaciarni powinien zmierzać stały strumień klientów. Każdy, kto tędy przechodził, tylko raz zerkał na napis „Nie herbata, ale krew!” i natychmiast zawracał, żeby znaleźć jakąś kryjówkę, z dala od porucznik Var „Miecz Atagaris” i jej serwitorów. Byłam sama, Piątka Kair wciąż jeszcze wspinała się w studzience technicznej, znacznie wolniej ode mnie.

Za mną odezwał się znajomy już głos:

– To wymiotujące purpurowookie dziecko miało rację.

Odwróciłam się. Tłumaczka Dlique, ubrana tak jak zeszłego wieczoru, kiedy mnie odwiedziła.

– Rację w czym, tłumaczko? – zapytałam.

– Raughd Denche to naprawdę okropna osoba.

W tej samej chwili do pasażu wpadły dwa serwitorki „Miecza Atagaris”.

– Ty tam, stać! – zawołał jeden, głośno i rozkazująco.

W tamtej chwili uświadomiłam sobie, że mogły nie rozpoznać tłumaczki Dlique – powinna przebywać pod kluczem w rezydencji gubernator, była ubrana jak Ychana, a to miejsce jak cały Podogród było słabo oświetlone. Sama nie miałam na sobie pełnego munduru, tylko spodnie,

rękawiczki i niedopiętą koszulę. „Miecz Atagaris” potrzebowałby paru chwil, żeby się zorientować, kim jesteśmy.

– Och, sporokarpy! – Tłumaczka Dlique odwróciła się, żeby umknąć, jak założyłam, zanim „Miecz Atagaris” ją rozpozna i zaaresztuje.

Nie zdążyła się do końca odwrócić, a ja dopiero zaczęłam się zastanawiać, dlaczego użyła słowa „sporokarp” jako przekleństwa, kiedy huknął pojedynczy strzał, donośny w zamkniętej przestrzeni. Tłumaczka Dlique zachłysnęła się i upadła na twarz. Bez namysłu podniosłam zbroję i wrzasnęłam:

– „Miecz Atagaris”, wstrzymać ogień!

Jednocześnie nadałam pilnie do stacji:

– Pogotowie medyczne na poziomie pierwszym Podogrodu! – Padłam na kolana obok tłumaczki Dlique.

– Stacjo, tłumaczka Dlique została postrzelona w plecy. Potrzebuję tu natychmiast medyczki!

– Kapitanie floty – zabrzmiał w moim uchu spokojny głos stacji. – Medyczki nie schodzą do...

– Natychmiast, stacjo. – Opuściłam zbroję, spojrzałam na dwa Var „Miecza Atagaris”, stojące teraz obok mnie. – Twój pakiet medyczny, statku, szybko.

Chciałam zapytać: „Co ty sobie myślisz, żeby strzelać do ludzi?” Ale w tej chwili ważniejsze było, żeby tłumaczka Dlique się nie wykrwawiła. I to niekoniecznie była wina „Miecza Atagaris”, jeśli wykonywał rozkazy kapitan Hetnys.

– Nie noszę pakietów medycznych, kapitanie floty

– powiedział jeden z serwitorów „Miecza Atagaris”. – To nie jest alarm bojowy, a ta stacja nie ma opieki medycznej.

Ja oczywiście nie miałam apteczki. Zabierałyśmy je rutynowo, ale nadał spoczywały w skrzyni ładunkowej trzy poziomy niżej. Jeśli kula trafiła, powiedzmy, w tętnicę nerkową tłumaczki – całkiem możliwe, zważywszy na umiejscowienie rany – Dlique mogła się wykrwawić w ciągu paru minut i nawet gdybym rozkazała którejś Kair przynieść apteczkę, byłoby za późno.

Niemniej wysłałam rozkaz i przycisnęłam ręce do rany na plecach tłumaczki Dlique. Raczej nie pomoże, ale tylko tyle mogłam zrobić.

– Stacjo, potrzebuję tych medyczek! – Podniosłam wzrok na „Miecz Atagaris”. – Przynieście mi kapsułę kriogeniczną. Zaraz.

– Tutaj żadnych nie ma – powiedziała właścicielka herbaciarni, chyba jedyna osoba, która została w pobliżu, odkąd pojawił się ten slogan na ścianie. – Medyczki też tu nigdy nie przychodzą.

– No, tym razem lepiej niech przyjdą.

Ucisk moich rąk zmniejszył wpływ krwi, ale nie mogłam powstrzymać krwotoku wewnętrznego. Oddech tłumaczki stał się płytki i przyspieszony. Czyli szybko traciła krew,

szybciej, niż widziałam. Na dole, na poziomie trzecim Ósemka Kair otwierała skrzynkę, gdzie znajdowały się pakiety medyczne. Wykonała rozkaz natychmiast, pracowała szybko, ale wątpiłam, czy zdąży na czas.

Wciąż niepotrzebnie uciskałam plecy tłumaczki Dlique, która leżała twarzą do ziemi, łapiąc powietrze.

– Krew zostaje wewnątrz twoich arterii, Dlique – nakazałam.

Wydała słabe, drżące westchnienie.

– Widzisz... – przerwała na kilka płytkich oddechów. – Oddychanie. Głupie.

– Tak – przyznałam – tak, oddychanie jest głupie i nudne, ale oddychaj dalej, Dlique. Zrób to dla mnie.

Nie odpowiedziała.

Zanim Ósemka Kair przyniosła pakiet medyczny, a kapitan Hetnys przybiegła z dwiema medyczkami i serwitorami „Miecza Atagaris” ciągnącymi kapsułę kriogeniczną, było za późno. Tłumaczka Dlique nie żyła.

Rozdział 11

Kłęczałam na podłodze obok ciała tłumaczki Dlique. Krew zbryzgała moje nagie stopy, kolana, dłonie wciąż przyciśnięte do jej pleców, przemoczyła mankiety koszuli. Nie po raz pierwszy ociekałam cudzą krwią. To mnie nie przerażało. Dwa serwitory „Miecza Atagaris” stały spokojne i niewzruszone, postawiwszy kapsułę kriogeniczną, którą ciągnęły aż tutaj nadaremnie. Kapitan Hetnys marszczyła brwi, zbита z tropu, jakby nie całkiem rozumiała, co się tutaj stało.

Podniosłam się, żeby ustąpić miejsca medykom, które natychmiast zajęły się tłumaczką Dlique.

– Ob... kapitanie floty – powiedziała jedna z nich po chwili. – Przykro mi, nic nie możemy zrobić.

– Jak zwykle – powiedziała właścicielka herbaciarni, która wciąż stała w drzwiach, zaledwie parę metrów od nabazgranego napisu: „Nie herbata, ale krew!”. To był problem. Ale podejrzewałam, że nie taki problem, jak uważała kapitan Hetnys.

Ściągnęłam rękawiczki. Nasiąkły krwią, ręce mi się lepily. Podeszłam szybko do kapitan Hetnys, zanim zdążyła się cofnąć, i zakrwawionymi rękami chwyciłam ją za kurtkę mundurową. Zawlokłam ją, potykającą się, do ciała tłumaczki Dlique, dwie medyczki umknęły nam z drogi. Zanim kapitan Hetnys zdążyła odzyskać równowagę czy stawić opór, cisnęłam ją na zwłoki. Odwróciłam się do Ósemki Kair.

– Sprowadź kapłankę – poleciłam jej. – Kogokolwiek znajdziesz, kto ma uprawnienia, żeby odprawić oczyszczenie i pogrzeb. Jeśli powie, że nie przyjdzie do Podogrodu, poinformuj ją, że może przyjść dobrowolnie albo nie, ale i tak przyjdzie.

– Pani. – Ósemka potwierdziła przyjęcie rozkazu i wyszła.

Tymczasem kapitan Hetnys zdołała się podnieść z pomocą jednego z jej serwitorów.

– Jak to się stało, kapitanie? Mówiłam, żeby nie używać przemocy wobec obywaterek, tylko w razie absolutnej konieczności. – Tłumaczka Dlique nie była obywatelką, ale „Miecz Atagaris” nie mógł wiedzieć, że strzela do tłumaczki.

– Pani – powiedziała kapitan Hetnys. Głos jej drżał albo z wściekłości na mój postępek, albo z powodu ogólnego stresu. – „Miecz Atagaris” zapytał stację, a ona powiedziała, że nie wie nic o tej osobie i nie ma ona trackera. Czyli nie była obywatelką.

– I dlatego można ją było zastrzelić, tak?

Ale oczywiście sama stosowałam dokładnie taką samą logikę przy niemal niezliczonych okazjach. Była to logika nieodparta dla kogoś takiego jak „Miecz Atagaris” – dla kogoś takiego jak ja – i nigdy nie przyszło mi do głowy, że „Miecz Atagaris” mógłby choćby pomyśleć o użyciu broni palnej tutaj, na stacji pełnej obywaterek, stacji od wieków należącej do Radch.

Powinno było przyjść mi do głowy. Ponośliam odpowiedzialność za wszystko, co się stało pod moim dowództwem.

– Kapitanie floty – powtórzyła kapitan Hetnys, oburzona i niestarájąca się za bardzo tego ukryć. – Nieupoważniona osoba stanowi zagrożenie dla...

– To – oznajmiłam, z rozmysłem podkreślając każde słowo – jest tłumaczka Presgerów, Dlique.

– Kapitanie floty – odezwała się stacja w moim uchu. Zostawiłam połączenie ze stacją otwarte, więc słyszała, co mówiłam. – Z całym szacunkiem, mylisz się. Tłumaczka Dlique nadal przebywa w swoich pokojach w rezydencji gubernatora.

– Zajrzyj jeszcze raz, stacjo. Wyślij kogoś, żeby tam zajrzał. Kapitanie Hetnys, od tej chwili ani ty, ani nikt z twojej załogi czy serwitorów nie macie prawa nosić broni na tej stacji, bez względu na okoliczności. Ani twój statek, ani twoja załoga nie wejdą ponownie do Podogrodu bez mojego wyraźnego zezwolenia. Var „Miecza Atagaris” i jego porucznik wrócą na „Miecz Atagaris” natychmiast, pierwszym promem. Nie mów do mnie... – otworzyła usta, żeby zaprotestować – ..ani słowa. Rozmyślnie zataiłaś przede mną istotne informacje. Naraziłaś życie mieszkanek tej stacji. Twoje oddziały doprowadziły do śmierci dyplomatycznej przedstawicielki Presgerów. Próbuje wymyślić jakiś powód, żeby nie zastrzelić cię na miejscu.

Właściwie miałam co najmniej trzy istotne powody – dwa uzbrojone serwitorki stojące obok kapitan Hetnys oraz fakt, że w pośpiechu zostawiłam swoją broń na kwaterze, trzy poziomy niżej.

Odwrociłam się do właścicielki herbaciarni.

– Obywatelko. – Musiałam zdobyć się na dodatkowy wysiłek, żeby nie mówić swoim bezbarwnym serwitorskim głosem. – Przyniesiesz mi herbatę? Nie jadłam śniadania, a dzisiaj będę zmuszona pościć.

Odwrociła się bez słowa i weszła do herbaciarni.

Kiedy czekałam na herbatę, zjawiała się gubernator Gia–rod. Spojrzała tylko raz na ciało

tłumaczki Dlique, na kapitan Hetnys umazaną krwią, stojącą w milczeniu obok serwitorów „Miecza Atagaris”, zaczerpnęła tchu i powiedziała:

– Kapitanie floty. Mogę wyjaśnić.

Popatrzyłam na nią. Potem odwróciłam się i zobaczyłam, że właścicielka herbaciarni stawia miseczkę herbacianego kleiku na podłodze, metr ode mnie. Podziękowałam jej, schyliłam się po czarkę. Dostrzegłam odrazę na twarzach kapitan Hetnys i gubernator Giarod, kiedy trzymałam czarkę nagimi, zakrwawionymi rękami i piłam.

– Zrobimy tak – oznajmiłam, kiedy wypiałam połowę gęstej herbaty. – Odbędzie się pogrzeb. Nie chcę słyszeć o zachowaniu tego w tajemnicy ani o panice w korytarzach. Będzie pogrzeb, z ofiarami i odpowiednimi symbolami, i okres żałoby dla każdego członka administracji stacji. Ciało zostanie przechowane w anabiozie, żeby kiedy Presgerzy zgłoszą się po tłumaczkę, mogli je zabrać i zrobić z nim to, co robią ze zwłokami. Na razie „Miecz Atagaris” powie mi, kiedy ostatnio widział tę ścianę bez napisu, a potem stacja wyliczy wszystkie osoby, które zatrzymywały się przed ścianą od tamtej pory aż do teraz.

Stacja mogła nie widzieć, czy ktoś maluje, ale z pewnością wiedziała, gdzie wszyscy przebywali. Zakładałam, że w tym oknie czasowym przed ścianą stało bardzo niewielu ludzi, którzy nie byli samym malarzem.

– Błagam o wybaczenie, kapitanie floty. – Kaptan Hetnys wbrew rozsądkowi ośmieliła się do mnie odezwać. – To już załatwione i Bezpieczeństwo aresztowało sprawcę.

Uniosłam brew. Zdumiona. I sceptyczna.

– Bezpieczeństwo aresztowało Raughd Denche?

Teraz z kolei zdziwiła się kapitan Hetnys.

– Nie, pani! – zaprotestowała. – Nie wiem, dlaczego zakładasz, że obywatelka Raughd mogłaby zrobić coś takiego. Nie, pani, to mogła być tylko Sirix Odęła. Dziś rano przechodziła tędy w drodze do pracy i zatrzymała się całkiem blisko tej ściany prawie na piętnaście sekund. Więcej niż trzeba czasu, żeby to namalować.

Jeśli tędy przechodziła w drodze do pracy, to mieszkała w Podogrodzie. Większość mieszkank Podogrodu to byli Ychana, jednak to nazwisko było samirendzkie. I znajome.

– Ta osoba pracuje na górze, w Ogrodach? – zapytałam.

Kapitan Hetnys potwierdziła gestem. Pomyślałam

o osobie, którą tu spotkałam pierwszego dnia. Która stała w jeziorze w Ogrodach, tak zestresowana na samą myśl o okazaniu gniewu. Niemożliwe, żeby ona to zrobiła.

– Dlaczego Samirendka miałaby malować slogan xhi radchaajskimi literami? Dlaczego nie napisała tego w liost, skoro jest Samirendką, albo w raswar, który zna tutaj więcej ludzi?

– Historycznie, kapitanie floty... – zaczęła gubernator Giarod.

Przerwałam jej.

– Historycznie, gubernatorze, całkiem sporo ludzi ma słuszne powody, żeby nienawidzić aneksji. Lecz akurat tutaj, akurat teraz, korzyści z rebelii mogą być najwyżej symboliczne.

Tak wyglądała sytuacja już od kilku stuleci. Nikt z Podogrodu, kto cenił swoje życie (nie

wspominając o życiu innych mieszkańek Podogrodu), nie namalowałby tego sloganu na ścianie, nie wiedząc, jak zareaguje stacyjna administracja. I gotowa byłam się założyć, że wszyscy w Podogrodzie wiedzieli, jak zareaguje stacyjna administracja.

– Podogród niewątpliwie powstał w sposób niezamierzony – ciągnęłam, kiedy „Łaska Kair” pokazała mi przelotnie Ósemkę Kair przemawiającą surowo do młodszej kapłanki – ale skoro okazał się pożyteczny, mówicie sobie, że jego istnienie jest również sprawiedliwe i przyzwoite.

Ta odwieczna trójca, sprawiedliwość, przyzwoitość, pożytek. Teoretycznie żadne nie występowało oddzielnie. Wszystko, co sprawiedliwe, było przyzwoite, wszystko, co pożyteczne, było sprawiedliwe.

– Kapitanie floty – zaczęła oburzona gubernator Giarod. – Bynajmniej nie uważam...

– Wszystko potrzebuje swojego przeciwieństwa

– przerwałam jej. – Jak możecie być cywilizowani, jeśli nie ma niecywilizowanych? – Cywilizowani. Radchaai. To samo słowo. – Gdyby to komuś w jakiś sposób nie przynosiło pożytku, tu by były kanalizacja i oświetlenie, i działające drzwi, i medyczki w nagłych przypadkach. – Zanim gubernator układu zdążyła choćby mrugnąć, odwróciłam się do właścicielki herbaciarni, wciąż stojącej w drzwiach swojego lokalu. – Kto po mnie posłał?

– Sirix – odpowiedziała. – I widzisz, co jej to dało.

– Obywatelko – zaczęła kapitan Hetnys, surowa i oburzona.

– Milcz, kapitanie. – Mówiłam spokojnym tonem, ale kapitan Hetnys więcej się nie odezwała.

Radchaajskie żołnierki, które dotykają zwłok, pozbywają się nieczystości poprzez kąpiel i krótką modlitwę

– nigdy nie znałam takiej, która się kąpała bez mamrotania albo subwokalizowania. Sama tego nie robiłam, ale wszystkie moje oficer tak robiły, kiedy byłam statkiem. Przypuszczałam, że cywilne medyczki stosują podobne rytuały.

Taka kąpiel i modlitwa wystarczały, jeśli nie składano ofiar w świątyni. Ale dla większości radchaajskich cywilów bliski kontakt ze śmiercią to była całkiem inna sprawa.

Gdybym była w nieco bardziej złośliwym nastroju, naumyślnie obeszląbym cały ten zaimprovizowany pasaż, właściwie cały ten poziom Podogrodu, zostawiając wszędzie plamy krwi* * * żeby kapłanki, które się zjawiają, musiały tu spędzić kilka dni. Jednak nigdy nie widziałam, żeby ktoś coś zyskał na niepotrzebnej złośliwości, a ponadto podejrzewałam, że cały Podogród był w tragicznym stanie pod względem rytualnej nieczystości. Jeśli medyczki nigdy tu nie zaglądały, z pewnością wcześniej umierali tu inni ludzie, a skoro kapłanki nie przychodziły, nieczystość oczywiście pozostawała. Rzecz jasna przy założeniu, że ktoś wierzył w takie rzeczy. Ychana pewnie nie wierzyła. Jeszcze jeden powód, żeby uważać je za cudzoziemki, niewarte podstawowych udogodnień, które każda Radchaai zapewne traktowała jak coś oczywistego.

Zjawiała się starsza kapłanka z dwiema asystentkami. Zatrzymała się dwa metry przed trupem tłumaczki Dlique leżącym w kałuży krwi i stała, patrząc na niego i na nas oczami rozszerzonymi ze zgrozy.

– Jak tutaj pozbywają się ciał? – rzuciłam w przestrzeń.

Gubernator Giarod odpowiedziała:

– Wciągają je do korytarzy wokół Podogrodu i tam zostawiają.

– Obrzydliwe – mruknęła kapitan Hetnys.

– A co innego mogą robić? – zapytałam. – Tu nie ma zaplecza do przechowywania zwłok. Medycy tu nie przychodzą, ani kapłanki. – Spojrzałam na starszą kapłankę. – Mam rację?

– Nikt nie powinien tu przebywać, kapitanie floty – odparła sztywno i zerknęła na gubernator.

– Istotnie. – Odwróciłam się do Piątki Kair, która wróciła razem z kapłankami. – Czy ta kapsuła kriogeniczna działa?

– Tak, pani.

– Więc kapitan Hetnys i ja włożymy tam tłumaczkę. Potem wy – wskazałam na kapłanki gestem, który z powodu moich nagich dłoni stał się obelżywy – zrobicie, co trzeba.

* * *

Kapitan Hetnys i ja przez dwadzieścia minut obmywałyśmy się w poświęconej wodzie, odmawiałyśmy modlitwy, posypywano nas solą i okadzano trzema rodzajami kadzidła. To nie oczyściło nas całkowicie, tylko zmniejszyło skażenie na tyle, że mogłyśmy chodzić po korytarzach albo przebywać w pokoju razem z innymi osobami, które nie musiały wzywać kapłanek. Żołnierska kąpiel i modlitwa skutkowały tak samo. Nawet lepiej, ściślej mówiąc, ale to nie zadowoliłoby większości mieszkanek stacji Athoek.

– Gdybym odbyła pełną, tradycyjną żałobę – wytknęła gubernator Giarod, kiedy wszystko się skończyło, a kapitan Hetnys i ja przebrałyśmy się w czystą odzież – nie mogłabym wejść do mojego biura przez dwa tygodnie. To samo dotyczy reszty urzędników. Chociaż zgadzam się, kapitanie floty, że ktoś powinien to zrobić.

W trakcie rytuału udręczony wyraz zniknął z jej twarzy i wydawała się całkiem spokojna.

– Tak – zgodziłam się – wy wszystkie musicie być dalszymi kuzynkami. Kapitan Hetnys i ja wystąpimy w roli najbliższej rodziny.

Kapitan Hetnys bynajmniej nie była tym zachwycona, ale nie mogła protestować. Wysłałam Piątkę Kair po brzytwę, żebyśmy z kapitan Hetnys ogoliły sobie głowy przed pogrzebem, a także do jubilera w sprawie pamiątkowych spinek.

– Teraz – powiedziałam do gubernator Giarod, kiedy Piątka Kair odeszła, a kapitan Hetnys skierowała do swojej kwatery, żeby się przygotowała do postu – muszę wiedzieć wszystko o tłumacze Dlique.

– Kapitanie floty, moim zdaniem to nie najlepsze miejsce...

– Nie mogę pójść do twojego biura w takim stanie.

– Niezbyt sprawiedliwe, skoro po tej śmierci byłam w pełnej żałobie i powinnam pościć w domu. Oczywiście byłoby to nieprzyzwoite, a ten pogrzeb powinien być całkowicie, absolutnie przyzwoity. – I w pobliżu nikogo nie ma.

– Właścicielka herbaciarni znikła w swoim lokalu. Kapłanki uciekły najszybciej, jak tylko się odważyły. Serwitory „Miecza Atagaris” opuściły Podogród na mój rozkaz. Moje dwie stojące obok Łaski Kair się nie liczyły. – A ukrywanie sekretów jak dotąd okazało się niezbyt korzystne.

Gubernator Giarod wykonała gest żalostnej rezygnacji.

– Ona przybyła z pierwszą falą przekierowanych statków. – Statków przysłanych przez sąsiednie układy albo w nadziei, że znajdą inną trasę do swojego pierwotnego miejsca przeznaczenia, skoro padły bramy, przez które miały podróżować, albo ponieważ lokalna infrastruktura nie wystarczała przy takim tłoku. – Tylko ona jedna, w maleńkim jednoosobowym kurierze, zaledwie wielkości promu. Nie wiem, jakim cudem mógł pomieścić nawet tyle powietrza, ile potrzebowała na podróż, o której mówiła. I wybrała sobie czas... – Gubernator gestem wyraziła frustrację. – Nie mogłam zapytać pałacu o radę. Rzuciłam omeny. Prywatnie. Otrzymałam niepokojące wyniki.

– Oczywiście.

Każda Radchaai skłonna była podejrzewać zbiegi okoliczności. Nic się nie działo czystym przypadkiem, nawet najmniejszy drobiazg. Zatem każde wydarzenie stanowiło potencjalnie znak boskich intencji. Niezwykłe zbiegi okoliczności mogły być tylko szczególnie wyraźnymi wiadomościami od boga.

– Rozumiem twoje obawy. Nawet do pewnego stopnia rozumiem, że chciałaś trzymać tłumaczkę pod kluczem i ukryć jej obecność przed większością mieszkanek stacji. Nie to mnie martwi. Martwi mnie, że nie raczyłaś mnie poinformować o tej alarmującej i potencjalnie niebezpiecznej sytuacji.

Gubernator Giarod westchnęła.

– Kapitanie floty, słyszę różne rzeczy. Niewiele z tego, co się mówi na tej stacji... i właściwie w całym układzie... nie dociera w końcu do moich uszu. Odkąd objęłam ten urząd, słyszę szept o korupcji Radch.

– Nie dziwię się.

Stale narzekano, że przesiedleńcy z zaanektowanych światów i nowe obywatelki przynoszą ze sobą niecywilizowane zwyczaje i poglądy, które podważają prawdziwą cywilizację. Słyszałam to przez całe swoje życie – jakieś dwa tysiące lat. Z pewnością sytuacja w Podogrodzie tylko podsycala te plotki.

– Ostatnio – ciągnęła gubernator Giarod z uśmiechem skruchy – kapitan Hetnys zasugerowała, że Presgerzy infiltrują najwyższe urzędy, zamierzając nas zniszczyć. Jako że presgerskich tłumaczy niełatwo odróżnić od prawdziwych ludzi, a Biuro Tłumaczeń utrzymuje z nimi bliskie i ciągłe kontakty.

– Gubernatorze, czy w ogóle rozmawiałaś kiedyś z tłumaczką Dlique?

Gestem wyraziła frustrację.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, kapitanie floty. Ale z drugiej strony, ona najwyraźniej opuściła zamknięty i strzeżony pokój w rezydencji gubernator bez niczyjej wiedzy, zdobyła ubranie i chodziła swobodnie po tej stacji, niezauważona przez stację. Tak, rozmowy z nią bywały osobliwe i nigdy nie wzięłabym jej za obywatelkę. Ale najwyraźniej miała znacznie większe możliwości, niż się nam przyznawała. Niektóre dość przerażające. Osobiście nigdy nie wierzyłam w te plotki, że Presgerzy, którzy od czasu traktatu zostawili nas w spokoju, którzy są tak obcy, mieliby wtrącać się w nasze sprawy, czego nie robili nigdy przedtem. Ale potem tłumaczka Dlique zjawia się od razu, gdy tylko bramy zaczynają padać, i tracimy kontakt z Pałacem Omaugh, i...

– I kapitan Hetnys mówi o zinfiltrowaniu przez Presgerów wysokich urzędów. Najwyższego urzędu. A ja jestem kuzynką Anaander Mianaai i zjawiam się z historyjką o lord Radch, która walczy sama ze sobą o przyszłość Radch, a moje oficjalne akta wyraźnie nie pasują do tego, kim jestem naprawdę. I nagle coraz trudniej ci odrzucić niewiarygodne dotąd szepty o Presgerach.

– Właśnie.

– Gubernatorze, czy zgadzamy się, że bez względu na to, co się dzieje gdzie indziej, naszym zadaniem jest wyłącznie zapewnienie bezpieczeństwa mieszkańcom tego układu? Że bez względu na to, czy lord Mianaai jest podzielona, to jedyny sensowny rozkaz, jakiego od niej możesz oczekiwać?

Gubernator Giarod zastanawiała się nad tym przez sześć sekund.

– Tak. Tak, masz rację. Tylko że, kapitanie floty, jeśli musimy kupować medykamenty, to może oznaczać kontakty z zewnętrznymi źródłami zaopatrzenia. Jak Presgerzy.

– Więc widzisz – powiedziałam bardzo, bardzo spokojnie – dlaczego ukrywanie przede mną tłumaczki Dlique nie było najlepszym pomysłem. – Gestem wyraziła zgodę. – Nie jesteś głupia. Przynajmniej tak sądziłam. Przyznaję, że odkrycie obecności tłumaczki Dlique nieco zachwiało moją opinią w tej kwestii. – Milczała. – Teraz, zanim oficjalnie rozpocznę post, mam do załatwienia kilka innych spraw. Muszę porozmawiać z administratorką stacji Celar.

– O Podogrodzie? – domyśliła się gubernator Giarod.

– Między innymi.

* * *

W moim pokoju dziennym na poziomie czwartym w Podogrodzie, odesławszy Kair, żebyśmy mogły porozmawiać prywatnie, powiedziałam do Tisarwat:

– Muszę spędzić następne dwa tygodnie w żałobie. Co znaczy, że nie będę mogła wykonywać żadnej pracy. Oczywiście przez ten czas porucznik Seivarden będzie dowodzić „Łaską Kair”. A ty będziesz zarządzać tutaj gospodarstwem.

Obudziła się z ciężkim kacem. Herbata i leki pomogły, ale nie całkiem.

– Tak jest, pani.

– Dlaczego ona to zostawiła?

Tisarwat zamruwała. Zmarszczyła brwi. Potem zrozumiała.

– Pani. To nie jest duży problem. I przydaje się jakieś miejsce, gdzie można... robić coś w sekrecie. – Istotnie. Przydaje się każdej i wszystkim częściom lord Radch, ale tego nie powiedziałam. Ona już o tym wiedziała. – I naprawdę, pani, wiesz, ludzie tutaj radzili sobie całkiem dobrze, dopóki nie zjawiała się kapitan Hetnys.

– Radzili sobie całkiem dobrze, czyżby? Bez wody i pogotowia medycznego w nagłych wypadkach, i jakoś nikt nie kwestionował metod Hetnys?

Spuściła wzrok na swoje buty. Zawstydzona. Żalona.

Podniosła wzrok.

– One skądś biorą wodę, pani. Hodują grzyby. Jest takie danie...

– Poruczniku.

– Tak, pani.

– Co ona zamierzała tu robić?

– Pomagać ci, pani. Głównie. Chyba że zrobiłabyś coś, żeby jej przeszkodzić w... ponownym połączeniu się, jak już to się skończy. – Nie odpowiedziałam natychmiast, a ona dodała: – Uważa to za prawdopodobne, pani.

– Ta sytuacja w Podogrodzie musi się poprawić. Zamierzam o tym porozmawiać z administratorką stacji. Użyj swoich kontaktów... z pewnością nie wysłała cię tu bez kontaktów... żeby tego dopilnować. Po pogrzebie nie będę mogła niczego robić bezpośrednio, ale będę cię obserwować.

* * *

Tisarwat wyszła, a Piątka Kair wprowadziła administratorkę stacji Celar do pokoju dziennego. Dzisiaj Celar nosiła błękitny mundur administracji, ale zdołała sprawić, że standardowy ubiór wyglądał elegancko na jej ciężkiej, szerokiej sylwetce. Usiadłam, kiedy ona usiadła. Nie zaproponowałam jej herbaty, jak wymagała zwykła uprzejmość. W moim obecnym położeniu nikt oprócz moich domowników nie mógł przy mnie jeść ani pić.

– Sytuacja w Podogrodzie jest nie do przyjęcia – oświadczyłam bez żadnych wstępów, żadnego złagodzenia.

Żadnego podziękowania, że zechciała się pofatygować, niewątpliwie narażając się na niewygodę. – Jestem szczerze zdumiona, że tak długo pozostawiono go w tym stanie. Ale nie pytam o powody ani wymówki. Spodziewam się, że remont rozpocznie się natychmiast.

– Kapitanie floty – administratorka Celar zjeżyła się na moje słowa, chociaż mówiłam tonem spokojnym i bezosobowym – możemy tylko...

– Więc zróbcie to tylko. I nie mówcie mi, że nikt nie powinien tam przebywać. Najwyraźniej ludzie tam przebywają. I – wkraczałam na delikatny teren – bardzo wątpię, czy coś takiego byłoby możliwe bez pewnej kolaboracji ze strony stacji. Mocno podejrzewam, że stacja ukrywa coś przed tobą. Macie tu problem i same go stworzyłyście. – Administratorka

stacji Celar zmarszczyła brwi, nie zrozumiałwszy od razu. Obrażona. – Nalegałabym, żebyś spojrzała na to z punktu widzenia stacji. Znaczna jej część została zniszczona. Całkowita naprawa jest niemożliwa, ale nie zrobiono nic, żeby chociaż zminimalizować uszkodzenia. Po prostu zamknęłyście tę część i próbowaliście o niej zapomnieć. Ale stacja nie mogła tak po prostu zapomnieć.

Przypuszczałam, że stacja czuła się lepiej, mając tam ludzi niż pustą, głuchą dziurę. A jednocześnie to jej ciągle przypominało o jej kalectwie. Ale raczej nie potrafiłam wyjaśnić, dlaczego i w jaki sposób doszłam do tego wniosku.

– A ludzie, którzy tu przebywają, to mieszkanki stacji i stacja została stworzona, żeby o nich dbać. Jednak traktujecie ich nie za dobrze i wyobrażam sobie, że stacja ma o to żal. Chociaż nie może wam tego powiedzieć bezpośrednio, więc po prostu... pomija różne rzeczy. Robi i mówi dokładnie to, czego żądacie, i niewiele więcej. Znałam już nieszczęśliwe SI. – Nie wyjawiałam, skąd ani że sama byłam SI. – I taką tu macie.

– Jak SI może być nieszczęśliwa, skoro robi dokładnie to, do czego ją stworzono? – zapytała administratorka stacji Celar. Na szczęście nie zapytała, jakie to ma znaczenie, czy SI jest nieszczęśliwa, czy szczęśliwa. A potem, udowadniając, że nie zdobyła swojego stanowiska tylko ze względu na wygląd, dodała: – Ale ty twierdzisz, że nie pozwalamy stacji tego robić. To jest istota tego, co powiedziałaś, tak? – Westchnęła. – Kiedy tu przyjechałam, moja poprzedniczka opisała Podogród jako bagno zbrodni i nędzy, którego nikt nie potrafił bezpiecznie oczyścić. Wszystko, co widziałam, zdawało się świadczyć, że miała rację. I to trwało od tak dawna, że uzdrowienie tej sytuacji wydawało się niemożliwe. Wszyscy się z tym zgadzali. Ale to żadna wymówka, prawda? Ja za to odpowiadam.

– Naprawcie drzwi między sekcjami – poleciłam. – Zainstalujcie kanalizację i oświetlenie.

– I wentylację – dodała administratorka stacji Celar, wachlując się przelotnie dłonią w błękitnej rękawiczce.

Gestem wyraziłam zgodę.

– Przyznajcie obecnym lokatorom prawo do zajmowanych miejsc. Tak na początek.

Sprowadzenie tam służby medycznej i patroli bezpieczeństwa, które nie spowodują więcej kłopotów, niż rozwiążą, będzie następnym, trudniejszym krokiem.

– Jakoś mi się nie wydaje, kapitanie floty, żeby to było takie proste.

Zapewne nie. Ale...

– Tego nie wiem. Ale musimy coś zrobić. – Spostrzegłam, że zauważyła to „my”. – A teraz muszę z tobą porozmawiać o twojej córce Piat. – Administratorka stacji Celar wyglądała na zaskoczoną. – Ona i obywatelka Raughd są kochankami?

Wciąż zaskoczenie.

– Kochały się od dziecka. Raughd dorastała na dole studni, a Piat często jeździła na dół z wizytą i dotrzymywała jej towarzystwa. Wtedy w rodzinie było niewiele dzieci w wieku Raughd. Przynajmniej w górach.

Na dole studni. Gdzie stacja nie widziała nic oprócz trackerów.

– Lubisz Raughd – powiedziałam. – To dobre koneksje, a ona jest wyjątkowo czarująca. – Administratorka stacji potwierdziła gestem. – Twoja córka jest bardzo powściągliwa. Niewiele z tobą rozmawia. Spędza więcej czasu w innych domach niż w domu rodzinnym z tobą. Może czujesz, że cię odepchnęła.

– Do czego zmierzasz, kapitanie floty?

Nawet jeśli stacja widziała, jak Raughd traktuje Piat, kiedy myśli, że nikt nie patrzy, nie zgłosiłaby tego bezpośrednio. Na stacjach nieistniejąca prywatność paradoksalnie była jednocześnie absolutną koniecznością. Stacja widziała twoje najintymniejsze chwile. Ale zawsze wiedziałaś, że nigdy nie powie byle komu, co widziała, nigdy nie będzie plotkować. Stacja zgłosi przestępstwa albo wypadki, ale wszystko inne najwyżej zasygnalizuje jako aluzję lub wskazówkę. Stacyjna rodzina może być pod pewnymi względami bardzo zamknięta w sobie, bardzo tajemnicza, chociaż mieszka tuż obok tak wielu innych. Nawet jeśli przez cały czas obserwuje ją wszechwidzące oko stacji.

Aluzje często wystarczały. Ale jeśli stacja była nieszczęśliwa, mogła nie robić nawet tego.

– Raughd jest czarująca tylko wtedy, kiedy chce – oznajmiłam. – Kiedy ludzie patrzą. Prywatnie, dla niektórych, jest całkiem inna. Poproszę swój statek, żeby wysłał ci nagranie tego, co się wydarzyło tu, w Podogrodzie, wczoraj wieczorem.

Palce jej drgnęły, wywołując plik. Zamrugała, poruszyła oczami w sposób świadczący, że ogląda tę scenę z Raughd, jej córką i innymi, rozłożonymi na poduszkach, pijącymi. Poznałam po jej twarzy, kiedy usłyszała, jak obywatelka Raughd mówi: „Czasem taka z ciebie nudna, głupia dziwka”. Najpierw z osłupiałym niedowierzaniem, a potem z zawziętym gniewem patrzyła, jak narastała agresja Raughd i jak porucznik Tisarwat, chociaż pijana, próbowała trzymać Piat jak najdalej od Raughd. Administratorka stacji Celar gestem zamknęła nagranie.

– Czy słusznie się domyślam – zapytałam, zanim zdążyła się odezwać – że obywatelka Raughd nigdy nie zdawała testów na zdolności? Ponieważ już była dziedziczką obywatelki Fosyf? – Administratorka stacji Celar przytaknęła. – Testująca przypuszczalnie zauważyłaby takie skłonności i skierowałaby ją na leczenie albo zaproponowała przydział, gdzie taka osobowość stanowiłaby zaletę. Niekiedy, w połączeniu z innymi rzeczami, pomaga w wojskowej karierze, a dyscyplina trzyma w ryzach taką osobę i uczy ją odpowiedniego zachowania. – Bogowie niech się zlitują nad każdym, kto dostał się pod rozkazy takiej osoby, jeśli najpierw nie nauczono jej odpowiedniego zachowania. – Potrafią być bardzo, bardzo czarujące. Nikt nawet nie podejrzewa, jakie są prywatnie. Większość nie uwierzyłaby, gdyby im powiedzieć.

– Ja bym nie uwierzyła – przyznała administratorka.

– Gdybyś mi nie pokazała... – Machnęła ręką przed twarzą, mając na myśli nagranie, które właśnie przewinęło się przed jej oczami, rozbrzmiało w jej uszach.

– Dlatego ci to pokazałam – wyjaśniłam – chociaż to nie było przyzwoite.

– To, co sprawiedliwe, nie może być nieprzyzwoite

– odparła administratorka stacji Celar.

– To nie wszystko, administratorce stacji. Jak mówiłam, stacja ukrywa rzeczy, o które konkretnie nie zapytasz. Co najmniej raz obywatelka Piat zgłosiła się do Medycznego z siniakami na twarzy. Mówiła, że upiła się w Podogrodzie, potknęła i wpadła na ścianę. Sińce na to nie wskazywały, nie według mojej oceny. Również według medyczek, ale one nie zamierzały się wtrącać w twoje osobiste sprawy. Na pewno myślały, że gdyby to był poważny problem, stacja coś by powiedziała. – I nikt inny nic nie zauważy. Korektor, kilka godzin i sińce znikają. – Wtedy w pobliżu nie było nikogo oprócz Raughd. Widywałam już takie rzeczy. Raughd przeprosi i przysięgnie, że nigdy więcej tego nie zrobi. Stanowczo radzę zapytać stację konkretnie o każdą wizytę twojej córki w Medycznym, nawet z drobnymi dolegliwościami. Zapytałabym również stację, czy używała korektorów pierwszej pomocy. Spytałam stację wprost, z zamiarem wykrycia tego rodzaju incydentów, ponieważ widywałam już takie rzeczy i wiedziałam, że z pewnością coś znajdę. Stacja odpowiedziała mi tylko dlatego, że gubernator układu Giarod jej rozkazała, na moje żądanie.

Administratorce stacji Celar milczała. Prawie nie oddychała. Może oglądała zapis wizyt swojej córki w Medycznym. Może nie.

– A więc – podjęłam po chwili. – Niewątpliwie wiadomo ci o dzisiejszych porannych kłopotach, które zakończyły się śmiercią tłumaczki Presgerów Dlique.

Zamrugnęła, zaskoczona nagłą zmianą tematu. Zmarszczyła brwi.

– Kapitanie floty, zapewniam cię, że dzisiaj rano po raz pierwszy w ogóle usłyszałam o istnieniu tłumaczki.

Machnięciem ręki odrzuciłam jej wyjaśnienia.

– Stację wyraźnie zapytano, kto stał w pobliżu tamtej ściany we właściwym przedziale czasowym dostatecznie długo, żeby namalować ten napis. Stacja podała, że Sirix Odęła i Raughd Denche. Bezpieczeństwo natychmiast aresztowało obywatelkę Sirix, wyszedłszy z założenia, że Raughd nie zrobiłaby czegoś takiego. Ale stacji nie zapytano, czy któraś z tych obywaterek miała farbę na ubraniu. A ponieważ stacji nie zapytano, nie podała tej informacji z własnej inicjatywy. – Nie byłam w tej chwili połączona ze stacją, chociaż podejrzewałam, że administratorce stacji Celar jest połączona. – Uważam, że nie powinnaś obwiniać o to stacji. Jak mówiłam wcześniej.

– Z pewnością – powiedziała administratorce stacji Celar – to był tylko psikus, coś, co zrobiono dla zabawy. Młodzieńcza fantazja.

– A na jaką zabawę – zapytałam, starannie unikając wszelkiej intonacji – liczyła młodzieńcza fantazja? Patrzenie, jak Var „Miecza Atagaris” aresztują całkowicie niewinne obywatelki? Poddawanie tych całkowicie niewinnych obywaterek przesłuchaniom, żeby udowodniły swoją niewinność, albo jeszcze gorzej, skazywanie ich bez żadnego przesłuchania i bez żadnych dowodów poza stwierdzeniem, że „Raughd Denche nie mogła tego zrobić”? Dalsze alarmowanie ciebie, gubernator i kapitan Hetnys w czasie, kiedy sytuacja i tak jest napięta? Ale jeśli dla dobra dyskusji przyjmujemy, że to nieszkodliwa zabawa, dlaczego nikt nie powiedział: „To nic, to tylko zwykły psikus” i nie zostawił obywatelki Sirix w spokoju? –

Milczenie. Palce administratorki drgnęły nieznacznie, bez wątpienia rozmawiała ze stacją. – Na rękawiczkach obywatelki Raughd jest farba, tak?

– Jej osobista asystentka – przyznała administratorka stacji Celar – właśnie teraz próbuje z nich sprać farbę.

– No tak – mruknełam. Ta sprawa będzie jeszcze delikatniejsza niż problem ze stacją. – Obywatelka Fosyf jest wpływowa i zamożna. Ty masz tu władzę, ale znacznie łatwiej jest przeprowadzić rzeczy, na których ci zależy, jeśli masz poparcie ludzi takich jak Fosyf. I z pewnością ona ci daje prezenty. Cenne. Romans pomiędzy waszymi córkami jest korzystny. Myślałaś już o tym, kiedy wysyłałaś obywatelkę Piat na dół studni, żeby dotrzymywała Raughd towarzystwa. Może się zastanawiałaś, czy twoja córka przypadkiem nie jest nieszczęśliwa. Albo jak dawno temu zauważyłaś pierwsze tego oznaki. I może powiedziałaś sobie, że to nic, głupstwo, że czasem trzeba trochę się pomęczyć dla dobra rodziny, rodzinnych układów. Że gdyby to naprawdę było coś złego, stacja coś by powiedziała. Komu jak komu, ale tobie na pewno. Tak łatwo jest po prostu płynąć z prądem. Tak łatwo nie widzieć, co się dzieje. A im dłużej nie widzisz, tym trudniej ci to zobaczyć, bo wtedy musiałabyś przyznać, że przez cały czas to ignorowałaś. Ale teraz nadeszła chwila, kiedy masz to przed sobą, wyłożone jasno i niedwuznacznie. Oto jaką osobą jest Raughd Denche. Oto co robi twojej córce. Czy prezenty jej matki warte są krzywdy twojej córki? Czy polityczne korzyści są tego warte? Czy rozszerzenie wpływów twojego domu ma większe znaczenie? Nie możesz dłużej odkładać tego wyboru. Nie możesz udawać, że żaden wybór nie jest konieczny.

– Twoje towarzystwo jest bardzo niewygodne, kapitanie floty – zauważyła administratorka stacji Celar szorstko i z goryczą. – Czy robisz takie rzeczy wszędzie, gdzie się zjawiasz?

– Ostatnio chyba tak – przyznałam.

W tej samej chwili Piątka Kair weszła cicho do pokoju i stanęła po serwitorsku sztywno. Wyraźnie pragnęła zwrócić moją uwagę.

– Tak, Piątko? – Nie przeszkadzałyby bez ważnego powodu.

– Za pozwoleniem, kapitanie floty, pani. Osobista asystentka obywatelki Fosyf spytała, czy obywatelka mogłaby zaprosić ciebie i kapitan Hetnys, żebyście spędziły dwa tygodnie po pogrzebie tłumaczki Dlique w jej posiadłości na dole studni. – Takie zaproszenie należało złożyć osobiście; wcześniejsze wybadanie gruntu przez służących pozwalało uniknąć niezręcznej czy zenującej sytuacji. – Ona ma więcej niż jeden dom na swojej ziemi, więc będziecie mogły spędzić okres żałoby w należyty sposób, bardzo wygodnie, zapewniała.

Obejrzałam się na administratorkę stacji Celar, która zaśmiała się krótko.

– Tak, ja też myślałam z początku, że to dziwne, kiedy tu przyjechałam. Ale na Athoek, jeśli możesz sobie na to pozwolić, nie spędzasz dwóch tygodni w swojej kwaterze.

Po pierwszych dniach postu, po pogrzebie, mieszkanki domu dotkniętego żałobą nie pracowały, tylko przebywały głównie w domu, gdzie przyjmowały kondolencyjne wizyty protegowanych i przyjaciół. Zakładałam, że kapitan Hetnys i ja zostaniemy przez ten czas w Podogrodzie.

– Jeśli jesteś przyzwyczajona do obsługiwania – ciągnęła administratorka stacji Celar – zwłaszcza jeśli nie jadasz posiłków we wspólnych stołówkach, tylko ktoś ze służby dla ciebie gotuje, to mogą być długie dwa tygodnie. Więc przenosisz się gdzieś, gdzie formalnie jest oddzielny dom, ale służące z sąsiedztwa mogą ci sprzątać i gotować. Tuż przy głównym pasażu jest miejsce, które się w tym specjalizuje... ale teraz pełno tam ludzi, którzy po prostu nie mieli się gdzie zatrzymać.

– I to uważa się za całkowicie stosowne, tak? – zapytałam z powątpiewaniem.

– Podejrzewano – odparła sucho Celar – że moja nieznajomość tej praktyki, kiedy tu przyjechałam, wskazuje, że nie wychowano mnie całkiem tak, jak należy. Twoja nieznajomość tego zwyczaju będzie Szokiem, po którym może nigdy nie dojdą do siebie.

Nie powinnam się dziwić. Znałam oficerów niemal z każdej prowincji, wiedziałam, że szczegóły obyczajów pogrzebowych (między innymi) różnią się w zależności od miejsca. Coś, co powszechnie uważano za konieczne, było niekiedy dostępne tylko dla wystarczająco zamożnych obywaterek, chociaż rzadko to przyznawano. Poza tym wiedziałam, że często nie wspomina się o różnych drobiazgach, wychodząc z założenia, że oczywiście wszyscy Radchaa robią wszystko tak samo, więc nie ma potrzeby o tym dyskutować. Ale zwykle to były naprawdę drobne szczegóły – jakiego rodzaju kadzidła należy używać, modlitwy dodawane albo usuwane z codziennych obrządków, rozmaite ograniczenia diety.

Przyjrzałam się Piątce. Stała bez ruchu, pozornie obojętna, ale chciała, żebym coś zobaczyła, niecierpliwiła się, że jeszcze nie widzę. Wiadomość, którą przekazała, z jej punktu widzenia była pełna sugestii.

– Czy jest w zwyczaju płacić za takie usługi? – zapytałam administratorki stacji Celar.

– Często – potwierdziła, wciąż z kwaśnym uśmiechem. – Chociaż Fosyf na pewno jest po prostu hojna.

I wyrachowana. Nie zdziwiłabym się, gdyby Fosyf się domyśliła, jaką rolę odegrała jej córka w incydencie, który doprowadził do śmierci tłumaczki Dlique. Zapewne miała nadzieję, że udzielenie mi gościny na okres żałoby będzie jeśli nie łapówką, to przynajmniej wyrazem skruchy za postępek jej córki. Ale to mogło się przydać.

– Raughd oczywiście może zjechać z nami na dół – zauważyłam. – A potem zostać. Na dłużej.

Dopilnuję tego – zapewniła administratorka stacji Celar z nikłym, gorzkim uśmiechem, na którego widok zdrząłabym, gdybym była Raughd Denche.

Rozdział 12

Niebo Athoek to czysty lazur, poprzecinany tu i tam jasnymi pasmami – widocznymi częściami planetarnej siatki kontroli pogody. Przez kilka godzin leciałyśmy nad wodą, gładką i błękitno-szarą, teraz jednak przed nami wznosiły się góry, brązowe i zielone u podnóży, o

czarnych i szarych, oblodzonych szczytach.

– Jeszcze z godzinę, kapitanie floty, obywatelki – powiedziała pilotka.

Na dole windy czekały na nas dwa latacze. W ogólnym zamieszaniu – nie bez manewrowania ze strony Piątki Kair – Fosyf i Raughd trafiły do drugiego pojazdu razem z kapitan Hetnys i towarzyszącym jej serwitorem „Mieczu Atagaris”. Kapitan Hetnys i ja byliśmy w pełnej żałobie – zgolone włosy ledwie zaczęły odrastać, żadnych kosmetyków, tylko szeroki biały pas namalowany ukośnie na twarzy. Po zakończeniu pełnej żałoby pamiątkowa broszka tłumaczki Dlique dołączy do prostej złotej spinki porucznik Awn na moim zakiecie: dwucentymetrowy opal, słowa *Tłumaczka Dlique Zeiat Presger* wygrawerowane dużymi, wyraźnymi literami na srebrnej oprawie. Tylko te nazwiska znałyśmy.

Na fotelu obok mnie, milcząca jak dotąd przez całą podróż – dwa dni, podczas których nie wymówiła ani słowa ponad absolutną konieczność – siedziała Sirix Odela. Żądając, żeby mi towarzyszyła, spowodowała niedobór rąk do pracy w Ogrodach i teoretycznie mogła mi odmówić. W rzeczywistości właściwie nie miała wyboru. Domyślałam się, że gniew nie pozwalał jej mówić bez pogwałcenia warunków reedukacji, każda taka próba sprawiłaby jej ogromny dyskomfort, toteż nie drażyłam tematu, nawet kiedy milczenie przeciągnęło się na drugi dzień.

– Kapitanie floty – odezwała się wreszcie Sirix. Głosem podniesionym na tyle, żeby przebił się przez pomruk latacza, ale nie na tyle, żeby dotarł do pilotki siedzącej z przodu. – Dlaczego tu jestem? – Panowała nad głosem, co niewątpliwie kosztowało ją sporo wysiłku.

– Jesteś tutaj – odpowiedziałam spokojnym, rozsądnym tonem, jakbym nie zauważała urazy i stresu kryjących się za tym pytaniem – żeby mi powiedzieć to, czego obywatelka Fosyf mi nie mówi.

– Dlaczego sądzisz, że będę chciała albo mogła cokolwiek ci powiedzieć, kapitanie floty? – Głos Sirix nabrał nieco ostrości, ale nie aż tyle, żeby odczuła dyskomfort.

Odwrociłam głowę, żeby na nią spojrzeć. Patrzyła prosto przed siebie, jakby moja reakcja wcale jej nie dotyczyła.

– Nie chciałabyś odwiedzić rodziny? – Pochodziła ze studni, miała krewne, które pracowały na plantacjach herbaty. – Na pewno mogłabym to załatwić.

– Ja... – Zawahała się. Przełknęła ślinę. Jednak nacisnęłam za mocno. – Nie mam rodziny. Praktycznie.

– Ach. – Nosila nazwisko domu, więc nie była bezdomna w świetle prawa. – Widać nie mogli znieść tak wielkiej hańby, że wyrzucono cię z rodziny. Ale może wciąż utrzymujesz z kimś dyskretny kontakt? Z matką, z rodzeństwem?

Dzieci zazwyczaj miały rodziców z więcej niż jednego domu. Rodziców czy rodzeństwa z innych domów wprawdzie nie traktowano jak najbliższych krewnych, wprawdzie nie oczekiwano od nich realnego wsparcia, ale te więzi wciąż istniały i można było je wykorzystać w chwili kryzysu.

– Szczerze mówiąc, kapitanie floty – oświadczyła Sirix, jakby odpowiadała na moje pytanie

- wcale nie chcę spędzić dwóch tygodni w towarzystwie obywatelki Raughd Denche.
- Ona chyba o tym nie wie. – Obywatelka Raughd wydawała się nieświadoma. Nieświadoma znaczenia swoich postępków, nieświadoma, że ktokolwiek wie, co zrobiła. – Dlaczego mieszkasz w Podogrodzie, obywatelko?
 - Nie podobała mi się przydzielona kwatery. Myślę, kapitanie floty, że cenisz sobie bezpośredniość.
 - Uniosłam brew.
 - Inaczej byłabym hipokrytką.
 - Przyznała to z gorzkim skrzywieniem ust.
 - Chciałabym teraz, żeby mnie zostawiono w spokoju.
 - Oczywiście, obywatelko. Proszę, nie wahaj się powiedzieć mnie albo którejś z moich Kair – Piątka Kair i Ósemka Kair siedziały za nami – gdybyś czegoś potrzebowała.
 - Ponownie odwróciłam głowę. Zamknęłam oczy i pomyślałam o porucznik Tisarwat.
 - Stała w ogrodzie, na moście spinającym jezioro. Pod mostem kotłowały się ryby, zielone i purpurowe, błękitne i pomarańczowe, złote i czerwone, rozdziawiały pyski i wytrzeszczały oczy na Tisarwat, która wrzucała do wody kulki pożywienia. Piat, córka Celar, stała obok niej, opierając się
 - O poręcz. Właśnie powiedziała coś, co wprawiło porucznik Tisarwat w zdumienie i konsternację. Nie zasięgnęłam informacji, tylko czekałam na odpowiedź Tisarwat.
 - To śmieszne – oświadczyła Tisarwat z oburzeniem. – Pierwszy zastępca szefowej Ogrodnictwa całej stacji to nie było co. Gdyby nie Ogrodnictwo, nikt na stacji nie miałby co jeść ani czym oddychać. Chyba nie myślisz poważnie, że twoja praca jest nieważna i bezużyteczna.
 - Co, przyrządzanie herbaty dla szefowej Ogrodnictwa?
 - I umawianie jej spotkań, i przekazywanie jej poleceń, i poznawanie organizacji Ogrodów. Założę się, że gdyby przez następny tydzień została w domu, nikt by nawet nie zauważył, kierowałabyś wszystkim gładko jak zwykle.
 - To dlatego, że wszyscy znają się na swojej robocie.
 - Włącznie z tobą.
 - Przebiegła Tisarwat! Kazałam jej trzymać się z daleka od Basnaaid, czyli od Ogrodów, ona jednak doskonale wiedziała, że muszę pochwalić przyjaźń z córką administratora stacji Celar, choćby tylko na gruncie politycznym. Ale nie potrafiłam się na nią złościć – jej przerażone zdumienie, kiedy Piat umniejszała swoją wartość, było wyraźne i szczere. I rzeczywiście szybko przebiła się przez linie obronne Piat.
 - Obywatelka Piat zaplotła ręce na piersi, oparła się plecami o poręcz, odwracając twarz od Tisarwat.
 - Jestem tu tylko dlatego, że szefowa Ogrodnictwa kocha się w mojej matce.
 - I nic dziwnego – przyznała porucznik Tisarwat.
 - Twoja matka jest zachwycająca. – Patrzyłam oczami Tisarwat, więc nie widziałam

wyrazu twarzy Piat. Mogłam jednak się domyślić. Podobnie jak Tisarwat. – A ty wdałaś się w nią. Gdyby ktoś ci mówił co innego...

– Przerwała, chyba przez chwilę niepewna, czy to najlepsza metoda ataku. – Każdy, kto ci wmawia, że dostałaś ten atrakcyjny, ale bezużyteczny przydział tylko po to, żeby zadowolić twoją matkę albo że nigdy nie będziesz równie piękna i równie kompetentna jak ona, no, to zwyczajnie kłamie. – Wrzuciła całą garść rybiego pokarmu do wody, która wzburzyła się, mieniając różnymi kolorami barwnych łusek. – Pewnie z zazdrości.

Piat wykrzywiła się szyderczo, chociaż widziałam, że bardzo stara się nie rozpląkać.

– Dlaczego... – Urwała. Zanim wymówiła imię, którego nie chciała wymawiać, które zabrzmiałoby jak oskarżenie. – Dlaczego ktoś miałby mi zazdrościć?

– Ponieważ zdałaś testy na zdolności. – Nie wspominałam porucznik Tisarwat o swoich domysłach, że

Raughd nigdy nie zdawała testów, ale widocznie Tisarwat nie na darmo była przez kilka dni lord Radch. – A testy wykazały, że powinnaś kierować czymś ważnym. I każdy, kto ma oczy, widzi, że będziesz równie piękna jak matka. – Chwilowe zażenowanie po słowie „będziesz”. Takich rzeczy raczej nie mówi siedemnastolatka. – Jak tylko przestaniesz słuchać ludzi, którzy chcą cię zdołować.

Piat odwróciła się, wciąż ze skrzyżowanymi ramionami. Łzy spływały jej po policzkach.

– Ludzie przez cały czas dostają przydziały z powodów politycznych.

– Jasne – potwierdziła Tisarwat. – Twoja matka pewnie dostała swój pierwszy przydział z powodów politycznych, które uwzględniały również jej kwalifikacje do tej pracy. – Nie zawsze uwzględniały, o czym Tisarwat dobrze wiedziała.

Wyrażała się niebezpiecznie dojrzałe, jak ktoś znacznie starszy. Ale Piat najwyraźniej nie potrafiła odeprzeć jej argumentów. Podjęła ostatnią, rozpaczliwą próbę obrony.

– Od kilku dni widzę, jak się tu kręcisz. Przychodzisz tu tylko dlatego, że się zadurzyłaś w ogrodnicze Basnaaid.

Trafiła w dziesiątkę. Ale porucznik Tisarwat nie straciła opanowania.

– Wcale bym tu nie przychodziła, gdyby nie ty. Kapitan floty powiedziała, że jestem dla niej za młoda i mam się trzymać z daleka. To był rozkaz. Nie powinnam przychodzić do Ogrodów, ale przecież ty tu jesteś. Więc chodźmy gdzieś się napić.

Piat milczała przez chwilę, zaskoczona, jak się wydawało.

– Nie do Podogrodu – powiedziała wreszcie.

– No pewnie! – zawołała Tisarwat z ulgą, wiedząc, że wygrała tę rundę, drobne zwycięstwo, ale zawsze zwycięstwo. – Nawet jeszcze nie zaczęli tam remontu. Chodźmy gdzieś, gdzie nie musimy sikać do wiadra.

* * *

Tymczasem „Miecz Atagaris” odsunął się od Bramy Duchów i zbliżył do stacji Athoek. Przez cały czas prawie nic nie mówił do „Łaski Kair”. Nic dziwnego – statki nie były

gadatliwe, a poza tym wszystkie „Miecze” uważały się za lepsze od innych.

Na „Łasce Kair” porucznik Ekalu właśnie zeszyła z wachty. Seivarden spotkała ją w pokoju dekady.

– Twoja odpowiedniczka na „Mieczu Atagaris” pytała o ciebie – oznajmiła Ekalu i usiadła przy stole, gdzie któraś Etrepa przygotowała dla niej lunch.

Seivarden usiadła obok niej.

– Czyżby? – Oczywiście już wiedziała. – I ucieszyła się, że zobaczyła na pokładzie kogoś znajomego?

– Wątpię, czy mnie rozpoznała – odparła Ekalu. Po chwili wahania i szybkim geście Seivarden, która już wcześniej zjadła kolację, wzięła kęs skelu, przeżuła i połknęła. – W każdym razie nie moje nazwisko, zawsze byłam dla niej tylko Jedyнкą Amaat. I nie wysyłałam żadnych obrazów. Miałam wachtę.

Fakt, że porucznik Amaat „Miecza Atagaris” nie zdawała sobie sprawy, kim jest Ekalu, budził w niej mieszane i niezbyt przyjemne uczucia.

– Och, szkoda, że nie wysłałaś. Bardzo chciałabym zobaczyć jej minę.

Spostrzegłam, że chociaż Ekalu też chętnie zobaczyłaby zmieszanie porucznik „Miecza Atagaris” wobec oficer o tak gminnym pochodzeniu, wyraźne rozbawienie Seivarden taką perspektywą zaniepokoiło ją i przygnębiło. Zabolało mnie, gdy przypominałam sobie pewne relacje pomiędzy porucznik Awn a Skaaiat Awer, sprzed dwudziestu lat i więcej. Statek odezwał się w moim uchu, kiedy siedziałam w lataczu:

– Powiem coś do porucznik Seivarden.

Ale nie wiedziałam, co statek mógłby powiedzieć takiego, żeby Seivarden zrozumiała.

W pokoju dekady na „Łasce Kair” Ekalu ciągnęła:

– Spodziewaj się, że skontaktuje się z tobą na początku twojej następnej wachty. Koniecznie chce cię zaprosić na herbatę, jak tylko „Miecz Atagaris” się dostatecznie zbliży.

– Jestem niezastąpiona – stwierdziła Seivarden z udawaną powagą. – W tej chwili na pokładzie są tylko trzy wachtowe.

– Och, statek cię zawiadomi, jeśli stanie się coś ważnego – odparła Ekalu ironicznie lekceważącym tonem.

W Dowództwie medyczka powiedziała:

– Porucznicy. Informuję was, że coś się wynurzyło z Bramy Duchów.

– Co to jest? – zapytała Seivarden, wstając. Ekalu dalej jadła, ale wywołała widok tego, na co patrzyła medyczka.

– Jest za małe, żeby wyraźnie zobaczyć, zanim się zbliży – powiedział do mnie statek w lataczu nad wodami Athoek. – Myślę, że to prom albo jakiś bardzo mały statek.

– Zapytałyśmy o to „Miecz Atagaris” – powiedziała medyczka w Dowództwie.

– To znaczy, że nie zagrozili, że go zniszczą, dopóki się nie zidentyfikuje? – zapytała Seivarden, już w połowie drogi do Dowództwa.

– Nie ma się czym martwić – nadeszła odpowiedź z „Miecza Atagaris”. Którakolwiek z

porucznik pełniła tam służbę, wydawała się niemal przesadnie znudzona. – To tylko śmiecie. Brama Duchów nie jest czyszczona jak inne. Widocznie jakiś statek rozbił się w bramie dawno temu.

– Przepraszam najmocniej – powiedziała zgryźliwie medyczka, kiedy Seivarden weszła do Dowództwa – ale odniosłyśmy wrażenie, że po drugiej stronie tej bramy nikogo nie ma i nigdy nie było.

– Och, ludzie czasami tam latają, żeby się popisać albo po prostu dla zabawy. Ale to nie jest nowe, widzicie, że jest bardzo stare. Wciągniemy to do środka... jest takie duże, że może stanowić zagrożenie.

– Czemu tego po prostu nie spalić? – zapytała Seivarden i statek widocznie przekazał jej słowa na „Miecz Atagaris”, bo tamta porucznik odpowiedziała:

– No, wiecie, w układzie zdarza się przemyt. Zawsze sprawdzamy takie rzeczy.

– A co można przemycać z niezamieszkanego układu?

– zapytała medyczka.

– Och, z Bramy Duchów pewnie nic – padła niefrasobliwa odpowiedź. – Ale ogólnie, no wiecie, to, co zwykle. Nielegalne narkotyki. Kradzione antyki.

– Na cycki Aatr! – zaklęła Seivarden. – Skoro mowa o antykach.

Statek poprosił „Miecz Atagaris” o bliższy obraz promu, otrzymał go i pokazał jednocześnie medycze i Seivarden: zakrzywiona skorupa, poharatana i przypalona.

– Zaszana ignorantka – burknęła Seivarden, kiedy „Miecz Atagaris” się rozłączył. – Czego oni uczą oficerów w tych czasach?

Medyczka odwróciła się do niej.

– Czy coś przegapiłam, poruczniku?

– To moduł zaopatrzeniowy wojskowego promu Notai – odparła Seivarden. – Naprawdę go nie rozpoznajesz? Radchaaai często mówią o Radch jako zamieszkanym przez tylko jeden rodzaj ludzi, mówiących tylko jednym językiem: radchaajskim. Ale wewnątrz sfery Dysona jest ogromne. Nawet gdyby zaczęło się od jednego narodu, mówiącego tylko jednym językiem (a tak nie było), nie skończyłoby się w ten sposób. Wiele statków i kapitanów, którzy sprzeciwili się ekspansji Anaander, było Notai.

– Nie – odparła medyczka – nie rozpoznaję. Nie bardzo mi wygląda na notajski. I wcale nie wygląda jak moduł zaopatrzeniowy. Ale wygląda staro.

– Mój dom jest Notai. Był. – Dom Seivarden został wchłonięty przez inny w ciągu tysiąca lat, które spędziła w anabiozie. – Chociaż byłyśmy lojalne. Miałyśmy stary prom z czasów wojen, zadokowany w Inais. Ludzie zjeżdżali się zewsząd, żeby go zobaczyć. – To wspomnienie widocznie okazało się niespodziewanie wyraźne i dokładne. Seivarden przełknęła ślinę, żeby w jej głosie nie zabrzmiało nagle poczucie straty, kiedy podjęła: – Jakim sposobem statek Notai rozbił się w Bramie Duchów? Żadna z tych bitew nie toczyła się w pobliżu.

W polu widzenia Seivarden i medyczki statek wyświetlił obrazy promu tego rodzaju, o

jakim mówiła Seivarden.

– Tak, coś takiego – potwierdziła. – Pokaż nam moduł zaopatrzeniowy.

Statek wykonał polecenie.

– Na tym jest napis – zauważyła medyczka.

– Widzenie? – Seivarden zmarszczyła brwi, usiłując rozszyfrować słowa. – Widzenie... czegoś?

– „Boska Esencja Percepcji” – odczytał statek. – Jeden z ostatnich pokonanych w wojnach. Teraz jest w muzeum.

– Nie bardzo wygląda na notajski – upierała się medyczka. – Oprócz napisu.

– A napis na tamtym – Seivarden gestem przywołała obraz promu, który wyleciał z Bramy Duchów – jest całkiem wypalony. Statku, naprawdę go nie rozpoznałeś?

Statek odpowiedział jednocześnie medyczce i Seivarden:

– Nie od razu. Mam niecałe tysiąc lat i nigdy nie widziałem statku Notai w naturze. Ale gdyby porucznik Seivarden wcześniej go nie zidentyfikowała, zrobiłbym to sam w ciągu kilku minut.

– Zrobiłbyś to w ogóle, gdybyśmy ufali „Mieczowi Atagaris”? – zapytała medyczka. A potem, uderzona nową myślą: – Czy „Miecz Atagaris” mógł go nie rozpoznać?

– Pewnie tak – przyznała Seivarden. – Inaczej na pewno powiedziałby swojej porucznik.

– Chyba że oboje kłamią – wtrąciła Ekalu, która przez cały czas słuchała z pokoju dekady. – One naprawdę zwracają, żeby zabrać kupę śmieci, którą równie dobrze mogły oznaczyć i zostawić, żeby ktoś inny się tym zajął.

– W takim razie zakładają, że „Łaska Kair” tego nie rozpozna – stwierdziła Seivarden. – Co nie wydaje mi się bezpiecznym założeniem.

– Nie zakładam, że znam opinię „Miecza Atagaris” o mojej inteligencji – odezwał się statek.

Seivarden zaśmiała się krótko.

– Medyczko, poproś „Miecz Atagaris”, żeby nam powiedział, co znalazł, kiedy obejrzał ten... śmieć.

W końcu „Miecz Atagaris” oświadczył, że nie znalazł nic ciekawego, więc zniszczył moduł.

* * *

Dom obywatelki Fosyf, największy z trzech, był długim trzypiętrowym, ozdobionym balkonami budynkiem z polerowanego kamienia w czarne i szare cętki, z plamkami zieleni i błękitu błyszczącymi przy zmianie światła. Stał nad szerokim czystym jeziorem o kamienistych brzegach, obok zniszczonego drewnianego pomostu, gdzie cumowała mała elegancka łódka o zwiniętych białych żaglach. Wokół wznosiły się góry, przy brzegach rosły drzewa i mech. Właściwa plantacja herbaty – widziałam ją, kiedy tamtędy przelatywałyśmy, faliste pasma aksamitnej zieleni przecinające zbocza pagórków i otaczające wschodnie czarne kamienia –

kryła się za granią. Temperatura powietrza wynosiła dwadzieścia i osiem dziesiątych stopnia Celsjusza, lekki, przyjemny wiatr pachniał zimną wodą i liśćmi.

– Jesteśmy na miejscu, kapitanie floty! – zawołała obywatelka Fosyf, kiedy wysiadła ze swojego latacza. – Cisza i spokój. W innych okolicznościach zaproponowałabym łowienie ryb w jeziorze. Żeglowanie. Wspinaczkę górską, jeśli lubisz takie rzeczy. Ale nawet samo przebywanie tutaj jest przyjemne. Za głównym budynkiem jest oddzielna łaźnia, naprzeciwko twojego mieszkania. Wielka wanna z siedzeniami dla co najmniej tuzina osób, mnóstwo gorącej wody. W stylu Xhai. Barbarzyńsko luksusowa.

Raughd podeszła do matki.

– Drinki w łaźni! Nie ma nic lepszego po zarwanej nocy. – Wyszczrzyła zęby.

– Raughd potrafi zarywać noce nawet tutaj – zauważyła życzliwie Fosyf, kiedy zbliżyła się kapitan Hetnys i jej serwitorka „Mieczna Atagaris”. – Ach, być znowu młodą! Ale chodźcie, pokażę wam, gdzie zamieszkacie.

Błękitnozielone plamki na fasadzie budynku rozbłyskiwały i gasły, kiedy zmieniał się nasz kąt widzenia. Po drugiej stronie budynku znajdował się szeroki dziedziniec wyłożony płaskimi szarymi kamieniami, ocieniony przez dwa duże drzewa i gęsto porośnięty mchem. Po lewej stronie stał niski elipsoidalny budynek, o bliższym długim boku z drewna, bliższym końcu i przypuszczalnie drugim dłuższym boku ze szkła.

– Łaźnia – oznajmiła Fosyf, wskazując ręką w rękawiczce.

Za omszałymi kamieniami, przy drodze, która schodziła z grani do domu nad jeziorem, stał następny budynek z czarnego i błękitno-zielonego kamienia, dwupiętrowy, ale mniejszy niż główny dom i bez tylu balkonów. Całą zwróconą do nas stronę zajmował taras pod liściastą, oplecioną winoroślą pergolą, gdzie czekała na nas grupa ludzi. Większość nosiła koszule i spodnie albo spódnice, które wyglądały na mozolnie zszyte z pociętych spodni, tkaniny wytarte i wyblakłe, niegdyś jaskrawe błękity, zielenie i czerwienie. Żadna z obywatelek nie miała rękawiczek.

Towarzyszyła im osoba ubrana w konwencjonalne spodnie, zakiet i rękawiczki oraz trochę biżuterii. Z rysów jej twarzy odgadłam, że to miejscowa samirendzka nadzorczyńni. Zatrzymałyśmy się trzy metry przed grupą, w cieniu obszernej pergoli, i Fosyf powiedziała:

– Tylko dla ciebie, kapitanie floty, bo wiem, że chciałabyś usłyszeć ich śpiew.

Nadzorczyńni odwróciła się i powiedziała do zebranych ludzi:

– No już, śpiewajcie. – I popłynęły słowa w radchaajskim. Głośno i powoli.

Jedna ze starszych w grupie nachyliła się do sąsiadki i mruknęła w delseg:

– Mówiłam ci, że to nie była odpowiednia piosenka.

Kilka gestów i kilka wyszeptanych słów pod nieco zaniepokojonym okiem nadzorczyńni, która widocznie nie rozumiała przyczyn zwłoki, a potem zbiorowy wdech i zaczęły śpiewać: *O wy, co życie chronieni przez Boga, co życie spędzacie w Jej cieniu*. Znałam to, każdą linijkę i każdą nutę. Większość Valskaayan mówiących w delseg śpiewała to na pogrzebach.

To miał być gest pociechy. Nawet jeśli nie znały jeszcze powodów naszego przybycia, nie

mogły nie zauważyć mojej ogolonej głowy i żałobnego pasa przecinającego twarz, i tego samego u kapitan Hetnys. Nie znały nas, najpewniej nie wiedziały, kto umarł. Reprezentowałyśmy siłę, która je podbiła i wyrwała z ojczyzstego świata, żeby tu harowały. Nie miały powodów troszczyć się o nasze uczucia. Nie miały powodów sądzić, że któraś z nas zna dęlsig wystarczająco, żeby zrozumieć słowa. A nawet gdybyśmy znały, nie mogły oczekiwać, że zrozumiemy znaczenie ich pieśni. Takie utwory obfitują w symboliczne i historyczne znaczenia, dźwigają wielki bagaż emocjonalny – ale tylko dla kogoś od początku świadomego ich wagi.

I tak to zaśpiewały. A kiedy skończyły, starsza ukloniła się i powiedziała całkowicie zrozumiałym, chociaż mocno akcentowanym radchaajskim:

– Obywatelki, będziemy się modlić za tych, których straciłyście.

– Obywatelki – odpowiedziałam również po radchaajsku, ponieważ na razie nie byłam pewna, czy chcę, żeby inni wiedzieli, jak dobrze znam dęlsig. – Jesteśmy bardzo wzruszone i dziękujemy wam za pieśń i modlitwy.

Nadzorczyńni przemówiła głośno i powoli:

– Kapitan floty wam dziękuje. Teraz idźcie.

– Czekajcie – przerwałam i odwróciłam się do Fosyf. – Czy wyświadcysz mi przysługę i poczęstujesz tych ludzi czymś dojedzenia i picia, zanim odejdą? – Zamrugnęła, nie rozumiejąc. Nadzorczyńni zagapiła się na mnie z jawnym niedowierzaniem. – To taki mój kaprys. Jeśli to niestosowne, z radością ci zapłacę. Cokolwiek jest pod ręką. Może herbata i ciastka. – Zakładałam, że miejscowa kuchnia zawsze ma coś takiego przygotowane.

Fosyf otrząsnęła się z chwilowego zdumienia.

– Oczywiście, kapitanie floty.

Skinęła na nadzorczyńnię, która, wciąż osłupiała z powodu mojego żądania, zaczęła poganiać robotnice.

X-

Parter budynku, w którym miałyśmy zamieszkać, był jednym dużym otwartym pomieszczeniem, częściowo jadalnią, częściowo bawialnią. Po stronie bawialni stały szerokie, głębokie fotele i podręczne stoliki, na których leżały plansze do gier z jaskrawymi pionkami. Po drugiej stronie zjadłyśmy zupę z tofu i jajek przy długim stole z pomysłowo niedopasowanymi krzesłami, obok kredensu zastawionego owocami i ciastami. Małe okienka biegnące rzędem pod sufitem zmętniały, kiedy zapadł zmierzch i nadciągnęły chmury. Na górze znajdowały się wąskie korytarze, każda sypialnia i przynależny do niej salonik były starannie zharmonizowane kolorystycznie. Moja była w stonowanych odcieniach oranżu i błękitu, grube miękkie koce na łóżku pieczołowicie ułożono tak, żeby wydawały się wygodnie zużyte i wypłowiałe. Zwyczajna wiejska chata, można by pomyśleć na pierwszy rzut oka, ale każdy szczegół został skrupulatnie dopieszczony.

Obywatelka Fosyf, siedząca u szczytu stołu, powiedziała:

– Właściwie tu były dawniej magazyn i administracja. Główny budynek to był pensjonat,

wiecie. Przed aneksją.

– Wszystkie sypialnie w głównym domu mają wyjścia na balkony – oznajmiła Raughd. Która tak manewrowała, żeby usiąść obok mnie, a teraz nachylała się blisko, przekrzywiając głowę ze znaczącym uśmiechem. – Bardzo wygodne na schadzki.

Zorientowałam się, że ona próbuje ze mną flirtować, chociaż byłam w żałobie, więc jej zaloty w najlepszym razie były wysoce niestosowne.

– Ha, ha! – zaśmiała się obywatelka Fosyf. – Raughd zawsze korzystała z tych zewnętrznych schodów. Sama tak robiłam w jej wieku.

Najbliższe miasto znajdowało się w odległości godziny lotu lataczem. Nie było tutaj nikogo do schadzki oprócz domowników – zakładałam, że w głównym domu mieszkały kuzynki i protegowane. Nie wszyscy domownicy byli spokrewnieni w sposób wykluczający seks, toteż mogły tu istnieć dozwolone związki, niewymagające terroryzowania służby.

Kapitan Hetnys siedziała naprzeciwko mnie. „Miecz Atagaris” stał sztywno ledwie parę metrów za nią, czekając, czy nie będzie potrzebny. Jako serwitor nie musiał przestrzegać żałobnych zwyczajów. Piątka Kair stała za mną, widocznie przekonawszy wszystkich obecnych, że ona również jest serwitorem.

Obywatelka Sirix siedziała obok mnie w milczeniu. Domowa służba składała się głównie z Samirendek i kilku Xhai, chociaż widziałam też parę Valskaayanek pracujących na zewnątrz, na terenie posiadłości. Zauważyłam drobne, niemal niedostrzegalne wahanie u służących, które prowadziły nas do naszych pokoi – podejrzewałam, że wysłałyby Sirix do kwater dla służby, gdyby nie otrzymały innych dyspozycji. Możliwe, że ktoś stąd ją rozpoznał, chociaż nie była na dole studni od dwudziestu lat i pochodziła z innej plantacji, odległej o sto lub więcej kilometrów.

– Nauczycielki Raughd zawsze uważały, że tu jest nudno – oświadczyła Fosyf.

– To one były nudne! – wykrzyknęła Raughd. Śpiewnie, nosowo wydeklamowała: – „Obywatelko! W trzecim metrum i trybie rozkazującym powiedz nam, czemu bóg jest jak kaczką”. – Kapitan Hetnys się roześmiała. – Zawsze starałam się dostarczać im rozrywki – ciągnęła Raughd – ale nigdy tego nie doceniały.

Obywatelka Fosyf też się roześmiała. Ja nie. Słyszałam o takich rozrywkach od moich porucznik w przeszłości i spostrzegłam już u Raughd skłonności do okrucieństwa.

– A potrafisz? – zapytałam. – To znaczy powiedzieć nam wierszem, czemu bóg jest jak kaczką.

– Wcale nie uważam, że bóg jest jak kaczką – odezwała się kapitan Hetnys, ośmielona moim pozornym spokojem od paru dni. – Kaczką, doprawdy!

– Ależ z pewnością – napomniałam – bóg jest kaczką.

– Bóg był wszechświatem, a wszechświat był bogiem.

Fosyf machnięciem ręki odrzuciła moje obiekcje.

– Tak, tak, kapitanie floty, ale przecież można to powiedzieć całkiem prosto, bez tego wydziwiania nad metrum, właściwą dykcją i nie wiadomo czym.

– I dlaczego wybierać coś tak śmiesznego? – zapytała kapitan Hetnys. – Dlaczego nie zapytać, czemu bóg jest jak... rubiny albo gwiazdy, albo nawet – wykonała ogólny gest – jak herbata? Coś cennego. Coś potężnego. To byłoby znacznie bardziej stosowne.

– Pytanie, które zasługuje na staranne rozważenie

– przyznałam. – Obywatelko Fosyf, rozumiem, że ta herbata jest całkowicie ręcznie zbierana i ręcznie przetwarzana.

– Tak jest! – Fosyf się rozpromieniła. To był wyraźnie jeden z jej głównych powodów do dumy. – Ręcznie zbierana. .. możesz to obejrzeć w każdej chwili. Manufaktura jest w pobliżu, bardzo łatwo ją zwiedzić. Jeśli uznasz to za stosowne. – Krótka pauza, mrugnęła, widocznie ktoś przesłał jej wiadomość. – Jutro będzie zbierana z odcinka tuż nad granią. I oczywiście produkcja herbaty z liści...

wyrabianie herbaty... odbywa się dzień i noc. Liście muszą zwiędnąć, przez cały czas są przegarniane, aż osiągną odpowiedni stan, potem są suszone w wysokiej temperaturze i potrząsane aż do właściwej chwili. Później następuje segregowanie i końcowe suszenie. Oczywiście to wszystko można robić maszynowo, niektórzy tak robią i otrzymują zupełnie przyzwoitą herbatę. – Nutka pogardy i potępienia w słowach „zupełnie przyzwoita”. – Taką, za jaką dostaniesz dobrą cenę w sklepie. Ale naszej herbaty nie kupisz w sklepie.

Herbatę Fosyf, Córkę Ryb, można było tylko otrzymać w prezencie. Albo – może – kupić bezpośrednio od obywatelki Fosyf na prezent. Radch używali pieniędzy, ale zdumiewająco wiele transakcji polegało nie na wymianie pieniędzy za towar, tylko prezentu za prezent. Obywatelce Fosyf płacono niewiele – albo wcale – za jej herbatę. W sensie dosłownym. Te zielone pola, nad którymi przelatywałyśmy, cała ta herbata i skomplikowana produkcja nie służyła maksymalizacji zysków – nie, Córka Ryb przynosiła prestiż.

I właśnie dlatego, chociaż na Athoek niewątpliwie istniały większe plantacje, które zapewne osiągały zyski znacznie bardziej imponujące na pierwszy rzut oka, ośmieliła się do mnie podejść tak otwarcie jedynie ta plantatorka, która wcale nie sprzedawała herbaty.

– To na pewno wymaga delikatnego dotyku – zauważyłam. – Zbieranie, a potem przerabianie. Twoje pracownice muszą mieć bardzo wysokie kwalifikacje.

Obok mnie obywatelka Sirix kaszlnęła ledwo dosłyszalnie, zakrzusiwszy się ostatnią łyżką zupy.

– Mają, mają, kapitanie floty! Sama widzisz, dlaczego nigdy bym ich źle nie traktowała, za bardzo ich potrzebuję! One też mieszkają w starym pensjonacie, kilka kilometrów dalej, za granią.

Deszcz zabębnił w okienka. Stacja Athoek powiedziała mi wcześniej, że padało tylko w nocy i deszcz zawsze ustawał na czas, żeby liście wyschły przed porannym zbiorem.

– Jak miło – powiedziałam bezbarwnym tonem.

* * *

Wstałam przed świtem, kiedy niebo było bladoniebieskie i perłoworóżowe, a jezioro i

dolina wciąż tonęły w cieniu. Było chłodno, ale nie zimno. Od ponad roku nie miałam dość miejsca do biegania. Nabrałam tego zwyczaju w Tetrarchii Itran, miejscu, gdzie sport był kwestią pobożności, ćwiczenia do gry w piłkę zastępowały modlitwę i medytację. Dobrze było do tego wrócić, chociaż tutaj nikt nie grał w tę grę ani nawet nie wiedział o jej istnieniu. Ruszyłam swobodnym truchtem po drodze prowadzącej na niską grań, oszczędzając prawe biodro, które złamało się przed rokiem i niezbyt dobrze się zagoiło.

Kiedy dotarłam na grań, usłyszałam śpiew. Jeden silny głos, odbijający się echem od skalnych wychodni ponad polem, gdzie robotnice z koszami przewieszonymi przez ramię szybko zrywały liście z krzewów sięgających do pasa. Co najmniej połowę z nich stanowiły dzieci. Piosenka była w delsig, lament śpiewaczki, że ktoś, kogo kocha, przeznaczony jest innej. Temat był wyraźnie valskaayański, coś takiego raczej się nie zdarzało w typowym radchaajskim związku. Słyszałam już tę piosenkę. Obudziła ostre wspomnienie Valskaay, zapachu wilgotnych wapiennych skał w podziurawionym jaskiniami okręgu, gdzie byłam ostatnio.

Śpiewaczka widocznie stała na czatach. Kiedy się zbliżyłam, słowa się zmieniły. Wciąż w delsig, prawie niezrozumiałe dla nadzorczyń, jak wiedziałam.

*Oto żołnierz
Tak chciwa, tak głodna pieśni.
Tak wiele połknęła, że wyciekają,
Wypływają z kącików jej ust
I odlatują, łaknąc wolności.*

Całe szczęście, że panowałam nad wyrazem twarzy. Sprytnie to zrobiono, dokładnie dopasowano do metrum piosenki i nie mogłabym powstrzymać uśmiechu, zdradzając tym samym, że zrozumiałam. A tak tylko biegłam dalej, pozornie obojętna. Ale obserwowałam robotnice. Każda wyglądała na Valskaayanę. Satyra na mnie przeznaczona była dla tych ludzi i śpiewano ją w valskaajańskim języku. Na stacji Athoek powiedziano mi, że wszystkie robotnice połowę obywatelki Fosyf to Valskaayanki, co wtedy wydało mi się dziwne. Nie że niektóre, ale że wszystkie. Widząc teraz potwierdzenie, na nowo poczułam, jakie to niewłaściwe.

W takiej sytuacji pełną ładownię Valskaayanek należało albo rozparcelować pomiędzy dziesiątkami różnych plantacji i innych miejsc gotowych skorzystać z ich pracy, albo trzymać w anabiozie i stopniowo wydzielać przez dziesięciolecia. Tutaj powinno przebywać najwyżej kilka Valskaayanek. Tymczasem było ich sześć razy tyle. Spodziewałam się zobaczyć kilka Samirendek, może nawet kilka Xhai lub Ychana, albo członków innych grup, bo przecież przed aneksją mieszkali tu nie tylko Xhai i Ychana.

Nie powinien również istnieć tak ostry podział na służące poza domem – same Valskaayanki, jak widziałam dziś rano i wczoraj – oraz domowe, wszystkie Samirendki i kilka

Xhai. Valskaay została anektowana sto lat temu i do tej pory przynajmniej niektóre z pierwszych przesiedleńców albo ich dzieci powinny zdać testy lub wypracować sobie dostęp do innych stanowisk.

Dobiegłam aż do siedziby robotnic, budynku z brązowej cegły bez szyb w oknach, tylko gdzieniegdzie zasłoniętych rozciągniętymi kocami. Najwyraźniej nigdy nie był taki duży ani tak luksusowy jak dom Fosyf nad jeziorem. Ale miał piękny widok na dolinę, gdzie teraz rosła herbata, i drogę prowadzącą prosto do szerokiego, szklatego jeziora. Na zdeptanej ziemi dookoła mogły niegdyś zielenić się ogrody albo zadbane trawniki. Ciekawiło mnie, jaki jest w środku, ale nie chciałam wchodzić jako nieproszony i zapewne niepożądany gość, więc odwróciłam się i pobiegłam z powrotem.

– Kapitanie floty – odezwała się „Łaska Kair” w moim uchu – porucznik Seivarden prosi, żeby ci przypomnieć, żebyś uważała na nogę.

– Statku – odparłam bezgłośnie – moja noga sama mi przypomina.

O czym „Łaska Kair” wiedziała. A rozmowa z Seivarden, która spowodowała wysłanie tej wiadomości, odbyła się przed dwoma dniami.

– Porucznik będzie się zamartwiać – oświadczył statek. – A ciebie to nie obchodzi. – Czyżbym wyczuła naganę w jego pozornie pogodnym głosie?

– Będę odpoczywać przez resztę dnia – obiecałam.

– Zresztą już prawie wróciłam.

Zanim znowu przekroczyłam grań, niebo i dolina pojaśniały, powietrze się ociepliło. Zastałam obywatelkę Sirix na ławce pod pergolą, z czarką parującej herbaty w ręku. Bez żakietu, koszula wypuszczona na spodnie, brak biżuterii. Żałobny ubiór, chociaż formalnie biorąc, nie musiała nosić żałoby po tłumaczcze Dlique, nie ogoliła głowy ani nie namalowała żałobnego pasa.

– Dzień dobry! – zawołałam, podchodząc do tarasu.

– Pokażesz mi łaźnię, obywatelko? Objąśnisz parę rzeczy?

Zawahała się na chwilę.

– Dobrze – powiedziała wreszcie, nieufnie, jakbym jej proponowała coś ryzykownego albo niebezpiecznego.

* * *

Długie, wygięte okno łaźni ujmowało w ramy czarno– szare klify i oblodzone szczyty. Z jednego końca widać było sam narożnik domu, w którym mieszkaliśmy. Tutejsi goście zapewne cenili to miejsce ze względu na widoki – niewiele Radchaai wpadłoby na pomysł, żeby zmienić całą ścianę łaźienki w okno.

Pozostałe ściany wzniesiono z jasnego, misternie rzeźbionego i wypolerowanego drewna. W podłodze wyłożonej kamiennymi płytami znajdował się okrągły basen z gorącą wodą, z ławką, na której człowiek siedział i się pocił, a obok był basen z zimną wodą.

– Tonizuje po tym całym gorącu – powiedziała Sirix, siedząca naprzeciwko na ławce w

gorącej wodzie. – Zamyka pory.

Gorąco dobrze mi robiło na obolałe biodro. Może bieganie nie było specjalnie mądrym pomysłem.

– Naprawdę?

– Tak. Bardzo oczyszczające.

Dziwne słowo. Podejrzywałam, że to przekład bardziej skomplikowanego określenia z xhi albo liost na radchaajski.

– Nieźle sobie żyjecie – ciągnęła Sirix. Uniosłam pytająco brew. – Herbata, jak tylko się obudzicie. Ubranie wyprane i wyprasowane, kiedy śpicie. Czy ty w ogóle ubierasz się sama?

– Zwykle tak. Chociaż jeśli to wyjątkowo uroczysty strój, dobrze skorzystać z pomocy eksperta. – Osobiście nigdy tego nie potrzebowałam, ale sama kilkakrotnie pomagałam przy takich okazjach. – A więc twoi przodkowie. Przywiezieni bezpośrednio z Samirend. Wszystkie albo prawie wszystkie wysłano w góry, żeby zbierały herbatę?

– Wiele, tak, kapitanie floty.

– Tamta aneksja odbyła się dość dawno temu, więc skoro stały się cywilizowane – pozwoliłam, żeby do mojego głosu wkradł się cień ironii – zdały testy na inne przydziały. Doskonale to rozumiem. Czego nie rozumiem, to dlaczego tu na polach nie pracują żadne Samirendki. I nikt inny, tylko Valskaayanki. I wszystkie Valskaayanki pracują tylko na polach albo jedna czy dwie na gruntach posiadłości. Valskaay zaanektowano sto lat temu. Przez cały ten czas żadna Valskaayanka nie została nadzorczynią?

– No cóż, kapitanie floty – zaczęła Sirix powoli – nikt nie zostaje przy zbiorze herbaty, jeśli może od tego uciec. Płaca robotnic polowych opiera się na wyrobieniu minimalnej normy zebranych liści. Ale norma jest bardzo wysoka. .. trzy szybkie robotnice musiałyby pracować przez cały dzień, żeby tyle zebrać.

– Albo robotnica i kilkoro dzieci – odgadłam. Widziałam dzieci pracujące na polach, kiedy tamtędy przelatywałyśmy.

Sirix przytaknęła.

– Więc żadna z nich nie zarabia tyle, ile powinna. No i wyżywienie. Kasza... macie taką na górze. Doprawiają ją łądkami i pyłem, które zostają po produkcji herbaty. Za które, nawiasem mówiąc, Fosyf każe im płacić. Zawyżone ceny. To nie byle zmiotki z podłogi, to Córka Ryb! – Przerwała na chwilę i odetchnęła kilka razy, zbyt niebezpiecznie bliska, żeby dać upust złości. – Dwie miski dziennie, tej owsianki. Skąpe racje, a jeśli chcą czegoś więcej, muszą to kupić.

– Po zawyżonych cenach – odgadłam.

– Właśnie. Mogą dostać działki, jeśli chcą uprawiać warzywa, ale muszą kupić nasiona i narzędzia, i poświęcić czas przeznaczony na zbieranie herbaty. Są bezdomne, więc nie mogą dostać od rodziny tego, czego potrzebują, muszą wszystko kupować. Żadna z nich nie otrzyma zezwolenia na podróż, więc nie mogą pojechać gdzieś dalej, żeby coś kupić. Nie mogą niczego zamawiać, bo w ogóle nie mają pieniędzy, są zbyt mocno zadłużone, żeby otrzymać kredyt,

więc Fosyf sprzedaje im różne rzeczy... komunikatory, dostęp do rozrywek, lepsze jedzenie, cokolwiek... po takich cenach, jakie sama dyktuje.

– Samirendzkie robotnice połowę zdołały się z tego wyrwać?

– Niektóre służące w tym domu pewnie wciąż spłacają długi swoich babek i prababek. Swoich ciotek. Jedyny sposób to zebrać się w domy i pracować bardzo, bardzo ciężko. Ale Valskaayanki... można powiedzieć, że są niezbyt ambitne. I chyba nie rozumieją idei zakładania własnych domów.

Valskaayańskie rodziny funkcjonowały trochę inaczej niż radchaajskie. Ale wiedziałam, że Valskaayanki doskonale rozumieją korzyści z posiadania czegoś, co choć trochę przypomina radchaajskie domy, i tu, i tam valskaayańskie grupy rodzin organizowały się w ten sposób przy pierwszej sposobności.

– I żadne z dzieci nigdy nie zdało testu na inny przydział? – zapytałam, chociaż już znałam odpowiedź.

– Obecnie robotnice rolne nie zdają testów na zdolności – odparła Sirix. Wyraźnie walczyła z reedukacją, która utrudniała jej, niemal uniemożliwiała wyrażenie gniewu bez przykrych doznań. Odwróciła ode mnie wzrok, ostrożnie oddychała przez usta. – Nie żeby mogły zdać lepiej. To ciemne, przesądne dzikuski, każda z nich. Ale mimo wszystko. To niesłuszne. – Następnym głębokim oddechem. – Nie tylko Fosyf tak robi. Powie ci, że one nie chcą zdawać testów.

W to mogłam uwierzyć. Kiedy ostatnio byłam na Valskaay, zdawanie czy niezdawanie testów stanowiło palącą kwestię dla wielu ludzi.

– Ale transporty już nie przychodzą, prawda? – ciągnęła Sirix. – Nie przysłali tu nikogo z ostatniej aneksji. Więc jeśli plantatorkom skończą się Valskaayanki, kto będzie zbierał herbatę za głodowe racje i nędzne wynagrodzenie? Znacznie wygodniej, jeśli robotnice połowę ani ich dzieci nigdy nie będą mogły się stąd wyrwać. Kapitanie floty, to niesprawiedliwe. Gubernator nie dba o bandę bezdomnych dzikusów, a jeśli ktoś o nie dba, nie ma dostępu do lord Radch.

– Myślisz, że nie wiedziała o tym strajku sprzed dwudziestu lat? – zapytałam.

– Na pewno. Inaczej coś by zrobiła. – Trzy płytkie oddechy przez usta. Walczyła z gniewem. – Przepraszam.

Wstała pospiesznie, wzbijając fontannę gorącej wody, wydzwignęła się z basenu, podeszła do drugiego i zanurzyła się w zimnej wodzie. Piątka przyniosła jej ręcznik. Sirix wygramoliła się z basenu i wyszła z łaźni, nie mówiąc więcej do mnie ani słowa.

Zamknęłam oczy. Na stacji Athoek porucznik Tisarwat spała głęboko z twarzą zasłoniętą ramieniem, chwilowo nic się jej nie śniło. Przeniosłam uwagę na „Łaskę Kair”. Seivarden pełniła wachtę. Mówiła coś do jednej ze swoich Amaat.

– Ta historia z kapitanem floty zjeżdżającą na dół studni. – Dziwne. Seivarden nie powinna omawiać takich rzeczy ze swoimi Amaat. – Czy to naprawdę konieczne, czy rozwścieczyła ją jakaś konkretna niesprawiedliwość?

– Poruczniku Seivarden – odpowiedziała Amaat, dziwnie sztywno nawet jak na zamięłowanie tej załogi do udawania serwitorków. – Wiesz, że muszę zameldować o takim

pytaniu kapitan floty.

Lekko zirytowana Seivarden zbyła to machnięciem ręki.

– Tak, oczywiście, statku. Jednak...

Nagle zrozumiałam, co się dzieje. Seivarden rozmawiała z „Łaską Kair” nie z tą Amaat. Amaat widziała odpowiedzi statku wyświetlone na wizji i odczytywała je na głos. Jakby naprawdę była serwitorem, częścią statku, jednymi z dziesiątków ust, przez które statek przemawiał. Na szczęście nikt z załogi nigdy nie próbował czegoś takiego ze mną. W żadnym razie bym tego nie pochwałała.

Jednak widziałam wyraźnie, że Seivarden to odpowiadało. Uspokajało ją. Martwiła się, a statek mówiący w ten sposób dodawał jej otuchy. Bez żadnych istotnych, racjonalnych powodów. Tak po prostu.

– Poruczniku – powiedziała Amaat. Statek poprzez Amaat. – Mogę tylko powtórzyć, co kapitan floty sama już ci przekazała podczas odprawy. Jeśli jednak chcesz poznać moje zdanie, myślę, że chodzi po trosze o jedno i drugie. A nieobecność kapitan i usunięcie obywatelki Raughd ze stacji Athoek pozwoli porucznik Tisarwat nawiązać cenne polityczne kontakty wśród młodszych prominentnych obywaterek stacji.

– Ha! – sceptycznie rzuciła Seivarden. – Zaraz mi powiesz, że nasza Tisarwat jest utalentowanym politykiem!

– Myślę, że ona jeszcze cię zadziwi.

Seivarden wyraźnie nie uwierzyła „Łasce Kair”.

– Mimo wszystko, statku. Nasza kapitan floty zwykle unika kłopotów, ale jak już się w coś wpakuje, to na poważnie. A my jesteśmy całe godziny od niej i nie możemy jej pomóc. Jeśli zobaczysz, że coś się szykuje, a ona zapomni nas poprosić, żebyśmy podeszły bliżej, na wypadek gdyby nas potrzebowała, powiesz mi?

– Musiałabym wiedzieć na kilka dni naprzód, że coś się, jak mówiłaś, szykuje, poruczniku. Nie wyobrażam sobie, żeby kapitan floty zapomniała o nas na tak długo.

– Seivarden spochmurniała. – Ale, poruczniku, martwię się o bezpieczeństwo kapitan floty tak samo jak ty.

Tylko takiej odpowiedzi statek mógł udzielić i Seivarden musiała się tym zadowolić.

– Poruczniku Seivarden – powiedziała „Łaska Kair”.

– Wiadomość przychodząca z Hrad.

Seivarden wykonała gest przyzwolenia. W jej uszach zabrzmiał nieznamy głos.

– Mówi kapitan floty Uemi, dowodząca „Mieczem Ind”, odkomenderowana z Pałacu Omaugh. Mam rozkaz przejąć kontrolę nad bezpieczeństwem układu Hrad.

– Układ Hrad znajdował się jedną bramę dalej. Mniej więcej po sąsiedzku. – Moje gratulacje dla kapitan floty Breq. W Pałacu Tstur nadal trwają ostre walki. Kilka zewnętrznych stacji zostało zniszczonych. W zależności od wyniku walki lord Radch może wam przysłać transportowiec wojskowy. Przesyła pozdrowienia i wierzy, że sobie dobrze radzicie.

– Czy znasz kapitan floty Uemi, statku? – Seivarden nie musiała odpowiadać natychmiast,

w tej chwili, ponieważ Hrad leżał w odległości kilku godzin świetlnych, za bramą.

– Niezbyt dobrze – odpowiedziała „Łaska Kair”.

– A „Miecz Inil”?

– To Miecz.

– Ha! – zawołała ubawiona Seivarden.

– Poruczniku, kapitan floty zostawiła instrukcje, na wypadek gdyby taka wiadomość nadeszła podczas jej nieobecności.

– Czyżby? – Seivarden sama nie wiedziała, czy ma się dziwić. – No to ich posłuchajmy.

Moje instrukcje były raczej skromne. Seivarden wysłała następującą odpowiedź:

– Mówi porucznik Seivarden, dowodząca „Łaską Kair” w zastępstwie chwilowo nieobecnej kapitan floty Breq. Serdecznie witamy kapitan floty Uemi i dziękujemy za nowiny. Za pozwoleniem, kapitanie floty Uemi, kapitan floty Breq chciałaby wiedzieć, czy „Miecz Inil” wziął na pokład jakichś nowych członków załogi w Pałacu Omaugh.

Chociaż chyba nie nową załogą powinnam się martwić. Całkiem możliwe było zrobienie serwitorów ze starszych dorosłych.

Ale odpowiedź dotrze do mnie dopiero po kolacji. Pytanie zdziwiło Seivarden, która nie wiedziała o Tisarwat, jednak statek niczego jej nie wyjaśnił.

* * *

Wracając do domu, spotkałam Raughd, która wychodziła z głównego budynku.

– Dzień dobry, kapitanie floty! – zawołała ze słonecznym uśmiechem. – To takie orzeźwiająco wstać o świcie. Naprawdę powinnam nabrać tego zwyczaju.

Musiałam przyznać, że uśmiech był należycie czarujący, chociaż maskował ledwie wyczuwalne napięcie – wiedziałam, że Raughd nie przywykła wstawać o tej porze, nawet gdyby przed chwilą nie dała tego do zrozumienia. Ale znałam ją na tyle, że to całkiem zepsuło efekt.

– Nie mów mi, że już byłeś w łaźni – dodała tonem lekkiego rozczarowania, z fałszywą skromnością.

– Dzień dobry, obywatelko – odpowiedziałam, nie zatrzymując się. – I tak, byłam.

Po czym weszłam do domu na śniadanie.

Rozdział 13

Po śniadaniu – chleb i owoce, które służące Fosyf zostawiły poprzedniego wieczoru na kredensie, uprzejmie udając, że to tylko resztki z wczorajszej kolacji – kapitan Hetnys i ja miałyśmy siedzieć cicho przez cały dzień, modlić się w regularnych odstępach czasu, jadać proste, skromne posiłki. Usiadłyśmy zatem w otwartym pomieszczeniu na parterze, po stronie bawialni. W następnych dniach będziemy mogły, zgodnie z zasadami przyzwoitości, spędzać

więcej czasu dalej od domu – na przykład siadywać pod pergolą na zewnątrz. Konwenans pozwalał na nieco więcej ruchu tym, które nie mogły usiedzieć na miejscu w okresie żałoby – skorzystałam z tego, żeby pobiegać rano i pójść do łaźni. Ale większość nadchodzących dni spędzimy w naszych pokojach albo tu, w bawialni, tylko w swoim towarzystwie, chyba że sąsiadki wpadną złożyć nam kondolencje.

Kapitan Hetnys nie włożyła munduru – w tych okolicznościach nie musiała. Nosiła koszulę barwy zgaszonego różu wypuszczoną na oliwkowozielone spodnie. Jednak wszystkie moje cywilne ubrania były albo zbyt formalne na tę okazję, albo pochodziły z czasów, kiedy przebywałam poza Radch, i nie wyglądałabym w nich jak osoba w żałobie. Dlatego włożyłam czarno-brązową koszulę i spodnie od munduru. Przyzwoitość surowo zakazywała mi noszenia biżuterii, ale nie chciałam się rozstać z pamiątkową spinką porucznik Awn, więc przypięłam ją po wewnętrznej stronie koszuli. Siedziałyśmy przez chwilę w milczeniu, Piątka Kair i „Miecz Atagaris” stały za nami bez ruchu, na wypadek gdybyśmy ich potrzebowały. Kapitan Hetnys coraz bardziej się denerwowała, chociaż oczywiście starała się tego nie okazywać, dopóki Sirix nie zeszła po stopniach, żeby do nas dołączyć. Wtedy kapitan Hetnys wstała gwałtownie i przeszła się po pokoju. Nie odzywała się do Sirix podczas całej podróży ani zeszłego wieczoru. Teraz też chyba nie zamierzała się do niej odzywać. Ale to się całkowicie mieściło w granicach stosownej żałoby, która dopuszczała nieco ekscentryczne zachowanie.

W południe weszły służące z tacami jedzenia – więcej chleba, który wprawdzie na stacjach uchodził za luksus, jednak nadal traktowano go jak zwyczajne, proste jedzenie, oraz rozmaite pasty i mieszanki do smarowania, wszystkie przyprawione lekko albo wcale. Mimo to, sądząc po wczorajszej kolacji, podejrzewałam, że tylko formalnie można to nazwać ascetycznym posiłkiem.

Jedna służąca podeszła do ściany i ku mojemu zdumieniu odsunęła ją na bok. Prawie całą ścianę tworzyły składane panele, które otwierały się na zacieniony taras, wpuszczając do środka przefiltrowane promienie słońca i przyjemny wiaterek pachnący zielenią. Sirix zabrała swój lunch na ławkę na zewnątrz – chociaż drzwi na całą ścianę niejako podawały w wątpliwość podział na „wewnątrz” i „zewnątrz”.

Na stacji Athoek porucznik Tisarwat siedziała w herbaciarni – wygodne duże fotele wokół niskiego stołu, zastawionego pustymi i do połowy opróżnionymi butelkami araku. Kosztowały więcej niż jej pensja – czyli kupiła je na kredyt albo dostała w prezencie, opartym na jej przypuszczalnym statusie. Albo moim. Któraś z nas będzie musiała znaleźć jakiś sposób, żeby się zrewanżować, ale to nie powinno stanowić problemu. Obok Tisarwat siedziała obywatelka Piat, a na sąsiednich fotelach siedziało kilku innych młodych ludzi. Ktoś właśnie powiedział coś zabawnego – wszyscy się śmiali.

Na „Łasce Kair” medyczka uniosła brew, słysząc, jak pomagająca jej Kair nuci cicho do siebie.

Kto kochał tylko jeden raz?

Kto się zarzekal: Nigdy więcej nie pokocham i dotrzymał słowa?

Nie ja.

Na Athoek, w górach, kapitan Hetnys przestała krążyć, zaniósła swój lunch na stół. Sirix, siedząca na tarasie, jakby tego nie zauważyła. Jedna ze służących przeszła obok niej, przystanęła, szybko i cicho powiedziała coś, czego nie wychwyciłam, a może mówiła w liost. Sirix podniosła na nią poważny wzrok i powiedziała całkiem wyraźnie po radchaajsku:

– Jestem tylko doradcą, obywatelko.

Ani śladu urazy. Dziwne, po jej porannym przygnębieniu, oburzaniu się na niesprawiedliwość.

Na górze, w herbaciarni na stacji Athoek, ktoś powiedział:

– Teraz, kiedy kapitan Hetnys i ta naprawdę straszna kapitan floty są na dole studni, Tisarwat musi nas bronić przed Presgerami!

– Nie ma mowy – odparła Tisarwat. – Jeśli Presgerzy postanowią nas zaatakować, nic nie będziemy mogły zrobić. Ale myślę, że upłynie dużo czasu, zanim Presgerzy w ogóle do nas dotrą. Nic nam się nie stanie.

Wiadomość o rozłamie wśród lord Radch jeszcze się nie rozeszła i kłopoty z bramami wciąż oficjalnie określano jako „nieprzewidziane trudności”. Jak było do przewidzenia, te, które tego nie chciały zaakceptować, uważały pomysł interwencji obcych za bardziej wiarygodne wyjaśnienie.

– Ale będziemy odcięte – zaczął ktoś.

Obywatelka Piat oświadczyła:

– Nic nam nie grozi. Nawet gdyby nas odcięto od planety... – ktoś mruknął: „Brońcie bogowie” – ...tutaj nic nam nie grozi. Możemy się same wyżywić.

– A jeśli nie – odezwał się ktoś inny – możemy hodować skel w jeziorze w Ogrodach.

Ktoś się roześmiał.

– Dopiero byśmy utarły nosa tej ogrodniczce! Powinnaś to załatwić, Piat.

Tisarwat nauczyła się tego i owego od swoich Bo. Zachowała imponująco obojętny wyraz twarzy i ton głosu.

– Co to za ogrodniczka?

– Jak jej na imię, Basnaaid? – powiedziała osoba, która wcześniej się roześmiała. – Ona jest nikim, naprawdę. Ale wiesz, z Pałacu Omaugh przyjechała Awer i zaproponowała jej patronat, a ona odmówiła... Nie ma rodziny i żadne z niej cudo, ale jest za dobra dla Awer!

Piat siedziała po jednej stronie Tisarwat, a po drugiej stronie, jak mi powiedział statek, kuzynka Skaaiat Awer, chociaż sama nie Awer. Nie należała do tej grupy na stałe; zaprosiła ją Tisarwat.

– Skaaiat się nie obraziła – powiedziała teraz kuzynka. I uśmiechnęła się, co niemal zrównoważyło ostry ton głosu.

– No, oczywiście, że nie. Ale to nie jest przyzwoite, żeby odrzucić taką ofertę. Nie najlepiej

świadczy o tej ogrodnicze.

– Właśnie – zgodziła się kuzynka.

– Ona zna się na swojej pracy – wyrzuciła nagle z siebie Piat, jakby od jakiegoś czasu zbierała się na odwagę, żeby to powiedzieć. – Powinna być z siebie dumna.

Nastąpiła chwila niezręcznego milczenia.

– Szkoda, że Raughd tu nie ma – powiedziała wreszcie osoba, która zaczęła ten temat. – Nie wiem, dlaczego musiała pojechać na dół. Zawsze się śmiejemy do rozpuku, kiedy jest Raughd.

– Ale nie osoba, z której się śmiejecie – zauważyła kuzynka Skaaiat.

– No nie, oczywiście że nie – przyznała stronniczka Raughd. – Inaczej byśmy się z nich nie śmiały. Tisarwat, powinnaś zobaczyć, jak Raughd przedrzeźnia kapitan Hetnys. Przekomiczne.

Na Athoek, w domu, Sirix wstała z ławki i poszła na górę. Przeniosłam uwagę na Piątkę, zobaczyłam, że poci się w mundurze i znudziło ją obserwowanie mnie i kapitan Hetnys. Myśli o jedzeniu na kredensie, którego zapach czuje ze swojego miejsca. Niedługo sama powinnam pójść na górę, może udawać drzemkę, żeby Piątka zrobiła sobie przerwę, żeby ona i „Miecz Atagaris” zjadły posiłek. Kapitan Hetnys – nieświadoma, że właśnie wspomniano o niej na górze – wyszła usiąść na tarasie, skoro nie groziło jej towarzystwo Sirix.

Jedna ze służących podeszła do Piątki Kair. Stała przez chwilę, zapewne deliberując, jak się do niej zwrócić, i wreszcie zdecydowała się na:

– Za pozwoleniem.

– Tak, obywatelko – odpowiedziała Piątka obojętnym, bezbarwnym tonem.

– To przyszło dziś rano – oznajmiła służąca. Wyciągnęła małą paczuszkę owiniętą w aksamitną fiołkową tkaninę. – Bardzo nalegano, żeby koniecznie oddać to bezpośrednio kapitan floty. – Nie wyjaśniła, dlaczego w takim razie daje to Piątce.

– Dziękuję, obywatelko – powiedziała Piątka i wzięła paczuszkę. – Kto to przysłał?

– Posłaniec nie powiedział. – Ale pomyślałam, że ona wiedziała albo podejrzewała.

Piątka rozwinęła tkaninę i odsłoniła zwykle cienkie pudełko z jasnego drewna. W środku spoczywało coś, co wyglądało jak trójkątna kromka ciemnego, zbitego chleba, całkiem czerstwego; broszka, dwucentymetrowy srebrny dysk zawieszony na pleciance z niebieskich i zielonych szklanych paciorków; a pod spodem mała karta gęsto zadrukowana znakami, które wyglądały mi na liost. Język, którym wciąż mówiło tak wiele Samirendek. Szybkie pytanie do stacji Athoek potwierdziło moje domysły. I dowiedziałam się przynajmniej z grubsza, co jest na karcie.

Piątka z powrotem nakryła pudełko wieczkiem.

– Dziękuję, obywatelko.

Wstałam bez słowa, podeszłam do Piątki, wzięłam pudełko i tkaninę, po czym weszłam na górę i wąskim korytarzem ruszyłam do pokoju Sirix. Zapukałam do drzwi.

– Obywatelko, to chyba jest dla ciebie – powiedziałam, kiedy Sirix otworzyła.

Podaliśmy jej pudełko spoczywające na złożonej tkaninie. Popatrzyła na mnie z powątpiewaniem.

– Tutaj nikt niczego nie mógł mi przysłać, kapitanie floty. Chyba się pomyliłaś.

– To na pewno nie jest przeznaczone dla mnie – oświadczyłam, wciąż trzymając pudełko w wyciągniętej ręce. – Obywatelko – napomniałam ją, bo nie chciała go wziąć.

Zza jej pleców wysunęła się Ósemka i sięgnęła po pudełko, ale Sirix odesłała ją gestem.

– To nie może być dla mnie – upierała się.

Wolną ręką uniosłam wieczko, żeby zobaczyła, co jest w środku. Nagle zamarła bez ruchu, nawet jakby przestała oddychać.

– Przykro mi z powodu twojej straty, obywatelko – powiedziałam.

Broszka była pamiątkowa, zmarła nosiła nazwisko Odęła. Na karcie znajdował się opis jej życia i pogrzebu. Nie wiedziałam, po co jest kawałek chleba, ale widocznie znaczył coś dla tego, kto go wysłał. Z pewnością znaczył coś dla Sirix. Nie potrafiłam jednak określić, czyjej reakcją był ból, rozpacz czy też gniew, którego nie mogła uzewnętrznić.

– Mówiłaś, że nie masz rodziny, obywatelko – zwróciłam jej uwagę po kilku chwilach niezręcznego milczenia. – Widocznie ktoś w rodzinie Odela myśli o tobie.

– Na pewno się dowiedzieli, że Sirix przyleciała ze mną.

– Ona nie ma prawa – oświadczyła Sirix. Pozornie spokojna, obojętna, ale wiedziałam, że to dla niej konieczność, kwestia przetrwania. – Żadna z nich nie ma prawa. Nie mogą działać na dwie strony, nie mogą tego po prostu cofnąć. – Zaczerpnęła tchu, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale tylko ponownie odetchnęła. – Odeślij to – wykrztusiła wreszcie. – To nie moje, nie może być moje. Same tak zdecydowały.

– Jeśli tego chcesz, obywatelko, odeślę. – Opuściłam wieczko, rozłożyłam purpurową tkaninę i owinęłam nią zamknięte pudełko.

– Jak to – rzuciła Sirix z goryczą w głosie – żadnych wymówek, że powinnam okazać wdzięczność, powinnam pamiętać, że to w końcu moja ro... – Głos jej się załamał, za bardzo się wysiliła. Jednak nie zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, żeby cierpieć bez widzów, co świadczyło wymownie o jej zwykłej samokontroli. A może tylko o tym, że zdawała sobie sprawę z obecności Ósemki w pokoju, wiedziała, że choćby nie wiadomo co zrobiła, nigdy nie będzie sama.

– Mogę ci robić wymówki, jeśli sobie życzysz, obywatelko, ale będą nieszczerze. – Ukłoniłam się. – Jeśli czegoś potrzebujesz, pytaj bez wahania. Jestem do twoich usług.

Wtedy zamknęła drzwi. Mogłam ją obserwować przez oczy Ósemki, ale nie patrzyłam.

* * *

Razem z kolacją pojawiły się Fosyf i Raughd. Sirix nie zeszła na dół od czasu lunchu. Nikt tego nie skomentował – tolerowano ją tutaj tylko dlatego, że była ze mną. Po jedzeniu usiadłyśmy na samym brzegu pokoju, przy drzwiach wciąż szeroko otwartych. Widoczny stąd fragment jeziora o zmierzchu przybrał barwę ołowiu, pogrążony w cieniu, tylko najwyższe szczyty gór za nim wciąż jaśniały w zachodzącym słońcu. Pojawiły się wilgoć i chłód, służące przyniosły gorący gorzko-słodki napój w czarkach z uszkami.

– W stylu Xhai – poinformowała mnie Fosyf.

Bez Sirix przy boku, miałam po jednej stronie Fosyf, a po drugiej Raughd. Kapitan Hetnys siedziała naprzeciwko, lekko obróciwszy krzesło, żeby patrzeć na jezioro.

Na „Łasce Kair” nadeszła wreszcie odpowiedź na pytanie, które zadałam rano kapitan floty Uemi. Statek odtworzył ją w uszach porucznik Ekalu.

– Bardzo dziękuję, porucznik Seivarden, za tak uprzejme powitanie. Pozdrowienia dla kapitan floty Breq, ale nie przyjął nowej załogi na Omaugh.

Zostawiłam również instrukcje na taką okoliczność.

– Kapitan floty Breq dziękuje kapitan floty Uemi za jej wyrozumiałość – powiedziała porucznik Ekalu, równie zdumiona jak Seivarden kilka godzin wcześniej. – Czy ktoś z załogi „Miecza Ind” nie nawiązywał kontaktu przez dzień lub dwa podczas pobytu na pałacowej stacji?

– I jak, kapitanie floty – powiedziała Fosyf na dole studni, w gęstniejącym mroku nad jeziorem – mam nadzieję, że dzień minął ci spokojnie?

– Tak, dziękuję, obywatelko. – Nie musiałam być bardziej rozmowna. W istocie przez następne półtora tygodnia mogłam, jeśli chciałam, ignorować każdego, kto się do mnie odezwał, bez naruszania zasad przyzwoitości.

– Kapitan floty wstaje niewiarygodnie wcześnie – oznajmiła Raughd. – Specjalnie zerwałam się o świcie, żeby ktoś mógł jej pokazać łaźnię, ale ona już dawno nie spała.

– Widocznie, obywatelko – zauważyła łagodnie kapitan Hetnys – wczesne wstawanie znaczy dla ciebie co innego niż dla nas.

– Wojskowa dyscyplina, Raughd – stwierdziła pobłaźliwie Fosyf. – Pomimo twoich najnowszych zainteresowań – zerknęła na mnie ukradkiem – nigdy się do tego nie nadawałaś.

– 2GBOch, nie wiem – odparła nonszalancko Raughd.

– Nigdy tego nie próbowałam, prawda?

– Dziś rano przesłałam przez grań i widziałam twoje robotnice – wtrąciłam, niezbyt zainteresowana kwestią wojskowej kondycji Raughd.

– Mam nadzieję, że dodałaś kilka piosenek do swojej kolekcji, kapitanie floty – powiedziała Fosyf.

Nieznacznie skłoniłam głowę, co musiało wystarczyć za odpowiedź.

– Nie rozumiem, czemu po prostu nie zrobili z nich serwitorów – rzuciła Raughd. – Na pewno byłoby im lepiej. – Uśmiechnęła się kokieteryjnie. – Wystarczyłyby nam dwie jednostki z wojskowego transportowca i zostałyby jeszcze mnóstwo dla innych.

Fosyf się roześmiała.

– Raughd nagle zainteresowała się wojskiem! Ciągłe coś wyszukuje. Statki, mundury i tak dalej.

– Mundury są taaakie pociągające – zgodziła się Raughd. – Tak się cieszę, że jesteś w mundurze, kapitanie floty.

– Serwitory nie mogą być nowymi obywatelkami – przypomniałam.

– No cóż – mruknęła Fosyf. – No cóż. Wiesz, nie jestem pewna, czy Valskaayanki mogą. Nawet na Valskaay są problemy, prawda? Ta ich religia. – Właściwie na Valskaay i w jego układzie istniało kilka religii, podzielonych na rozmaite sekty. Ale Fosyf miała na myśli główną religię, którą wszyscy uważali za „valskaayańską”. Była to odmiana całkowitego monoteizmu, jaki większość Radchaai uważała za mniej czy bardziej niezrozumiałą. – Chociaż nie wiem, czy naprawdę można to nazwać religią. Raczej... zlepkiem przesądów i bardzo dziwacznych koncepcji filozoficznych.

Na zewnątrz jeszcze bardziej się ściemniło, drzewa i omszałe kamienie rozplynęły się w mroku.

– A religia to najmniejsza rzecz. One mają mnóstwo okazji, żeby się ucywilizować. Popatrz tylko na Samirendki! – Powiodła ręką dookoła, zapewne mając na myśli służące, które przyniosły nam kolację. – Zaczęły stamtąd, gdzie Valskaayanki są teraz. Valskaayanki mają wszelkie możliwości, ale czy z nich korzystają? Nie wiem, czy widziałaś ich dom... bardzo ładny pensjonat, równie ładny jak dom, w którym sama mieszkam, ale to praktycznie ruina. Nie chce im się zadbać o swoje otoczenie. Ale potrafią rozrzutnie zaciągać długi na instrument muzyczny albo nowy komunikator.

– Albo sprzęt do produkcji alkoholu – dodała pruderyjnie Raughd.

Fosyf westchnęła, najwyraźniej głęboko zasmucona.

– Zużywają na to swoje racje, niektóre z nich. A potem jeszcze bardziej grzęzną w długach, żeby kupić jedzenie. Większość nigdy nie oglądała na oczy swoich pensji. Brakuje im dyscypliny.

– Ile Valskaayanek przysłano do tego układu? – zapytałam Fosyf. – Po tamtej aneksji. Czy wiesz?

– Nie mam pojęcia, kapitanie floty. – Fosyf gestem wyraziła pełną rezygnację ignorancję. – Po prostu biorę robotnice, które mi przydzielają.

– Dziś rano na polach pracowały dzieci – napomknęłam. – Czy nie mają szkoły?

– To nie dla nich – odparła Fosyf. – Nie dla Valskaayanek. Nie chcą chodzić do szkoły. Brakuje im niezbędnej powagi. Stałości. Och, ale tak chciałabym cię zabrać na porządne zwiedzanie, kapitanie floty! Może kiedy twoje dwa tygodnie się skończą. Chcę się pochwalić swoją herbatą i wiem, że chciałabyś usłyszeć jak najwięcej piosenek.

– Kapitan floty Breq – odezwała się kapitan Hetnys, dotąd milcząca – kolekcjonuje nie tylko piosenki, jak się okazuje.

– O? – zapytała Fosyf.

– Mieszkałam u niej podczas dni postu – ciągnęła kapitan Hetnys – i wiesz, na co dzień używała błękitno- – fioletowej zastawy Przylistek. Pełny komplet. W idealnym stanie.

Statek pokazał mi, że za moimi plecami Piątka Kair powstrzymuje uśmiezek satysfakcji. Podczas dni postu prawie nic nie jadłyśmy, zgodnie z zasadami, ale te niewielkie ilości Piątka podawała na Przylistku i – niewątpliwie celowo – zostawiała nieużywane naczynia na wierzchu, żeby kapitan Hetnys mogła je zobaczyć.

– No, no! Co za świetny gust, kapitanie floty! I cieszę się, że Hetnys o tym wspomniała. – Przywołała gestem służącą, która nachyliła się, wysłuchała cichego polecenia i wyszła. – Mam coś, co cię zainteresuje.

Na zewnątrz w ciemności wysoki, nieludzki głos wyśpiewał długi, nieprzerwany ciąg samogłosek na jednym tonie.

– Ach! – wykrzyknęła Fosyf. – Na to czekałam.

Do pierwszego dołączył drugi głos, nieco niższy, a potem trzeci, odrobinę wyższy, i następny, i następny, aż wreszcie co najmniej dziesięć głosów wznosiło się i opadało w dysonansowym, a jednak dziwnie harmonijnym chórze.

Fosy najwyraźniej oczekiwała z mojej strony jakiejś reakcji.

– Co to jest? – zapytałam.

– To rośliny – wyjaśniła Fosyf, ciesząc się z mojego zdumienia. – Mogłaś je zobaczyć, kiedy wychodziłaś rano. Mają coś w rodzaju worków, gdzie gromadzą powietrze, a kiedy worki się napełnią i słońce zajdzie, wydmuchują je. Jeżeli nie pada. Dlatego ich nie słyszałaś wczoraj w nocy.

– Chwasty – zauważyła kapitan Hetnys. – Spore utrapienie. Próbowali je wyplenić, ale ciągle odrastają.

– Podobno osoba, która je wyhodowała, była nowicjuszką w świątyni – ciągnęła Fosyf. – Rośliny śpiewają różne słowa w xhi, wszystkie związane ze świątynnymi tajemnicami, a kiedy inne nowicjuszki usłyszały śpiewające rośliny, zrozumiały, że tajemnice wyszły na jaw. Zamordowały tę, co je wyhodowała. Podobno rozerwały ją na strzępy gołymi rękami, tutaj, nad jeziorem.

Nie przyszło mi wcześniej do głowy, żeby zapytać, co to był za pensjonat.

– Więc to było święte miejsce? Świątynia? – Wiedziałam z doświadczenia, że większe świątynie niemal zawsze znajdowały się w miastach albo przynajmniej w wioskach, a z pokładu latacza nie widziałam ani śladu innych ludzkich siedzib. Zastanawiałam się, czy kiedyś było tu miasto i zostało zburzone, żeby zrobić miejsce pod uprawę herbaty, czy też cały ten ogromny obszar był niegdyś święty. – Czy to było święte jezioro i świątynny dom gościnny?

– Niewiele umyka kapitan floty! – wykrzyknęła Raughd.

– Istotnie – przyznała jej matka. – Szczątki świątyni znajdują się po drugiej stronie jeziora. Przez jakiś czas była tam wyrocznia, ale teraz zachowały się tylko przesady o rybach spełniających życzenia.

I nazwa herbaty uprawianej na tej dawniej świętej ziemi, pomyślałam. Ciekawe, co o tym sądzą Xhai.

– Jakie słowa śpiewają te rośliny? – Bardzo słabo znałam xhi i nie wychwyciłam żadnych słów w tym dysonansowym śpiewie dobiegającym z mroku.

– Dostaje się różne przekłady – odparła życzliwie Fosyf. – Zależy, kogo spytasz.

– Kiedy byłam dzieckiem, wychodziłam po zmroku i szukałam ich – wyznała Raughd. – Przystają, jeśli na nie poświecić.

Od przyjazdu nie widziałam właściwie żadnych dzieci, tylko te pracujące na polu. Uznałam, że to dziwne w takim miejscu, zanim jednak zdążyłam wyrazić na głos to spostrzeżenie, służąca wysłana przez Fosyf wróciła, niosąc dużą skrzynkę.

Skrzynia była złota albo przynajmniej pozłacana, inkrustowana czerwonym, niebieskim i zielonym szkłem w stylu starszym ode mnie. Starszym nawet niż trzy tysiące lat z okładem Anaander Mianaai. Widziałam coś takiego na własne oczy tylko raz, kiedy miałam zaledwie dekadę, jakieś dwa tysiące lat temu.

– Z pewnością to kopia – powiedziałam.

– To nie kopia, kapitanie floty – oświadczyła Fosyf, wyraźnie zadowolona z siebie.

Służąca postawiła skrzynkę na podłodze przed nami i odstąpiła. Fosyf schyliła się, uniosła wieko. W wyściełanym wnętrzu leżał serwis do herbaty – imbryk, dwanaście czarek, sitko. Wszystko złote, inkrustowane misternymi węzowymi deseniami w zieleni i błękicie.

Wciąż trzymałam czarkę z uszkami, z której piłam, i teraz ją podniosłam. Piątka uczynnie podeszła i zabrała ją, ale nie odeszła. Nie zamierzałam jej odsyłać. Wstałam i kucnęłam obok skrzynki.

Wewnętrzna strona wieka również była złota, chociaż u góry i u dołu paski drewna siedmiocentymetrowej szerokości zdradzały, co się kryło pod złotem. Na złotej płytce wygrawerowano napis. Po notajsku. Potrafiłam go przeczytać, wątpiłam jednak, czy ktokolwiek inny tutaj to potrafi. Kilka starych domów (wśród nich dom Seivarden) oraz parę młodszych, które uznały to za romantyczne i pociągające, szczyciło się pochodzeniem od notajskich przodków. Oczywiście niektórzy rozpoznaliby to pismo, pewnie mogliby odczytać słowo czy dwa. Tylko nieliczni zadaliby sobie trud, żeby naprawdę nauczyć się tego języka.

– Co tu jest napisane? – zapytałam, chociaż oczywiście już wiedziałam.

– To inwokacja do boga Varden – wyjaśniła kapitan Hetnys – oraz błogosławieństwo dla właścicielki.

„Varden jest twoją siłą”, głosił napis, „Varden jest twoją nadzieją i Varden jest twoją radością. Długiego życia i pomyślności dla córki tego domu. Z radosnej i zasłużonej okazji”.

Podniosłam wzrok na Fosyf.

– Skąd to masz?

– Aha, więc Hetnys miała rację, jesteś koneserem! – zawołała. – Nigdy bym nie pomyślała, gdyby mi nie powiedziała.

– Skąd to masz? – powtórzyłam.

Fosyf zaśmiała się krótko.

– I uparciuchem, tak, ale to już wiedziałam. Kupiłam to od kapitan Hetnys.

„Kupiłam”. Ofiarowanie takiej bezcennej, starożytnej rzeczy w prezencie było niemal nie do pomyślenia. Niemożliwe, żeby ktoś wziął za to pieniądze, dowolną sumę. Wciąż kucając, odwróciłam się do kapitan Hetnys, która odpowiedziała na moje milczące pytanie:

– Właścicielka potrzebowała gotówki. Nie chciała tego sprzedać osobiście, no bo wyobraźcie sobie, że ktoś by się dowiedział, że musieliście sprzedać coś takiego. Więc

pośredniczyłam w tej transakcji.

– I zgarnęłaś swoją dolę – wtrąciła Raughd, której chyba się nie podobało, że zaćmiła ją zastawa do herbaty.

– To prawda – potwierdziła kapitan Hetnys.

Nawet niewielki procent z tego stanowił fortunę. Żaden człowiek nie mógł czegoś takiego posiadać, najwyżej formalnie. Żaden jako tako funkcjonujący dom nie pozwoliłby swojemu pojedynczemu członkowi przenieść prawa własności do takiej rzeczy. Zastawa do herbaty, którą widziałam, kiedy byłam nowiutkim, niespełna dziesięcioletnim statkiem, nie należała do jednego człowieka. Stanowiła część wyposażenia pokoju dekady na pewnym Mieczu i wyjęto ją, żeby zaimponować mojej kapitan, kiedy złożyła wizytę. Tamta zastawa była srebrno-purpurowa, wykładana macicą perłową, w inskrypcji widniało imię innego boga. Nad słowami: „Z radosnej i zasłużonej okazji twojego awansu. Kapitan Seimorand”. I data, zaledwie pół wieku przed dojściem do władzy Anaander Mianaai, zanim zastawę zabrano na pamiątkę klęski jej właściciela.

Miałam pewność, że dolna część inskrypcji na wieku skrzynki stojącej teraz przede mną została odcięta, że słowa: „Z radosnej i zasłużonej okazji” stanowiły zaledwie początek zdania. Nie było śladu po cięciu – krawędzie złotej płytki wydawały się gładkie, drewno pod spodem nienaruszone. Ale wiedziałam, że ktoś zdjął płytkę, odciął pasek u dołu i przymocował z powrotem resztę, pośrodku, żeby nie wyglądało, że część napisu zniknęła.

Tego nie przekazywały sobie przez wieki potomkinie jakiejś kapitan – one nigdy nie usunęłyby nazwiska tej, która zostawiła im takie dziedzictwo. Ktoś mógł wyciąć nazwisko, żeby ukryć pochodzenie zastawy, bo nawet uszkodzona miała ogromną wartość. Ktoś mógł ukryć jej pochodzenie ze wstydu – każdy, kto ją zobaczył, mógł odgadnąć, który dom musiał się rozstać z takim skarbem.

Ale większość rodzin posiadających takie rzeczy знаła lepsze sposoby, żeby skapitalizować swoją własność. Na przykład dom Seivarden przyjmował pieniądze i podarki w zamian za zwiedzanie tego starożytnego, przechwyconego promu Notai.

„Kradzione antyki”, powiedziała porucznik z „Miecza Atagaris”. Ale nie wyobrażałam sobie czegoś takiego.

Dodajmy ten moduł zaopatrzenia. „Śmieć”. Wszystkie napisy wygodnie zatarte – jak na tej zastawie do herbaty.

Kapitan Hetnys uważała za ważne, żeby jej statek stacjonował przy Bramie Duchów. Z Bramy Duchów wyleciał kawał śmiecia, prawdopodobnie liczący sobie ponad trzy tysiące lat – i przede wszystkim wysoce nieprawdopodobne było, że trafił akurat na Athoek. Część notajskiego promu.

Kapitan Hetnys zarobiła mnóstwo pieniędzy na sprzedaży notajskiego serwisu do herbaty, niemal równie starego jak ten moduł zaopatrzeniowy. Skąd go wzięła? Kto usunął nazwisko pierwszego właściciela i dlaczego?

Co się kryło za Bramą Duchów?

Rozdział 14

Po powrocie do pokoju zdjęłam czarno-brązową koszulę, podałam ją Piątce Kair. Schyliłam się, żeby ściągnąć buty, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Podniosłam wzrok. Piątka Kair rzuciła mi krótkie, pozbawione wyrazu spojrzenie i poszła otworzyć. Obserwowała zachowanie Raughd przez ostatnie kilka dni i wiedziała, na co się zanosí, chociaż trochę się zdziwiłam, że Raughd tak szybko zdecydowała się na ten bezczelny krok.

Stałam z boku, gdzie byłam niewidoczna z bawialni. Podniosłam koszulę odłożoną przez Piątkę i znowu ją naciągnęłam. Piątka otworzyła drzwi na korytarz i jej oczami ujrzałam nieszczery uśmiech Raughd.

– Czy mogłabym – zapytała bez żadnych wstępnych uprzejmości – porozmawiać prywatnie z kapitan floty?

To zdanie, zręcznie sformułowane, nie pozostawiało Piątce żadnego wyboru, jeśli nie chciała potraktować mnie niegrzecznie.

„Wpuść ją”, wysłałam bezgłośną wiadomość do Piątki. „Ale nie wychodź z pokoju”. Chociaż było całkiem możliwe – właściwie nawet prawdopodobne – że dla Raughd „prywatność” obejmowała także obecność służby.

Raughd weszła. Rozejrzała się za mną, skłoniła się z uśmiechem, kiedy wyłoniłam się z sypialni.

– Kapitanie floty – powiedziała. – Miałam nadzieję, że możemy... porozmawiać.

– O czym, obywatelko? – Nie zaproponowałam jej, żeby usiadła.

Zamrugła, szczerze zdumiona, jak się zdawało.

– Z pewnością, kapitanie floty, nie ukrywałam swoich pragnień.

– Obywatelko. Jestem w żałobie. – Nie zdążyłam jeszcze zmyć z twarzy na noc białego pasa. A ona na pewno pamiętała, dlaczego go noszę.

– Ale przecież, kapitanie floty – odparła słodko – to tylko na pokaz.

– Zawsze jest na pokaz, obywatelko. Zewnętrzne oznaki żalu wcale nie są konieczne. Mają tylko informować innych, co czujemy.

– To prawda, że te oznaki są prawie zawsze nieszczere, a przynajmniej przesadzone. – Raughd w ogóle mnie nie zrozumiała. – Ale chcę powiedzieć, że podjęłaś się tego tylko z powodów politycznych. Nie możesz odczuwać prawdziwego żalu, nikt by tego nie oczekiwał. Wymagany jest tylko publicznie, a to – powiodła dookoła ręką – z pewnością nie jest miejsce publiczne.

Mogłam argumentować, że gdyby członek jej rodziny zmarł daleko od domu, wołałaby wiedzieć, że ktoś odprawił rytuały pogrzebowe dla tej osoby – nawet jeśli rytuały były obce, nawet jeśli nie znała owego żałobnika. Ale dla takiej osoby jak Raughd ten argument nie miałby znaczenia, jeśliby w ogóle go zrozumiała.

– Obywatelko, jestem zdumiona twoim brakiem przyzwoitości.

– Czy to moja wina, kapitanie floty, że pożądanie zagłuszyło we mnie poczucie

przyzwoitości? A przyzwoitość, jak żałoba, jest tylko na pokaz.

Nie miałam złudzeń co do mojej fizycznej atrakcyjności. Raczej nie wzbudziłabym entuzjazmu zagłuszającego przyzwoitość. Natomiast moja pozycja i nazwisko mojego domu mogły fascynować. I oczywiście znacznie bardziej fascynowałyby kogoś bogatego i uprzywilejowanego, jak Raughd. W niezliczonych spektaklach rozrywkowych cnotliwi i pokorni zdobywali względy wyżej postawionych, z korzyścią dla siebie i swoich domów, ale w życiu codziennym większość ludzi doskonale zdawała sobie sprawę, co by się stało, gdyby umyślnie dążyli do takiej sytuacji.

Ale ktoś taki jak Raughd... och, taka jak Raughd mogła zagiąć na mnie parol i mogła udawać, że to tylko zauroczenie, romans czy nawet miłość. Nieważne, że w takim wypadku nikt zaangażowany nie zapominał nawet na chwilę o potencjalnych korzyściach.

– Obywatelko – powiedziałam zimno. – Dobrze wiem, że to ty namalowałaś te słowa na ścianie w Podogrodzie. – Szeroko otworzyła oczy, mrugając z niezrozumieniem. Piątka Kair stała bez ruchu w kącie pokoju, po serwitorsku obojętna. – W rezultacie ktoś umarł i bardzo możliwe, że jej śmierć naraziła cały układ na niebezpieczeństwo. Może nie zamierzałaś jej zabić, ale doskonale wiedziałaś, że twój postępek spowoduje kłopoty, i nie obchodziło cię, kto na tym ucierpi.

Wyprostowała się, obrażona.

– Kapitanie floty! Nie wiem, dlaczego mnie oskarżasz o coś takiego.

– Domyślałam się – odparłam, niewzruszona jej oburzeniem – że rozgniewałaś się na porucznik Tisarwat za to, że popsuła ci zabawę z obywatelką Piat, którą nawiasem mówiąc, traktujesz obrzydliwie.

– Och, no tak – powiedziała, nieco spuściwszy z tonu, odprężając się – skoro to jest problem. Znamy się z Piat od dziecka i ona zawsze była... nie zrównoważona. Nadwrażliwa. Wiesz, czuje się niedowartościowana, bo jej matka jest administratorką stacji i w dodatku jest taka piękna. No więc dostała z przydziału całkiem dobrą pracę, ale ciągle myśli, że to nic w porównaniu z jej matką. Bierze wszystko zbyt serio i przyznaję, że czasami tracę do niej cierpliwość. – Westchnęła, istne wcielenie współczucia i żalu, nawet skruchy. – Nie pierwszy raz oskarżyła mnie, że źle ją traktuję, żeby mi zrobić na złość.

– „Nudna, głupia dziwka” – zacytowałam. – Zabawne, jak ostatnio straciłaś do niej cierpliwość, kiedy wszyscy śmiali się z jej dowcipu i znajdowała się w centrum uwagi. Zamiast ciebie.

– Na pewno Tisarwat chciała dobrze, że ci o tym powiedziała, ale ona po prostu nie zrozumiała, co... – Głos jej się załamał, przybrała zbolaną minę. – Ona nie... Piat chyba mnie nie oskarżyła o namalowanie tych słów na ścianie? Właśnie taka okropność mogła jej się wydawać zabawna, kiedy miała te swoje humory.

– Nie oskarżyła cię o nic – odparłam, wciąż zimnym głosem. – Dowody mówią same za siebie.

Raughd zamarła na chwilę w kompletnym bezruchu, nawet przestała oddychać. Potem

odezwała się tonem niemal równie zimnym jak mój:

– Czy przyjęłaś zaproszenie mojej matki tylko po to, żeby tu przyjechać i mnie zaatakować? Wyraźnie miałaś w tym jakiś ukryty cel. Zjawiasz się znikąd, wydajesz jakiś idiotyczny zakaz podróży przez bramy, więc nie można wywieźć herbaty z układu. Nie mogę tego traktować inaczej niż jako atak na moją rodzinę, a tego nie zamierzam tolerować! Porozmawiam o tym z matką!

– Porozmawiaj. – Wciąż mówiłam spokojnie. – I koniecznie jej wyjaśnij, skąd się wzięła ta farba na twoich rękawiczkach. Ale nie zdziwiłabym się, gdyby ona już o tym wiedziała i zaprosiła mnie tu na dół w nadziei, że dam się przekonać, żeby nie drażnić tej sprawy.

I przyjęłam zaproszenie, wiedząc o tym. Bo chciałam wiedzieć, jak jest na dole. Co wzbudziło taki gniew Sirix.

Raughd odwróciła się i wyszła, nie dodając ani słowa. Poranne niebo było bladoniebieskie, poznaczone srebrzystymi smugami siatki pogodowej, tu i tam upstrzone kłaczkami obłoków. Słońce jeszcze nie wyszło zza gór, więc domy, drzewa i jezioro okrywał cień. Sirix czekała na mnie nad wodą.

– Dziękuję za pobudkę, kapitanie floty – powiedziała z ironicznym ukłonem. – Za nic nie chciałabym zasnąć.

– Przyzwyczyłaś się już do różnicy czasu? – Na stacji było wczesne popołudnie. – Podobno wzdłuż brzegu prowadzi ścieżka.

– Raczej nie dotrzymam ci kroku, jeśli zamierzasz biec.

– Dzisiaj idę.

I tak bym nie biegła, nawet gdyby Sirix nie musiała za mną nadążyć. Ruszyłam w stronę szlaku nad jeziorem, nie oglądając się na nią, ale słyszałam, że za mną idzie, widziałam ją (i siebie) oczami Piątki, która obserwowała nas, ukryta w kącie pergoli.

Na stacji Athoek porucznik Tisarwat rozmawiała z Basnaaid Elming w naszej kwaterze w Podogrodzie. Basnaaid przyszła niecałe pięć minut wcześniej, kiedy naciągałam buty, gotowa wyjść z pokoju. Przez chwilę kuśilo mnie, żeby kazać Sirix czekać, ale w końcu zdecydowałam, że teraz mogę jednocześnie iść i obserwować.

– Widziałam – niemal sama czułam – dreszcz emocji przenikający Tisarwat w obecności Basnaaid. Ogrodniczko – mówiła Tisarwat. Ona też niedawno wstała. – Jestem do twoich usług. Ale muszę cię uprzedzić, że kapitan floty kazała mi trzymać się od ciebie z dala.

Basnaaid zmarszczyła brwi, wyraźnie zdumiona i skonsternowana.

– Dlaczego?

Porucznik Tisarwat wzięła drżący oddech.

– Powiedziałaś, że nigdy więcej nie chcesz z nią rozmawiać. Ona nie... chciała się upewnić, że nie pomyślisz, że ona... – Urwała, szukając słów. – Ze względu na twoją siostrę ona zrobi wszystko, o co poprosisz.

– Trochę despotycznie do tego podchodzi – odparła Basnaaid z lekkim przekąsem.

– Kapitanie floty – powiedziała Sirix, idąca obok mnie ścieżką nad jeziorem.

Uświadomiłam sobie, że mówi do mnie, a ja nie odpowiadam.

– Przepraszam, obywatelko. – Z trudem oderwałam uwagę od Basnaaid i Tisarwat. – Byłam rozkojarzona.

– Najwyraźniej. – Przeszła przez gałąź, która opadła z pobliskiego drzewa. – Próbowałam ci podziękować za twoją wczorajszą cierpliwość dla mnie. I za pomoc Ósemki Kair. – Spochmurniała. – Nie pozwalasz im używać własnych imion?

– One znacznie bardziej woła, kiedy nie używam ich imion, przynajmniej moje Kair. – Gestem wyraziłam niejednoznaczność, niepewność. – Może ona wyjawi ci swoje imię, jeśli zapytasz.

Dom został już daleko za nami, schowany za zakrętem ścieżki, za drzewami o szerokich owalnych liściach, po których spływały niewielkie kaskady strzępiastych białych kwiatów.

– Powiedz mi, obywatelko, czy awarie staży stanowią problem wśród robotnic polowych tutaj w górach?

Jeńców przewożono w kapsułach kriostazy. Zwykle działały bardzo dobrze, ale czasami się psuły, powodując śmierć lub ciężkie obrażenia swoich pasażerów.

Sirix zamarła w pół kroku, tylko na mgnienie oka, a potem szła dalej. Powiedziałam coś, co ją zaskoczyło, ale dostrzegłam również przeblysłk zrozumienia na jej twarzy.

– Chyba nigdy nie widziałam nikogo rozmrożonego. Chyba od dawna nikogo nie rozmrażali. Ale niektóre Valskaayanki myślą, że kiedy medyczki rozmrażają ludzi, nie pozwalają wszystkim przeżyć.

– Czy mówią dlaczego?

Sirix wykonała wieloznaczny gest.

– Nie wprost. Myślą, że medyczki pozbywają się każdego, kogo uznają za niesprawnego pod jakimś względem, ale nie wyjaśniają dokładnie, co to znaczy, przynajmniej w mojej obecności. I nie pójda do medyczki. Za nic. Nawet jeśli sobie połamią wszystkie kości, woła, żeby przyjaciółki założyły im łubki z patyków i starych szmat.

– Wczoraj wieczorem kazałam podać liczbę Valskaayanek przywiezionych do tego układu – oznajmiłam tytułem wyjaśnienia.

– Tylko Valskaayanek? – Sirix uniosła brew. – Czemu nie Samirendek?

Ach.

– Wpadłam na coś, prawda?

– Nie przypuszczam, żeby w ten sposób można było dużo znaleźć o Valskaayankach. Ale przed moim urodzeniem, jeszcze przed aneksją Valskaay coś się stało. Jakies sto pięćdziesiąt lat temu. Nie wiem na pewno... chyba tylko sami uczestnicy wydarzeń wiedzieli na pewno. Ale mogę ci opowiedzieć plotki. Ktoś kierujący transportami przychodzącymi do układu odciągał jakiś procent przesiedleńców i sprzedawał pozaukładowym handlarzom niewolników. – Pokręciła głową na widok mojej sceptycznej miny. – Wiem, że to brzmi śmiesznie. Ale zanim to miejsce ucywilizowano – ani śladu ironii – odpracowywanie długów było dość powszechne i całkowicie legalnie można było odsprzedawać zadłużone pracownice. Nikogo to nie

obchodziło, chyba że ktoś wykazał się złym gustem i sprzedał kilka Xhai. To było całkowicie naturalne i nudne, jeśli dotyczyło wielu Ychana.

– Tak. – Kiedy zobaczyłam te liczby: ile Valskaayanek tu przywieziono, ile wybudzono z anabiozy i skierowano do pracy, ile pozostało, a potem kiedy zobaczyłam ten starożytny serwis do herbaty i usłyszałam opowieść kapitan Hetnys o sprzedaży go obywatelce Fosyf, zażądałam danych o historii układu. – Tylko że ten pozaukładowy handel niewolnikami załamał się wkrótce po aneksji i nigdy się nie odrodził. – Częściowo dlatego, pomyślałam, że bazował na tanich dostawach z Athoek, które przerwała aneksja. A częściowo z powodu kłopotów w ojczystych układach handlarzy. – A to było ile, sześćset lat temu? Z pewnością nie mogli tego robić ukradkiem przez tyle czasu.

– Powtarzam tylko, co słyszałam, kapitanie floty. Niezgodności w liczbach maskowano... dodam, że bardzo nieudolnie, jeśli ta historia jest prawdziwa... alarmującym wskaźnikiem awarii kapsuł kriostazy. Na ogół to były robotnice skierowane na górskie plantacje herbaty. Kiedy gubernator układu się dowiedziała... oczywiście to była poprzedniczka Giarod... położyła temu kres, ale również przypuszczalnie to wyciszyła. Ostatecznie medyczki, które podpisywały te sfałszowane sprawozdania, robiły to na rozkaz lub prośbę niektórych najwybitniejszych obywaterek Athoek. Tacy ludzie nigdy nie narażają się Bezpieczeństwu. A gdyby wiadomość o tym dotarła kiedykolwiek do Pałacu, lord Radch oczywiście chciałaby wiedzieć, dlaczego gubernator wcześniej niczego nie zauważyła. Więc zamiast tego wiele prominentnych obywaterek odeszło na emeryturę. Włącznie z babką obywatelki Fosyf, która spędziła resztę życia na modlitwach w klasztorze po drugiej stronie tego kontynentu.

Właśnie dlatego przeprowadziłam tę rozmowę z daleka od domu. Na wszelki wypadek.

– Sfałszowane wskaźniki awarii kapsuł nie wystarczą jako przykrywką. Musi być coś więcej. – Tych faktów nie było w informacjach, które otrzymałam, kiedy zapytałam o historię układu. Ale Sirix powiedziała, że to zostało wyciszone. Może nie trafiło do oficjalnych zapisów.

Sirix milczała przez chwilę. Zastanawiała się.

– Całkiem możliwe, kapitanie floty. Ja tylko słyszałam plotki.

– ..bardzo sentymentalne wiersze – mówiła Basnaaid w mojej bawialni w Podogrodzie. – Cieszę się, że tutaj nikt tego nie czytał.

Ona i Tisarwat piły teraz herbatę.

– Wysyłałaś jakieś swoje wiersze siostrze, obywatelko?

– zapytała Tisarwat.

Basnaaid zaśmiała się krótko, gardłowo.

– Prawie wszystkie. Zawsze mówiła, że są cudowne. Albo była bardzo uprzejma, albo miała okropny gust.

Z jakiegoś powodu jej słowa sprawiły Tisarwat w przygnębienie, wzbudziły przemożny wstyd i wstręt do siebie. Ale oczywiście rzadko która wykształcona Radchaai nie popełniła za młodu kilku wierszy i doskonale sobie wyobrażałam jakoś tego, co mogła spłodzić młodsza

Tisarwat. I była z tego dumna. A potem spojrzała oczami Anaander Mianaai, lord Radch liczącej sobie trzy tysiące lat. Wątpiłam, czy ocena wypadła pomyślnie. A jeśli Tisarwat już nie była Anaander Mianaai, czym innym mogła być niż jakąś swoją ponownie poskładaną wersją, zawierającą całą lekkomyślność i kiepską poezję? Jak w ogóle mogła spojrzeć na siebie, nie pamiętając miażdżącej pogardy lord Radch?

– Jeśli wysyłałaś swoje wiersze do porucznik Awn – powiedziała Tisarwat z ostrym ukłuciem tęsknoty, wciąż podszytej nienawiścią do siebie – to kapitan floty Breq je widziała.

Basnaaid zamrugła, zaczęła marszczyć brwi, ale się powstrzymała. Może zareagowała zmarszczeniem brwi na wiadomość, że czytałam jej wiersze, a może na napięcie w porucznik Tisarwat, przedtem odprężonej i uśmiechniętej.

– Cieszę się, że nie rzuciła mi tego w twarz.

– Nigdy by tego nie zrobiła – zapewniła Tisarwat, wciąż z napięciem w głosie.

– Poruczniku. – Basnaaid odstawiła czarkę z herbatą na zaimprovizowany stolik obok siedziska. – Tamtego dnia mówiłam poważnie. I nie przysłabym tutaj, gdyby to nie było ważne. Słyszałam, że to kapitan floty zarządziła remont Podogrodu.

– T... – Tisarwat po zastanowieniu uznała, że zwykle „tak” jest za mało rozważne. – Oczywiście wyłącznie na rozkaz administratorki stacji Celar, ogrodniczko, ale tak, kapitan floty przyłożyła do tego rękę.

Basnaaid potwierdziła zdawkowym gestem.

– Jezioro w Ogrodach na górze... Stacja nie widzi wsporników, które podtrzymują zbiornik i chronią Podogród przed zatopieniem. Powinno się je regularnie sprawdzać, ale wątpię, czy ktoś to robi. I nie mogę nic powiedzieć głównej ogrodniczce. To jej kuzynka powinna przeprowadzać przeglądy i kiedy ostatnio o tym wspomniałam, nakrzyczyła na mnie, że mam pilnować własnego nosa i jak śmiem rzucać oszczerstwa.

A gdyby zwróciła się bezpośrednio do administratorki stacji Celar, z pominięciem głównej ogrodniczki, narobiłaby sobie kłopotów. Warto byłoby zaryzykować, gdyby administratorka jej wysłuchała, ale co do tego nie miała żadnych gwarancji.

– Ogródniczko! – wykrzyknęła Tisarwat, ledwie panując nad swoim zapałem do niesienia pomocy. – Ja się tym zajmę! Potrzeba tylko trochę dyplomacji.

Basnaaid zamrugła, nieco zbита z tropu.

– Nie chcę... zrozum, naprawdę nie chcę prosić kapitan floty o przysługę. Nie przysłabym tutaj, tylko że to bardzo niebezpieczne. Jeśli te wsporniki zawiodą...

– Kapitan floty Breq w ogóle się do tego nie będzie mieszać – zapewniła uroczyście Tisarwat. W duchu zachwycona. – Wspominałaś o tym obywatelce Piat?

– Była przy tym, kiedy po raz pierwszy poruszyłam tę sprawę. Nie żeby jej obecność pomogła. Poruczniku, wiem, że zaprzyjaźniłyście się z Piat przez te ostatnie dni. I nie chcę jej krytykować... Urwała, szukając słów, żeby oględnie wyrazić to, co chciała.

– Ale – Tisarwat przerwała przedłużające się milczenie – ona generalnie niezbyt się przykłada do pracy. Raughd ciągle kręci się w pobliżu i ją rozprasza, a przez resztę czasu Piat

jest w depresji. Ale Raughd od czterech czy pięciu dni jest na dole studni i nieprędko wróci, jeśli kapitan floty Breq ma coś do powiedzenia w tej sprawie. Myślę, że zobaczysz zmianę w Piat. Uważam – ciągnęła – że wmawiano jej nieudolność. Że straciła zaufanie do siebie. Z pewnością przyda jej się twoje wsparcie w pracy.

Basnaaid przechyliła głowę i jeszcze mocniej zmarszczyła brwi, wpatrując się w Tisarwat, jakby zobaczyła coś kompletnie, intrygująco nieoczekiwanego.

– Poruczniku, ile masz lat?

Tisarwat nagle się zmieszała. Poczucie winy, wstręt do siebie, dreszcz jakby... triumfu czy satysfakcji.

– Ogrodniczko, mam siedemnaście lat. – Kłamstwo, które nie było właściwie kłamstwem.

– W tej chwili wydajesz się dużo starsza – zauważyła Basnaaid. – Czy kapitan floty Breq zabrała cię ze sobą, żebyś wynajdowała słabości u córek najwybitniejszych obywaterek na stacji?

– Nie – zaprzeczyła Tisarwat, otwarcie zasmucona. W głębi duszy rozpaczała. – Chyba zabrała mnie, bo uważała, że wpadnę w kłopoty, jeśli nie będzie mnie pilnować.

– Gdybyś mi to powiedziała pięć minut wcześniej, nie uwierzyłabym ci.

Na dole studni, nad ścieżką biegnącą przez las wokół jeziora, niebo pojaśniało do żywszego odcienia błękitu. Na wschodzie jasność spotężniała, obrysowując czarną, poszarpaną sylwetkę szczytu zakrywającego słońce. Sirix wciąż szła obok mnie, milcząca. Cierpliwa. Jednak nie zrobiła na mnie wrażenia osoby cierpliwej, chyba że z konieczności, jako że nie mogła okazać gniewu bez wyraźnego dyskomfortu, częściowo zapewne fizycznego. Przypuszczała, że udawała.

– Dajesz niezły koncert, kapitanie floty – powiedziała z lekką drwiną, potwierdzając moje podejrzenia. – Czy te melodie, które ciągle nuczysz, mają jakiś związek z tym, o czym myślisz, czy wybierasz je przypadkowo?

– To zależy. – Nuciłam piosenkę, która Kair śpiewała poprzedniego dnia w Medycznym. – Czasami to tylko piosenka, którą niedawno słyszałam. Dawny zwyczaj. Wybacz, że cię zirytowałam.

– Nie mówiłam, że mnie zirytowałaś. Chociaż nigdy bym nie pomyślała, że kuzynki lord Radch przejmują się, jeśli kogoś zirytuje.

– Nie obiecałam, że przestanę – wytknęłam jej. – Myślisz, że tyle się działo... odsprzedawano przesiedleńców... i lord Radch się o tym nie dowiedziała?

– Gdyby wiedziała – odparła Sirix – gdyby naprawdę rozumiała, co się dzieje, byłoby jak na Ime. – Gdzie administracja układu była całkowicie skorumpowana, mordowała i ciemniżyła obywatelki, o mało nie wywołała wojny z obcymi Rrrrrr, dopóki nie zwrócono się bezpośrednio do Anaander Mianaai. Czy przynajmniej do właściwej części Anaander Mianaai. Ale Sirix nie znała tego kawałka historii. – Rozgłoszono by to wszędzie i zamieszani w to ludzie zostaliby pociągnięci do odpowiedzialności.

Zastanawiałam się, kiedy Anaander Mianaai się zorientowała, że tutaj dla zysku sprzedaje

się ludzi, potencjalne obywatelki. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby część Anaander Mianaai wiedziała albo kontynuowała czy wznowiła ten proceder, ukryta przed resztą siebie. Nasuwało się pytanie, która to była Anaander i jaki z tego robiła użytek? Mimo woli pomyślałam o Anaander pozbawiającej statki serwitorów. Statki jak „Łaska Kair”. Transportowce wojskowe jak „Sprawiedliwość Ente”, na której dawniej służyła Skaaiat Awer. Na ludzkich żołnierzach nie można polegać, że będą walczyć za kogoś, kto chciał ich zastąpić. Natomiast serwitory stanowiły jedynie przedłużenie statku i wypełnią każdy rozkaz, jaki otrzyma statek. Anaander, która sprzeciwiała się własnemu projektowi demobilizacji radchaajskich sił zbrojnych, mogła znaleźć zastosowanie dla tych ciał.

– Nie zgadzasz się – skomentowała moje milczenie Sirix. – Ale czy sprawiedliwość nie jest głównym celem cywilizacji?

I przyzwoitość, i pożytek.

– Więc jeśli tutaj występuje niesprawiedliwość, to tylko dlatego, że lord Radch nie zaznacza tu swojej obecności.

– Możesz sobie wyobrazić, żeby Radchaai w normalnych okolicznościach praktykowali niewolnictwo za długi albo odsprzedawali dłużników jak Xhai?

Za nami, w budynkach, gdzie mieszkaliśmy, kapitan Hetnys zapewne jadła śniadanie, obsługiwana przez ludzkie ciało, niewolnika okrętu wojennego „Miecz Atagaris”. Jedno z dziesiątków takich samych. Sama byłam jedną z tysięcy takich, zanim resztę mnie zniszczono. Sirix o tym nie wiedziała, ale na pewno wiedziała o innych, wciąż istniejących transportowcach wojskowych, wciąż obsadzonych przez serwitory. A za granicą mieszkają dziesiątki Valskaayanek, które tu przywieziono, albo ich rodziców czy dziadków, wyłącznie z tego powodu, żeby oczyścić planetę dla radchaajskiej okupacji i dostarczyć tutaj tanią siłę roboczą. Sirix też wywodziła się z przesiedleńców.

– Oczywiście serwitory i przesiedleńcy to całkiem inna para kaloszy – powiedziałam sucho.

– No, ale moja pani to przerwała, prawda? – Nie odpowiedziałam. – Więc wskaźnik awarii kapsuł wśród Valskaayanek wydaje ci się wysoki?

– Owszem. – Niegdyś przechowywałam w kapsułach kriogenicznych tysiące swoich ciał. Wielokrotnie miałam do czynienia z awariami kapsuł. – Teraz ciekawi mnie, czy transport przesiedleńców ustał całkowicie sto pięćdziesiąt lat temu, czy tylko tak się wydaje.

– Szkoda, że moja pani z tobą nie przyjechała – powiedziała Sirix. – Żeby mogła to sama zobaczyć.

Nad nami, w Podogrodzie, Dziewiątka Bo weszła do pokoju, gdzie Tisarwat i Basnaaid piły herbatę.

– Pani – powiedziała Bo – są trudności.

Tisarwat zamrugnęła. Przełknęła herbatę. Gestem kazała Bo wyjaśnić.

– Pani, weszłam na poziom jeden, żeby przynieść ci snią... lunch. – Zostawiłam polecenia dla służby, żeby kupować jak najwięcej jedzenia (i innych rzeczy) na miejscu w Podogrodzie. – Przy herbaciarni zebrało się dużo ludzi. Oni... oni są źli, pani, z powodu remontu, który

zarządziła kapitan floty.

– Żli? – Tisarwat była kompletnie zaskoczona. – Dlatego że będą mieli wodę i światło? I powietrze?

– Nie wiem, pani. Ale do herbaciarni przychodzi coraz więcej ludzi i nikt nie odchodzi. Prawie nikt.

Tisarwat zagapiła się na Dziewiątkę Bo.

– Przecież powinni być wdzięczni!

– Nie wiem, pani. – Chociaż z tego, co mi pokazywał statek, widziałam, że się zgadza ze swoją porucznik.

Tisarwat spojrzała na Basnaaid, wciąż siedzącą naprzeciwko. Nagle uderzyła ją jakaś myśl, która napełniła ją rozgorączaniem.

– Nie – rzuciła w odpowiedzi nie wiadomo na co.

– Nie. – Ponownie spojrzała na Dziewiątkę Bo. – Co zrobiłaby kapitan floty?

– Coś, co zrobiłaby tylko kapitan floty – odparła Dziewiątka Bo. A potem przypomniała sobie o obecności Basnaaid. – Za pozwoleniem, pani.

„Statku”, Tisarwat wysłała bezgłośnie wiadomość, „czy kapitan floty może mi pomóc?”.

– Kapitan floty Breq jest w żałobie, poruczniku – rozbrzmiała odpowiedź w jej uchu. – Mogę przekazywać kondolencje albo pozdrowienia. Ale byłoby bardzo niestosowne, gdyby teraz się w coś angażowała.

Na dole studni Sirix mówiła:

– Wszyscy tutaj są za bardzo zaangażowani. Lord Radch może jest ponad to, ale nie może tu być osobiście. Ale ty otrzymałaś władzę bezpośrednio od niej, prawda?

W Podogrodzie porucznik Tisarwat zapytała:

– Jaka była dzisiejsza poranna wróżba w świątyni?

– Nie Ma Zysku Bez Strat – odpowiedziała Dziewiątka Bo. Oczywiście powiązane wersy były bardziej skomplikowane, ale do tego się sprowadzało ich znaczenie.

Na dole studni, pod drzewami nad jeziorem, Sirix ciągnęła:

– Wiesz, Emer mówiła, że tamtego dnia byłaś jak lód.

– Emer, właścicielka herbaciarni w Podogrodzie. – Zastrzelili przy tobie tę tłumaczkę, umierała ci na rękach, krew wszędzie, a ty pozostałaś spokojna i opanowana, ani śladu przejścia w głosie czy na twarzy. Mówiła, że odwróciłaś się i poprosiła ją o herbatę.

– Nie jadłam jeszcze śniadania.

Sirix zaśmiała się krótko i ostro.

– Mówiła, że myślała, że czarka zamarznie, kiedy jej dotknęłaś. – Potem zauważyła: – Znowu jesteś daleko.

– Tak. – Zatrzymałam się. W Podogrodzie Tisarwat podjęła decyzję. Mówiła do Dziewiątki Bo: „Odprowadź ogrodniczkę Basnaaid z powrotem do Ogrodów”. Na dole studni nad jeziorem powiedziała do Sirix: – Bardzo przepraszam, obywatelko. W tej chwili mam wiele do przemyślenia.

– Nie wątpię.

Przeszliśmy jakieś trzydzieści metrów w milczeniu (w Podogrodzie Tisarwat wyszła z naszych pokojów i pomaszzerowała korytarzem), a potem Sirix powiedziała:

– Podobno córka domu wczoraj wieczorem wyjechała obrażona i jeszcze nie wróciła.

– Więc Ósemka przynosi ci domowe plotki – stwierdziłam, kiedy w Podogrodzie Tisarwat zaczęła się wspinać na poziom jeden. – Widocznie cię lubi. Czy mówiła, dlaczego Raughd wyjechała?

Sirix sceptycznie uniosła brew.

– Nie mówiła. Ale każdy, kto ma oczy, może się domyślić. Każdy z odrobiną rozumu wiedziałby od początku, że to głupota z jej strony, żeby się do ciebie przystawiać.

– Widzę, że nie lubisz Raughd.

Sirix parsknęła drwiąco.

– Ona ciągle przesiaduje w biurach Ogrodów. Jej ulubione zajęcie to wybrać kogoś, żeby się z niego wyśmiewać i żeby inni też się śmiali. W połowie przypadków wybiera asystentkę kierowniczkę Piat. Ale to w porządku, rozumiesz, bo ona tylko żartuje! Moje aresztowanie za coś, co zrobiła, to tylko dodatkowa premia.

– Odgadłaś to, prawda?

Na górze, w Podogrodzie, Dziewiątka Bo pomogła Basnaaid przejść nad kawałkami skrzyni, które blokowały w otwartej pozycji drzwi do sekcji czwartej. Tisarwat wspinała się na poziom jeden.

Nad jeziorem Sirix rzuciła mi spojrzenie wyrażające pogardę wobec bzdurnego pomysłu, że mogła nie wiedzieć o udziale Raughd.

– Pewnie poleciała do miasta. Albo poszła do domu robotnic polowych i wyciągnęła z łóżka jakąś biedną Valskaayanę, żeby się zabawić.

Nie przyszło mi do głowy, że odrzucając tak oziębłe względy Raughd, mogłam narazić kogoś innego na jej gniew.

– Jak się zabawić?

Następne wymowne spojrzenie.

– Teraz już nic na to nie poradzisz. Każda, którą zapytasz, przysięgnie, że z największą radością zaspokoi córkę domu na wszelkie sposoby. Co innego mogą zrobić?

Na dół zeszła beze mnie i widocznie od razu ruszyła do najłatwiej dostępnego źródła zaspokojenia i rozrywki. Niewątpliwie zaspokojenia i rozrywki w wersji popularnej wśród miejscowych plantatorek herbaty. Mogłam znaleźć sposób, żeby przenieść Raughd gdzie indziej albo powstrzymać ją od robienia takich rzeczy, ale to samo działo się zapewne w dziesiątkach innych miejsc, z dziesiątkami innych ludzi.

Na górze, w pasażu na poziomie jeden przed herbaciarnią, Tisarwat weszła na ławkę. Kilka osób zauważyło ją i zrobiło miejsce, ale większość słuchała kogoś przemawiającego we wnętrzu herbaciarni. Tisarwat odetchnęła głęboko. Zdecydowana. Zdeterminowana. Cokolwiek postanowiła, przyniosło jej ulgę, pragnęła tego i już nie mogła się doczekać, ale coś

w jej zachowaniu mnie zaniepokoiło.

– Statku – powiedziałam bezgłośnie, idąc obok Sirix.

– Widzę, kapitanie floty – odpowiedziała „Łaska Kair”. – Ale myślę, że z nią wszystko w porządku.

– Zawiadom medyczkę, proszę.

Stojąc na ławce, Tisarwat zawołała:

– Obywatelki!

Zabrzmiało dość słabo, więc spróbowała jeszcze raz, podnosząc głos.

– Obywatelki! Czy jest jakiś problem?

Zapadła cisza. A potem ktoś przy drzwiach herbaciarni powiedział coś w raswar, mocno podejrzewałam, że przekleństwo.

– To tylko ja – ciągnęła Tisarwat. – Słyszałam, że jest jakiś problem.

Thum w herbaciarni zafalował, ktoś przecisnął się na zewnątrz i podszedł do Tisarwat.

– Gdzie twoi żołnierze, Radchaai?

Tisarwat była taka pewna siebie, zanim tu przyszła, ale teraz nagle ogarnął ją strach.

– W domu zmywają naczynia, obywatelko – odpowiedziała, nie pozwalając, żeby głos jej zdrzął. – Poza domem załatwiają sprawunki. Ja tylko chcę porozmawiać. Ja tylko chcę wiedzieć, co to za problem.

Osoba, która wyszła z herbaciarni, zaśmiała się krótko, z goryczą. Wiedziała z długiego doświadczenia, że przy takich konfrontacjach druga strona zwykle również się boi.

– Przez cały ten czas dobrze sobie tutaj radziliśmy. Teraz nagle się o nas martwicie.

Tisarwat milczała, powstrzymała się od zmarszczenia brwi. Nie rozumiała. Osoba stojąca przed nią ciągnęła:

– Teraz, kiedy bogata kapitan floty chce tu mieszkać, nagle was obchodzi, co się dzieje w Podogrodzie. A my jesteśmy odcięci od wszelkich kontaktów z Pałacem i nie możemy apelować. Dokąd mamy pójść, kiedy nas stąd wykopiecie? Xhai nie chcą mieszkać obok nas. Myślisz, że dlaczego tu jesteśmy? – Zamilkła, czekała na odpowiedź Tisarwat. Tisarwat wciąż milczała (zmieszana, zbита z tropu), więc tamta podjęła: – Spodziewałaś się, że będziemy wdzięczni? Tu nie chodzi o nas. Nawet się nie pofatygowaliśmy, żeby zapytać, czego my chcemy. Więc co planujecie z nami zrobić? Reedukować nas wszystkie? Pozabijać nas? Przerobić na serwitory?

– Nie! – wykrzyknęła Tisarwat. Oburzona. A także zawstydzona... ponieważ wiedziała równie dobrze jak ja, że istniały miejsca, gdzie takie obawy były całkowicie uzasadnione. I na podstawie tego, jak „Miecz Atagaris” potraktował malarzkę, mogłyśmy podejrzewać, że to jedno z takich miejsc. – Plan przewiduje zatwierdzenie obecnie zajmowanych kwater mieszkalnych. – Kilka osób skrzywiło się drwiąco. – I masz rację – ciągnęła Tisarwat – administracja stacji powinna wysłuchać waszych życzeń. Możemy o tym porozmawiać teraz, jeśli chcesz. A potem ty – wskazała osobę stojącą przed nią – i ja możemy zanieść te życzenia prosto do administratorki stacji Celar. Właściwie możemy otworzyć biuro na poziomie cztery,

gdzie każdy mógłby przyjść i zgłosić problemy z naprawami albo przekazać, czego chce, a my dopilnujemy, żeby to dotarło do administracji.

– Poziom cztery?! – ktoś krzyknął. – Nie każda z nas może łązić w górę i w dół po tych drabinach!

– Na poziomie jeden chyba nie ma miejsca, obywatelko – odpowiedziała Tisarwat. – Najwyżej tutaj, ale to byłoby bardzo uciążliwe dla klientek obywatelki Emer i dla wszystkich przechodniów. – Czyli praktycznie dla wszystkich mieszkanek Podogrodu. – Więc może kiedy ta szanowna obywatelka i ja – znowu wskazała osobę stojącą przed nią – złożymy dzisiaj wizytę w administracji, po rozmowie tutaj, przekazemy im, że naprawa wind powinna mieć najwyższy priorytet.

Cisza. Wcześniej ludzie zaczęli powoli, nieufnie wychodzić z herbaciarni na maleńki, zaimprovizowany pasaż. Teraz ktoś powiedział tonem niemal wyzywającym:

– Zwykle załatwiamy te sprawy w taki sposób, poruczniku, że wszyscy siadają i ten, kto mówi, wstaje. Zostawiamy ławkę dla tych, którzy nie mogą siedzieć na ziemi.

Tisarwat spuściła wzrok na ławkę, na której stała. Spojrzała na ludzi przed nią – co najmniej pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt osób, a następane wciąż wychodziły z herbaciarni.

– Dobrze – powiedziała. – W takim razie zejść.

* * *

Kiedy Sirix i ja wracałyśmy do domu, wiadomość od kapitan floty Uemi dotarła do „Łaski Kair”. Wachtę pełniła medyczka.

– Z całym szacunkiem dla kapitan floty Breq – rozbrzmiały słowa w uszach medyczki. – Czy ona życzy sobie informacji osobistych albo z pierwszej ręki? Zapewniam, że byłam jedyną osobą z „Miecza Inil”, która spędziła więcej niż kilka minut na Omaugh.

Medyczka, w przeciwieństwie do Seivarden czy Ekalu, rozumiała wagę pytań, które zadawałam kapitan floty Uemi. Toteż była nie tyle zdumiona, ile przerażona, kiedy przekazywała słowa, które zostawiłam, na wypadek gdyby otrzymała właśnie takie odpowiedzi.

– Za łaskawym pozwoleniem, kapitanie floty Uemi, kapitan floty Breq chciałaby wiedzieć, czy kapitan floty Uemi ostatnio czuje się całkiem sobą.

Nie spodziewałam się na to odpowiedzi i nigdy jej nie otrzymałam.

Rozdział 15

Służące Fosyf rozmawiały całkiem swobodnie w obecności moich milczących i obojętnych Kair. W rzeczywistości Raughd nie poszła natychmiast do matki, jak groziła, tylko kazała spakować swoje rzeczy i odwieźć się do windy, która zabierze ją na górę studni, do promu kursującego na stację Athoek.

Większość służących mnie nie lubiła i mówiła o tym poza domem, gdzie mieszkaliśmy, albo w kuchni głównego budynku, gdzie Piątka i Szóstka przychodziły z różnymi poleceniami. Byłam arogancka i oziębła. Moje nucenie rozpraszało ludzi i miałam szczęście, że moje osobiste służące były serwitorami (na te słowa Piątka i Szóstka zawsze czuły dreszczyk satysfakcji), które nie dbają o takie rzeczy. Sprowadzenie tutaj Sirix Odęli stanowiło wykalkulowaną obelgę z mojej strony – wiedziały, kim ona jest, znały jej historię. I okrutnie potraktowałam córkę domu. Żadna nie wiedziała dokładnie, co się stało, ale znały ogólny zarys wydarzeń.

Niektóre ze służących milkły, słuchając takich opinii, ich twarze zmieniały się w maski, tylko drgnienie brwi albo kącika ust zdradzało, co chciały powiedzieć. Kilka mniej powściągliwych zauważyło (bardzo cichutko), że sama Raughd słynie z okrucieństwa, z napadów szału, kiedy nie dostanie tego, czego chce. „Podobna w tym do matki”, mruknęła jedna z heretyczek, tak żeby tylko Piątka Kair ją usłyszała.

– Niańka odeszła, kiedy Raughd miała ledwie trzy latka – powiedziała Piątka do Ósemki, kiedy jak zwykle poszłam na spacer, a Sirix jeszcze spała. – Nie mogła już wytrzymać z matką.

– Gdzie byli inni rodzice? – zapytała Ósemka.

– Och, matka nie chciała żadnych innych rodziców. Albo oni nie chcieli jej. Córka domu jest klonem. Miała być dokładnie jak matka. A kiedy nie jest, słyszy same pretensje, jak rozumie. Dlatego tak jej żałują, przynajmniej niektóre.

– Matka nie przepada za dziećmi, prawda? – zauważyła Ósemka, która widziała, że dzieci służby trzymano z dala od Fosyf i jej gości.

– Szczerze mówiąc, ja też nie przepadam za dziećmi – wyznała Piątka. – No, nie całkiem. Dzieci są przecież różne i pewnie gdybym znała ich więcej, niektóre bym polubiła. Ale cieszę się, że nikt ode mnie nie wymaga, żebym miała dzieci, i właściwie nie wiem, co z nimi robić, jeśli mnie rozumiesz. Chociaż wiem tyle, że nie wolno robić takich rzeczy.

* * *

Raughd wróciła po dwóch dniach. Kiedy zjawiła się przy windzie, nie wpuszczono jej na pokład. Upierała się, że ma stałe zezwolenie na przejazd na stację, ale daremnie. Nie było jej na liście, nie miała pozwolenia, a jej wiadomości do administratorki stacji pozostały bez odpowiedzi. Obywatelka Piat również nie odpowiadała. Pojawiła się ochrona i zasugerowała bardzo uprzejmie i z szacunkiem, że może Raughd zechce wrócić do domu nad jeziorem.

Co dziwne, tak właśnie zrobiła. Spodziewałabym się, że zostanie w mieście u stóp windy, gdzie z pewnością znalazłaby partnerów do tego rodzaju zabaw, jakie lubiła, ale zamiast tego wróciła w góry.

Przyjechała w środku nocy. Tuż przed śniadaniem, kiedy historyjka o jej daremnych próbach opuszczenia planety dopiero zaczęła przeciekać do służących poza kuchnią w głównym budynku, Raughd kazała swojej osobistej asystentce pójść do Fosyf, jak tylko ta się obudzi, i zażądać spotkania. Większość służby kuchennej nie przepadała za osobistą asystentką

Raughd – uważały, że czerpie trochę za dużo satysfakcji ze swojej pozycji jako osobistej służącej córki domu. Mimo wszystko (jedna podkuchenna powiedziała do drugiej w zasięgu słuchu Piątki Kair) najgorszemu wrogowi nie życzyłyby, żeby musiał zanieść Fosyf Denche taką wiadomość.

Wynikłe z tego spotkanie miało charakter prywatny. Czyli, według standardów tego domu, w zasięgu słuchu najwyżej trzech lub czterech służących. Albo, kiedy Fosyf krzyczała, pół tuzina. A krzyczała. Cała ta sytuacja to wina Raughd. Próbując ją naprawić, tylko ją pogorszyła, postanowiła zrobić ze mnie sprzymierzeńca, ale przez swoją nieudolność zrobiła wroga. Nic dziwnego, że dałam jej kosza, takiej nic niewartej nieudacznicy. Fosyf wstydzi się przyznać nawet do najdalszego pokrewieństwa z kimś takim. Raughd najwyraźniej zraziła też do siebie administratorkę stacji Celar. Sama Fosyf nigdy nie popełniłaby takich błędów i widocznie w procesie klonowania popełniono błąd, bo nikt z DNA Fosyf nie mógł wyrosnąć na takie zero, tylko marnujące jedzenie i powietrze. jedno słowo, jeden oddech Raughd zaprzeczający tym oczywistym prawdom i zostanie wyrzucona z domu. Jeszcze jest czas, żeby wyhodować nowego, lepszego dziedzica. Co słysząc, Raughd nie protestowała, tylko wróciła bez słowa do swojego pokoju.

Tuż przed lunchem, kiedy wychodziłam ze swojego pokoju w naszym mniejszym domu, osobista asystentka Raughd weszła do głównej kuchni i stanęła na środku, milcząca i drżąca, ze wzrokiem wbitym w jakiś odległy punkt. Ósemka tam była, robiła coś dla Sirix. W pierwszej chwili nikt nie zauważył asystentki, wszyscy byli zajęci ostatnimi przygotowaniami, ale po paru chwilach jedna z podkuchennych podniosła wzrok, zobaczyła drżącą asystentkę i krzyknęła głośno.

– Miód! – zawołała. – Gdzie jest miód?

Wszyscy się obejrzeni. Zobaczyli asystentkę, która tylko jeszcze mocniej zadrzała, a potem zaczęła otwierać usta i zamykać, jakby chciała coś powiedzieć albo zwymiotować, otwierać i zamykać bez końca.

– Za późno! – powiedział ktoś inny, a druga podkuchenna zawołała z paniką w głosie:

– Zużyłam cały miód do ciastek na podwieczorek!

– O cholera! – zaklęła służąca, która właśnie weszła do kuchni z brudnymi czarkami po herbacie, ale nikt jej nie skarcił i wtedy zrozumiałam, że to poważna sprawa.

Ktoś przysunął krzesło, trzy służące chwyciły asystentkę Raughd i posadziły ją, wciąż drżącą, wciąż otwierającą i zamykającą usta. Pierwsza podkuchenna przybiegła z ciastkiem nasyconym miodem, odłamała kawałek i wepchnęła do rozdziawionych ust asystentki. Wpadł na podłogę wśród okrzyków rozpacz. Asystentka wyglądała, jakby coraz bardziej zbierało się jej na wymioty, ale zamiast tego wydała niski, przeciągły jęk.

– Och, zróbcie coś! Zróbcie coś! – błagała służąca z brudnymi naczyniami. O lunchu całkiem zapomniano.

Do tej pory zdążyłam zrozumieć, co się dzieje. Widywałam już takie rzeczy, chociaż nigdy nie widziałam tej szczególnej reakcji.

– Dobrze się czujesz, kapitanie floty? – spytała Sirix w drugim budynku, w korytarzu przed naszymi pokojami. Widocznie wyszła, kiedy zaabsorbowała mnie scena w kuchni głównego budynku.

Mrugnięciem zamknęłam widok na tak długo, żeby zobaczyć Sirix i odpowiedzieć:

– Nie zdawałam sobie sprawy, że Samirendki praktykują opętanie przez duchy.

Sirix nie próbowała ukryć niesmaku po moich słowach. Ale potem odwróciła twarz, jakby wstydziła się spojrzeć mi w oczy, i parsknęła ze wstrętem:

– Co ty sobie o nas musiałaś pomyśleć, kapitanie floty?

O nas. Oczywiście. Sirix była Samirendką.

– Takie rzeczy ludzie robią – ciągnęła – kiedy czują się ignorowani lub odrzuceni. Wszyscy przybiegają, żeby dawać im słodycze i mówić miłe rzeczy.

Wydawało się raczej, że nie sama asystentka to zrobiła, tylko jej to zrobiono. I nie zauważyłam, żeby ktokolwiek powiedział jej coś miłego. Ale na chwilę odwróciłam uwagę od kuchni i teraz zobaczyłam, że jedna z połowych nadzorczyń, ta sama, która nas spotkała w dniu przyjazdu i wydawała się całkowicie nieświadoma faktu, że robotnice połowę mówią po radchaajsku, klęczy obok krzesła, na którym siedziała drżąca, pojękująca asystentka.

– Powinniście wezwać mnie wcześniej! – rzuciła ostro nadzorczyńni, a ktoś odpowiedział:

– Dopiero co ją zobaczyliśmy!

– Wszystko po to, żeby powstrzymać ducha od mówienia – ciągnęła Sirix, wciąż stojąca obok mnie na korytarzu, wciąż zniesmaczona i, teraz miałam pewność, zawstydzona. – Jeśli przemówi, prawdopodobnie kogoś przeklnie. Ludzie robią wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Jedna obrażona osoba może w ten sposób przetrzymywać wszystkich domowników jako zakładników przez wiele dni.

Nie wierzyłam w opętanie przez duchy ani bogów, ale nie przypuszczałam, że asystentka zrobiła coś takiego świadomie albo że nie zależało jej naprawdę na reakcji pozostałych służących. No i w końcu była nieustannie narażona na humory Raughd Denche, prawie bez przerwy.

– Słodycze? – zapytałam Sirix. – Nie po prostu miód?

Sirix mrugnęła raz, drugi. Zastygła w bezruchu, co widywałam już wcześniej, kiedy była rozgniewana albo obrażona.

– Chyba nie mam ochoty na lunch – oświadczyła zimno, odwróciła się i weszła do swojego pokoju.

W głównej kuchni szefowa, która przyjęła obecność nadzorczyńni z wyraźną ulgą, stanowczo przywołała do porządku wystraszone służące i pochlebstwem oraz groźbą zdołała je zmusić do dokończenia pracy. Tymczasem nadzorczyńni wkładała kawałki miodowego ciastka do ust asystentki. Wszystkie wypadały na podolek, ale nadzorczyńni uparcie wpychała je z powrotem. Przy tym intonowała słowa w liost, sądząc po brzmieniu. Z kontekstu wynikało, że to modlitwa.

W końcu drzenie i jęki asystentki ustały, klątwa nie została rzucona. Na resztę dnia

asystentka zwolniła się z powodu przemęczenia, czego nikt nie kwestionował, rodzina ani służba, przynajmniej w zasięgu słuchu Ósemki. Następnego ranka wróciła do pracy, a domowy personel traktował ją od tej pory znacznie łagodniej.

Raughd mnie unikała. Widywałam ją rzadko, późnym popołudniem albo wczesnym wieczorem, kiedy udawała się do łaźni. Jeśli nasze ścieżki się przecięły, ostentacyjnie nie odzywała się do mnie. Spędzała wiele czasu albo w pobliskim miasteczku, albo, co było bardziej niepokojące, w domu robotnic za granicą.

Rozważałam wcześniejszy wyjazd, ale wciąż został nam ponad tydzień pełnej żałoby. Przerwanie oznaczałoby zły omen, niedopełnienie właściwych rytuałów pogrzebowych. Może Presgerzy lub ich tłumacze nie zrozumieliby, może by im nie zależało. Dwukrotnie jednak widziałam, jak nie doceniono Presgerów z katastrofalnym skutkiem – raz przez gubernator Giarod i kapitan Hetnys, raz przez samą Anaander Mianaai, kiedy sądziła, że dysponuje dostateczną siłą, żeby ich zniszczyć, a oni w odpowiedzi włożyli niewidzialną, przenikającą wszystko broń w ręce Garseddai, których lord Radch tak łatwo podbiła, jak jej się zdawało. Presgerzy nie zrobili tego, żeby uratować Garseddai; w rzeczywistości Garseddai zostali całkowicie zniszczeni, wybici do nogi, wszystkie planety i stacje w ich ojczystym układzie wypalone, a Presgerzy nawet nie kiwnęli palcem. Nie, oni to zrobili, żeby przekazać Anaander Mianaai wiadomość: „Nawet o tym nie myśl”. Ja ze swojej strony nie zamierzałam ich nie doceniać.

* * *

Fosyf nadal odwiedzała codziennie nasz mały dom i traktowała mnie ze swoim zwykłym dobrodusznym roztargnieniem. Zaczęłam rozumieć, że jej dziwnie pogodne zachowanie świadczyło, iż spodziewa się postawić na swoim, i jednocześnie stanowi instrument służący do osiągnięcia tego celu: zwykle uparte powtarzanie czegoś, co chciała uczynić prawdą, w oczekiwaniu, aż wreszcie prawdą się stanie. Przekonałam się, że ten sposób najlepiej się sprawdza u osób na stanowiskach, które i tak z reguły dostają, czego chcą. Fosyf widocznie doszła do wniosku, że u niej się sprawdza.

Na górze, na stacji Athoek, nawet przy naciskach porucznik Tisarwat i zaangażowaniu administratorki stacji Celar, dokładna inspekcja wsporników Ogrodów mogła się odbyć najwcześniej za tydzień z okładem.

– Prawdę mówiąc – wyjaśniła Tisarwat ogrodnicze Basnaaid pewnego popołudnia w moim salonie na stacji – jest tyle innych pilnych spraw, że ciągle to odkładają na później. – Odczytałam jej determinację, jej nieustanne podekscytowanie, że może pomóc Basnaaid. Ale również skrywane przygnębienie. – Gdyby kapitan floty tu była, na pewno znalazłaby jakiś sposób, żeby... do tego doprowadzić.

– Jestem pod wrażeniem, że w ogóle coś się dzieje w tej sprawie – powiedziała Basnaaid z takim uśmiechem, że Tisarwat na chwilę zaniemówiła, dumna z siebie.

Opanowała się i powiedziała:

– To nic pilnego, ale zastanawiałam się, czy Ogrodnictwo nie mogłoby dostarczyć tu trochę roślin do miejsc publicznych.

– Na pewno poprawiłyby jakość powietrza! – Basnaaid zaśmiała się. – Chociaż może światła byłoby za mało. – Potem, tknięta następną myślą, wciąż rozbawiona, dodała: – Może wystawią na zewnątrz trochę grzybów.

– Grzyby! – wykrzyknęła sfrustrowana Tisarwat. – Nikt mi nie chce powiedzieć, gdzie je hodują. Nie wiem, czego oni się boją. Czasem myślę, że każdy tutaj hoduje je w skrzynce pod łóżkiem albo co, i dlatego tak niechętnie wpuszczają ekipy remontowe do swoich kwater.

– Zarabiają pieniądze na grzybach, prawda? A jeśli szefowa Ogrodnictwa położy na nich łapy, sama wiesz, że znajdzie jakiś sposób, żeby je trzymać w Ogradach i żądać za nie skandalicznie wysokich cen.

– Ale przecież mogą je tutaj dalej hodować – sprzeciwiła się Tisarwat – i dalej je sprzedawać. Więc nie wiem, w czym problem. – Wykonała gest irytacji. – Skoro mowa o grzybach. Czy mam wysłać Dziewiątkę po coś do jedzenia?

Na „Łasce Kair” Seivarden siedziała w pokoju dekady z porucznik Amaat „Miecza Atagaris”. Porucznik „Miecza Atagaris” przyniosła butelkę araku.

– Bardzo miło – powiedziała Seivarden z ledwie uchwytną protekcyjną nutą w głosie. Druga porucznik jakby wcale tego nie zauważyła – Zechciej mi wybaczyć, ale nie będę piła. Złożyłam ślubowanie.

Takie śluby składa się za karę albo w ramach jakichś ćwiczeń duchowych. Seivarden podała butelkę Trójce Amaat, która postawiła ją na blacie, a potem stanęła obok serwitora „Miecza Atagaris” towarzyszącego swojej oficer.

– Godne podziwu! – pochwaliła porucznik Amaat „Miecza Atagaris”. – Ale ci nie zazdroszczę.

Podniosła swoją czarkę z herbatą. Trójka błagała Piątkę Kair o pozwolenie na użycie najlepszej porcelany – wciąż zapakowanej w mojej kwaterze na statku, ponieważ Piątka nie chciała ryzykować uszkodzenia – żeby upokorzyć porucznik „Miecza Atagaris” ostentacyjną demonstracją mojego statusu. Piątka odmówiła i zamiast tego zaproponowała, żeby Trójka Amaat zastosowała odwrotną taktykę i postawiła przed gościem moją starą, poobijaną emaliowaną zastawę. Trójka przez chwilę czuła pokusę, pamiętając pogroźki „Miecza Atagaris”, kiedy weszliśmy do układu. Jednak przyzwoitość zwyciężyła i porucznik „Miecza Atagaris” popijała herbatę nieświadoma, że o włos uniknęła zniewagi.

– Seivarden to bardzo staroświeckie imię – zauważyła z fałszywą jowialnością. – Widać twoi rodzice kochali historię.

Jeden ze sprzymierzeńców Anaander Mianaai, zanim wyrosła poza granice samego Radch, nosił imię Seivarden.

– To było tradycyjne imię w mojej rodzinie – odparła Seivarden chłodno. Oburzona, ale również zadowolona ze zmieszania drugiej porucznik. Seivarden nie podała jeszcze nazwiska swojego domu, a ponieważ ten dom już nie istniał, ponieważ dzieliło ją od niego jakieś tysiąc

lat, nie nosiła żadnej biżuterii wskazującej na rodzinne powiązania. A nawet gdyby wciąż posiadała taką biżuterię, druga porucznik prawdopodobnie by jej nie rozpoznała, tak wiele się zmieniło.

Porucznik „Miecza Atagaris” jakby nie zauważyła czasu przeszłego w odpowiedzi Seivarden.

– Z Inai, mówisz. Jaka to prowincja?

– Zaradch – oznajmiła Seivarden z miłym uśmiechem. Zaradch było najstarszą prowincją i najbliższą samego Radch; większość Radchaa i nigdy nie znalazła się bliżej. – Ciekawią cię moje koneksje rodzinne – ciągnęła Seivarden, kierując się raczej zniecierpliwieniem niż pragnieniem, żeby gościowi wybrnąć z potencjalnie niezręcznej sytuacji towarzyskiej. – Jestem Seivarden Vendaai.

Druga porucznik zmarszczyła brwi, nie kojarząc nazwiska przez pół sekundy. Potem ją olśniło:

– Jesteś kapitan Seivarden!

– To ja.

Porucznik „Miecza Atagaris” zaśmiała się.

– Na litość Amaat, co za upadek! Dostatecznie źle być zamrożoną przez tysiąc lat, a w dodatku zdegradowanie do porucznika i zesłanie na „Łaskę”! Chyba będziesz musiała popracować, żeby odzyskać pozycję. – Wzięła następny łyk herbaty. – Rozmawiamy o was w naszym pokoju dekady. To niezwykle, żeby kapitan floty dowodziła „Łaską”. Zastanawialiśmy się, czy kapitan floty Breq odeśle kapitan Hetnys tutaj i weźmie „Miecz Atagaris” dla siebie. W końcu jest szybszy i lepiej uzbrojony.

Seivarden zamrugała. Odezwała się niebezpiecznie spokojnym głosem:

– Nie doceniasz „Łaski Kair”.

– Och, daj spokój, poruczniku, nie chciałam nikogo obrazić. „Łaska Kair” jest całkiem dobrym statkiem jak na „Łaskę”. Ale faktem jest, że gdyby przyszło co do czego, „Miecz Atagaris” z łatwością pokona „Łaskę Kair”. Sama dowodziłaś „Mieczem”, więc wiesz, że to prawda. I oczywiście „Miecz Atagaris” wciąż ma swoje serwitory. Żadna ludzka żołnierka nie jest tak szybka i silna jak serwitor.

Trójka Amaat, czekająca w pogotowiu, na wypadek gdyby jej potrzebowano, naturalnie nic po sobie nie pokazała, ale przez chwilę bałam się, że zaatakuje porucznik „Miecza Atagaris”. Nie miałabym nic przeciwko (choć oczywiście Seivarden musiałaby ją skarcić), ale Trójka stała tuż obok serwitora „Miecza Atagaris”, który z pewnością nie pozwoliłby nikomu skrzywdzić swojej porucznik. I bez względu na trening czy doświadczenie Trójka Amaat nigdy nie mogła się równać z serwitem.

Seivarden, odrobinę swobodniejsza w wyrażaniu gniewu, odstawiła czarękę z herbatą, wyprostowała się i zapytała:

– Poruczniku, czy to groźba?

– Na litość Amaat, skądże, poruczniku! – Porucznik „Miecza Atagaris” wydawała się

szczerze wstrząśnięta, że jej słowa mogły zostać odebrane w ten sposób. – Stwierdzałam tylko fakt. Przecież jesteście po tej samej stronie.

– Czyżby? – Seivarden uniosła wargę w grymasie arystokratycznego gniewu i pogardy, jakiego nie widziałam ponad rok. – Więc kiedy weszliśmy do układu, zaatakowaliście nas dlatego, że jesteście po tej samej stronie?

– Na litość Amaat! – Druga porucznik próbowała udawać, że nie przejmuje się reakcją Seivarden. – To było nieporozumienie! Z pewnością rozumiesz, jakie tu panowało napięcie, odkąd padły bramy. A co do obecnej groźby, zapewniam cię, że nic takiego nie było moim zamiarem. Stwierdzałam tylko oczywisty fakt. I to naprawdę niezwykle, żeby kapitan floty dowodziła „Łaską”, chociaż może w twoich czasach było inaczej. Więc nic dziwnego, że się zastanawialiśmy, czy stracimy kapitan Hetnys i będziemy służyć bezpośrednio pod kapitan floty Breq.

Seivarden okazała tylko jeszcze większą pogardę.

– Kapitan floty Breq zrobi to, co uzna za najlepsze. Ale żeby uniknąć dalszych nieporozumień – lekko podkreśliła ostatnie słowo – powiem wyraźnie i jednoznacznie, że kiedy następnym razem zagroziecie temu statkowi, lepiej, żebyście miały czym.

Porucznik „Miecza Atagaris” powtórzyła po kilkakroć, że nigdy, przenigdy nie zamierzała nikomu grozić, a Seivarden uśmiechnęła się i zmieniła temat.

* * *

Na stacji Basnaaid mówiła do porucznik Tisarwat:

– Nigdy nie poznałam siostry. Urodziłam się już po jej wyjeździe. Urodziłam się dlatego, że ona wyjechała. Przysyłała do domu pieniądze i gdyby awansowała na oficera, ja też mogłabym coś osiągnąć. Coś lepszego niż gotowanie ryb na parze i siekanie warzyw. – Rodzice porucznik Awn byli kucharzami. – Zawsze to Awn kierowała moim życiem. To Awn musiałam być wdzięczna. Oczywiście rodzice nigdy tego nie mówili, ale zawsze czułam, że nic nie jest dla mnie, ze względu na mnie, że niezmiennie chodzi o nią. Zawsze przysyłała takie miłe wiadomości i oczywiście ją podziwiałam. Była bohaterką, pierwszą z naszego domu, która naprawdę stała się kimś... – Zaśmiała się smutno. – Tylko mnie posłuchaj. Jakby wszyscy z mojej rodziny byli nikiem.

Tisarwat czekała w milczeniu nietypowym dla siedemnastolatki.

– Zrobiło się gorzej po jej śmierci – podjęła Basnaaid.

– Nie mogłam zapomnieć, pod iloma względami jej nie dorównywałam. Weźmy choćby jej przyjaciółki! Awer stoją o tyle wyżej od Elming, jakby mieszkały w innych wszechświecie. A teraz Mianaai.

– A te przyjaciółki – wtrąciła Tisarwat – ofiarowywały ci różne rzeczy przez wzgląd na twoją siostrę, nie dlatego, że zrobiłaś coś, żeby na to zasłużyć.

Zaciekawilo mnie, czy Tisarwat zdawała sobie sprawę, dlaczego tak się zadurzyła w Basnaaid. Pewnie nie – w tej chwili skupiła się wyłącznie na słuchaniu Basnaaid, na

zrozumieniu jej. Zadowolona, że pomaga. Że została obdarzona zaufaniem.

– Awn nigdy nie klękała. – Basnaaid zdawała się nie dostrzegać niczego dziwnego w słowach i zachowaniu porucznik Tisarwat, pasujących do znacznie starszej osoby. Zapewne przywykła do tego przez ostatnie kilka dni.

– Nigdy nie musiała. Zdołała sobie takie przyjaciółki dlatego, że była tym, kim była.

– Tak – potwierdziła Tisarwat z prostotą. – Kapitan floty tak mówiła.

Basnaaid nie odpowiedziała i rozmowa zeszła na inne tory.

* * *

Trzy dni przed naszym planowanym wyjazdem kapitan Hetnys wreszcie poruszyła temat córki domu. Siedzieliśmy pod pergolą, za nami drzwi domu były szeroko otwarte. Fosyf załatwiała coś w manufakturze, a Raughd oczywiście bawiła w domu robotnic. Sirix zeszła nad zacieniony brzeg jeziora, żeby obserwować ryby, jak mówiła, ale podejrzewałam, że po prostu chciała побыć trochę sama, nawet bez Ósemki tkwiącej za plecami. Zostałam sama z kapitan Hetnys, z serwitorem „Miecza Atagaris” i Piątką Kair w pobliżu. Spoglądałyśmy na cieniste, omszałe kamienie dziedzińca i czarne, skute lodem szczyty za granią. Główny budynek znajdował się na lewo, łaźnia przed nami, łatwo dostępna z głównego domu, ale nieprzesłaniająca widoku, tylko jeden koniec szklanej ściany zakrzywiał się w polu widzenia. Pomimo słonecznej pogody pod drzewami i pergolą było chłodno i wilgotno.

– Pani – odezwała się kapitan Hetnys. – Pozwól mówić szczerze.

Gestem wyraziłam zgodę. W ciągu całego naszego pobytu kapitan Hetnys ani razu nie wspomniała o tym, co nas tu sprowadziło, chociaż codziennie malowała na twarzy żałobny pas i odmawiała wymagane modlitwy.

– Pani, myślałam o tym, co się stało w Podogrodzie. Nadal uważam, że miałam prawo wydać takie rozkazy. Poszło źle i biorę za to odpowiedzialność. – Same słowa były harde, ale ton pełen szacunku.

– Czyżby, kapitanie?

Zza grani wyjechał na drogę jeden z domowych naziemnych samochodów. Albo Fosyf wracała z manufaktury, albo Raughd z domu robotnic. Ta sytuacja nie mogła dalej trwać, ale nie zdołałam wymyślić żadnego rozwiązania. Może nie istniało.

– Tak, pani. Ale niesłusznie kazałam aresztować obywatelkę Sirix. Niesłusznie założyłam, że ona musiała to zrobić, skoro oprócz niej pozostawała tylko Raughd.

Coś, co zawsze mi się podobało u oficerów. Gotowość przyznania się do błędu, kiedy to rozumiała. Gotowość upierania się przy swoich racjach, kiedy była tego pewna, nawet jeśli bezpieczniej byłoby się nie upierać. Patrzyła na mnie poważnie, nieco obawiając się mojej reakcji. Nieco wyzywająco. Ale tylko trochę. Żadna radchaajska oficer nie przeciwstawiała się otwarcie przełożonym, chyba że chciała popełnić samobójstwo. Pomyślałam o tamtej bezcennej starożytnej zastawie do herbaty. Jej sprzedaż z pewnością miała zamaskować nielegalne zyski. Pomyślałam o nieprawdopodobnym wskaźniku umieralności ludzi przesiedlanych do tego układu. Zastanawiałam się przez chwilę, jak te dwie skrajności mogą współistnieć w kapitan Hetnys, ta odwaga i prawość obok gotowości do sprzedawania ludzi dla zysku. Zastanawiałam się, na jaką oficer by wyrosła, gdybym ją wychowywała od młodocianej porucznik. Może na takiego samego jak teraz. Może nie. Może już dawno by nie żyła, wyparowała razem z resztą mojej załogi, kiedy Anaander Mianaai przebiła moją osłonę cieplną dwadzieścia lat temu.

A może nie. Gdyby w Ors na Shis’urnie dowodziła mną porucznik Hetnys, a nie porucznik

Awn, może wciąż byłabym sobą, „Sprawiedliwością Toren” a moja załoga by żyła.

– Wiem, pani – powiedziała kapitan Hetnys, zapewne jeszcze bardziej ośmielona moim milczeniem – że chociaż tu, na Athoek, ten dom wiele znaczy, tobie muszą wydawać się nikim. Z tak wielkiej odległości Raughd Denche bardzo mało się różni od Sirix Odęli.

– Przeciwnie – odparłam spokojnie. – Widzę wielką różnicę pomiędzy Raughd Denche a Sirix Odęlą.

Akurat wtedy Raughd wyszła z głównego budynku i skierowała się do łaźni, emanując wystudiowaną bez troską.

– Chciałam powiedzieć, pani, że z wysokiej pozycji Mianaai Denche pewnie wydaje się taka sama jak inne służące. I zawsze się mówi, że każda z nas ma swoją rolę do odegrania i żadna z tych ról nie jest lepsza ani gorsza od pozostałych, po prostu inna.

Sama to słyszałam wiele razy. Dziwne, jak „równie ważna, tylko inna” zawsze przekładało się na stwierdzenie, że niektóre „równie ważne” role są bardziej godne szacunku i nagrody od innych.

– Ale – ciągnęła kapitan Hetnys – nie wszyscy spoglądamy na to jak ty. I wyobrażam sobie... – Króciutkie wahanie. – Wyobrażam sobie, że gdyby twoje kuzynki popełniły jakąś młodzieńczą głupotę czy nieostrożność, potraktowano by je podobnie jak Raughd Denche. Jest, jak jest, pani. – Uniosła dłonie w zielonych rękawiczkach, zawoalowana sugestią pobożnej supliki. Wszystko, co jest, jest Amaat. Wszechświat jest Bogiem i nic nie może się zdarzyć ani zaistnieć bez boskiej woli. – Może jednak zrozumiesz, dlaczego wszyscy tutaj widzą córkę tego domu w takim świetle albo dlaczego ona sama uważa się za równą wręcz kapitan floty i kuzynce lord Radch.

Prawie. Prawie mogła zrozumieć.

– Sądzę, że postrzegasz Raughd jako miłą, dobrze wychowaną młodą osobę, która w ciągu ostatnich tygodni z niewiadomych powodów podjęła kilka niefortunnych decyzji. Że może zbyt ostro traktuję kogoś, kto nie zna wojskowej dyscypliny, do jakiej obie przywykłyśmy. Może córka tego domu nawet rozmawiała z tobą o jej wrogach, którzy szepczą mi niesprawiedliwe oskarżenia do ucha i podjudzają mnie przeciwko niej. – Przez twarz kapitan Hetnys przemknęło niemal otwarte potwierdzenie, że mam rację. – Ale weź pod rozwagę te niefortunny decyzje. Od początku miały komuś zaszkodzić. Zaszkodzić mieszkankom Podogrodu. Zaszkodzić tobie, kapitanie. Zaszkodzić całej stacji. Raughd nie mogła przewidzieć śmierci tłumaczki Dlique, ale z pewnością wiedziała, że twoje serwitory chodzą uzbrojone, i знаła twój nieufny stosunek do Podogrodu. – Kapitan Hetnys milczała ze spuszczonego wzrokiem, z pustymi rękami, czarka herbaty stygła na ławce obok niej. – Mili, dobrze wychowani ludzie nie popełniają nagle podłych czynów bez powodu.

Najwyraźniej to prowadziło donikąd. A ja chciałam się dowiedzieć innych rzeczy. Poświęciłam trochę czasu na rozważania, jak można wywieść przesiedleńców z układu bez niczyjej wiedzy.

– Brama Duchów – powiedziałam.

– Pani? – Wydawało się, że nie przyjęła zmiany tematu z taką ulgą, jak się spodziewałam.

– Ślepa brama. Nigdy nie spotkałaś tam innego statku?

*Czy to wahanie? Zmiana wyrazu twarzy, która zniknęła, zanim zdążyłam ją odczytać?
Zdumienie? Strach?*

– Nie, pani. Nigdy.

Kłamstwo. Chciałam się obejrzeć na „Miecz Atagaris”, stojący sztywno i w milczeniu obok Piątka Kair. Ale u serwitora nigdy nie wychwyciłabym żadnej subtelnej reakcji na kłamstwo jego kapitan. A samo spojrzenie mogło zdradzić moje myśli. Że rozpoznałam kłamstwo. Zamiast tego spoglądałam w stronę łaźni. Raughd Denche wyszła i pomaszerowała z powrotem, z ponurą miną, która źle wróżyła każdej służącej na tyle nieostrożnej, żeby wejść jej w drogę. O mało się nie rozejrzałam za jej osobistą asystentką i stwierdziłam ze zdumieniem, że nie weszła za Raughd do łaźni.

Kapitan Hetnys również zauważyła Raughd. Zamrugła, zmarszczyła brwi, a potem lekko pokręciła głową, krytycznie, pomyślałam. Wobec oczywistego gniewu Raughd albo wobec mnie, nie potrafiłam rozpoznać.

– Kapitanie floty – powiedziała, zerkając w stronę łaźni – za twoim łaskawym przyzwoleniem. Dzisiaj jest bardzo ciepło.

– Oczywiście, kapitanie – odpowiedziałam.

Siedziałam dalej, kiedy ona wstała, ukloniła się i ruszyła po omszałych kamieniach w stronę łaźni. „Miecz Atagaris” szybko poszedł za nią.

Pokonała mniej więcej połowę drogi przez zacieniony, szary i zielony dziedziniec, znajdowała się dokładnie naprzeciwko tej wygiętej części okna łaźni, kiedy wybuchła bomba.

* * *

Od dwudziestu pięciu lat nie uczestniczyłam w akcji bojowej. Przynajmniej nie w takiej, gdzie wybuchały bomby. Jednak byłam niegdyś statkiem pełnym ciał przeznaczonych do walki. Toteż nawyk z dwóch tysięcy lat sprawił, że bez żadnego wysiłku, niemal w tej samej chwili, kiedy dostrzegłam błysk w oknie łaźni i prawie (ale nie całkiem) natychmiast zobaczyłam, jak okno pęka i odłamki fruną na zewnątrz, stałam już na nogach, z całkowicie podniesioną zbroją.

Podejrzewałam, że „Miecz Atagaris” nigdy nie walczył na planecie, jednak zareagował niemal równie błyskawicznie jak ja: podniósł zbroję i skoczył z nieludzką szybkością, żeby stanąć pomiędzy lecącym szkłem a swoją nieuzbrojoną kapitan. Fala błyszczącego, potraskanego szkła runęła z okna, obdarła z liści i gałęzi drzewa ocieniające dziedziniec, dotarła do serwitora, obaliła go na ziemię. Padając, nakrył sobą kapitan Hetnys. Mgnienie później obsypały mnie szklane okruchy, liście i gałązki, które nieszkodliwie odbiły się od zbroi. Szybko sprawdziłam myślą, że Piątka Kair jest całkiem bezpieczna, chociaż dopiero skończyła podnosić zbroję.

– Daj mi swój pakiet medyczny – poleciłam. Kazałam jej wezwać służby medyczne i

planetarne służby bezpieczeństwa, a potem poszłam sprawdzić, czy kapitan Hetnys przeżyła.

Płomienie lizały krawędzie roztrzaskanego okna łaźni. Ziemię zaścielały szklane skorupy, które pękały i trzeszczały pod nogami. Kapitan Hetnys leżała niewygodnie na plecach pod „Mieczem Atagaris”. Spomiędzy łopatek serwitora sterczała dziwaczna, niekształtna płetwa. Zrozumiałam, że to duży odłamek szkła, który wbił się, zanim „Miecz Atagaris” zdążył całkowicie podnieść zbroję. Zareagował szybko, ale wolniej ode mnie, poza tym on i kapitan Hetnys znajdowali się jakieś dwadzieścia metrów bliżej okna niż ja.

Uklęknęłam obok nich.

– „Mieczu Atagaris”, jak ciężko ranna jest twoja kapitan? – zapytałam.

– Nic mi nie jest, pani – odpowiedziała kapitan Hetnys, zanim serwitor się odezwał. Próbowała się przekręcić, zepchnąć go z siebie.

– Nie ruszaj się, kapitanie – rozkazałam ostro i rozerwałam pakiet medyczny Piątki Kair. – „Mieczu Atagaris”, melduj.

– Kapitan Hetnys doznała lekkiego wstrząśnienia mózgu, ma otarcia, zadrapania i kilka siniaków, kapitanie floty. – Zbroja zniekształcała głos „Miecza Atagaris”, oczywiście pozbawiony wyrazu w sposób typowy dla serwitorów, ale zdawało mi się, że słyszę nutę napięcia. – Poza tym nic jej nie jest, jak już sama powiedziała.

– Złaż ze mnie, statku – rzuciła z irytacją kapitan Hetnys.

– On chyba nie może – zauważyłam. – W jego kręgosłupie tkwi odłamek szkła. Opuść zbroję, „Mieczu Atagaris”.

Pakiet medyczny zawierał specjalny korektor ogólnego zastosowania, zaprojektowany, żeby spowolnić krwawienie, zapobiec dalszemu uszkodzeniu tkanek i utrzymać pacjenta przy życiu na czas transportu do ośrodka medycznego.

– Kapitanie floty – powiedział „Miecz Atagaris”

– z całym szacunkiem, może wybuchnąć druga bomba, a moja kapitan jest nieuzbrojona.

– Niewiele możemy na to poradzić bez zabijania tego segmentu – wytknęłam mu. Chociaż miałam pewność, że była tylko jedna bomba, że ten wybuch miał zabić tylko jedną konkretną osobę, a nie jak najwięcej. – Im szybciej pozwolisz się opatrzyć, tym szybciej będziemy mogli cię przesunąć i zabrać twoją kapitan w bezpieczne miejsce.

Kapitan Hetnys, wyraźnie zdenerwowana i cierpiąca od niewygody, skrzywiła się jeszcze bardziej i spojrzała na mnie tak, jakbym przemówiła w obcym języku, którego nigdy nie słyszała i nie rozumiała.

„Miecz Atagaris” opuścił zbroję, odsłaniając kurtkę od munduru przesiąkniętą krwią na plecach i szczerbaty odłamek szkła.

– Jak głęboko to siedzi? – zapytałam.

– Bardzo głęboko, kapitanie floty – odpowiedział.

– Naprawa zajmie trochę czasu.

– Nie wątpię.

Pakiet medyczny zawierał również małe ostrze do rozcinania ubrania wokół ran. Wyjęłam

je i przecięłam zakrwawioną tkaninę. Przyłożyłam korektor do pleców serwitora, jak najbliżej wystającego szkła, ale ostrożnie, żeby go nie trącić i nie spowodować kolejnych obrażeń. Korektor rozpląnął się w kałużę – potrzebował chwili (albo kilku minut, zależnie od charakteru i rozmiarów rany), żeby ustabilizować sytuację, a potem stwardnieć. Wtedy prawdopodobnie będzie można bezpiecznie przenieść „Miecz Atagaris”.

Pożar w łaźni się rozprzestrzeniał, podsycany przez piękne boazerie. Obok głównego budynku stały trzy służące i gapiły się, przerażone. Następne wybiegały z domu, żeby zobaczyć, co się stało. Piątka Kair z jedną ze służących pospiesznie niosły w naszą stronę jakiś szeroki, płaski przedmiot – „Łaska Kair” zawiadomiła ją, że chodzi o uraz kręgosłupa. Nigdzie nie widziałam Raughd.

Kapitan Hetnys wciąż patrzyła na mnie spod „Miecza Atagaris”, marszcząc brwi.

– Kapitanie floty – powiedział serwitorka – z całym szacunkiem, to uszkodzenie jest zbyt poważne, żeby warto było je naprawiać. Proszę, zabierz kapitan Hetnys w bezpieczne miejsce.

– Twarz i głos oczywiście nic nie wyrażały, ale w oczach wezbrały łzy, z bólu albo z innego powodu, którego nie znałam. Mogłam jednak się domyślać.

– Twoja kapitan jest bezpieczna, „Mieczu Atagaris” – oświadczyłam. – Nie martw się o to.

Korektor na jego plecach zrobił się całkiem przejrzysty, znikło zmętnienie. Delikatnie musnęłam go palcem w rękawiczce. Ani jednej smużki. Piątka Kair padła na kolana obok nas, ustawiła nosze – wyglądały na blat stołu. Służąca, która trzymała drugi koniec, nie umiała przenosić ludzi z urazami kręgosłupa, więc Piątka Kair i ja zdjęliśmy „Miecz Atagaris” z kapitan Hetnys. Kapitan Hetnys wstała, spojrzała na serwitorkę leżącego nieruchomo i w milczeniu na blacie stołu, z odłamkiem szkła sterczącym z pleców. Spojrzała na mnie, wciąż zachmurzona.

– Kapitanie – powiedziałam do niej, kiedy Piątka Kair i służąca ostrożnie dźwignęły „Miecz Atagaris” – musimy porozmawiać z naszą gospodynią.

Rozdział 16

Eksplozja położyła kres wszelkim żałobnym konwenansom. Zebrałyśmy się w oficjalnym salonie głównego domu: szerokie okno (oczywiście wychodzące na jezioro), swobodnie rozstawione ławki i fotele z obiciem bladoniebieskim i złotym, niskie stoły z ciemnego drewna, na ścianach kolejne rzeźbione ornamenty, które zapewne dostarczały stałego zajęcia jakiejś służącej. W jednym kącie na podstawce stał wysoki, kanciasty instrument strunowy z długim gryfem, którego nie rozpoznałam, więc pewnie był athoecki. Obok, na drugiej podstawce, w skrzynce z otwartym wiekiem pysznił się ten starożytny serwis do herbaty.

Sama Fosyf stała na środku pokoju. Kapitan Hetnys, na jej nalegania, usiadła obok w fotelu. Raughd chodziła z jednego końca pokoju w drugi, tam i z powrotem, dopóki jej matka nie powiedziała: „Usiądź, Raughd”, na pozór uprzejmie, ale z ostrą nutą w głosie. Raughd usiadła,

spięta, wyprostowana.

– Oczywiście to była bomba – powiedziałam. – Niezbyt duża, pewnie coś skradzionego z placu budowy, ale ktokolwiek ją podłożył, dodał skrawki metalu, które miały zabić albo okaleczyć wszystkich w pobliżu.

Część dosięgła kapitan Hetnys, ale „Miecz Atagaris” ją zasłonił. Dotarły ułamek sekundy po tym odłamku szkła.

– Mnie! – krzyknęła Raughd i znowu wstała, zacisnęła dłonie w rękawiczkach, podjęła swoją wędrówkę.

– Miały zabić mnie! Powiem wam, kto to zrobił, to nie mógł być nikt inny!

– Chwileczkę, obywatelko – rzuciłam. – Prawdopodobnie elementy bomby ukradziono z placu budowy, ponieważ łatwo jest znaleźć skrawki metalu, ale oczywiście trudniej zdobyć materiały wybuchowe. – Celowe utrudnienie. Chociaż wystarczająca determinacja i pomysłowość potrafi obejść niemal każde restrykcje.

– Oczywiście materiały wybuchowe z reguły nie leżą na wierzchu. Ktokolwiek to zrobił, albo miał dostęp do takich rzeczy, albo znał kogoś, kto ma dostęp. Przypuszczalnie w ten sposób możemy ich wyśledzić.

– Wiem, kto to zrobił! – upierała się Raughd i pewnie powiedziała by więcej, tylko że w tejże chwili weszły lekarka i okręgowa sędzia pokoju.

Lekarka natychmiast podeszła do kapitan Hetnys.

– Kapitanie, żadnych nonsensów. Muszę cię zbadać, żeby sprawdzić, czy nic ci nie jest.

Sędzia otworzyła usta, żeby coś do mnie powiedzieć. Powstrzymałam ją gestem.

– Doktorze, obrażenia kapitan są na szczęście drobne. Natomiast serwitor „Miecza Atagaris” jest ciężko ranny i wymaga natychmiastowego leczenia.

Lekarka wyprostowała się, oburzona.

– Czy jesteś lekarzem, kapitanie floty?

– A ty? – zapytałam chłodno. Mimo woli porównałam ją z medyczką z mojego statku. – Jeśli patrzysz z włączonymi medycznymi implantami na kapitan Hetnys, powinnaś widzieć wyraźnie, że ma tylko trochę zadrapań i siniaków. „Miecz Atagaris”, który widzi ją jeszcze bardziej intymnie, powiedział, że kapitan właściwie nie ucierpiała. Natomiast jego serwitor ma dwudziestosześciocentymetrowy odłamek szkła wbity w kręgosłup. Im szybciej zaczniesz go leczyć, tym skuteczniejsze będzie leczenie. – Nie dodałam, że mówię na podstawie własnego doświadczenia.

– Kapitanie floty – odparła równie chłodno lekarka – nie musisz mnie pouczać o moich obowiązkach. Obrażenia tego rodzaju wymagają długiej i trudnej regeneracji. Niestety, najlepszym wyjściem jest pozbyć się tego serwitora. Z pewnością to będzie niewygodne dla kapitan Hetnys, ale to jedyne rozsądne rozwiązanie.

– Doktorze – wtrąciła kapitan Hetnys, zanim zdążyłam się odezwać – może najlepiej po prostu wyleczyć serwitora.

– Z całym należnym szacunkiem, kapitanie Hetnys – odparła lekarka – nie podlegam

jurysdykcji kapitan floty, toteż będę się kierować własną opinią i wiedzą.

– Daj spokój, doktorze – odezwała się Fosyf, która dotąd milczała. – Kapitan floty i kapitan Hetnys chcą, żeby wyleczyć serwitora, z pewnością kapitan poradzi sobie z jego regeneracją. Co w tym złego, żeby go wyleczyć?

Podejrzewałam, że lekarka, jak się powszechnie przyjęło w takich domach, nie tylko pracowała na plantacji herbaty, ale była również protegowaną Fosyf. Jej dobrobyt zależał od Fosyf, toteż nie mogła odpowiedzieć swojej patronce w ten sam sposób co mnie.

– Skoro nalegasz, obywatelko – powiedziała z lekkim ukłonem.

– Nie fatyguj się – rzuciłam. – Piątko. – Piątka Kair przez cały czas stała milcząca i wyprostowana przy drzwiach, na wypadek gdybym jej potrzebowała. – Znajdź w mieście odpowiednią lekarkę i poproś, żeby jak najszybciej przyjechała i zajęła się „Mieczem Atagaris”.

Szybciej byłoby lepiej, ale nie ufałam tej lekarce za grosz. Nic dziwnego, że robotnice wolały raczej wykrwawić się na śmierć, niż zwrócić do niej. Żałowałam z całego serca, że nie ma tu mojej medyczki.

– Pani – potwierdziła Piątka, odwróciła się zwinnie i znikła za drzwiami.

– Kapitanie floty – zaczęła lekarka – przecież powiedziałam, że...

Odwróciłam się od niej do sędzi pokoju.

– Sędzio. – Ukłoniłam się. – Miło cię poznać, szkoda, że w tak nieszczęśliwych okolicznościach.

Sędzia odwzajemniła ukłon, zerknąwszy spod oka na lekarkę, ale powiedziała tylko:

– Nawzajem, kapitanie floty. Przyjechałam tak szybko, bo już byłam w drodze, żeby złożyć ci uszanowanie. Zechciej przyjąć wyrazy współczucia z powodu twojej straty. – Podziękowałam skinieniem głowy. – Jak mówiłaś, kiedy weszliśmy, zapewne możemy wykryć, kto zrobił tę bombę, jeśli wytropimy materiały, z których ją wykonano. Służba Bezpieczeństwa już teraz bada szczątki łaźni. Przykra strata. – Ostatnie słowa skierowała do Fosyf.

– Moja córka jest cała i zdrowa – odparła Fosyf. – Tylko to się liczy.

– Ta bomba była przeznaczona dla mnie! – krzyknęła Raughd, która przez cały czas gotowała się ze złości.

– Wiem, kto to zrobił! Nie trzeba niczego tropić!

– Kto to zrobił, obywatelko? – zapytałam.

– Queter. To była Queter. Zawsze mnie nienawidziła. Nazwisko było valskaayańskie.

– Jedna z robotnic polowych?

– Ona pracuje w manufakturze, konserwuje suszarki – wyjaśniła Fosyf.

– No cóż – powiedziała sędzia – wysłę...

Przerwałam jej.

– Sędzio, za pozwoleniem. Czy ktoś z ludzi, których przywiozłaś, zna delsig?

– Kilka słów, kapitanie floty, nie więcej.

– Tak się składa – oznajmiłam – że płynnie mówię w delsig. – Spędziłam całe dziesięciolecie na Valskaay, ale o tym nie wspomniałam. – Pozwól, że pójde do domu robotnic, porozmawiam z obywatelką Queter i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

– Nie musisz się niczego dowiadywać – upierała się Raughd. – To nie mógł być nikt inny. Ona zawsze mnie nienawidziła.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Myśli, że zdeprawowałam jej młodszą siostrę. Ci ludzie mają zupełnie niedorzeczne pomysły.

Ponownie odwróciłam się do sędzi.

– Sędzio, pozwól mi iść samej do domu robotnic i porozmawiać z obywatelką Queter. Tymczasem twój personel może tropić materiały wybuchowe.

– Wyślę z tobą kilku członków Służby Bezpieczeństwa, kapitanie floty – zaproponowała sędzia. – Aresztowanie tej osoby w pojedynkę, wśród tylu Valskaayanek... Przyda ci się pomoc.

– Nie trzeba – zapewniłam. – Nie potrzebuję pomocy i nie obawiam się o swoje bezpieczeństwo.

Sędzia zamrugła i leciutko zmarszczyła brwi.

– Nie, kapitanie floty, chyba nie potrzebujesz.

Poszłam piechotą do domu robotnic polowych, chociaż Fosyf proponowała, żebym skorzystała z naziemnego samochodu. Słońce zachodziło, pola przy drodze były puste. Dom stał cichy, nikogo na zewnątrz, żadnego ruchu. Gdybym nie wiedziała, pomyślałabym, że jest opuszczony. Wszyscy pewnie siedzieli w środku. Ale spodziewali się kogoś – Fosyf, planetarnej Służby Bezpieczeństwa, okręgowej sędzi pokoju. Na pewno wystawili czujki.

Kiedy znalazłam się w zasięgu słuchu mieszkańek domu, nabrałam powietrza, otworzyłam usta i zaśpiewałam.

*Jestem żołnierzem
Tak chciwym, tak głodnym pieśni.
Tak wiele połknęłam, że wyciekają,
Wypływają z kącików moich ust
I odlatują, łaknąc wolności.*

Frontowe drzwi się otwały. Ujrzałam wartowniczkę, która śpiewała te słowa tamtego pierwszego poranka, kiedy przebiegałam obok robotnic zbierających herbatę. Uśmiechnęłam się na jej widok i ukloniłam, kiedy podeszłam bliżej.

– Chciałam skomplementować twoją piosenkę – powiedziałam do niej w delsig. – Ładna robota. Ułożyłaś to na poczekaniu czy wymyśliłaś wcześniej? Pytam tylko z ciekawości... Tak czy owak, zasługuje na pochwałę.

– To tylko piosenka, którą śpiewałam, Radchaai – odparła. Radchaai znaczy dosłownie „obywatelka”, ale zdawałam sobie sprawę, że w ustach Valskaayanki, mówiącej w delsig tym tonem, to zawołowana zniewaga. Której mogła się wyprzeć, skoro użyła tylko ogólnie

przyjętego zwrotu.

Gestem wyraziłam obojętność dla jej odpowiedzi.

– Jeśli pozwolisz, przyjechałam pomówić z Queter. Chcę tylko porozmawiać. Jestem sama.

Zerknęła ponad moim ramieniem, chociaż na pewno przez cały czas obserwowała drogę i wiedziała, że nikt mi nie towarzyszył. Potem odwróciła się bez słowa i ruszyła w głąb domu. Poszłam za nią, starannie zamknąwszy drzwi.

Nie spotkałyśmy nikogo, kiedy przeszłyśmy na tył domu, do kuchni, równie przestronnej jak kuchnia Fosyf, ale podczas kiedy tamtą wypełniały lśniące rondle, rzędy zamrażarek i pojemników staży, ta była na wpuł pusta, tylko kilka palników i zlew. W kącie leżała sterta wygniecionych ubrań, spłowiałych i poplamionych, niewątpliwie resztki podstawowego przydziału odzieżowego dla robotnic polowych, poprzebierane, poprzerabiane, żeby pasowały. Pod jedną ścianą stał rząd beczek; podejrzewałam, że coś w nich fermentuje. Kilka osób siedziało przy stole, pijąc piwo. Strażniczka gestem kazała mi wejść i znikła bez słowa.

Wśród zebranych przy stole znajdowała się starsza osoba, która przemówiła do mnie w dniu naszego przyjazdu. To ona zmieniła piosenkę na inną, kiedy zobaczyła, że jesteśmy w żalobie.

– Dobry wieczór, dziadku – powiedziałam do niej i skłoniłam się. Dzięki mojej długiej znajomości Valskaay miałam niemal pewność, że prawidłowo wybrałam płeć, czego wymagał język, którym teraz mówiłam.

Patrzyła na mnie przez dziesięć sekund, a potem łyknęła piwa. Wszyscy inni starannie odwracali ode mnie wzrok i wpatrywali się w stół, w podłogę, w ścianę naprzeciwko.

– Czego chcesz, Radchaai? – zapytała wreszcie starsza. Chociaż nie wątpiłam, że wie, po co przyszłam.

– Chciałabym porozmawiać z Queter, dziadku, jeśli łaska.

Dziadek nie odpowiedziała od razu, ale potem odwróciła się do osoby po jej lewej stronie.

– Siostrzenico, poproś Queter, żeby do nas dołączyła. Siostrzenica zawahała się, prawie otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować, ale się rozmyśliła, chociaż polecenie wyraźnie nie przypadło jej do smaku. Wstała i wyszła z kuchni, nie odzywając się do mnie.

Dziadek wskazała na puste krzesło.

– Siadaj, żołnierzu.

Usiadłam. Nadal nikt nie patrzył wprost na mnie. Przypuszczałam, że gdyby dziadek kazała im wyjść, skwapliwie umknęliby z kuchni.

– Sądząc po twoim akcencie, żołnierzu – podjęła dziadek – nauczyłaś się delsig w Vestris Cor.

– Owszem – potwierdziłam. – Mieszkałam tam przez jakiś czas. I w dystrykcie Surimto.

– Ja pochodzę z Eph – oznajmiła dziadek tonem towarzyskiej pogawędki. – Nigdy nie byłam w Vestris Cor. Ani w Surimto. Przypuszczam, że teraz jest tam zupełnie inaczej, odkąd rządzą wy, Radchaai.

– Pod pewnymi względami na pewno – przyznałam.

– Też od dawna tam nie byłam.

Queter mogła uciec albo nie chciała przyjść. Moja wizyta tutaj, w takiej formie, stanowiła ryzyko.

– Ilu Valskaayan zabiłaś, kiedy tu byłaś, Radchaai?

– spytała inna osoba przy stole, ktoś, w kim gniew i uraza tak się wzmogły, że pokonały strach przede mną.

– Całkiem sporo – odparłam spokojnie. – Ale nie przyszedłam tu zabijać. Jestem sama i nieuzbrojona. – Wyciągnęłam ręce w rękawiczkach nad stołem, wnętrzem dłoni do góry.

– Więc to tylko wizyta towarzyska? – Jej głos ociekał ironią.

– Niestety, nie.

Dziadek zabrała głos, próbując skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory.

– Chyba jesteś za młoda, żeby uczestniczyć w aneksji, dziecko.

Pochyliłam głowę w lekkim ukłonie, pełnym szacunku.

– Jestem starsza, niż wyglądam, dziadku. – Dużo, dużo starsza. Ale tutaj nikt nie mógł o tym wiedzieć.

– Jesteś bardzo uprzejma, muszę ci to przyznać.

– Moja matka mówiła – odezwała się rozgniewana osoba – że żołnierze, którzy zabili jej rodzinę, też byli bardzo uprzejmi.

– Przykro mi – powiedziałam w pełnej napięcia ciszy, która zapadła po tych słowach. – Wiem, że nawet gdybym mogła udowodnić, że to nie ja, toby nie pomogło.

– To nie byłaś ty – stwierdziła. – To nie było w Surimto. Ale masz rację, to nie pomaga. – Odepchnęła krzesło od stołu, spojrzała na dziadka. – Przepraszam. Mam robotę.

Dziadek gestem wyraziła zgodę i rozgniewana osoba wyszła. W drzwiach kuchni minęła się z inną osobą. Ta, która weszła, po dwudziestce, należała do ludzi, których widziałam pod pergolą w dniu naszego przyjazdu. Rysy jej twarzy świadczyły o genetycznym pokrewieństwie z dziadkiem, chociaż skórę miała ciemniejszą. Natomiast jaśniejsze miała oczy i włosy, mocno kręcone, które zwijała i przewiązywała jaskrawozieloną chustą. Z jej napiętych ramion i ciszy, jaka ją powitała, wywnioskowałam, że to o nią mi chodzi.

Wstałam.

– Panno Queter – powiedziałam z ukłonem. Nie odpowiedziała, nie wykonała żadnego gestu. – Pragnę ci podziękować, że postanowiłaś mnie nie zabijać. – Nadal milczeli, dziadek i inni przy stole. Zastanawiałam się, czy w korytarzach tłoczą się podsłuchujący, czy też wszyscy uciekli i schowali się przede mną w bezpiecznych kryjówkach. – Usiądziesz?

Nie odpowiedziała.

– Siadaj, Queter – powiedziała dziadek.

– Nie usiądę – oświadczyła Queter, skrzyżowała ramiona i spojrzała na mnie. – Mogłam cię zabić, Radchaai. Pewnie na to zasłużyłaś, ale Raughd zasłużyła bardziej.

Wykonałam gest rezygnacji i usiadłam z powrotem.

– Groziła twojej siostrze, jak rozumiem? – Niedowierzające spojrzenie oznaczało, że się pomyliłam. – Twojemu bratu. Nic mu nie jest?

Uniosła brew, przechyliła głowę.

– Wzbawiciel bezsilnych – rzuciła zjadliwym tonem.

– Queter – ostrzegła dziadek.

Uniosłam otwartą dłoń w rękawiczce – gest niezbyt grzeczny dla większości Radchaai, ale dla Valskaayanek znaczył co innego. „Czekaj. Spokojnie”.

– W porządku, dziadku. Potrafię rozpoznać sprawiedliwość. – Niedowierzające parsknięcie jednej z osób przy stole szybko zostało uciszone. Wszyscy udali, że nic nie słyszeli. – Obywatelka Raughd lubi się znęcać nad twoim bratem. Jest całkiem sprytna pod pewnymi względami. Wiedziała, do czego możesz się posunąć, żeby go chronić. Wiedziała również, że masz pewne techniczne umiejętności. Że jeśli zwałdzi trochę materiałów wybuchowych z placu budowy i dostarczy ci instrukcję, jak się z nimi obchodzić, wykonasz zadanie. Chyba nie zdawała sobie sprawy, że możesz ulepszyć projekt. Skrawki metalu to był twój pomysł, prawda? – Nie miałam na to żadnego dowodu oprócz licznych oznak, że Raughd rzadko głębiej się nad czymś zastanawiała. Queter nie zmieniła wyrazu twarzy. – I nie podejrzewała, że możesz ich użyć przeciwko niej zamiast przeciwko mnie.

Wciąż z przechyloną głową, wciąż z ironiczną miną zagadnęła:

– Nie chcesz wiedzieć, jak to zrobiłam?

Uśmiechnęłam się.

– Wielce szanowna Queter. Spędziłam prawie całe życie wśród ludzi głęboko przekonanych, że wszechświat byłby lepszy beze mnie. Wątpię, czy mnie czymś zaskoczysz. Jednak to była dobra robota i gdybyś trochę lepiej wyliczyła czas, mogłoby ci się udać. Marnujesz tu swoje talenty.

– Och, oczywiście – przyświadczyła tonem, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej zjadliwym. – Przecież tu są tylko „przesądne dzikuski”. – Ostatnie słowa wymówiła po radchaajsku.

– Informacje, których potrzebowałam, żeby zbudować coś takiego, nie są ogólnie dostępne – ciągnęłam. – Gdybyś ich szukała, napotkałabyś odmowę dostępu i pewnie planetarna Służba Bezpieczeństwa wzięłaby cię pod lupę. Jeśli chodziłaś tu do szkoły, nauczyłaś się recytować ustępy z pisma, trochę ocenzurowanej historii i niewiele więcej. Sama Raughd pewnie wiedziała tylko tyle, że wybuchy mogą zabijać ludzi. Szczegóły opracowałaś samodzielnie. – Może zastanawiała się nad czymś takim dużo wcześniej, zanim Raughd wykonała ruch. – Sortowanie liści herbaty i naprawianie maszyn w manufakturze! Musiałaś się nudzić ponad wszelkie wyobrażenie. Gdybyś kiedykolwiek zdawała testy, na pewno przydzielono by cię gdzieś, gdzie lepiej wykorzystałabyś swoje zdolności i nie miałabyś ani czasu, ani okazji, żeby sprawiać kłopoty. – Queter zacisnęła wargi i nabrała tchu, żeby odpowiedzieć. – I – uprzedziłam ją – nie byłoby cię tutaj, żeby bronić brata. – Gestem wyraziłam ironię całej tej sytuacji.

– Czy przyszedł mi aresztować? – zapytała Queter. Nieruchoma twarz niezdradzająca napięcia, które kazało jej zadać to pytanie. Tylko cień tego napięcia w głosie. Dziadek i reszta siedzieli jak skamieniały, ledwie ośmielali się oddychać.

– Tak – potwierdziłam.

Queter opuściła ręce. Zaciśnęła dłonie w pięści.

– Jesteś taka cywilizowana. Taka uprzejma. Taka odważna, że przyszedłaś tu sama, wiedząc, że nikt nie śmie cię tknąć. Tak łatwo to przychodzi, kiedy przewaga jest po twojej stronie.

– Masz rację – przyznałam.

– No więc chodźmy! – Queter znowu skrzyżowała ramiona, wciąż zaciskając pięści.

– No cóż – odpowiedziałam spokojnie. – Przyszedłam tu piechotą, a teraz chyba pada. Czy może straciłam rachubę dni? – Brak odpowiedzi, tylko pełne napięcia milczenie ludzi przy stole, zdeterminowane spojrzenie Queter. – I chciałam cię zapytać, co się stało. Żeby się upewnić, że ciężar spadnie tam, gdzie powinien.

– Och! – zawołała Queter, wreszcie doprowadzona do kresu cierpliwości. – Jesteś taka sprawiedliwa, taka dobra, co? Ale nie różnisz się od córki tego domu. – Potem przeszła na radchaajski. – Wy wszyscy! Bierzecie, co chcecie, pod lufą broni, mordujecie, gwałcicie i kradniecie, i nazywacie to „krzewieniem cywilizacji”. A czym jest dla was cywilizacja, jeśli nie naszą należytą wdzięcznością za to, że nas mordują, gwałcą i okradają? Mówiłaś, że potrafisz rozpoznać sprawiedliwość. Więc czym jest wasza sprawiedliwość, jeśli nie pozwalaniem, żebyście nas traktowali, jak wam się podoba, i skazywaniem nas, jeśli choćby spróbujemy się bronić?

– Nie zamierzam zaprzeczać – oświadczyłam. – To, co mówisz, jest prawdą.

Queter zamrugnęła, zawahała się. Widocznie zdziwiona moimi słowami.

– Ale ty zapewnisz nam odgórną sprawiedliwość, prawda? Przyniesiesz zbawienie? I przyszedłaś tu, żebyśmy padli ci do stóp i śpiewali hymny pochwalne? Ale my znamy waszą sprawiedliwość, znamy wasze zbawienie, jakąkolwiek maskę im nakładacie.

– Nie mogę ci zapewnić sprawiedliwości, Queter. Mogę jednak zaprowadzić cię osobiście przed sędzię okręgową, żebyś jej wyjaśniła, dlaczego zrobiłaś to, co zrobiłaś. Jeśli chodzi o ciebie, to nic nie zmieni. Ale wiedziałaś od chwili, kiedy Raughd Denche powiedziała ci, czego chce, że dla ciebie nie będzie innego zakończenia. Córka domu była zbyt przekonana o własnym sprycie, żeby zrozumieć, co to znaczy.

– A co dobrego z tego wyniknie, Radchaai? – zapytała wyzywająco Queter. – Nie wiesz, że jesteśmy nieuczciwi i kłamliwi? Obrażamy się, kiedy powinniśmy być potulni i wdzięczni? Że nasza inteligencja przesądnych dzikusów to tylko przebiegłość? Oczywiście skłamię. Mogę nawet opowiedzieć kłamstwa, które dla mnie wymyśliłaś, bo nienawidzisz córki domu. A mnie w szczególności. Podczas strajków... twoja domowa Samirendka opowiadała ci o strajkach? – Potwierdziłam gestem. – Opowiadała, jak ona i jej kuzynki szlachetnie nas edukowały, uświadamiały nam, jaką niesprawiedliwość cierpimy, uczyły nas się organizować i nakłaniały do działania? Bo przecież w żadnym razie nie moglibyśmy tego zrobić samodzielnie.

– Ona sama – odparłam – została później reedukowana i w rezultacie nie może o tym bezpośrednio mówić. Natomiast obywatelka Fosyf opowiedziała mi o tym w taki sposób.

– Czyżby – mruknęła Queter; to nie było pytanie. – A mówiła ci, że moja matka umarła

podczas tych strajków? Ale nie, mówiła tylko, jaka jest dla nas dobra i jak łagodnie nas potraktowała, bo nie sprowadziła żołnierzy, żeby nas wszystkich rozstrzelali tam, gdzie siedzieliśmy.

Queter miała wtedy najwyżej dziesięć lat.

– Nie mogę obiecać, że sędzia okręgowa wysłucha cię – powiedziałam. – Mogę tylko dać ci szansę mówienia.

– A potem co? – zapytała dziadek. – Co potem, żołnierzu? Od dziecka uczono mnie wybaczać i zapominać, ale trudno jest zapomnieć o takich rzeczach, o stracie rodziców, dzieci i wnuków. – Nie zmieniła wyrazu twarzy, nieruchomej i zdeterminowanej, ale przy ostatnich słowach głos jej się lekko załamał. – I wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Możemy wybaczyć tylko tyle.

– Osobiście uważam – odparłam – że wybaczenie jest przereklamowane. Czasami należy wybaczyć. Ale nie wtedy, kiedy wykorzystuje się nakaz przebaczenia, żeby utrzymać was w ryzach. Z pomocą Queter mogę usunąć stąd Raughd na stałe. Spróbuję zrobić więcej, w miarę możliwości.

– Naprawdę? – zapytała inna osoba przy stole, która dotąd milczała. – Uczciwa płaca? Możesz to załatwić, żołnierzu?

– W ogóle jakaś płaca! – dodała Queter. – Porządne jedzenie, na które nie trzeba się zadłużać.

– Kapłan – ktoś zasugerował. – Kapłan dla nas i kapłan dla Krnąbrnych, jest ich trochę w sąsiednim majątku.

– Nazywają się nauczycielami – sprostowała dziadek.

– Nie kapłanami. Ile razy mam to powtarzać? – „Krnąbrni” stanowiło obelgę. Zanim jednak zdążyłam to powiedzieć, dziadek zwróciła się do mnie: – Nie zdołasz dotrzymać tych obietnic. Nie zdołasz zapewnić Queter bezpieczeństwa.

– Dlatego nie składam obietnic – odpowiedziałam – a Queter może wyjść na tym lepiej, niż się obawiamy. Zrobię, co mogę, chociaż to niewiele.

– No cóż – powiedziała dziadek po następnej chwili milczenia. – No cóż. Chyba musimy dać ci kolację, Radchaai.

Jeśli będziesz tak dobra, dziadku – powiedziałam.

Rozdział 17

Queter i ja wyruszyliśmy do domu Fosyf przed wschodem słońca, kiedy powietrze było jeszcze wilgotne i pachniało mokrą ziemią. Queter maszerowała niecierpliwie, sztywno wyprostowana, ze skrzyżowanymi ramionami. Ciągłe wysuwała się przede mną, a potem czekała, aż ją dogonię, jakby chciała jak najszybciej dotrzeć na miejsce i przeze mnie się spóźniała. Pola, góry tonęły w cieniu i ciszy. Queter nie była w nastroju do rozmowy. Nabrałam

powietrza w płuca i zaśpiewałam w języku, którego na pewno nikt tutaj nie rozumiał.

Pamięć to horyzont zdarzeń,

Co tam wpadnie, znika, ale zostaje na zawsze.

To była piosenka, którą Bo Tisarwat śpiewała w żołnierskiej mesie. „O drzewo!” Dziewiątka Bo nuciła ją pod nosem właśnie teraz, na stacji.

– No, ta jedna uciekła – zauważyła Queter, metr przede mną na drodze, nie oglądając się.

– I ucieknie znowu – dodałam.

Przystanęła i zaczęła na mnie. Wciąż nie odwracała głowy.

– Oczywiście kłamałaś – powiedziała i podjęła marsz. – Nie pozwolisz mi porozmawiać z sędzią okręgową i nikt nie uwierzy w to, co mam do powiedzenia. Ale nie przyprowadziłaś żołnierzy do domu, więc to już coś. Jednak nikt mi nie uwierzy. I trafię w łapy Służby Bezpieczeństwa albo mnie zabiją, jeśli jest jakaś różnica, ale mój brat tu zostanie. I Raughd. – Splunęła, wymówiwszy jej imię. – Zabierzesz go?

– Kogo? – Pytanie mnie zaskoczyło, więc nie bardzo zrozumiałam. Wciąż rozmawialiśmy w dalszym ciągu. – Twojego brata?

– Tak! – rzuciła zniecierpliwiona, rozgniewana. – Mojego brata.

– Nie rozumiem. – Niebo nad nami zbladło i pojaśniało, ale wciąż szliśmy w cieniu. – Boisz się, że to zrobię, czy tego chcesz? – Nie odpowiedziała. – Jestem żołnierką, Queter, mieszkam na okręcie wojennym. – Nie miałam czasu ani środków, żeby się opiekować dziećmi, nawet starszymi.

Queter wydała okrzyk irytacji.

– Nie masz gdzie mieszkania i służby? Nie masz lokajów? Nie masz dziesiątków ludzi na zawołanie, żeby dbali o wszystkie twoje potrzeby, podawali ci herbatę, wygładzali kołnierz i rozsypywali kwiaty pod nogami? Na pewno znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego.

– Czy tego chce twój brat? – Po kilku chwilach milczenia dodałam: – Czy twój dziadek nie będzie smutna, jeśli straci was oboje?

Wtedy zatrzymała się nagle, obróciła i popatrzyła na mnie.

– Myślisz, że nas znasz, ale niczego nie rozumiesz.

Chciałam jej powiedzieć, że to ona nie rozumie. Że nie jestem odpowiedzialna za każde cierpiące dziecko na tej planecie. Że to wszystko to nie moja wina. Stała spięta, wzburzona, czekając na moją odpowiedź.

– Czy ty winisz swojego brata? Za to, że nie walczył, że postawił cię w takiej sytuacji?

– Och! – wykrzyknęła. – Oczywiście! To nie ma nic wspólnego z faktem, że ty, taka cywilizowana, przywiozłaś tu na dół Raughd Denche. Wiedziałaś dostatecznie dużo o córce domu, żeby zrozumieć, co się stało, wiedziałaś o niej dość, żeby zrozumieć, co ona nam robi. Ale to nie było dla ciebie na tyle ważne, żeby cię poruszyć, dopóki jakaś Radchaai o mało nie zginęła. I to nie będzie twoje zmartwienie, jak już stąd wyjedziesz, a córka domu i jej matka zostaną.

– Ja tego nie spowodowałam, Queter. I nie mogę naprawić każdej niesprawiedliwości, na

jaką natrafię, chociaż bardzo bym chciała.

– Nie, oczywiście, że nie możesz. – Jej głos ociekał zjadliwą pogardą. – Możesz naprawić tylko taką, która jest dla ciebie szczególnie niewygodna.

Odwróciła się i znowu zaczęła iść.

Gdybym miała w zwyczaju kłać, teraz bym zakłęła.

– Ile lat ma twój brat?

– Szesnaście. – Sarkazm powrócił do jej głosu. – Możesz go wyratować z tego okropnego miejsca i zabrać go do „prawdziwej cywilizacji”.

– Queter, mam tylko swój statek i tymczasową kwaterę na stacji Athoek. Mam żołnierki, które dbają o moje potrzeby i nawet podają mi herbatę, ale nie mam lokaja. Twój pomysł z kwiatami jest uroczy, ale narobiłby straszego bałaganu. Nie mam miejsca dla twojego brata. Ale zapytam go, czy chce stąd wyjechać, i jeśli odpowie twierdząco, postaram się mu pomóc.

– Nie pomożesz. – Nie odwróciła się, tylko szła dalej. – Czy ty w ogóle wiesz... – po jej głosie poznałam, że zaraz się rozplacze – .. czy ty w ogóle sobie wyobrażasz, co znaczy świadomość, że cokolwiek zrobisz, to nic nie zmieni? Że nie możesz nic zrobić, żeby obronić ludzi, których kochasz? Że cokolwiek zrobisz, to jest warte mniej niż nic?

Wyobrażałam sobie.

– A jednak to robisz.

– Bo jestem przesadną dzikuską. – Teraz na pewno płakała. – Cokolwiek zrobię, to niczego nie zmieni. Ale zmuszę cię, żebyś na to spojrzała. Zmuszę cię, żebyś zobaczyła, co zrobiłaś, i odtąd zawsze, jeśli spróbujesz odwrócić wzrok, jeśli spróbujesz udawać sprawiedliwą albo przyzwoitą, będziesz musiała się okłamać.

– Wielce szanowna Queter – powiedziałam – taka idealistka jak ty, taka młoda, nie masz pojęcia, jak łatwo ludziom przychodzi samooszukiwanie.

Tymczasem szczyty gór pojaśniały i dotarliśmy już prawie na grań.

– I tak to zrobię.

– Zrobisz – zgodziłam się i resztę drogi pokonałyśmy w milczeniu.

Najpierw zatrzymałyśmy się przy mniejszym domu. Queter odmówiła jedzenia i herbaty, stanęła przy drzwiach, wciąż ze skrzyżowanymi ramionami.

– Nikt w głównym domu jeszcze nie wstał – powiedziałam do niej. – Przepraszę cię na chwilę, chciałabym się przebrać i załatwić parę spraw, a potem pójdziemy do domu i zaczekamy na sędzie.

Uniosła łokieć i bark, wyrażając brak zainteresowania tym, co zrobię albo czego nie zrobię.

„Miecz Atagaris” znajdował się w salonie kapitan Hetnys. Nadal leżał twarzą do dołu na blacie stołu na podłodze. Plecy zakrywała mu gruba czarna skorupa korektora. Przykucnęłam obok niego.

– „Mieczu Atagaris” – powiedziałam cicho, na wypadek gdyby spał, i żeby nie przeszkadzać kapitan Hetnys.

– Kapitanie floty – odpowiedział.

– Wygodnie ci? Potrzebujesz czegoś?

Zdawało mi się, że zawahał się na moment, zanim odpowiedział:

– Nie boli mnie, kapitanie floty, a Piątka Kair i Ósemka Kair bardzo mi pomagają. – Po chwili dodał: – Dziękuję.

– Proszę, daj znać którejs z nich, gdybyś czegoś potrzebował. Teraz zamierzam się przebrać i pójść do głównego domu. Bardzo możliwe, że będziemy chciały wyjechać jeszcze dziś. Myślisz, że będziemy mogły cię przenieść?

– Sądzę, że tak, kapitanie floty. – Znowu pauza. – Kapitanie floty. Pani. Czy mogę zadać pytanie?

– Oczywiście, statku.

– Dlaczego wezwałaś lekarza?

Nie zastanawiałam się dlaczego. Zrobiłam tylko to, co w tamtej chwili wydawało się słuszne i oczywiste.

– Ponieważ myślałam, że nie chcesz się za bardzo oddalać od swojej kapitan. I nie widzę powodu, żeby marnować serwitory.

– Z całym szacunkiem, pani, jeśli bramy szybko się nie otworzą, w tym układzie mamy tylko ograniczoną liczbę specjalistycznych korektorów. A ja mam w magazynie kilka zapasowych sztuk.

Zapasowe sztuki. Istoty ludzkie w stazie, czekające na śmierć.

– Wolałbyś, żebym zgodziła się pozbyć tego segmentu?

Trzy sekundy milczenia.

– Nie, kapitanie floty. Nie wolałbym.

Wewnętrzne drzwi się otwarły i wyszła kapitan Hetnys, na wpół ubrana. Wyglądała, jakby dopiero co się obudziła.

– Kapitanie floty – powiedziała. Nieco zaskoczona, pomyślałam.

– Właśnie sprawdzałam, co z „Mieczem Atagaris”, kapitanie. Przepraszam, jeśli cię obudziłam. – Wstałam. – Wybieram się do głównego domu na spotkanie z sędzią okręgową, jak tylko się przebiorę i coś zjem.

– Pani. Czy znalazłaś osobę, która to zrobiła? – zapytała kapitan Hetnys.

– Znalazłam. – Nie chciałam rozwijać tematu.

Ale ona nie pytała o szczegóły.

– Zejdę na dół za parę minut, kapitanie floty, za pozwoleniem.

– Oczywiście, kapitanie.

* * *

Queter wciąż stała przy drzwiach, kiedy wróciłam na dół. Sirix siedziała przy stole, nad kromką chleba i czarką herbaty.

– Dzień dobry, kapitanie floty – powiedziała na mój widok. – Chciałabym pójść z tobą do domu.

Queter skrzywiła się drwiąco.

- Jak sobie życzysz, obywatelko. – Wzięłam sobie kromkę chleba, nalałam czarkę herbaty.
- Czekamy tylko, aż kapitan Hetnys będzie gotowa.

Kilka minut później kapitan Hetnys zeszła po schodach. Nie odezwała się do Sirix, spojrzała szybko na Queter i odwróciła wzrok. Podeszła do kredensu, żeby nalać sobie herbaty.

– Ósemka Kair zostanie, żeby opiekować się „Mieczem Atagaris” – powiedziałam, a potem zwróciłam się do Queter po radchaajsku: – Obywatelko, na pewno niczego nie chcesz?

– Nie, bardzo uprzejmie dziękuję, obywatelko – odparła Queter z gorzką ironią.

– Jak sobie życzysz, obywatelko – powtórzyłam.

Kapitan Hetnys zagapiła się na mnie ze szczerym zdumieniem.

– Pani – zaczęła.

– Kapitanie – przerwałam jej, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej – będziesz jeść czy możemy iść?

Przełknęłam ostatni kęs chleba. Sirix już skończyła swoją porcję.

– Wypiję herbatę po drodze, pani, za twoim pozwoleniem.

Gestem wyraziłam zgodę, dopiłam swoją herbatę i wyszłam, nie oglądając się, czy ktoś idzie za mną.

* * *

Służąca zaprowadziła nas do tego samego błękitno- – złotego salonu, w którym spotkałyśmy się poprzedniego dnia. Teraz słońce prawie już wyszło zza gór i jezioro za oknem powlokło się srebrem. Kapitan Hetnys rozsiadła się w fotelu, Sirix starannie wybrała inny w odległości trzech metrów. Piątka zajęła swoje zwykłe stanowisko przy drzwiach, a Queter stanęła wyzywająco na środku pokoju. Ja podeszłam do instrumentu strunowego, żeby go dokładnie obejrzeć. Cztery struny, bez progów, drewniane pudło inkrustowane macicą perłową. Zastanawiałam się, jak brzmi. Czy jest smyczkowy, szarpany czy uderzany.

Weszła sędzia okręgowa.

– Kapitanie floty, martwiłyśmy się o ciebie, tak długo nie wracałaś zeszłej nocy. Ale twoja żołnierka zapewniła nas, że nic ci się nie stało.

Ukłoniłam się.

– Dzień dobry, sędzio. Przepraszam, że sprawiłam ci kłopot. Zanim byliśmy gotowe do powrotu, zaczęło padać, więc zostałyśmy na noc.

Tymczasem do pokoju weszły Fosyf i Raughd.

– Dzień dobry, obywatelki. – Skinęłam im głową i znowu zwróciłam się do sędzi: – Sędzio, chciałabym przedstawić obywatelkę Queter. Obiecałam jej, że będzie mogła rozmawiać bezpośrednio z tobą. Ponieważ to niezwykle ważne, żebyś jej wysłuchała.

Raughd skrzywiła się drwiąco, przewróciła oczami i pokręciła głową. Sędzia spojrzała w jej stronę i zapytała:

– Czy obywatelka Queter mówi po radchaajsku?

– Tak – odpowiedziałam, na razie ignorując Raughd. Odwróciłam się do Queter. – Obywatelko, to jest sędzia okręgowa, tak jak obiecałam.

Przez chwilę Queter nie reagowała, tylko stała wyprostowana i milcząca na środku pokoju. Potem odwróciła się do sędzi. Powiedziała bez ukłonu, bardzo powoli i starannie:

– Sędzio. Chcę wyjaśnić, co się stało.

– Obywatelko. – Sędzia precyzyjnie wymawiała słowa, jakby zwracała się do małego dziecka. – Kapitan floty obiecała, że będziesz miała szansę ze mną rozmawiać, więc słucham.

Queter milczała jeszcze przez chwilę. Sądzę, że próbowała powstrzymać się od ironicznej riposty.

– Sędzio – powiedziała wreszcie, wciąż starannie i wyraźnie, żeby wszyscy ją zrozumieli pomimo jej akcentu. – Może wiesz, że plantatorki herbaty i ich córki czasami zabawiają się kosztem robotnic polowych.

– Och! – wykrzyknęła z irytacją Raughd, wcielenie urażonej niewinności. – Nie mogę przejść w odległości pięćdziesięciu metrów od robotnicy bez pochlebstw, flirtowania i rozmaitych prób zwrócenia mojej uwagi w nadziei, że obdaruję ją prezentami albo w końcu przyznam patronat. To ma być zabawianie się ich kosztem?

– Obywatelko Raughd – odezwałam się spokojnym, zimnym tonem – Queter obiecano, że będzie mogła mówić. Jak skończy, przyjdzie twoja kolej.

– A do tego czasu mam tu stać i słuchać? – oburzyła się Raughd.

– Tak – ucięłam.

Raughd spojrzała prosząco na matkę. Fosyf powiedziała:

– No, Raughd, kapitan floty obiecała Queter, że będzie mogła mówić. Jeśli potem trzeba będzie coś dodać, przyjdzie kolej na nas.

Głos miała spokojny, wyraz twarzy łagodny jak zwykle, ale czułam, że obawia się tego, co nastąpi. Kapitan Hetnys wydawała się zbита z tropu, przez chwilę chyba chciała coś powiedzieć, ale zobaczyła, że ją obserwuję. Sirix wpatrywała się w przestrzeń nieruchomym wzrokiem. Rozgniewana. Nie dziwiłam się jej.

Odwróciłam się do Queter.

– Mów dalej, obywatelko.

Raughd prychnęła z niesmakiem i opadła ciężko na najbliższy fotel. Jej matka wciąż stała. Spokojna.

Queter powoli nabrała powietrza.

– Plantatorki herbaty i ich córki czasami zabawiają się kosztem robotnic – powtórzyła. Nie wiem, czy ktokolwiek z obecnych słyszał, z jakim wysiłkiem panuje nad głosem. – Oczywiście zawsze mówimy pochlebstwa i udajemy, że tego chcemy. – Raughd wydała ostre, sceptyczne parsknięcie. Queter kontynuowała: – Przynajmniej większość z nas. Każdy w tym domu ma... może nam uprzykrzyć życie.

Zamierzała powiedzieć, że każdy w tym domu ma życie robotnic w swoich rękach, ale takie zdanie przetłumaczone dosłownie z delsig na radchaajski zabrzmiałoby wulgarnie.

Sędzia okręgowa zapytała z niedowierzaniem:

– Obywatelko, czy oskarżasz obywatelkę Fosyf albo kogoś innego w tym domu o znęcanie się?

Queter zamrugnęła. Odetchnęła.

– Przychylność albo nieprzychylność obywatelki Fosyf czy kogoś innego w tym domu może oznaczać różnicę pomiędzy kredytem a brakiem kredytu, dodatkowym jedzeniem dla dzieci albo nie, możliwością dodatkowej pracy albo nie, dostępem do środków medycznych albo nie...

– Przecież jest lekarz – wtrąciła Fosyf z lekkim napięciem w głosie, jakiego jeszcze u niej nie słyszałam.

– Poznałam waszą lekarzkę – odparłam. – Nie dziwię się, że nikt nie chce mieć z nią do czynienia. Obywatelko Queter, mów dalej.

– W spektaklach – powiedziała Queter po następnym oddechu – piękne, pokorne Radchaai są wynoszone w górę przez potężnych i bogatych, i może to się zdarza, ale nigdy nie zdarza się nam. Tylko małe dzieci mogą w to wierzyć. Mówię to wam, żebyście zrozumieli, dlaczego córka tego domu jest obsypywana pochlebstwami i dostaje wszystko, czego sobie zażyczy.

Poznałam po minie sędzi okręgowej, że nie widzi wielkiej różnicy pomiędzy tym a sytuacją, którą wcześniej opisała Raughd. Spojrzała na mnie, lekko marszcząc brwi.

– Mów dalej, Queter – rzuciłam, zanim sędzia zdążyła powiedzieć to, co na pewno myślała.
– Obiecałam ci, że zostaniesz wysłuchana.

Queter podjęła:

– Od kilku lat obywatelka Raughd dla przyjemności zmusza moją młodszą siostrę do... – Zawahała się. – Wykonywania pewnych aktów – dokończyła.

Raughd się roześmiała.

– Och, nie musiałam jej do niczego zmuszać.

– Nie słuchasz, obywatelko – zwróciłam jej uwagę. – Obywatelka Queter właśnie wyjaśniła, że każde twoje życzenie w rzeczywistości jest zmuszaniem i że każda robotnica, która wywoła twoje niezadowolenie, naraża się na kłopoty.

– I w tym nie było nic złego – ciągnęła Raughd, jakbym wcale się nie odezwała. – Wiesz co, kapitanie floty, wyłazi z ciebie hipokrytka. Tak niby potępiasz seksualną nieprzyzwoitość, a jednak przywiozłaś tu ze sobą swoją ulubioną Samirendkę, żeby cię zabawiała, chociaż powinnaś być w pełnej żałobie.

Zrozumiałam teraz, dlaczego Raughd próbowała mnie poderwać tak pospiesznie i mało subtelnie – sądziła, że musi wymanewrować Sirix.

Sirix zaśmiała się ostro, zaskoczona.

– Pochlebiasz mi, obywatelko Raughd. Wątpię, czy kapitan floty kiedykolwiek spojrzała na mnie w ten sposób.

– Ani ty na mnie, z całą pewnością – dodałam.

Sirix gestem wyraziła zgodę, szczerze ubawiona, o ile się zorientowałam.

– Wracając do rzeczy, obywatelko, już po raz czwarty przerywasz obywatelce Queter. Jeśli nie potrafisz się powstrzymać, będę musiała cię poprosić o opuszczenie pokoju, dopóki ona mówi.

Raughd zerwała się na równe nogi, gdy tylko skończyłam.

– Jak śmiesz! – wrzasnęła. – Dla mnie możesz być kuzynką nawet boga i możesz myśleć, że jesteś lepsza od wszystkich w tym układzie, ale w tym domu nie wydajesz rozkazów!

– Nie przypuszczałam, że mieszkankom tego domu tak bardzo brakuje dobrego wychowania – odparłam z całkowitym spokojem. – Jeżeli obywatelka Queter nie może tutaj mówić bez przerywania, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby opowiedziała sędzi swoją historię gdzie indziej, prywatnie. – Położyłam leciutki nacisk na słowo „prywatnie”.

Fosyf zauważyła ten nacisk. Spojrzała na mnie.

– Siadaj i bądź cicho, Raughd – rozkazała. Z pewnością знаła swoją córkę na tyle, żeby się domyślić, co zaszło, przynajmniej w ogólnym zarysie.

Skarcona przez matkę, Raughd zrobiła się bardzo cichutka. Zdawało się, że nawet nie oddycha. Przypomniałam sobie, jak Piątka i Szóstka Kair podsłuchiwały rozmowę służących o tym, jak Fosyf mówiła, że jest jeszcze czas na wyhodowanie nowej następczyni. Ciekawe, jak często Raughd słyszała tę groźbę.

– No, no, Raughd – powiedziała sędzia okręgowa, lekko marszcząc brwi. Zapewne zdziwiona tonem głosu Fosyf. – Rozumiem, że jesteś zdenerwowana. Gdyby wczoraj ktoś próbował mnie zabić, trudno byłoby mi zachować spokój. Ale kapitan floty nie zrobiła nic obraźliwego, tylko obiecała tej osobie – wskazała Queter, stojącą w milczeniu na środku pokoju – że będzie mogła coś mi powiedzieć, a potem starała się dotrzymać obietnicy. – Odwróciła się do Queter. – Queter, tak? Zaprzeczasz, że podłożyłaś materiały wybuchowe w łaźni?

– Nie zaprzeczam – odparła Queter. – Chciałam zabić córkę tego domu. Żałuję, że mi się nie udało.

Zaszokowane miny. Cisza. Oczywiście wszyscy o tym wiedzieli, ale kiedy to zostało powiedziane tak otwarcie, nagle zaczęło wyglądać inaczej. Potem odezwała się sędzia:

– Nie wyobrażam sobie, co mogłabyś powiedzieć, żeby zmienić wynik tej rozmowy. Czy nadal chcesz mówić?

– Tak – odpowiedziała po prostu Queter.

Sędzia okręgowa odwróciła się do Raughd.

– Raughd, rozumiem, jeśli wolisz wyjść. Jeśli zostaniesz, najlepiej, żebyś pozwoliła tej osobie dokończyć.

– Zostanę – oświadczyła Raughd wyzywającym tonem.

Sędzia znowu zmarszczyła brwi.

– No dobrze. – Stanowczo skinęła na Queter. – Miejmy to z głowy.

– Córka tego domu – zaczęła Queter – wie, że jej nienawidzę za wykorzystywanie mojej siostry. Przyszła do mnie i powiedziała, że chce śmierci kapitan floty, że kapitan floty zawsze

kąpie się wcześniej rano, zanim inni wstaną, więc eksplozja w łaźni o właściwej porze na pewno ją zabije. – Raughd znowu skrzywiła się drwiąco, nabrała powietrza, żeby się odezwać, ale napotkała wzrok matki i zmilczała. Skrzyżowała ramiona i zapatrzyła się na starożytny błękitno-zielony serwis do herbaty, spoczywający na podstawce trzy i pół metra od niej. – Córka tego domu – ciągnęła Queter głosem opanowanym, ale lekko podniesionym, żeby nikt jej nie zagłuszył – powiedziała, że dostarczy mi materiały wybuchowe, jeśli nie wiem, skąd je wziąć. Jeśli odmówię, córka tego domu zrobi to sama i dopilnuje, żeby wina spadła na moją siostrę. Jeśli to zrobię, zapewni mojej siostrze patronat i dopilnuje, żeby nigdy mnie nie obwiniono. – Spojrzała na Raughd, wciąż odwróconą do nas plecami. Dodała z miażdżącą pogardą: – Córka tego domu myśli, że jestem głupia. – Znowu przeniosła wzrok na sędzię. – Rozumiem, dlaczego ktoś chciałby zabić kapitan floty, ale ja nie mam do niej żadnych pretensji. Córka tego domu to inna sprawa. Wiedziałam, że zajmie się mną Służba Bezpieczeństwa, a mojej siostrze zostanie tylko rozpacz. Dlaczego za taką cenę nie pozbyć się osoby, która zagraża mojej siostrze?

– Jesteś bardzo elokwentną młodą osobą – zauważyła sędzia po trzech sekundach milczenia. – I wszystko wskazuje na to, że całkiem inteligentną. Chyba wiesz, że każde twoje kłamstwo zostanie wykryte.

Kompetentnie przeprowadzone przesłuchanie z użyciem narkotyków ujawniłoby najbardziej sekretne myśli danej osoby. Ale oczywiście, jeśli władze założą, że jesteś winna, nie będą się fatygować urządzeniem przesłuchania. A jeśli ktoś naprawdę, niesłusznie w coś wierzy, tylko tyle wyjdzie w przesłuchaniu.

– Przesłuchaj córkę tego domu, sędzio – zaproponowała Queter – i sprawdź, czy mówię prawdę.

– Przyznajesz, że próbowałaś zabić obywatelkę Raughd – odparła sucho sędzia – i że masz do niej pretensje. Nie mogę zakładać, że nie wymyśliłaś tego wszystkiego, żeby jej sprawić jak najwięcej kłopotów.

– Jeśli trzeba, sporządzę formalny akt oskarżenia, sędzio – wtrąciłam. – Ale powiedz mi, czy znaleźliście źródło materiałów wybuchowych?

– Służba Bezpieczeństwa potwierdza, że prawdopodobnie pochodziły z placu budowy. Żadna budowa w pobliżu nie zgłaszała, że czegoś brakuje.

– Może – zasugerowałam – nadzorcynie tych budów powinny naocześnie sprawdzić, czy ilość materiałów wybuchowych w magazynach zgadza się z ewidencją. – Chciałam dodać, żeby Służba Bezpieczeństwa zwróciła szczególną uwagę na miejsca, w których pracowały przyjaciółki córki tego domu albo które ona sama ostatnio odwiedziła.

Sędzia uniosła brew.

– Wydałam taki rozkaz. Właściwie wydałam go dziś rano, zanim zesłam na spotkanie z tobą.

Skłoniłam głowę z uznaniem.

– W takim razie mam jeszcze jedną prośbę. Tylko tę jedną, po czym zostawię sprawę tobie,

sędzi, zgodnie z zasadami. – Otrzymałszy od sędzi zgodę, ciągnęłam: – Chciałabym zadać jedno pytanie osobistej asystentce obywatelki Raughd.

Po kilku pełnych napięcia minutach asystentka Raughd weszła do pokoju.

– Obywatelko – powiedziałam do niej. – Twoje ramiona wypełnia błogosławieństwo i żadna nieprawda nie opuści twoich ust. – Mówiłam po radchaajsku, chociaż to był przekład, niewątpliwie toporny, słów, które usłyszałam tamtego dnia w kuchni za pośrednictwem Ósemki, wypowiedzianych przez nadzorczynię, kiedy wkładała kawałki ciastka z miodem do ust asystentki Raughd. – Gdzie obywatelka Raughd zdobyła materiały wybuchowe?

Asystentka wytrzeszczyła na mnie oczy, zamarła z przerażenia. Nikt nigdy nie zwraca uwagi na służące oprócz innych służących, zwłaszcza w tym domu.

– Błagam o wybaczenie, kapitanie floty – powiedziała po niekończącej się chwili milczenia. – Nie wiem, o czym mówisz.

– Daj spokój, obywatelko – nalegałam. – Znasz prawie każdy oddech obywatelki Raughd. Och, czasami nie towarzyszysz jej w Podogrodzie, czasami wysyła cię w różnych sprawach, kiedy zajmuje się czym innym, ale ty wiesz, jak przystało na dobrą osobistą asystentkę. I to nie był impulsywny postępek, jak namalowanie wtedy na ścianie „Nie herbata, tylko krew”. – Próbowała wyczyścić rękawiczki Raughd, zanim ktokolwiek zauważy na nich farbę. – To było co innego. To było skomplikowane, zaplanowane z wyprzedzeniem, i nie musiała robić wszystkiego sama, ostatecznie po coś się ma dobrą osobistą asystentkę. A cała sprawa i tak wyszła na jaw. Obywatelka Queter powiedziała wszystko sędzi.

Łzy wezbrały w oczach asystentki. Wargi jej zadrżały, a potem wygięły się w podkówkę.

– Nie jestem dobrą osobistą asystentką – szepnęła.

Łza stoczyła się po policzku. Czekałam w milczeniu, podczas gdy ona próbowała zdecydować, co powiedzieć albo czy w ogóle coś powiedzieć. Odczytywałam konflikt wewnętrzny z wyrazu jej twarzy. Nikt inny się nie odzywał.

– Gdyby nie ja, nic by się nie stało – powiedziała wreszcie.

– Ona zawsze była nie zrównoważona – oświadczyła Raughd. – Odkąd byliśmy dziećmi, próbuję ją chronić. Opiekować się nią.

– To nie twoja wina – powiedziałam do asystentki Raughd, ignorując samą Raughd. – Ale wiedziałas, co zrobiła Queter. Albo z jakiegoś powodu podejrzewałaś. – Pewnie wyciągnęła oczywisty wniosek, którego Raughd nie wyciągnęła, że Queter, przyparta do muru, nie zrobi po prostu tego, co jej kazano. – Dlatego wczoraj nie przyszałaś do łaźni, kiedy Raughd cię wołała. – A Raughd straciła cierpliwość, czekając na służącą, żeby się nią zajęła, wyszła z łaźni, żeby jej poszukać, i w rezultacie nie zginęła w wybuchu. – Skąd Raughd wzięła materiały wybuchowe?

– Pięć lat temu założyła się, że je ukradnie. Od tamtej pory leżały w pudełku w jej pokoju.

– I możesz nam powiedzieć gdzie, kiedy i jak, żebyśmy mogły to potwierdzić? – zapytałam, chociaż już znałam odpowiedź.

– Tak.

– Ona zmyśla! – wtrąciła Raughd. – Po wszystkim, co dla niej zrobiłam, tak mi się odpłaca!

I ty! – Odwróciła się do mnie. – Breq Mianaai. Uwzięłaś się na moją rodzinę, odkąd tylko przyleciałaś do tego układu. Ta śmieszna historyjka, jak niebezpiecznie jest podróżować przez bramy, to oczywisty wymysł. Sprowadziłaś do tego domu znaną kryminalistkę! – Nie spojrziała na Sirix przy tych słowach. – A teraz oskarżasz mnie, że próbowałam ci podłożyć bombę? Nie zdziwiłabym się, gdybyś to ty wszystko uknęła.

– Widzisz? – powiedziałam do asystentki Raughd, która wciąż stała zapłakana. – To wcale nie twoja wina.

– Łatwo będzie, obywatelko – powiedziała zachmurzona sędzia do Raughd – sprawdzić zeznania twojej służącej. – Widziałam, że Fosyf zauważyła tę zmianę z „Raughd” na bardziej oficjalną „obywatelkę”. – Ale powinniśmy to omówić gdzie indziej. Myślę, że najlepiej zatrzymaj się u mnie w mieście, dopóki tego nie wyprostujemy.

Oczywiście służąca Raughd i Queter nie otrzymały takiego zaproszenia. Pozostaną zamknięte w celach, dopóki Służba Bezpieczeństwa ich nie przesłucha, a potem przejdą stosowną reedukację. Jednak nie ulegało wątpliwości, co znaczy takie zaproszenie.

Fosyf bynajmniej nie miała wątpliwości. Gestem wyraziła konsternację.

– Powinnam była przewidzieć, że do tego dojdzie. Zbyt długo chroniłam Raughd. Ciągle miałam nadzieję, że się poprawi. Ale nigdy nie myślałam... – Urwała, widocznie niezdolna wyrazić, czego nigdy nie myślała. – Pomyśleć, że mogłam zostawić swoją herbatę w rękach kogoś, kto robi takie rzeczy.

Raughd zamarła w absolutnym bezruchu na pełną sekundę.

– Nie zrobiłabyś tego – powiedziała głosem niewiele silniejszym od szeptu. Jakby nie mogła mówić głośniej.

– Jaki mam wybór? – zapytała Fosyf, ucieleśnienie zranionej rozpacz.

Raughd się odwróciła. Trzema długimi krokami podeszła do serwisu na stojaku. Zdjęła skrzynkę, uniosła ją obiema rękami nad głowę i cisnęła na podłogę. Porcelana roztrzaskała się, błękitne i zielone odłamki rozsypały się dookoła. Piątka Kair, stojąca przy drzwiach, wydała cichuteńki dźwięk, słyszalny tylko dla mnie i dla niej.

Potem zapadła cisza. Nikt się nie odezwał, nikt się nie poruszył. Po paru chwilach w drzwiach pojawiła się służąca, widocznie zwabiona brzękiem tłuczonych naczyń.

– Pozamiataj ten bałagan – rozkazała Fosyf, kiedy ją zauważyła. Całkiem spokojnym głosem. – I wyrzuc.

– Wyrzucasz to? – zapytałam, częściowo ze zdziwienia, częściowo żeby zagłuszyć kolejny cichutki jęk protestu Piątki.

Ruch ręki Fosyf wyrażał obojętność.

– Teraz jest nic niewarte.

Sędzia odwróciła się do Queter, która przez cały czas stała wyprostowana i milcząca.

– Tego chciałaś, Queter? Całego tego cierpienia, rozpadu rodziny? Za skarby świata nie mogę pojąć, dlaczego nie włożyłaś swojej oczywistej determinacji i energii w pracę, żeby polepszyć byt swój i swojej rodziny. Zamiast tego budowałaś i podsyciałaś tę... tę urazę, a teraz

masz... – Objęła gestem pokój, całą tę sytuację. – To.

Bardzo spokojnie, bardzo powoli Queter odwróciła się do mnie.

– Miałaś rację co do samooszukiwania, obywatelko – oznajmiła opanowanym głosem, jakby wygłaszała uwagę o pogodzie. Po radchaajsku, chociaż mogła równie dobrze użyć delsig, wiedząc, że zrozumiem. Jej uwaga nie była adresowana do mnie. Jednak odpowiedziałam.

– I tak zamierzałaś mówić, gdybyś tylko miała szansę, bez względu na to, czy to coś pomoże.

Uniosła ironicznie brew.

– Tak – przyznała. – Zamierzałam.

Rozdział 18

Od chwili kiedy opuściliśmy salon Fosyf, Sirix była spięta i milcząca. Nie wymówiła ani słowa niemal przez całą drogę powrotną na stację Athoek. To był imponująco długi okres milczenia, ponieważ z powodu obrażeń „Miecza Atagaris” potrzebowałyśmy więcej miejsc na promie pasażerskim kursującym z windy do stacji, więc musiałyśmy zaczekać cały dzień na lot z dodatkowymi wolnymi kabinami.

Sirix odezwała się dopiero wtedy, kiedy siedzieliśmy w promie, przypięte pasami do foteli, i godzina dzieliła nas od dokowania na stacji. Piątka i Ósemka, siedzące za nami, zajmowały się głównie siostrą Queter, która bardzo źle zniosła cały lot. Czuli się zdezorientowana wśród obcych, tęskniła za domem i mdliło ją w mikrogravitacji, ale nie chciała wziąć żadnych lekarstw na mdłości. Dodatkowo niepokoiło ją, że jej łzy przyklejały się do oczu albo odrywały się w małych płynnych kuleczkach, kiedy ocierała twarz. Wreszcie zasnęła.

Sirix przyjęła proponowane leki, zatem fizycznie nic jej nie dolegało, ale była przygnębiona, odkąd wyjechałyśmy z gór. Nawet wcześniej, pomyślałam. Wiedziałam, że nie lubi Raughd, przeciwnie, ma wszelkie powody, żeby jej nienawidzić, podejrzewałam jednak, że ze wszystkich ludzi obecnych w pokoju tamtego dnia tylko ona rozumiała, jak się czuła Raughd, słysząc, że jej matka tak swobodnie, tak spokojnie mówi o jej wydziedziczeniu. Rozumiała impuls, który kazał Raughd rozbić zabytkowy serwis do herbaty, tak wysoko ceniony przez jej matkę, przedmiot jej dumy. Obywatelka Fosyf nie zmieniła zdania ani w sprawie córki, ani w sprawie serwisu. Piątka Kair wygrzebała ze śmieci skrzynkę oraz odłamki porcelany i szkła, potraskane szczątki filiżanek i dzbanka, które przetrwały nietknięte ponad trzy tysiące lat. Aż do teraz.

– Więc to była sprawiedliwość? – zapytała Sirix. Cicho, jakby nie mówiła do mnie, chociaż nikt inny nie mógł jej słyszeć.

– Czym jest sprawiedliwość, obywatelko? – odpowiedziałam pytaniem. – Gdzie znajdziemy sprawiedliwość w tej całej sytuacji? – Sirix milczała, albo z gniewu, albo z braku odpowiedzi. Oba pytania były trudne. – Mówimy o tym, jakby to była prosta sprawa, kwestia

właściwego postępowania, trywialna jak podwieczorek i pozostaje tylko pytanie, kto zje ostatnie ciastko. Takie proste. Przypisać winę winowajcy.

– A to nie jest takie proste? – zapytała Sirix po kilku chwilach milczenia. – Są dobre uczynki i złe. A jednak myślę, że gdybyś była sędzią, puściłabyś obywatelkę Queter wolno.

– Gdybym była sędzią, byłabym zupełnie inną osobą. Ale z pewnością mniej współczujesz obywatelce Queter niż obywatelce Raughd.

– Proszę, kapitanie floty – powiedziała po trzech długich, powolnych oddechach. Rozgniewałam ją. – Proszę, nie rozmawiaj ze mną jak z głupią. Spędziłaś noc w domu robotnic. Widocznie znasz Valskaayanki i biegle mówisz w delsig. A jednak to zadziwiające, że poszłaś tam sama i następnego ranka wróciłaś z Queter. Bez protestów, bez trudności. I zanim jeszcze wyjechałyśmy z domu... zanim sędzia wyjechała... robotnice połowę przysłały Fosyf listę żądań. Chwilowo Fosyf nie może liczyć na bezwzględne poparcie sędzi.

Dopiero po chwili zrozumiałam, o co jej chodzi.

– Myślisz, że je do tego namówiłam?

– Nie wierzę, że to zwykły przypadek, że niewykształcone i niecywilizowane robotnice połowę, które przez dziesięć lat z okładem nie mogły się zdobyć na strajk, postanowiły zastrajkować akurat teraz.

– To wcale nie przypadek. I chociaż brak im wykształcenia, bynajmniej nie są niecywilizowane. Doskonale potrafią zaplanować coś takiego samodzielnie. Rozumieją pozycję Fosyf równie dobrze jak każdy. Może lepiej niż wielu innych.

– A to, że Queter poszła z tobą tak chętnie, nie należało do umowy? Nie otrzyma łagodnego wymiaru kary? A tymczasem życie obywatelki Raughd jest zniszczone.

– Żadnego współczucia dla Queter? Raughd kierowała się złośliwością i urażoną dumą, i zniszczyłaby nie tylko mnie, gdyby jej się udało. Queter znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Cokolwiek by zrobiła, skończyłoby się źle.

Chwila milczenia.

– Musiała tylko od razu pójść do sędzi.

Potrzebowałam paru chwil, żeby zrozumieć, dlaczego właśnie Sirix uważa, że Queter mogła lub powinna to zrobić.

– Zdajesz sobie sprawę – powiedziałam wreszcie – że obywatelka Queter nigdy nie zbliżyłaby się nawet na kilometr do sędzi okręgowej, gdybym wyraźnie tego nie zażądała. I zechciej sobie przypomnieć, co zwykle się działo w przeszłości, kiedy obywatelka Raughd źle się zachowywała.

– A jednak, gdyby porozmawiała z kim należy, zostałaby wysłuchana.

Wiedziała, że Queter słusznie nie spodziewała się żadnej pomocy od sędzi okręgowej.

– Zdecydowała się postąpić tak, nie inaczej, i nie da się uniknąć konsekwencji. Bardzo wątpię, czy otrzyma łagodny wymiar kary. Ale nie potępiam jej. Gotowa była się poświęcić, żeby chronić siostrę. – Kto jak kto, ale Sirix powinna przynajmniej to zaaprobować. – Myślisz, że gdyby lord Radch tu była, przejrzałaby wszystko, zważyłaby każdy czyn i serce każdego z

ludzi? Żeby zapewnić doskonałą sprawiedliwość? Uważasz za możliwe, żeby ktokolwiek kiedykolwiek dostał dokładnie to, na co zasługuje, nie mniej i nie więcej?

– Tym właśnie jest sprawiedliwość, czyż nie, obywatelko? – zapytała Sirix, pozornie spokojna, ale słyszałam nieznaczne napięcie w jej głosie, głuchy ton, który zdradzał jej gniew. – Gdyby Raughd albo Queter chciały się odwołać od wyroku, nie ma takiej możliwości, odkąd jesteśmy odcięci od Pałaców. Ty jesteś naszą najbliższą instancją lord Radch, jednak wcale nie jesteś bezstronna. I zauważyłam, że za każdym razem, kiedy przybywasz do nowego miejsca, kierujesz się prosto na sam dół drabiny społecznej i tam zdobywasz sojuszników. Oczywiście głupio byłoby sądzić, że kuzynka Anaander Mianai może pojawić się gdziekolwiek i nie zaangażować się natychmiast w politykę. Ale teraz, kiedy widzę, że poszczułaś Valskaayanki na Fosyf, zastanawiam się, na kogo poszczujesz Ychana.

– Nie poszczułam Valskaayanek na nikogo. Robotnice potrafią samodzielnie zaplanować swoje działania i zapewniam cię, że to zrobiły. Co do Podogrodu, mieszkasz tam. Wiesz, jakie tam panują warunki, i wiesz, że dawno powinno się go naprawić.

– Mogłaś osobiście porozmawiać prywatnie z sędzią o Valskaayankach.

– Faktycznie porozmawiałam.

– Wiele problemów Ychana by się rozwiązało, gdyby tylko stały się lepszymi obywatelkami – ciągnęła Sirix, jakbym nic nie powiedziała.

– Jak dobrą obywatelką trzeba być – zapytałam – żeby mieć wodę i powietrze, i opiekę medyczną? I czy twoje sąsiadki wiedzą, że masz o nich taką złą opinię?

Nie wątpiłam, że wiedziały, podobnie jak valskaayańskie robotnice.

Przez resztę podróży Sirix się nie odzywała.

* * *

Porucznik Tisarwat czekała na nas w doku promu. Przywitała nas z ulgą, spodziewając się czegoś... przyjemnego, a może obawiając się tego samego. Kiedy mijaliśmy strumień innych pasażerów, spojrzałam przez oczy Piątki i Ósemki, zobaczyłam, że serwitorem „Miecza Atagaris” zajęły się medyczki i następny jego segment, a jeszcze jeden serwitor „Miecza Atagaris” zajął miejsce za plecami kapitan Hetnys.

Porucznik Tisarwat się ukloniła.

– Witaj z powrotem, pani.

– Dziękuję, poruczniku. – Odwróciłam się do kapitan Hetnys. – Kapitanie, spotkamy się jutro z samego rana.

Potwierdziła to ukłonem, a ja skierowałam nas przez korytarz w stronę windy, która zawiezie nas do Podogrodu. Festiwal Genitaliów dawno się skończył, nigdzie nie wisiły małe kolorowe penisy, a ostatnie foliowe opakowania po słodyczach trafiły do recyklingu.

I – chociaż już o tym wiedziałam, ponieważ zobaczyłam to oczami Tisarwat i Dziewiątki Bo – w wejściu do Podogrodu nie było połamanego stołu. Przy otwartych drzwiach sekcji wskaźnik informował, całkiem poprawnie i właściwie, że drzwi funkcjonują jak należy, z

powietrzem po obu stronach. Za drzwiami ciągnął się odrapany, ale jasno oświetlony korytarz. „Łaska Kair” pokazała mi drobny przypyływ dumy u porucznik Tisarwat. Nie mogła się doczekać, żeby mi to pokazać.

– Wszystkie drzwi sekcji prowadzące z Podogrodu na tym poziomie są naprawione, pani – oznajmiła Tisarwat, kiedy weszliśmy w korytarz Podogrodu. – Z drzwiami na drugim poziomie zrobili duże postępy. Trzeci i czwarty oczywiście są następne w kolejce.

Wyszliśmy na maleńki zaimprovizowany pasaż Podogrodu. Teraz dobrze oświetlony, fosforyzująca farba wokół drzwi herbaciarni ledwie widoczna, podobnie jak rozbryzgi i ślady stóp. Pośrodku otwartej przestrzeni, po obu stronach ławki stały dwie rośliny w doniczkach, kępki grubych spiczastych liści strzelających w górę, jeden czy dwa wysokie prawie na metr. Porucznik Tisarwat zobaczyła, że je zauważyłam, ale niczym nie zdradziła swojej obawy. Rośliny pojawiły się oczywiście na skutek jej rozmowy z Basnaaid. W jasnym świetle małe pomieszczenie wydawało się jeszcze mniejsze i nawet trochę zatłoczone, nie tylko przez mieszkanki, których rozpoznawałam, ale również przez przechodzących pracowników konserwacji w szarych kombinezonach.

– A kanalizacja? – zapytałam. Nie wspominając o roślinach.

– Ta część pierwszego poziomu ma już wodę. – Tisarwat powiedziała to z satysfakcją niemal przyćmiewającą lęk, że zauważę, iż spędzała czas z ogrodniczką. – Wciąż pracują nad innymi sekcjami, a prace na poziomie drugim dopiero się rozpoczęły. W niektórych miejscach idzie powoli, pani, a poziom czwarty niestety... wciąż stwarza utrudnienia pod tym względem. Tutejsze mieszkanki zgodziły się, że najlepiej zacząć tam, gdzie żyje większość ludzi.

– I słusznie, poruczniku. – Oczywiście większość z tego już wiedziałam, miałam na oku Tisarwat, Dziewiątkę Bo i Dziesiątkę Kair, pilnowałam, co się dzieje na stacji, kiedy byłam na dnie studni.

Za mną, za plecami Tisarwat przystanęła Sirix, zmuszając do tego samego Piątkę i Ósemkę, które prowadziły wciąż milczącą i nieszczęśliwą siostrę Queter.

– A co z tymi mieszkankami? Czy ciągle mam swoją kwaterę, poruczniku?

Tisarwat obdarzyła ją wypraktykowanym dyplomatycznym uśmiechem, który często stosowała w ciągu zeszłego tygodnia.

– Wszyscy zamieszkali w Podogrodzie w czasie, kiedy rozpoczęto prace, otrzymali oficjalny przydział na zajmowane kwatery. Twój pokój wciąż należy do ciebie, obywatelko, chociaż teraz jest lepiej oświetlony, a wkrótce będzie lepiej wentylowany. – Odwróciła się do mnie. – Były pewne... obawy co do instalacji kamer.

W rzeczywistości odbyło się burzliwe zebranie z administratorką stacji Celar, tutaj, w tym maleńkim pasażu (windy jeszcze nie jeździły), które Tisarwat zorganizowała z pomocą czystej siły woli połączonej z takim natężeniem wdzięku, jakie zaskoczyło nawet mnie, chociaż podejrzewałam, do czego jest zdolna. Żadnej Służby Bezpieczeństwa, tylko Tisarwat siedząca obok administratorki stacji.

– Ostatecznie zdecydowano, że kamery zostaną umieszczone w korytarzach, ale nie w

mieszkaniach, chyba że na żądanie mieszkanek.

Sirix skwitowała to krótkim, drwiącym „Ha!”.

– Dla niektórych nawet kamery w korytarzach to będzie za dużo. Ale lepiej pójść do domu i zobaczę, co tam zrobiliście.

– Myślę, że będziesz zadowolona, obywatelko – odparła Tisarwat, wciąż w trybie dyplomatycznym. – Ale jeśli będziesz miała jakieś problemy czy skargi, proszę, nie wahaj się zawiadomić mnie albo kogoś z „Łaski Kair”.

Sirix nie odpowiedziała, tylko skłoniła się i odeszła.

– Możesz odsyłać ludzi bezpośrednio do administracji stacji – powiedziałam, domyślając się, co niepokoiło Sirix. Poszłam dalej, wprawiając w ruch naszą małą procesję. Skręciłyśmy za róg i zobaczyłyśmy rozsuwające się drzwi wind, gotowe na nasze przyjęcie. Stacja nas obserwowała.

Na „Łasce Kair” Seivarden stała naga pod prysznicem, obsługiwana przez jedną z Amaat.

– Więc kapitan floty wróciła bezpiecznie – powiedziała.

– Tak, poruczniku. – Amaat mówiąca za statek.

Na stacji Athoek, w Podogrodzie, weszłam do windy z Tisarwat, moimi Kair i siostrą Queter. „Łaska Kair” pokazała mi chwilowe zwątpienie porucznik Tisarwat, która zastanawiała się nie po raz pierwszy, czy z dołu nie śledziłam każdego jej ruchu.

– Wiem, że powinnam ich wysłać do stacyjnej administracji, pani. Ale większość tutejszych mieszkanek woli tam nie chodzić. Jesteśmy bliżej. I my to zaczęłyśmy, i mieszkamy tu. W przeciwieństwie do tych z administracji. – Zawahała się. – Nie wszyscy tutaj są z tego zadowoleni. Kwitnie tutaj drobny przemysł. Trochę kradzionych towarów, trochę nielegalnych narkotyków. Nikt, kto z tego żyje, nie chce, żeby stacja go obserwowała, nawet tylko w korytarzach.

Znowu pomyślałam o Seivarden, która z determinacją postanowiła nigdy więcej nie brać kefu i na razie wytrwała w tej decyzji. Ale kiedy brała, wykazywała imponującą zdolność znajdowania źródeł narkotyku i zawsze potrafiła go zdobyć, w każdym miejscu. Dobrze, że zostawiłam jej dowodzenie „Łaską Kair” i nie przywiozłam jej tutaj.

W łazience na „Łasce Kair” Seivarden skrzyżowała ramiona. Rozprostowała. Gest, który pamiętałam sprzed miesiący. Zdziwił obsługującą ją Amaat, chociaż jedynym zewnętrznym przejawem tego zdziwienia były dwa szybkie mrugnięcia. Na wizji Amaat pojawiły się słowa: „Bardzo się martwiłaś”.

– Bardzo się martwiłaś – powiedziała Amaat w imieniu statku.

W windzie w Podogrodzie na stacji Athoek duma Tisarwat ze wszystkich osiągnięć, które mi demonstrowała, nagle ustąpiła przed falą lęku i wstrętu do siebie, ukrytych głęboko przez cały czas.

– Widzę to, kapitanie floty – powiedział do mnie statek, zanim zdążyłam zareagować. – Prawie całkiem nad tym panuje. Twój powrót chyba trochę ją zestresował. Martwi się, że nie wyrazisz aprobaty.

Na „Łasce Kair” Seivarden nie odpowiedziała statkowi od razu. Rozpoznała swój gest krzyżowania ramion i zawstydzila się, że zdradził zbyt wiele o obecnym stanie jej umysłu.

– Oczywiście, że się martwiłam – powiedziała wreszcie. – Ktoś próbował zabić moją kapitan.

Amaat wylała miarkę wody na głowę Seivarden, która prychała, żeby woda nie dostała się do ust i do nosa.

W windzie w Podogrodzie Tisarwat powiedziała do mnie:

– Przez ostatnich kilka dni zgłaszano skargi poza Podogrodem w sprawie przydziałów mieszkaniowych. – Pozornie spokojna, tylko nieznacznym śladem emocji w głosie. – Niektórzy uważają za niesprawiedliwe, że Ychana nagle otrzymują luksusowe kwatery i tyle miejsca, chociaż na to nie zasługują.

– Cóż za mądrość – zauważyłam sucho – żeby wiedzieć, kto na co zasługuje.

– Pani – rzuciła Tisarwat w świeżym przypływie poczucia winy. Chciała powiedzieć więcej, ale się rozmyśliła.

– Wybacz, że o tym wspominałam – powiedział statek do Seivarden głosem Amaat. – Rozumiem, że wstrząsnął tobą zamach na życie kapitan floty. Mną też wstrząsnął. Ale jesteś żołnierką, porucznikiem. Podobnie jak kapitan floty. Co wiąże się z pewnym ryzykiem. Powinnaś być do tego przywykła. Kapitan floty na pewno przywykła.

Seivarden czuła się podwójnie bezbronna, stojąc w łazience, obnażona. Obnażona przez pytanie statku.

– Ona nie miała ryzykować, tylko siedzieć w ogrodzie i popijać herbatę, statku. – I milcząco, lekkim drganiem palców: „Ty też nie chcesz jej stracić”. Nie chciała tego mówić na głos w obecności Amaat.

– Nikt nie jest całkowicie bezpieczny, poruczniku – oświadczył statek przez usta Amaat, a potem na wizji Seivarden pojawiły się słowa: „Z całym szacunkiem, poruczniku, może powinnaś się skonsultować z medyczką”.

Panika ze strony Seivarden, tylko przez moment. Amaat zobaczyła ze zdumieniem, jak Seivarden sztywnieje. Zobaczyła w swojej wizji słowa statku: „Wszystko w porządku, Amaat. Kontynuuj”.

Seivarden zamknęła oczy i wzięła głęboki, uspokajający oddech. Nie powiedziała statkowi ani medycze o swoich dawnych kłopotach z kefem. Przekonana, jak wiedziałam, że te kłopoty ma już za sobą.

Statek przemówił na głos... a raczej pokazał Amaat to, co chciał powiedzieć, i Amaat to powiedziała.

– Nie możesz się martwić o przejęcie dowództwa, gdyby coś się stało. Niegdyś dowodziłaś własnym statkiem.

Seivarden nie odpowiedziała, tylko stała nieruchomo na kratce, podczas gdy jej Amaat robiła, co trzeba. Te słowa były przeznaczone zarówno dla uszu Amaat, jak Seivarden.

– Nie, statku, tym się nie martwię. – Odpowiedź Seivarden również przeznaczona była głównie dla uszu Amaat. Milcząco dodała: „Więc ci powiedziała”.

„Nie musiała – wyświetlił statek na wizji Seivarden.

– Mam trochę doświadczenia w świecie, poruczniku, i widzę cię na wylot”.

Na głos powiedział:

– Miałaś rację. Kiedy kapitan floty pakuje się w kłopoty, to już nie byle jakie. Z pewnością do tego przywykłaś.

– Niełatwo przywyknąć do czegoś takiego – odparła Seivarden, siląc się na lekki, rozbawiony ton. I nie dodała, na głos ani bezgłośnie, że porozmawia z medyczką.

W windzie w Podogrodzie na stacji Athoek powiedziałam do porucznik Tisarwat:

– Muszę jak najszybciej porozmawiać z gubernator Giarod. Jeśli pójde do rezydencji gubernator, żeby ją zaprosić na kolację, czy będzie mogła przyjąć zaproszenie?

Moja ranga i pozorny status społeczny pozwalały mi na pewną swobodę w przestrzeganiu zasad przyzwoitości oraz arogancką władczość nawet wobec gubernator układu, ale sprawa, którą chciałam z nią omówić, wymagała trochę delikatności. I chociaż mogłam po prostu wysłać to pytanie do Piątki, która załatwiała dla mnie takie rzeczy, wiedziałam, że właśnie teraz trzy obywatelki (wśród nich kuzynka Skaaiat Awer) rozsiadły się w moim salonie i popijały herbatę, czekając na Tisarwat. To nie miało być wyłącznie towarzyskie spotkanie.

Porucznik Tisarwat zamruwała. Zaczerpnęła tchu.

– Dowiem się, pani. – Znowu odetchnęła, z pewnym wysiłkiem powstrzymała się od zmarszczenia brwi. – Czy zamierzałaś zjeść kolację w domu, pani? Nie wiem, czy mamy

cokolwiek odpowiedniego dla gubernator układu.

– To znaczy – powiedziałam spokojnie – że obiecałaś kolację swoim przyjaciółkom i masz nadzieję, że nie Gubernator zacerpnęła tchu, gotowa się sprzeczać o „co zbudowały”, jak sądziłam. Nie dopuściłam jej do głosu.

– Ale zaprosiłam cię, ponieważ chciałam porozmawiać o valskaayańskich przesiedleńcach. Mogłam zapytać wcześniej, z dołu, ale zajmowanie się interesami podczas pełnej żałoby byłoby całkowicie niestosowne.

Gubernator Giarod zamrugła. Znowu odłożyła sztuciec, który właśnie podniosła.

– Valskaayańscy przesiedleńcy? – Wyraźnie się zdziwiła. – Wiem, że interesujesz się Valskaay, sama tak powiedziałaś zaraz po przyjeździe. Ale...

Ale to nie tłumaczyło pospiesznego, nagłego zaproszenia na prywatny obiad, niecałą godzinę po moim wyjściu z pasażerskiego promu, który mnie przywiózł z windy na Athoek.

– Rozumiem, że przydzielają ich niemal wyłącznie na górskie plantacje herbaty, czy tak?

– Tak mi się zdaje.

– I jest ich jeszcze trochę w magazynach?

– Oczywiście.

Teraz dochodzimy do delikatnego etapu.

– Chciałabym, żeby ktoś z mojej załogi osobiście obejrzał pomieszczenia, gdzie są trzymane. Chciałabym – ciągnęłam wobec milczenia zaskoczonej gubernator – porównać oficjalny stan z rzeczywistym.

Dlatego musiałyśmy zjeść kolację tutaj. Nie w rezydencji gubernator i z pewnością nie w żadnym lokalu, choćby najmodniejszym czy teoretycznie dyskretnym.

– Znane ci są plotki, że w przeszłości samirendzkie przesiedleńcy nie były wykradane i sprzedawane poza–układowym handlarzom niewolnic?

Gubernator Giarod westchnęła.

– To tylko plotki, kapitanie floty, nic więcej. Samirendki w większości stały się dobrymi obywatelkami, ale niektóre wciąż żywią pewne zadawnione resentymenty. Athoeki rzeczywiście praktykowały odpracowywanie długów i istniał międzyukładowy handel niewolnicami, ale to się skończyło przed naszym przybyciem. I nie sądzę, żeby od tamtej pory coś takiego było możliwe. Każdy przesiedleńca ma lokalizator, również każda kapsuła kriogeniczna, wszystkie są ponumerowane i zindeksowane i nikt nie może wejść do magazynu bez odpowiednich kodów dostępu. Każdy statek w układzie też ma własny lokalizator, więc nawet gdyby ktoś zdobył dostęp i jakoś wyniósł kapsuły bez autoryzacji, łatwo byłoby określić, który statek znajduje się nie tam, gdzie powinien.

W rzeczywistości gubernator wiedziała o trzech statkach wewnątrz układu, które nie miały widocznych dla niej lokalizatorów. Należał do nich mój statek.

Gubernator ciągnęła:

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego dajesz wiarę takim plotkom.

– Magazyn nie ma SI? – zapytałam. Gubernator Giarod odpowiedziała przeczącym gestem.

Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. – Więc jest w zasadzie zautomatyzowany. Bierzesz kapsułę i system ją rejestruje.

– Pracują tam również ludzie, którzy wszystkiego doglądają. Obecnie to nudna służba.

– Jedna albo dwie osoby – odgadłam. – I służą przez kilka miesięcy albo może rok, a potem ktoś ich zmienia. I od lat nikt nie zabiera przesiedleńczyń, więc nie ma powodu, żeby przeprowadzać inwentaryzację. I jeśli te magazyny przypominają ładownie na transporterze wojskowym, to nie można tam po prostu wejść i się rozejrzeć. Kapsuły kriogeniczne nie są ładnie ustawione w rzędach, między którymi można przejść, tylko ciasno stłoczone i w razie potrzeby wyciąga je maszyna. Można tam wejść i przeprowadzić fizyczną inwentaryzację, ale to niewygodne i nikt nie widzi takiej potrzeby.

Gubernator Giarod patrzyła na mnie w milczeniu, zapomniawszy o swojej rybie, herbata jej wystygła.

– Dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego? – zapytała wreszcie.

– Jeśli jest popyt na niewolnice albo narządy, powiedziałabym, że dla pieniędzy. Wątpię, czy jest taki popyt, ale mogę się mylić. Jednak ciągle myślę o tych wszystkich okrętach wojennych, które już nie mają serwitorów, i o wszystkich ludziach, którzy tego żałują.

Całkiem możliwe, że kapitan Hetnys należała do tych ludzi. Jednak tego nie powiedziałam.

– Na twoim statku nie ma serwitorów – zauważyła gubernator Giarod.

– Nie ma – potwierdziłam. – To, czy statek ma serwitory, czy nie ma, nie jest miarodajnym wskaźnikiem jego opinii o tym, że już ich nie tworzymy.

Gubernator Giarod zamrużyła, zdziwiona i jakby zbита z tropu.

– Opinia statku się nie liczy, prawda? Statki robią, co im się każe. – Zmilczałam, chociaż miałabym sporo do powiedzenia na ten temat. Gubernator westchnęła. – No i zastanawiałam się, jakie to ma znaczenie, skoro trwa wojna domowa, która może dotrzeć aż tutaj. Teraz widzę związek, kapitanie floty, ale nadal uważam, że gonisz za płótką. I nawet nie słyszałam nic o Valskaayankach z czasów przed moim przyjazdem, tylko o Samirendkach.

– Daj mi kody dostępu. – Mogłam wysłać „Łaskę Kair”. Seivarden miała doświadczenie z ładowniami transportowców wojskowych, wiedziałaby, co robić, gdybym jej powiedziała, czego chcę. W tej chwili pełniła wachtę w centrum dowodzenia. Nieswoja po tamtej rozmowie ze statkiem. Powstrzymująca odruch, żeby skrzyżować ramiona. Obok jakaś Amaat nuciała pod nosem. „Matka mi mówiła, że wszystko się kręci”. – Sama się tym zajmę. Jeśli wszystko jest tak, jak powinno, nic nie stracisz.

– No cóż. – Spuściła wzrok na swój talerz, podniosła sztuciec, zrobiła ruch, jakby chciała nabrać kawałek ryby, ale zrezygnowała. Opuściła dłoń. Zmarszczyła brwi. – No cóż – powtórzyła. – Jednak miałaś rację co do Raughd Denche.

Ciekawiło mnie, czy o tym wspomni. Podejrzewałam, że fakt wydziedziczenia Raughd stanie się powszechnie znany w ciągu jednego dnia. Plotki o szczegółach tego, co się stało, dotrą w końcu na stację, ale nikt o tym otwarciu nie wspomni, przynajmniej w mojej obecności. Natomiast gubernator Giarod była tu jedyną osobą z dostępem do pełnego urzędowego raportu.

– Nie cieszy mnie, że miałam rację – mruknęłam.

– Nie. – Gubernator Giarod znowu odłożyła sztuciec. Westchnęła.

– Chciałabym też – podjęłam, zanim zdążyła coś dodać – żebyś poleciała planetarnej wicegubernator zbadać warunki życia i pracy robotnic polowych na górskich plantacjach herbaty. Podejrzewam zwłaszcza, że ich płace są nieuczciwie skalkulowane.

Całkiem możliwe, że robotnice dostaną, czego chcą, od sędzi okręgowej. Ale nie liczyłam na to za bardzo.

– Co ty próbujesz osiągnąć, kapitanie floty? – Gubernator Giarod wydawała się szczerze zakłopotana. – Przylatujesz tu i idziesz prosto do Podogrodu. Zjeżdżasz na dół i nagle pojawiają się problemy z Valskaayankami. Myślałam, że twoim priorytetem jest zapewnienie bezpieczeństwa obywatelkom w tym układzie.

– Gubernatorze – odpowiedziałam. Bardzo spokojnie, opanowanym głosem. – Mieszkanki Podogrodu i Valskaayanki, które zbierają herbatę, to są obywatelki. Nie spodobało mi się to, co zastałam w Podogrodzie, i nie spodobało mi się to, co zastałam na dole w górach.

– A kiedy czegoś chcesz – rzuciła gubernator ostrym tonem – żądasz tego i spodziewasz się, że to dostaniesz.

– Ty też – odparłam. Poważnie. Wciąż spokojnie. – To się należy gubernator układu, prawda? A na twoim stanowisku możesz sobie pozwolić na ignorowanie spraw, których nie uważasz za ważne. Jednak ta lista ważnych spraw wygląda zupełnie inaczej, jeśli zajmujesz inne stanowisko.

– Banał, kapitanie floty. Ale z niektórych miejsc widać mniej niż z innych.

– A skąd wiesz, że twoje miejsce takie nie jest, jeśli nigdy nie próbowałaś spojrzeć z innego punktu widzenia?

– Gubernator Giarod nie odpowiedziała od razu. – Mówimy tu o dobrobycie obywatelk. Westchnęła.

– Fosyf już się ze mną skontaktowała. Chyba wiesz, że jej robotnice grożą przerwaniem pracy, jeśli ona nie wypełni całej listy żądań?

– Dowiedziałam się dopiero parę godzin temu.

– Zawierając z tymi ludźmi umowę w takich okolicznościach, nagradzamy ich za to, że nam grożą. Myślisz, że nie spróbują tego ponownie, skoro raz w ten sposób zdobyli, czego chcieli? A my potrzebujemy tutaj spokoju.

– „Ci ludzie” to obywatelki – powtórzyłam głosem tak spokojnym i opanowanym, że brzmiał niemal jak martwo obojętny głos serwitora. – Kiedy zachowują się przyzwoicie, mówisz, że nie ma problemu. Kiedy skarżą się głośno, mówisz, że same sobie stwarzają problemy przez swój brak przyzwoitości. A kiedy są doprowadzone do ostateczności, mówisz, że nie możesz nagradzać takiego postępowania. Czego trzeba, żebyś zaczęła słuchać?

– Nie rozumiesz, kapitanie floty, to nie tak...

Przerwałam jej, nie zważając na przyzwoitość.

– I co cię kosztuje rozważenie takiej możliwości?

– Właściwie mogło ją bardzo dużo kosztować. Musiałaby przyznać przed sobą, że nie jest taka sprawiedliwa, za jaką się zawsze uważała. – Powinniśmy tutaj rządzić w taki sposób, żeby bez względu na to, co się dzieje poza tym układem... nawet gdybyśmy nigdy więcej nie usłyszały o lord Radch, nawet gdyby padły wszystkie bramy w przestrzeni Radchaai... Bez względu na to, co się dzieje gdzie indziej, ten układ był stabilny i bezpieczny. Nie osiągniemy tego, posyłając uzbrojone żołnierki przeciw dziesiątkom czy setkom obywateli.

– A jeśli Valskaayanki postanowią się zbuntować? Albo, bogowie brońcie, Ychana tuż za drzwiami?

Czasami gubernator Giarod naprawdę doprowadzała mnie do rozpacz.

– Nie rozkażę żołnierzom strzelać do obywateli.

– Na odwrót, wyraźnie im rozkażę, żeby nie strzelały.

– Ludzie nie buntują się bez powodu. A jeśli odkrywasz, że musisz teraz ostrożnie się obchodzić z Ychana, to z powodu tego, jak je traktowano w przeszłości.

– Powinam spojrzeć z ich punktu widzenia, tak?

– zagadnęła z uniesioną brwią, z nutą ironii w głosie.

– Powinnaś – zgodziłam się. – Możesz jedynie wyłapać je wszystkie i albo reedukować, albo zabić.

Pierwsze przekraczało możliwości stacyjnej Służby Bezpieczeństwa. A ja już zapowiedziałam, że nie pomogę w drugim.

Gubernator skrzywiła się ze zgrozą i wstrętem.

– Za kogo ty mnie bierzesz, kapitanie floty? Dlaczego sądzisz, że ktokolwiek tutaj dopuszczałby w ogóle takie rozwiązanie?

– Jestem starsza, niż wyglądam – odparłam. – Uczestniczyłam w niejednej aneksji. Widziałam, jak ludzie robią rzeczy, których rok czy miesiąc wcześniej przysięgali nigdy, ale to nigdy nie robić.

Porucznik Tisarwat siedziała przy kolacji ze swoimi towarzyszami: cioteczną wnuczką szefowej Służby Bezpieczeństwa stacji, młodą trzecią kuzynką plantatorki herbaty... nie Fosyf, tylko jednej z tych, których herbatę Fosyf protekcyjnie określiła jako „pryzwoitą”. Kuzynką Skaaiat Awer. I obywatelką Piat. Tisarwat narzekała na mój okropny, nieużyty charakter, nieczuły na wszelkie prośby. Basnaaid oczywiście tam nie było. Nie obracała się w tych kręgach towarzyskich, a poza tym kazałam Tisarwat trzymać się od niej z daleka.

Gubernator układu Giarod odezwała się po drugiej stronie stołu w jadalni w mojej kwaterze w Podogrodzie.

– Dlaczego myślisz, kapitanie floty, że jestem taka jak ci ludzie?

– Każdy jest potencjalnie taki jak ci ludzie, gubernatorze – odparłam. – Najlepiej się tego dowiedzieć, zanim zrobisz coś, z czym trudno ci będzie żyć.

Najlepiej się tego dowiedzieć, zanim ktoś – albo wielu kłósiów – umrze, żeby cię tego nauczyć. Ale nielato było opanować tę lekcję w inny sposób, o czym wiedziałam z bardzo osobistego doświadczenia.

Rozdział 19

Seivarden natychmiast zrozumiała moje instrukcje dotyczące przechowalni przesiedleńczyń.

– Chyba nie myślisz poważnie – powiedziała na głos, siedząc na krawędzi łóżka w swojej kwaterze, do mojego ucha, kiedy siedziałam w Podogrodzie – że ktoś ukradł ciała. – Zamilkła na chwilę. – Dlaczego ktoś miałby to zrobić? I jak mogło mu się udać? To znaczy podczas aneksji – wykonała gest na wpół odzeganujący się, na wpół lekceważący – zdarzają się różne rzeczy. Nie zdziwiłabym się, gdybyś mi powiedziała, że ktoś sprzedawał ludzi handlarzom niewolnic w takim czasie.

Jednak kiedy już dana osoba została oznakowana, opisana, zewidencjonowana, sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Wiedziałam równie dobrze jak Seivarden, co się działo z ludźmi podczas aneksji – ludźmi, którzy nie byli Radchaa. Wiedziałam również, że przypadki sprzedaży ludzi w ten sposób zdarzały się coraz rzadziej – żadna żołnierka Radchaa nie mogła nawet odetchnąć bez wiedzy swojego statku.

Oczywiście od kilkuset lat lord Radch odwiedzała statki i zmieniała kody dostępu. Podejrzewałam, że przekazywała te kody ludziom, na których poparcie liczyła, żeby mogli działać w sekrecie, niewidzialni dla statków i stacji, które inaczej doniosłyby na nich władzom. Niewłaściwej połowie Anaander Mianaai.

– Jeśli potrzebujesz serwitorów – powiedziałam cicho, sama w pokoju po wyjściu gubernator Giarod – te ciała mogą się przydać.

Seivarden przez chwilę rozważała to w milczeniu. Nie podobały jej się wnioski, do jakich doszła.

– Druga strona ma tutaj siatkę szpiegów. Tak mówiłaś.

– Nie jesteśmy po żadnej stronie – przypomniałam jej. – I oczywiście, że ma. Wszędzie, gdzie jest jedna strona, jest też druga strona. Ponieważ są tym samym. Nic dziwnego, że działają tu agenci tamtej części tyranki. – Nigdzie w przestrzeni Radch nie dało się uciec przed Anaander Mianaai.

– Ale przyznam, że czegoś takiego się nie spodziewałam.

– Potrzeba nie tylko ciał – wytknęła. Oparła się plecami o ścianę. Skrzyżowała ramiona. Wyprostowała.

– Trzeba zainstalować sprzęt. – Potem dodała przepaszająco: – Sama wiesz.

– Mogą go też magazynować. Albo mogą polegać na transportowcu. – Transportowiec wojskowy mógł zbudować taki sprzęt, mając czas i odpowiednie materiały. Niektóre „Miecze” i „Łaski”, nadal obsadzone serwitorami, miały takie rzeczy w magazynach jako rezerwę. Teoretycznie tylko tam można było je dostać. Już nie. Częściowo dlatego lord Radch miała taki problem z Tisarwat: nie mogła łatwo zdobyć odpowiedniej techniczki, musiała zmodyfikować własną. – A może wejdiesz tam i okaże się, że wszystko jest w porządku.

Seivarden prychnęła lekceważąco. Potem zauważyła:

– Nie ma tu wielu ludzi, którzy potrafią coś takiego zrobić.
– Nie ma – przyznałam.
– Zakładam, że to nie gubernator, skoro dała ci klucze do tego miejsca. Chociaż jak się zastanowić, nie bardzo mogła postąpić inaczej.
– Słusznie.
– I nie powiesz mi – westchnęła – kogo masz na oku. Bieg, będziemy całe dni od siebie. Chyba że przejdziemy przez bramę.
– Gdziekolwiek będziesz, i tak w razie czego nie przybiegniesz mi na pomoc.
– No tak – mruknęła Seivarden. Spięta i nieszczęśliwa. – No tak. Pewnie kilka następnych miesięcy będzie bardzo nudne. Zawsze tak jest.

Tak wyglądało życie nas obu. Gorączkowa akcja, a potem miesiące czy nawet lata czekania, żeby coś się stało.

– Nawet jeśli przylecą na Athoek, to nie od razu. Nie zajmujemy pierwszego miejsca na ich liście. – Chodziło jej prawdopodobnie o tę część lord Radch, która przegrała bitwę w Pałacu Omaugh, której stronnicy niszczyli bramy ze statkami w środku. A podróże międzyukładowe mogły zająć tygodnie, miesiące, nawet lata. – Pewnie nic się nie stanie przez całe wieki. – Potem uderzyła ją jakaś myśl. – Dlaczego nie wyślesz „Miecza Atagaris”? Tutaj on i tak niewiele robi.

Nie odpowiedziałam od razu, ale nie musiałam.

– Och, na cycki Aaatr. Oczywiście. Powinnam była od razu się połapać, ale nie przypuszczałam, że ta osoba... – wybór słowa ledwie uznającego człowieczeństwo zdradzał pogardę Seivarden dla kapitan Hetnys – ...jest na tyle sprytna, żeby coś takiego wykombinować. – Seivarden miała kiepską opinię o kapitan „Miecza Atagaris” od czasu śmierci tłumaczki Dlique. – Ale jak się zastanowić, to dziwne, że „Mieczowi Atagaris” tak zależało na zabranii tamtego modułu zaopatrzenia. Może powinniśmy zajrzeć na drugą stronę Bramy Duchów.

– Trochę się domyślam, co tam znajdziemy – przyznałam. – Ale najpierw najważniejsze. I nie martw się o mnie. Potrafię o siebie zadbać.

– Tak, pani – zgodziła się Seivarden.

* * *

Następnego ranka przy śniadaniu siostra Queter stała w milczeniu, ze spuszczonej oczami, kiedy Tisarwat i ja odmawialiśmy codzienną modlitwę. „Kwiat sprawiedliwości to pokój”. Milczała, kiedy wymieniałyśmy imiona zmarłych. Wciąż stała, kiedy usiadłyśmy.

– Siadaj, dziecko – powiedziałam do niej w delsig.

– Tak, Radchaai.

Posłusznie usiadła. Oczy nadal spuszczone. Podróżowała z moimi Kalr i jadła z nimi aż do tego poranka.

Tisarwat usiadła obok niej. Obrzuciła ją szybkim, zaciekawionym spojrzeniem. Odprężona,

a przynajmniej spokojna, skoncentrowana na sprawach, które chciała dzisiaj załatwić. Przepelniona ulgą, że nie rozmawiałam z nią – na razie – o inicjatywie, którą przejawiała, odkąd zjechałam na dół. Piątka przyniosła nam śniadanie: rybę i plastry bagrowca, oczywiście na błękitno-fioletowym Przylistku, którego jej brakowało, którym wciąż się cieszyła.

Jednak Piątka była niespokojna. Zeszłego wieczoru dowiedziała się o apartamentach zajętych przez Tisarwat dalej w korytarzu. Na razie nikt nas nie odwiedził, ale miałam pewność, że już tam siedzi na zaimprovizowanych krzesłach pół tuzina mieszkanek Podogrodu i czeka, żeby porozmawiać z porucznik Tisarwat. Później przyjdzie ich więcej. Skargi na trwające już naprawy i remonty, prośby, żeby inne miejsca przesunięto na bliższą lub dalszą pozycję w harmonogramie.

Piątka naląła herbatę – zauważyłam, że nie Córkę Ryb – i Tisarwat z apetytem zabrała się do śniadania. Siostra Queter nie tknęła swojej porcji, tylko wbijała wzrok we własne kolana. Pomyślałam, że źle się czuje... ale jeśli tęskniła za domem, prośba, żeby wypowiedziała na głos swoje uczucia, tylko pogorszy sytuację.

– Jeśli wolisz kaszę, Uran – zwróciłam się do niej w dalsig – Piątka ci przyniesie. – Coś jeszcze mi przyszło do głowy. – Nikt ci nie każe płacić za posiłki, dziecko.

– Wreszcie reakcja, nieznaczne uniesienie głowy. – To, co ci tutaj podają, to twój przydział żywności. Jeśli chcesz więcej, dostaniesz więcej, to nie dodatek. – W wieku szesnastu lat na pewno ciągle była głodna.

Podniosła wzrok, ledwie unosząc głowę. Zerknęła na Tisarwat, która zjadła już trzy czwarte swojej porcji ryby. Z wahaniem zaczęła od owocu.

Przeszłam na radchaai, który znała, jak wiedziałam.

– Potrwa kilka dni, zanim znajdziemy odpowiednich nauczycieli, obywatelko. Do tego czasu możesz robić, na co masz ochotę. Umiesz czytać znaki ostrzegawcze? – Życie na stacji bardzo się różniło od życia na planecie. – I znasz oznaczenia drzwi sekcji?

– Tak, obywatelko. – W rzeczywistości nie potrafiła dobrze czytać po radchaajsku, ale znaki ostrzegawcze były celowo jaskrawe i wyraźne, a Piątka i Ósemka przerobiły je z nią podczas podróży.

– Jeśli będziesz traktować znaki ostrzegawcze bardzo poważnie, obywatelko, i zawsze słuchać stacji, kiedy przemówi do ciebie przez komunikator, możesz swobodnie się tutaj poruszać. Czy myślałaś o testach?

Właśnie włożyła kawałek ryby do ust. Teraz zamarła ze strachu, a potem przełknęła rybę prawie bez gryzienia, żeby odpowiedzieć.

– Jestem do dyspozycji, obywatelko – wymamrotała cichutko. Skrzywiła się, albo z powodu własnych słów, albo kawałka ryby połkniętego niemal w całości.

– Nie o to pytałam – sprostowałam. – Nie zamierzam od ciebie wymagać tego, czego sobie nie życzysz. Nadal będziesz na liście przydziałów żywnościowych; jeśli poprosisz o zwolnienie z testów, po prostu nie będziesz mogła zajmować żadnych cywilnych ani wojskowych stanowisk. – Uran zamrugała ze zdziwienia, o mało nie podniosła głowy, żeby na mnie

spojrzeć, ale szybko się powstrzymała. – Tak, niedawno wprowadzono to prawo specjalnie dla Valskaayanek i poza Valskaay mało kto z niego korzysta. – Każda z valskaayańskich robotnic polowych mogła się powołać na to prawo... ale to by niczego nie zmieniło. – Oczywiście nawet wtedy będziesz musiała przyjąć pracę, jaką ci przydzielą administracja. Ale nie ma pośpiechu, na razie ich nie zapytamy.

I lepiej nie składać tego podania, dopóki Uran nie spędzi trochę czasu ze swoimi nauczycielkami. Rozumiałam ją, kiedy mówiła po radchaajsku, ale wszystkie nadzorzynie na dole zachowywały się tak, jakby zupełnie nie rozumiały wymowy valskaayańskich robotnic polowych. Może z powodu akcentu, a ja przywykłam do rozmów z ludźmi mówiącymi z różnymi akcentami, dobrze znałam akcent użytkowniczek delsig.

– Ale jeszcze nie masz przydziału, obywatelko? – zapytała porucznik Tisarwat. Nieco zbyt skwapliwie. – Potrafisz parzyć herbatę?

Uran wzięła powolny oddech. Żeby ukryć panikę, pomyślałam.

– Z przyjemnością zrobię wszystko, czego obywatelka zażąda.

– Poruczniku – rzuciłam ostro. – Nie wolno ci żądać niczego od obywatelki Uran. Ona ma prawo spędzić kilka następnych dni tak, jak jej się podoba.

– Tylko że, pani – zaczęła Tisarwat – obywatelka Uran nie jest Xhai. Ani Ychana. Kiedy mieszkanki... – Nagle sobie uświadomiła, że będzie musiała otwarcie przyznać, co kombinuje. – Poprosiłam administrację stacji, żeby mi przydzieliła kilku ludzi, ale mieszkanki Podogrodu, pani, chętniej rozmawiają ze mną, bo nie mamy tutaj dawnych porachunków. – Miałyśmy tutaj dawne porachunki i niewątpliwie wszyscy w Podogrodzie zdawali sobie z tego sprawę. – Obywatelce to się może spodobać. I nabierze cennego doświadczenia. – Jakiego rodzaju doświadczenia, nie sprecyzowała.

– Obywatelko Uran – powiedziałam. – Oprócz kwestii dotyczących bezpieczeństwa nie musisz robić tego, o co cię prosi porucznik Tisarwat. – Uran wciąż wpatrywała się w swój talerz, teraz pusty, ani śladu po śniadaniu. Spojrzałam wymownie na porucznik Tisarwat. – Zrozumiano, poruczniku?

– Pani – rzekła Tisarwat. A potem z wewnętrznym drżeniem dodała: – W takim razie czy mogę dostać jeszcze kilka Bo, pani?

– Za jakiś tydzień, poruczniku. Właśnie wysłałam statek na inspekcję.

Nie potrafiłam odczytać myśli Tisarwat, ale odgadłam z jej reakcji emocjonalnych – przelotne zdziwienie, konsternacja, szybko zastąpiona chwilą olśnienia, a potem nerwowym wahaniem – że uświadomiła sobie, iż mogłam przecież rozkazać Seivarden, żeby przysłała jej Bo promem. A potem doszła do wniosku, że na pewno sama bym to zaproponowała, gdybym chciała.

– Tak, pani. – Z przygnębieniem, ale jednocześnie z ulgą, że na razie nie potępiłam jej zaimprovizowanego biura, jej negocjacji z mieszkankami Podogrodu.

– Sama się w to wpakowałaś, poruczniku – zauważyłam spokojnie. – Spróbuj tylko nie narazić się administracji stacji.

Wiedziałam, że to mało prawdopodobne. Tisarwat i Piat zdążyły się już zaprzyjaźnić, a do ich kręgu towarzyskiego należał personel administracji, Służby Bezpieczeństwa i nawet ludzie, którzy pracowali dla gubernator Giarod. Niewątpliwie to ich Tisarwat otrzymała, kiedy zażądała, żeby przydzielono jej ludzi, ale oni wszyscy mieli, jak to ujęła, dawne porachunki.

– Tak, pani. – Tisarwat nie zmieniła wyrazu twarzy (nauczyła się czegoś od swoich Bo), a jej liliowe oczy zdradziły tylko odrobinę ulgi i radości, jaką sprawiły moje słowa. W głębi zaś jak zwykle płynął ukryty prąd lęku i rozpacz. Mogłam tylko się domyślać, co go wywoływało – chociaż miałam pewność, że tutaj nie stało się nic złego. W takim razie to pamiątka z podróży na Athoek, pozostałość jakiegoś wydarzenia z tamtych dni. Tisarwat znowu odwróciła się do Uran.

– Wiesz, obywatelko, nie musiałybyś naprawdę parzyć herbaty. Dziewiątka Bo to robi, przynajmniej przynosi wodę rano. Musiałabyś tylko podawać ludziom herbatę i być dla nich miła.

Uran, która, odkąd ją poznałam, po cichu umierała ze strachu, że kogoś obrazi (kiedy nie umierała z rozpacz), spojrzała prosto na Tisarwat i powiedziała bardzo wyraźnym radchaajskim:

– Nie sędzę, żebym się do tego nadawała.

Porucznik Tisarwat zamrugnęła, zaskoczona. Całkiem zbita z tropu. Uśmiechnęłam się.

– Miło mi widzieć, obywatelko Uran, że nie tylko twoja siostra z was dwóch ma w sobie ogień. – Nie dodałam, że cieszę się również, iż Raughd nie zdołała go całkiem ugasić. – Uważaj, poruczniku. Nie okażę współczucia, jeśli znowu się sparzysz.

– Tak, pani – mruknęła Tisarwat. – Jeśli mogę przeprosić, pani.

Uran prędko znowu spuściła wzrok na pusty talerz.

– Oczywiście, poruczniku. – Odsunęłam swoje krzesło.

– Mam własne sprawy do załatwienia. Obywatelko. – Uran szybko podniosła i opuściła wzrok, króciutkie spojrzenie.

– Koniecznie poproś Piątkę o więcej jedzenia, jeśli wciąż jesteś głodna. Pamiętaj o znakach ostrzegawczych i zabierz ze sobą komunikator, jeśli wyjdiesz z mieszkania.

– Tak, pani – odparła Uran.

* * *

Posłałam wcześniej po kapitan Hetnys. Przeszła obok drzwi do zaimprovizowanego biura porucznik Tisarwat, zajrzała do środka. Zawahała się, zmarszczyła brwi. Ruszyła dalej i porucznik Tisarwat powitała ją ukłonem; widziałam ją oczami porucznik. Tisarwat doznała złośliwej radości na widok pochmurnej miny kapitan Hetnys, ale tego nie okazała. Podejrzewałam, że kapitan Hetnys odwróciła się, żeby zobaczyć, jak Tisarwat wchodzi do biura, ale skoro Tisarwat się nie obejrzała, ja też tego nie zobaczyłam.

Ósemka wprowadziła kapitan Hetnys do mojego salonu. Po nieuniknionej herbacie (podanej w różnym szkłe, skoro wiedziała o Przylistku i Piątka mogła jej zademonstrować, że

Hetnys z niego nie piła) zapytałam:

– Jak się miewa twój Atagaris?

Kapitan Hetnys zamarła na chwilę, jakby zdziwiona.

– Pani? – bąknęła.

– Serwitor, który został ranny. – Przebywały tu tylko trzy Atagaris. Rozkazałam Var „Miecza Atagaris” opuścić stację.

Zmarszczyła brwi.

– Szybko wraca do zdrowia, pani. – Lekkie wahanie.

– Za pozwoleniem, kapitanie floty. – Gestem wyraziłam zgodę. – Dlaczego kazałaś leczyć serwitora?

Żadna z odpowiedzi, jakich mogłam udzielić, raczej nie miałyby sensu dla kapitan Hetnys.

– Niewyleczenie go byłoby marnotrawstwem, kapitanie. I zasmuciłoby twój statek. – Wciąż zmarszczone brwi. Miałam rację. Nie rozumiała. – Zastanawiałam się, jak najlepiej rozmieścić nasze zasoby.

– Bramy, pani – zaprotestowała kapitan Hetnys. – Pozwolę sobie przypomnieć kapitan floty, że każdy może przejść przez bramy.

– Nie, kapitanie – zaprzeczyłam – nikt nie przejdzie przez bramy. Zbyt łatwo ich pilnować i zbyt łatwo bronić.

– A ja z pewnością bym je zaminowała, w ten czy inny sposób. Nie wiedziałam, czy kapitan Hetnys nie pomyślała o tej możliwości, czy też sądziła, że ja o tym nie pomyślę. Jedno i drugie było niewykluczone. – Z pewnością nikt nie przejdzie przez Bramę Duchów.

Leciuteńkie drgnienie mięśni wokół jej oczu i ust, cień grymasu, który zniknął zbyt szybko, żeby go odczytać.

Wierzyła, że ktoś może tamtędy przejść. Nabierałam coraz większej pewności, że skłamała, jakoby nigdy nie spotkała nikogo w tamtym drugim, rzekomo pustym układzie. Że chciała ukryć fakt, iż ktoś tam przebywał, wtedy albo w przeszłości. Albo teraz. Oczywiście gdyby sprzedawała valskaayańskich przesiedleńców, próbowałyby to zataić, żeby uniknąć reedukacji albo gorszego losu. I wciąż pozostawało pytanie, komu ich sprzedawała i po co.

Nie mogłam na niej polegać. Nie zamierzałam. Zamierzałam za to bardzo, bardzo uważnie obserwować ją i jej statek.

– Odesłałaś „Łaskę Kair”, pani – zauważyła kapitan Hetnys. Wszyscy widzieli odlot mojego statku, chociaż oczywiście nikt nie znał powodu.

– Krótka misja. – Z pewnością nie chciałam zdradzać celu tej misji. Nie kapitan Hetnys. – Wróci za kilka dni. Czy masz zaufanie do kwalifikacji twojej porucznik Amaat?

Kapitan Hetnys znowu zmarszczyła brwi, zdziwiona.

– Tak, pani.

– To dobrze.

Zatem nie miała powodu upierać się, że chce natychmiast wracać na „Miecz Atagaris”. Po powrocie jej pozycja – gdyby zdała sobie z tego sprawę – byłaby silniejsza, niż sobie życzyłam.

Czekałam, że tego zażąda, że poprosi o pozwolenie powrotu na statek.

– No cóż, pani – powiedziała, wciąż siedząc naprzeciwko mnie, ze szklaną różaną czarką herbaty w dłoni okrytej brązową rękawiczką – może nic takiego nie będzie potrzebne i niepotrzebnie się wysilałyśmy. – Oddech. Powolny, umyślnie spokojny, pomyślałam.

Bezwzględnie musiałam zatrzymać kapitan Hetnys w pobliżu. I w miarę możliwości nie dopuścić jej do statku. Wiedziałam, co znaczy kapitan dla statku. I chociaż żaden serwitor nigdy nie udzielał zbyt wielu informacji o swoim stanie emocjonalnym, widziałam na dole serwitora Atagaris z odłamkiem szkła sterczącym z pleców. Łzy w jego oczach. „Miecz Atagaris” nie chciał stracić swojej kapitan.

Byłam niegdyś statkiem. Nie chciałam pozbawiać „Miecza Atagaris” kapitan. Ale zrobię to, jeśli będę musiała. Jeśli od tego zależy bezpieczeństwo mieszkańek tego układu. Jeśli od tego zależy bezpieczeństwo Basnaaid.

* * *

Po śniadaniu, zanim Ósemka pozwoliła Uran swobodnie się włączyć, poszła z nią kupić ubranie. Oczywiście Uran mogła otrzymać odzież z magazynów stacji, każdej Radchaai należało się wyżywienie, mieszkanie i ubranie. Ale Ósemka nawet nie dopuszczała takiej możliwości. Uran mieszkała w moim domu, więc musiała się stosownie ubierać.

Mogłam oczywiście sama kupić jej ubranie. Jednak dla Radchaai to znaczyłoby, że albo adoptowałam Uran, albo objęłam ją patronatem. Wątpiłam, czy Uran chciała jeszcze bardziej się separować od swojej rodziny, a chociaż patronat niekoniecznie implikował stosunki seksualne, często zakładano coś takiego w sytuacji, kiedy patrona i protegowanego dzieliła bardzo duża różnica statusu. Dla niektórych to nie miało znaczenia. Wolałam nie zakładać, że to nie ma znaczenia dla Uran. Więc wyposażyłam ją w kieszonkowe na takie wydatki. Niewielka różnica, gdybym po prostu jej dała, czego potrzebuje, ale na takich niuansach opierała się przyzwoitość.

Zobaczyłam, że Uran i Ósemka stoją przed wejściem do świątyni Amaat, na brudnej białej podłodze, tuż pod jaskrawo pomalowaną, ale brudną Esk/Var. Ósemka wyjaśniała, nie całkiem po serwitorsku spokojnie, że Amaat i valskaayański bóg są właściwie tym samym, więc to będzie całkiem stosowne, jeśli Uran wejdzie i złoży ofiarę. Uran, wyglądająca trochę niezgrabnie w nowym ubraniu, uparcie odmawiała. Chciałam już wysłać Ósemce wiadomość, żeby przestała, kiedy ponad ramieniem Uran zobaczyła przechodzącą kapitan Hetnys, w asyście serwitora „Miecza Atagaris”, pogrążoną w rozmowie z Sirix Odela.

Kapitan Hetnys ani razu za mojej pamięci nie odezwała się do Sirix i nawet udawała, że jej nie dostrzega, kiedy byłyśmy na dole. Ósemka też się zdziwiła. Umilkła w połowie zdania, powstrzymała się od zmarszczenia brwi i pomyślała coś takiego, że nagle się zawstydzila.

– Bardzo przepraszam, obywatelko – powiedziała do Uran.

– ...bywatele nie będą z tego zadowoleni – mówiła gubernator Giarod w swoim gabinecie, gdzie siedziałyśmy, i nie mogłam poświęcać uwagi innym sprawom.

Rozdział 20

Następnego dnia Uran przyszła do zaimprovizowanego biura Tisarwat. Nie dlatego, że jej kazano – Tisarwat nie poruszała więcej tego tematu. Uran po prostu weszła do środka – poprzedniego dnia przystawała i zaglądała tam kilka razy – po czym ustawiła przybory do herbaty według własnego widzimisię. Tisarwat, widząc ją, nic nie powiedziała.

To się ciągnęło przez trzy dni. Wiedziałam, że Uran odniosła sukces – ponieważ była Valskaayanką i przybyła ze studni, nie zakładano, że stała po tej czy tamtej stronie w każdym miejscowym sporze, a jej nieśmiała, pozbawiona uśmiechu powaga z niewiadomych przyczyn podobała się mieszkankom Podogrodu. Jedna czy dwie znalazły w jej milczeniu zachętę do opowieści o swoich kłopotach z sąsiadami albo z administracją stacji.

Przez te całe trzy dni nikt o tym nie wspomniał. Tisarwat martwiła się, że już wiem i że tego nie apróbuję, ale miała nadzieję, niewątpliwie podsycaną przez jej dotychczasowe sukcesy, że zgodzę się także na ten ostatni drobiazg.

Trzeciego wieczoru przy kolacji przebiegającej w milczeniu powiedziałam:

– Obywatelko Uran, lekcje zaczynają się pojutrze.

Uran podniosła wzrok znad talerza, zaskoczona, jak pomyślałam, a potem szybko znowu spuściła oczy.

– Tak, pani.

– Pani – odezwała się Tisarwat, zaniepokojona, ale ukrywająca to, głosem spokojnym i odmierzonym. – Za pozwoleniem...

Gestem dałam znać, że to niepotrzebne.

– Tak, poruczniku, obywatelka Uran cieszy się popularnością w twojej poczekalni. Nie wątpię, że dalej będzie ci pomagać, ale nie zamierzam bagatelizować jej wykształcenia. Załatwiłam jej lekcje po południu. Rano może robić, co chce. Obywatelko – zwróciłam się do Uran – biorąc pod uwagę, gdzie mieszkamy, zaangażowałam kogoś, żeby uczył cię raswar, którym mówią tutejsze Ychana.

– W każdym razie to dużo praktyczniejsze od poezji – stwierdziła Tisarwat z ulgą i zadowoleniem.

Uniosłam brew.

– Zdumiewasz mnie, poruczniku. – Z jakiegoś powodu te słowa zwiększyły poziom jej stałego podskórnego przygnębienia. – Powiedz mi, poruczniku, jak stacja przyjmuje to, co się dzieje?

– Chyba jest zadowolona, że remont postępuje – odparła Tisarwat – ale wiesz, że stacje nigdy nie powiedzą ci wprost, jeśli są nieszczęśliwe.

W przedpokoju ktoś zapytał, czy może wejść. Ósemka Kair poszła otworzyć drzwi.

– Stacja chce widzieć wszystkich, przez cały czas – powiedziała Uran. Bardzo odważnie. – Mówi, że to nie będzie tak samo, jak szpiegowanie kogoś.

– Na stacji jest zupełnie inaczej niż na planecie – stwierdziłam, kiedy Ósemka otworzyła

drzwi i wpuściła Sirix Odełę. – Stacje lubią wiedzieć, że wszystkie ich mieszkanki są bezpieczne. Inaczej nie czują się dobrze. Często rozmawiasz ze stacją, obywatelko? – Mówiąc, zastanawiałam się, co tu robi Sirix, której nie widziałam, odkąd Ósemka zobaczyła ją rozmawiającą z kapitan Hetnys.

W jadalni Uran odpowiedziała:

– Ona do mnie mówi, Rad... kapitanie floty. I tłumaczy dla mnie różne rzeczy albo czyta dla mnie ogłoszenia.

– Miło mi to słyszeć – oświadczyłam. – Dobrze mieć stację za przyjaciela.

W przedpokoju obywatelka Sirix usprawiedliwiała się przed Ósemką, że przyszła o takiej niestosownej porze, kiedy domownicy jedzą kolację.

– Ale ogrodniczka Basnaaid bardzo chciała rozmawiać z kapitan floty, tylko że coś ją zatrzymało w Ogrodach.

W jadalni wstałam, nie reagując na odpowiedź Tisarwat, i wyszłam do przedpokoju.

– Obywatelko Sirix – powiedziałam, kiedy odwróciła się do mnie. – W czym ci mogę pomóc?

– Kapitanie floty. – Sirix krótko, sztywno skinęła głową. Skrępowana. Nic dziwnego, zważywszy na naszą rozmowę sprzed trzech dni oraz obecne nietypowe zadanie.

– Orodniczka Basnaaid bardzo chciałaby rozmawiać z tobą osobiście, jak rozumiem, w prywatnej sprawie. Przyszłaby sama, ale, jak mówiłam, coś ją zatrzymało w Ogrodach.

– Obywatelko – odparłam. – Przypominasz sobie, że kiedy ostatnio rozmawiałam z ogrodniczką, powiedziała bardzo wyraźnie, że nigdy więcej nie chce mnie widzieć. Jeśli zmieniła zdanie, jestem oczywiście do jej usług, ale muszę przyznać, że to mnie trochę dziwi. I nie potrafię sobie wyobrazić, co jest takie pilne, że nie mogło poczekać na bardziej odpowiednią dla niej porę.

Sirix zamarła na moment, wyczułam nagle napięcie, które u kogoś innego wzięłabym za gniew.

– Tak jej sugerowałam, kapitanie floty. Odpowiedziała tylko: „Jak mówi poetka: Zimne i kwaśne dotknięcie żalu, niczym marynowanej ryby”.

Tą poetką była Basnaaid Elming w wieku lat dziewięciu i trzy czwarte. Nie mogła zręczniejsz zagrać na moich uczuciach, skoro wiedziała, że porucznik Awn pokazywała mi jej wiersze.

Kiedy nie odpowiadałam, Sirix wykonała niejednoznaczny gest.

– Mówiła, że to rozpoznasz.

– Rozpoznałam.

– Błagam, nie mów mi, że to jakaś słynna klasyka.

– Nie lubisz marynowanej ryby? – zapytałam spokojnie poważnym tonem. Zamrugła, zdziwiona i zakłopotana. – To nie klasyka, ale wiedziała, że to rozpoznam, jak mówiłaś. Budzi osobiste skojarzenia.

– Taką miałam nadzieję – odparła sucho Sirix. – A teraz zechciej wybaczyć, kapitanie floty, to był długi dzień i spóźniłam się na swoją kolację.

Skłoniła się i wyszła.

Stałam sama w przedpokoju, Ósemka stała za mną nieruchomo, zaciekawiona.

– Stacjo – powiedziałam na głos. – Jaka jest sytuacja w tej chwili w Ogrodach?

Odpowiedź stacji wydawała się nieznacznie opóźniona.

– W porządku, kapitanie floty. Jak zwykle.

W wieku lat dziewięciu i trzy czwarte Basnaaid Elming była ambitną poetką, bez szczególnie subtelnego wyczucia języka, za to ze skłonnością do melodramatyzowania i przestylizowanych emocji. Fragment, który zacytowała Sirix, pochodził z długiego poematu o zdradzonej przyjaźni. W dodatku był niekompletny. Cały dwuwiersz brzmiał: „Zimne i kwaśne dotknięcie żalu, niczym marynowanej ryby/spłynęło po jej plecach. Och, jakże mogła wierzyć w te okropne kłamstwa?”

„Mówiła, że to rozpoznasz”, powiedziała Sirix.

– Stacjo, czy Sirix poszła do domu? Czy wróciła do Ogrodów?

– Obywatelka Sirix jest w drodze do domu, kapitanie floty – odparła stacja tym razem bez wahania.

Poszłam do swojego pokoju, wyjęłam broń, która była niewidzialna dla stacji, niewidzialna dla wszystkich czujników oprócz ludzkich oczu. Schowałam broń pod kurtką, skąd mogłam szybko ją wyciągnąć. Powiedziałam do Ósemki, kiedy ją mijałam w przedpokoju:

– Powiedz porucznik Tisarwat i obywatelce Uran, żeby dokończyły kolację.

– Pani. – Ósemka była zdumiona, ale nie zaniepokojona. Dobrze.

Może przesadzałam. Może Basnaaid po prostu zmieniła zdanie, że nie chce mnie więcej widzieć. Może jej obawa o wsporniki pod jeziorem okazała się silniejsza niż niechęć do mnie. I nie pamiętała własnego wiersza czy raczej pamiętała tylko fragment, mający mi przypomnieć (jakbym potrzebowała przypominania) o moim związku z jej dawno nieżyjącą siostrą. Może naprawdę pilnie musiała ze mną porozmawiać właśnie teraz, w porze, kiedy większość obywaterek jadła kolację, i naprawdę nie mogła wyjść z pracy. Nie chciała zachować się nieuprzejmie i wezwać mnie przez stację, więc wysłała z wiadomością Sirix. Z pewnością wiedziała, że przyjdę, jeśli kiedykolwiek poprosi.

Z pewnością Sirix też o tym wiedziała. A Sirix rozmawiała z kapitan Hetnys.

Zastanowiłam się przelotnie, czy nie zabrać ze sobą swoich Kair i nawet porucznik Tisarwat. Niespecjalnie się przejmowałam możliwością pomyłki. Jeśli się pomyliłam, odeślę je z powrotem do Podogrodu, a sama porozmawiam z ogrodniczką Basnaaid. Ale jeśli się nie myliłam?

Kapitan Hetnys miała tu ze sobą na stacji dwa serwitory „Miecza Atagaris”. Żaden nie miał broni, chyba że nie wykonały mojego rozkazu o rozbrojeniu. Niewykluczone. Ale nawet w takiej sytuacji byłam pewna, że poradzę sobie z kapitan Hetnys i tymi serwitorami. Nie trzeba angażować nikogo więcej.

A jeśli to nie tylko kapitan Hetnys? Jeśli gubernator Giarod również mnie zwodzi, albo administratorka stacji Celar? Jeśli w Ogrodach czeka na mnie stacyjna Służba Bezpieczeństwa?

Nie poradziłabym sobie z nimi sama. Ale nie poradziłabym sobie nawet z pomocą porucznik Tisarwat i wszystkich czterech moich Kair. W takim razie lepiej ich do tego nie mieszać.

„Łaska Kair” to inna sprawa.

– Tak – powiedział statek, nawet nie musiałam nic mówić. – Porucznik Seivarden jest w dowództwie i załoga przygotowuje się do akcji.

Niewiele więcej mogłam zrobić dla „Łaski Kair”, więc skupiłam się na najbliższych sprawach.

Najłatwiej byłoby mi wejść do Ogrodów tą samą drogą, z której skorzystałam za pierwszym razem, kiedy tylko przyjechałam na Athoek. Może to nie robiło różnicy – były dwa znane mi wejścia do Ogrodów i dwa serwitory, żeby ich pilnować. Ale na wypadek gdyby ktoś na mnie czekał i założył, że wybiorę najwygodniejszą trasę, i na wypadek gdyby stacja zastosowała swoją ulubioną taktykę biernego oporu i po prostu o tym nie wspomniała, postanowiłam pójść dłuższą drogą.

Wejście prowadziło na skalną półkę nad jeziorem. Z prawej strony spływał po skałach spieniony wodospad. Ścieżka skręcała w lewo i schodziła nad wodę, obok gęstej kępy ozdobnej trawy, wysokiej prawie na dwa metry. Mijając ją, powinnam zachować najwyższą ostrożność.

Z przodu sięgająca do pasa balustrada chroniła przed upadkiem. Poniżej z jeziora sterczały tu i tam wielkie głazy. Na maleńkiej wysepce ze żłobkowanego kamienia stała kapitan Hetnys, zaciskała rękę na ramieniu Basnaaid i przykładła jej nóż do gardła. Niezbyt duży, z tego rodzaju, jakich się używa do patroszenia ryb, ale wystarczający dla jej celów. Za nimi, przy wejściu na most, stał „Miecz Atagaris” – jeden z nich – w zbroi, z bronią w ręku.

– Och, stacjo – powiedziałam cicho.

Nie odpowiedziała. Łatwo mogłam się domyślić, dlaczego mnie nie ostrzegła ani nie wezwała pomocy. Bez wątpienia ceniła życie Basnaaid wyżej niż moje. To była pora kolacji dla wielu mieszkanek, toteż nikt się nie kręcił w pobliżu. Prawdopodobnie stacja odsyłała stąd ludzi pod jakimś pretekstem.

Na półce zadrzała trawa. Bez namysłu wyjęłam broń spod kurtki, podniosłam zbroję. Huk wystrzału, wstrząs uderzenia – ktokolwiek się ukrywał w tej kępie trawy, wycelował dokładnie w tę część mojego ciała, która została najpierw zakryta. Zbroja otoczyła mnie całkowicie, zanim zdążył wystrzelić po raz drugi.

Z trawy wypadł serwitor w srebrnej zbroi, nieludzko szybki, rzucił się na mnie, z pewnością myśląc, że moja broń mu nie zagraża, skoro jest w zbroi. W walce wręcz nasze szanse powinny być wyrównane, ale miałam za plecami powietrze, a on wykorzystał siłę rozpędu. Strzeliłam w chwili, kiedy wypchnął mnie przez balustradę.

Radchaajska zbroja jest zasadniczo nie do przebiccia. Energia pocisku, którym strzelił do mnie „Miecz Atagaris”, rozproszyła się, głównie w postaci ciepła. Oczywiście nie cała, wciąż czułam impet trafienia. Kiedy więc uderzyłam ramieniem w wyszczerbiony głaz u stóp siedmioipółmetrowego skalnego urwiska, nawet mnie specjalnie nie zabolalo. Jednak wierzchołek głazu był wąski i chociaż zatrzymał moje ramię, reszta spadała dalej. Ramię

wygięło się boleśnie do tyłu, zdecydowanie w niewłaściwą stronę, a potem ześliznęłam się z głazu do wody. Która na szczęście miała niewiele ponad metr głębokości w tym miejscu, cztery metry od wysepki.

Stałam na nogi w wodzie głębokiej po pas i gwałtownie wciągnęłam powietrze, kiedy odezwał się ból w lewym ramieniu. Coś się stało podczas mojego upadku, nie miałam kiedy zapytać „Łaska Kair”, co takiego, ale widocznie porucznik Tisarwat szła za mną, a ja tak się zamyśliłam, że jej nie zauważyłam. Teraz stała na drugim końcu mostu, na brzegu, z podniesioną zbroją, z bronią w pogotowiu. „Miecz Atagaris” stał naprzeciwko niej, również z wycelowaną bronią. Dlaczego statek mnie nie ostrzegł, że Tisarwat poszła za mną?

Kapitan Hetnys odwróciła się do mnie, teraz również w srebrnej zbroi. Zapewne wiedziała, że serwitor na półce był ranny albo nawet martwy, ale na pewno nie podejrzewała, że zbroja nie osłoni jej przed moją bronią. Chociaż może Presgerzy nie pofatygowali się, żeby zrobić broń wodoodporną.

– No, kapitanie floty – powiedziała kapitan Hetnys głosem zniekształconym przez zbroję – jednak masz ludzkie uczucia.

– Ty szmato z rybim mózgiem! – krzyknęła porucznik Tisarwat z pasją dosłyszalną nawet pomimo zniekształcającej zbroi. – Gdybyś nie dała sobą tak łatwo manipulować, idiotko, nigdy nie dostałabyś statku!

– Cicho, Tisarwat – rozkazałam. Jeśli była tu porucznik Tisarwat, to również Dziewiątka Bo, mogłam się założyć. Gdyby ramię mnie tak bardzo nie bolało, gdybym mogła myśleć jaśniej, wiedziałabym, gdzie ona jest.

– Ale, pani! Ona nie ma pieprzonego pojęcia...

– Poruczniku! – Nie chciałam, żeby porucznik Tisarwat myślała w takich kategoriach. Nie chciałam jej tutaj. „Łaska Kair” nie mówiła mi, co się stało z moim ramieniem, czy było zwichnięte, czy złamane. „Łaska Kair” nie mówiła mi, co czuje Tisarwat ani gdzie jest Dziewiątka Bo. Sięgnęłam, ale nie mogłam znaleźć Seivarden, którą ostatnio widziałam w dowództwie, która przed wieloma dniami powiedziała do porucznik Amaat „Miecza Atagaris”: „Kiedy następnym razem zagroziecie temu statkowi, lepiej, żebyście miały czym”. Widocznie „Miecz Atagaris” wykonał swój ruch, kiedy spadłam ze skalnego urwiska. Przynajmniej statek nie został całkowicie zaskoczony. Ale „Miecze” były szybsze i lepiej uzbrojone, i jeśli „Łaska Kair” zniknęła, dołożę wszelkich starań, żeby popamiętali ostrzeżenie Seivarden.

Kapitan Hetnys stała naprzeciwko mnie na wysepce, wciąż trzymając Basnaaid, zeszywniałą, z rozszerzonymi oczami.

– Komu ich sprzedałaś, kapitanie? – zapytałam. – Komu sprzedałaś przesiedleńczynie? – Kapitan Hetnys nie odpowiedziała. Była głupia albo zdesperowana, albo jedno i drugie, skoro groziła Basnaaid. – To przyspieszyło tę raczej pochopną akcję, prawda? – Gubernator Gia – rod coś się wymknęło albo zwyczajnie poinformowała kapitan Hetnys. Nie powiedziałam gubernator, kogo podejrzewam, inaczej może byłaby ostrożniejsza. – Miałaś współniczkę w magazynie, załadowałaś kapsuły kriogeniczne na „Miecz Atagaris” i wywiozłaś przez Bramę

Duchów. Komu je sprzedawaś?

Na pewno je sprzedawała. Ten notajski serwis do herbaty. A Sirix nigdy nie słyszała historyjki, jak to kapitan Hetnys sprzedawała go Fosyf. Nie mogła skojarzyć tego związku. Ale kapitan Hetnys zrozumiała, że ja skojarzyłam. Musiała poznać mój słaby punkt, a po dwóch tygodniach w tym samym domu wiedziała, na co najlepiej zareaguje Sirix, nawet z nią nie rozmawiając. Albo może „Miecz Atagaris” zasugerował takie podejście swojej kapitan.

– Zrobiłam to, co zrobiłam, z lojalności – oświadczyła kapitan Hetnys. – O której chyba niewiele wiesz. – Gdyby ramię mnie tak nie bolało, gdyby sytuacja nie była taka poważna, wybuchłabym śmiechem. Nieświadoma tego kapitan Hetnys ciągnęła: – Prawdziwa lord Radch nigdy nie odebrałaby swoim statkom serwitorów, nigdy nie rozbroiłaby floty, która chroni Radch.

– Lord Radch – oświadczyłam – nigdy nie postąpiłaby tak głupio, żeby dać ci taki serwis do herbaty jako zapłatę rzekomo bardziej dyskretną niż gotówka.

Ze środka jeziora, gdzie przypuszczalnie woda była najgłębsza, dobiegł bulgoczący plusk. Przez chwilę myślałam, że ktoś coś tam wrzucił albo że ryba wyskoczyła nad wodę. Stałam w wodzie, z bronią wycelowaną w kapitan Hetnys, drugie ramię bolało mnie wściekle, a potem na skraju mojego pola widzenia to się powtórzyło – bąbel pękający na powierzchni. W ułamku sekundy zrozumiałam, co się dzieje.

Narastająca panika na twarzy Basnaaid świadczyła, że ona też zrozumiała. Zrozumiała, że powietrze wydobywające się ze środka jeziora może pochodzić tylko z jednego miejsca: z Podogrodu. A jeśli powietrze idzie do góry, woda z pewnością sływa w dół.

Gra była skończona. Kapitan Hetnys po prostu jeszcze tego nie dostrzegła. Stacja mogła zachować milczenie, żeby ocalić życie Basnaaid, i nawet blokować wezwania stąd do Służby Bezpieczeństwa. Ale nie robi tego kosztem całego Podogrodu. Pozostawało tylko pytanie, czy Basnaaid – albo ktokolwiek – wyjdzie z tego żywa.

– Stacjo – powiedziałam na głos. – Natychmiast przeprowadź ewakuację Podogrodu. – Najbardziej zagrożony był poziom jeden, gdzie do tej pory naprawiono tylko niektóre konsole. Ale nie miałam czasu się martwić, ile mieszkanek usłyszy rozkaz ewakuacji albo zdąży przekazać go dalej. – I zawiadom moich domowników, że Podogród zostanie zatopiony i muszą pomóc przy ewakuacji.

„Łaska Kair” powinna była już ich zawiadomić, ale „Łaska Kair” przepadła. Och, kapitan Hetnys tego pożałuje, i „Miecz Atagaris” też. Niech tylko usunę ten nóż z gardła Basnaaid.

– Co ty gadasz? – zapytała kapitan Hetnys. – Stacjo, nie rób nic takiego.

Basnaaid zachłysnęła się, kiedy kapitan Hetnys ścisnęła ją mocniej i lekko potrząsnęła dla podkreślenia pogroźki.

Głupia kapitan Hetnys.

– Kapitanie, czy naprawdę każesz stacji wybierać pomiędzy Basnaaid a mieszkankami Podogrodu? Czy to możliwe, że nie rozumiesz konsekwencji? – Tisarwat chyba miała rację z tym „rybim mózgiem”. – Niech zgadnę, zamierzałaś mnie zabić, uwięzić moje żołnierki,

zniszczyć „Łaskę Kair” i wmówić gubernator, że od początku byłam zdrajczynią.

Woda znowu zabulgotała, dwukrotnie, raz po raz, większe bąble niż poprzednio. Kapitan Hetnys może jeszcze nie rozumiała, że przegrała, ale kiedy zrozumie, przypuszczalnie poczyni desperackie kroki. Czas to zakończyć.

– Basnaaid – powiedziałam. Patrzyła w przestrzeń pustym wzrokiem, przerażona. – Jak mówi poetka: „Niczym kamień, niczym lód”.

Cytat pochodził z tego samego wiersza, którego fragment mi przysłała, żeby sprowadzić mnie tutaj. Zrozumiałam jej wiadomość. Teraz miałam tylko nadzieję, że ona zrozumie moją. „Cokolwiek się stanie, ani drgnij”. Mój palec zacisnął się na spuście.

Powinam była zwrócić większą uwagę na porucznik Tisarwat. Tisarwat obserwowała kapitan Hetnys i serwitora u wylotu mostu. Powoli, ostrożnie, milimetr po milimetrze przysuwała się do wysepki, czego nie zauważyliśmy ani ja, ani kapitan Hetnys, ani najwyraźniej „Miecz Atagaris”. A kiedy odezwałam się do Basnaaid, Tisarwat widocznie zrozumiała mój zamiar, ponieważ wiedziała, że moja broń przebije zbroję kapitan Hetnys. Ale rozumiała również, że „Miecz Atagaris” nadal stanowiłby zagrożenie dla obywatelki Basnaaid. W ułamku sekundy, zanim strzeliłam, Tisarwat opuściła swoją zbroję i z krzykiem rzuciła się na serwitora „Miecza Atagaris”.

Dziewiątka Bo, jak się okazało, przykucnęła za balustradą na szczycie skalnej półki. Widząc, że jej porucznik chce popełnić samobójstwo, Dziewiątka Bo krzyknęła, uniosła własną broń, ale nic nie mogła zrobić.

Kapitan Hetnys usłyszała krzyk Dziewiątki. Podniosła wzrok i zobaczyła ją na półce, z uniesioną bronią. Kapitan drgnęła i wykonała unik w chwili, kiedy strzeliłam.

Broń Presgerów okazała się wodoodporna i oczywiście wymierzyłam celnie. Ale pocisk przeszedł nad kapitan Hetnys, obok Basnaaid. Poleciał dalej i trafił w barierę pomiędzy nami a kosmiczną próżnią.

Kopuła nad Ogrodami była odporna na wstrząsy i uderzenia. Gdyby strzeliła Dziewiątka Bo albo „Miecz Atagaris”, nawet by jej nie drasnęły. Ale pociski z broni Presgerów przepalały wszystko we wszechświecie na głębokość metra i jedenastu centymetrów. Bariera nie miała nawet pół metra grubości.

Natychmiast zawyły alarmy. Wszystkie wejścia do Ogrodów się zatrzasnęły. Byłyśmy teraz uwięzione, podczas gdy powietrze uciekało przez dziurę po pocisku w kopule. Przynajmniej trochę potrwa, zanim tak duża przestrzeń się opróżni, a teraz Służba Bezpieczeństwa z pewnością nas zauważyła. Jednak przeciek z jeziora oznaczał, że nie ma prawdziwej bariery pomiędzy Ogrodami (z przebicciem kadłuba) a Podogrodem. Całkiem możliwe, że tamtejsze drzwi sekcji (przynajmniej te naprawione, wszystkie na poziomie jeden, tuż pod nami) zatrzasną się i zamkną w pułapce mieszkanki, które nie zdołały się wydostać. A jeśli jezioro się zawali, tamte mieszkanki utoną.

To był problem stacji. Ruszyłam, brodząc, w stronę wysepki. Dziewiątka Bo zbiegła ścieżką nad wodę. „Miecz Atagaris” łatwo obezwładnił Tisarwat, unosił broń, żeby strzelić do

Basnaaid, która wyrwała się z uścisku kapitan Hetnys i gramoliła się w stronę mostu. Postrzeliłam „Miecz Atagaris” w nadgarstek i musiał rzucić broń.

„Miecz Atagaris” zorientował się wtedy, że stanowię bezpośrednie zagrożenie dla jego kapitan. Rzucił się na mnie z serwitorską szybkością, myśląc niewątpliwie, że jestem tylko człowiekiem i łatwo odbierze mi broń, tym bardziej że jestem ranna. Zderzył się ze mną i uraził mnie w ramię. Na chwilę zrobiło mi się ciemno przed oczami, ale nie wypuściłam broni.

W tejże chwili stacja rozwiązała problem wody wlewającej się do Podogrodu, wyłączając grawitację.

Góra i dół zniknęły. „Miecz Atagaris” wczepił się we mnie, wciąż usiłując wyrwać mi broń z zaciśniętych palców. Impet serwitora odepchnął nas od ziemi i wirując, zmagając się, poszybowałam w stronę wodospadu. Woda, pompowana z jeziora, teraz nie spadała, tylko gromadziła się na skalnej krawędzi kopuły drżącą, rosnącą masą.

Na drugim planie, poza bólem w ramieniu i wysiłkiem wkładanym w utrzymanie broni, usłyszałam, jak stacja mówi coś o samonaprawczej funkcji kopuły, niedziałającej prawidłowo, że w ciągu godziny zbierze ekipę remontową i przewiezie promem na miejsce uszkodzenia, żeby je załatać.

Godzina to za długo. Wszyscy tutaj albo utoniemy, bo bez grawitacji nie uciekniemy przed drżącymi kulami wody, które pompa wciąż tłoczyła do wodospadu, albo udusimy się dużo wcześniej, niż ekipa przywróci ciśnienie w kopule. Nie zdołałam uratować Basnaaid. Zdradziłam i zabiłam jej siostrę, a teraz, kiedy tu przyjechałam i próbowałam choćby w najmniejszy, niewystarczający sposób to jej wynagrodzić, doprowadziłam do jej śmierci. Nie widziałam Basnaaid. Niewiele do mnie docierało poza bólem w ramieniu, „Mieczem Atagaris” i czarnosrebrnym błyskiem wody, do której się zbliżaliśmy.

Miałam tu umrzeć. „Łaska Kair”, Seivarden, Ekalu, medyczka i cała załoga, wszyscy zginęli. Na pewno. Statek nigdy by mnie nie porzucił, nie dobrowolnie.

I właśnie kiedy to pomyślałam, tuż za kopułą otwarła się bezgwiezdna, bardziej niż pusta czern bramy i pojawiła się „Łaska Kair”, za blisko, o wiele za blisko, żeby to był w ogóle dobry pomysł, i usłyszałam w uchu głos Seivarden mówiący, że nie może się doczekać mojej reprimendy, jak tylko będę bezpieczna.

– „Miecz Atagaris” chyba gdzieś wybramował – ciągnęła wesoło. – Mam nadzieję, że nie wynurzy się w tym samym miejscu, gdzie właśnie byliśmy. Zanim wróciłyśmy, chyba niechętnie zrzuciłam połowę naszego zapasu min.

Byłam całkiem pewna, że głód tlenowy dopadł mnie szybciej, niż przypuszczałam, i że mam halucynacje, dopóki kilka bezpiecznie przypiętych Amaat nie schwyciło serwitora „Miecza Atagaris” i nie przeciągnęło nas obojga przez dziurę, którą wycięły w kopule, do wnętrza promu „Łaski Kair”.

* * *

Jak już wszystkie znalazłyśmy się po bezpiecznej stronie śluzy powietrznej promu,

sprawdziłam, czy Basnaaid jest cała, zdrowa i przypięta do fotela, i wyznaczyłam jedną Amaat, żeby koło niej skakała. Tisarwat wymiotowała od stresu i mikrogravitacji, Dziewiątka Bo podawała jej torebkę i trzymała w pogotowiu korektory na zakrwawiony nos i połamane żebra swojej porucznik. Kapitan Hetnys i serwitorka „Miecza Atagaris” kazałam mocno przywiązać. Dopiero wtedy pozwoliłam, żeby medyczka ściągnęła mi kurtkę i koszulę, wepchnęła kości mojego ramienia z powrotem na miejsce z pomocą jednej z Amaat Seivarden i unieruchomiła ramię korektorem.

Dopóki ból nie ustał, nie zdawałam sobie sprawy, jak mocno zaciskam zęby. Jak mocno napinam wszystkie mięśnie i jak bardzo w rezultacie boli mnie noga. „Łaska Kair” nie mówiła nic bezpośrednio do mnie, ale nie musiała – pokazywała mi przebłyski wizji i emocji moich Kair, pomagających przy ostatnich etapach ewakuacji w Podogrodzie (Uran też pomagała, po podróży tutaj widocznie była za pan brat z mikrogravitacją), Amaat Seivarden, samej Seivarden. Pozornie surowe zatroskanie medyczki. Ból, wstyd i nienawiść do siebie Tisarwat. Jednoręka, podciągnęłam się obok niej, gdzie Dziewiątka Bo nakładała korektory na jej obrażenia. Nie ufałam sobie na tyle, żeby się do niej odezwać.

Zamiast tego przesunęłam się dalej, do kapitan Hetnys i serwitorki jej statku, przywiązanych do foteli. Pilnowanych przez moje Amaat. Oboje w srebrnych zbrojach. Teoretycznie „Miecz Atagaris” mógł jeszcze wrócić przez bramę na stację i nas zaatakować. W rzeczywistości, nawet gdyby nie wpadł na miny, które dla niego zostawiła Seivarden – które zapewne wyrządziłyby tylko minimalne szkody, stanowiłyby raczej powód do irytacji – nie mógł nas zaatakować, nie atakując jednocześnie swojej kapitan.

– Opuść zbroję, kapitanie – rozkazałam. – I ty też, Atagaris. Wiecie, że mogę ją przebić, a dopóki jej nie opuścicie, nie możemy opatrzyć waszych ran.

„Miecz Atagaris” opuścił zbroję. Medyczka precyzyjnie się obok mnie z korektorem, zmarszczyła brwi na widok zranionego nadgarstka serwitorki.

Kapitan Hetnys powiedziała tylko:

– Pierdol się.

Wciąż trzymałam broń Presgerów. Noga kapitan Hetnys znajdowała się dalej niż metr od kadłuba promu, a zresztą mogłyśmy go załatać, gdybym zrobiła w nim dziurę. Przytrzymałam się najbliższego fotela i strzeliłam jej w kolano. Wrzasnęła. Atagaris obok niej szarpnął się w więzach, ale nie mógł ich rozerwać.

– Kapitanie Hetnys, odbieram ci dowództwo – oznajmiłam, kiedy medyczka zaaplikowała korektor i usunięto fruujące swobodnie kulki krwi. – Po tym, co dzisiaj się stało, mam wszelkie prawo palnąć ci w łeb. Nie obiecuję, że tego nie zrobię. Ty i wszystkie twoje oficer jesteście aresztowane. „Mieczu Atagaris”, natychmiast odeślesz wszystkich ludzi z pokładu na stację Athoek. Nieuzbrojonych. Następnie wyłączysz silniki i umieścisz wszystkie swoje serwitorki w stazie aż do odwołania. Kapitan Hetnys i wszystkie twoje oficer zostaną umieszczone w stazie na stacji Athoek. Jeśli zagroźysz stacji albo jakiemuś statkowi czy obywatelce, twoje oficer zginą.

– Nie możesz... – zaczęła kapitan Hetnys.

– Milcz, obywatelko – rzuciłam. – Teraz rozmawiam z „Mieczem Atagaris”. – Kapitan Hetnys nie odpowiedziała. – Ty, „Mieczu Atagaris”, powiesz mi, z kim twoja kapitan robiła interesy po drugiej stronie Bramy Duchów.

– Nie powiem – odparł „Miecz Atagaris”.

– Więc zabiję kapitan Hetnys.

Medyczka, wciąż zajęta nakładaniem korektora na nogę kapitan Hetnys, zerknęła na mnie przelotnie, z konsternacją, ale nic nie powiedziała.

– Ty – powiedział „Miecz Atagaris”. Głos miał po serwitorsku beznamiętny, ale odgadywałam kryjące się za nim emocje. – Szkoda, że nie mogę ci pokazać, jak to jest. Szkoda, że nie wiesz, jak to jest być w mojej sytuacji. Ale nigdy się nie dowiesz i stąd wiem, że nie ma czegoś takiego jak sprawiedliwość.

Mogłam na to niejedno odpowiedzieć. Ale powtórzyłam tylko:

– Z kim twoja kapitan robiła interesy po drugiej stronie Bramy Duchów?

– Ona się nie przedstawiła – odpowiedział „Miecz Atagaris”, wciąż spokojnym, pozbawionym intonacji głosem. – Wyglądała na Ychana, ale nie mogła być Ychana, żadna Ychana nie mówi po radchaajsku z takim akcentem. Sądząc po jej wymowie, pochodziła z samego Radch.

– Może z Notai. – Pomyślałam o tym serwisie do herbaty, roztrzaskanych kawałkach w skrzynce w Podogrodzie. O tym module zaopatrzeniowym.

– Może. Kapitan Hetnys sądziła, że ona pracuje dla lord Radch.

– Zatrzymam twoją kapitan przy sobie, statku – powiedziałam. – Jeśli mi się sprzeciwisz albo jeśli kiedykolwiek pomyślę, że mnie oszukujesz, ona umrze. Nie radzę w to wątpić.

– Jak mógłbym? – odparł „Miecz Atagaris” z goryczą dosłyszalną nawet w jego beznamiętnym głosie.

Nie odpowiedziałam, tylko odwróciłam się i podciągnęłam do przodu, żeby usunąć się z drogi, kiedy Amaat Seivarden przyniosły kapsułę kriostazy dla kapitan Hetnys. Zatrzymałam spojrzenie na Basnaaid, która siedziała zaledwie kilka foteli dalej i przypuszczalnie słyszała całą moją rozmowę z „Mieczem Atagaris”.

– Kapitanie floty – odezwała się, kiedy się z nią zrównałam. – Chcę coś powiedzieć.

Chwyciłam poręcz, zatrzymałam się.

– Ogrodniczko.

– Cieszę się, że moja siostra miała taką przyjaciółkę jak ty, i żałuję... myślę, że gdybyś tam była, kiedy to się stało, cokolwiek się stało, może to by coś zmieniło i ona wciąż by żyła.

Czemu musiałam usłyszeć akurat coś takiego? Akurat teraz, kiedy właśnie zagroziłam, że zastrzelę kapitan Hetnys, tylko dlatego, że wiedziałam, co do niej czuje jej statek. Akurat od niej, siostry porucznik Awn.

I nie byłam w stanie dłużej milczeć, udawać, że to wszystko wcale mnie nie obchodzi.

– Obywatelko – odpowiedziałam głosem, który też stracił wszelką intonację. – Byłam tam,

kiedy to się stało, i nie udzieliłam żadnej pomocy twojej siostrze. Mówiłam ci, że kiedy ją znałam, używałam innego nazwiska. Nazywałam się „Sprawiedliwość Toren”. Byłam statkiem, na którym służyła, i na rozkaz samej Anaander Mianaai strzeliłam twojej siostrze w głowę. To, co nastąpiło później, doprowadziło do mojego zniszczenia i jestem wszystkim, co zostało z tamtego statku. Nie jestem człowiekiem i słusznie odezwałeś się do mnie w ten sposób, kiedy się spotkałyśmy po raz pierwszy. – Odwróciłam się, zanim Basnaaid mogła dostrzec choćby najmniejsze ślady uczuć na mojej twarzy.

Wszyscy na promie mnie usłyszeli. Basnaaid milczała, zaszokowana. Seivarden oczywiście wiedziała, i medyczka też. Nie chciałam wiedzieć, co pomyślały Amaat Seivarden. Nie interesowała mnie reakcja „Miecza Atagaris”. Odwróciłam się do jedynej osoby, która zdawała się nieświadoma moich słów – porucznik Tisarwat, skupionej wyłącznie na rozpamiętywaniu swojej porażki, w życiu i w umieraniu.

Przyciągnęłam się na fotel obok niej, przypięłam się. Przez chwilę poważnie się zastanawiałam, czy nie powiedzieć jej po prostu, jak głupio postąpiła w Ogradach i jakie miałyśmy szczęście, że jej głupota nas nie zabiła. Zamiast tego zdrową ręką odpięłam klamrę jej pasa – lewe ramię miałam unieruchomione przez korektor na barku – i przygarnęłam ją do siebie. Przywarła do mnie, wtuliła twarz w moją szyję i zaczęła szlochać.

– Już dobrze – powiedziałam, niezdarnie obejmując jej dygoczące ramiona. – Wszystko będzie dobrze.

– Jak możesz tak mówić? – załkała w moją szyję. Jedna łza, maleńka, drżąca kuleczka odpływała coraz dalej.

– Jak to możliwe? Tobie nikt by się nie ośmielił mówić takich banałów.

Wiek: ponad trzy tysiące lat. Nieskończenie ambitna. A jednak zaledwie siedemnastoletnia.

– Błędne założenie. – Gdyby się zastanowiła, gdyby w tej chwili mogła jasno myśleć, zapewne by odgadła, kto mógł do mnie mówić takie rzeczy. Jeśli odgadła, zatrzymała to dla siebie. – Na początku jest tak ciężko – podjęłam – kiedy cię podczepiają. Ale reszta ciebie jest dookoła i wiesz, że to tylko tymczasowe, że wkrótce poczujesz się lepiej. A kiedy czujesz się lepiej, to takie zdumiewające.

Mieć taki zasięg, widzieć tak wiele, wszystko jednocześnie. To... – Ale to było nie do opisanania. Tisarwat sama tego doświadczyła, chociaż tylko przez parę godzin, przerażona albo otępiła od leków. – Ona nigdy ci na to nie pozwoliła. Nigdy nie zamierzała ci na to pozwolić.

– Myślisz, że nie wiem? – Oczywiście, że wiedziała. Jak mogła nie wiedzieć? – Wściekała się, że tak się czułam, uspiła mnie najszybciej, jak mogła. Nie obchodziło jej, czy... – Szlochy, które trochę przycichły, rozbrzmiały na nowo. Kolejne łzy wymknęły się i odleciały. Dziewiątka Bo, która trzymała się w pobliżu, wstrząśnięta moim wyznaniem sprzed paru minut i bynajmniej nieuspokojona moją obecną rozmową z Tisarwat, złapała je w ściereczkę, która następnie złożyła i wsunęła między moją szyję a twarz Tisarwat.

Amaat Seivarden wisiąły bez ruchu, oszołomione, mrugające oczami. Wszechświat stracił dla nich wszelki sens po moich słowach i nie wiedziały, jak dopasować to, co ode mnie

usłyszały, do zrozumiałej rzeczywistości.

– Co się tak objacie? – warknęła Seivarden ostrym tonem, jakim nigdy się do nich nie zwracała. – Do roboty!

Ten rozkaz skutecznie przełamał ich paraliż i wrócili do swoich zajęć z ulgą, że znalazły coś zrozumiałego.

Tymczasem Tisarwat znowu trochę się uspokoiła.

– Przepraszam – powiedziała do niej. – Nie mogę niczego cofnąć dla żadnej z nas. Ale wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Nie odpowiedziała i pięć minut później zasnęła, wyczerpana ostatnimi przeżyciami, swoim żalem i rozpaczą.

Rozdział 21

Po przybyciu ekipy remontowej prom mógł się odsunąć od dziury, którą wyciął w kopule. Kazałam, żeby odwiózł nas z powrotem na „Łaskę Kair”. Medyczki na stacji nie musiały wiedzieć, czym jestem, zresztą miały dostatecznie dużo roboty z problemami wywołanymi albo zaostrozonymi przez brak grawitacji, której nie można było włączyć, dopóki nie wypompuje się wody z jeziora. I prawdę mówiąc, cieszyłam się, że wracam na „Łaskę Kair”, nawet na krótko.

Medyczka chciała mnie mieć pod ręką, żeby na mnie fukać i zabraniać mi wstawać bez jej pozwolenia, a ja chętnie jej uległam, przynajmniej na jeden dzień. Toteż Seivarden zameldowała się u mnie na oddziale medycznym, gdzie leżałam w łóżku. Z czarką herbaty.

– Jak za dawnych czasów – powiedziała z uśmiechem. Ale spięta. Przewidywała, co mogę jej powiedzieć teraz, kiedy sytuacja się trochę unormowała.

– Owszem – przyznałam i łyknęłam herbaty. Zdecydowanie nie Córka Ryb. Dobra.

– Nasza Tisarwat nieźle oberwała – zauważyła Seivarden, kiedy nie dodałam nic więcej. Tisarwat leżała w sąsiednim boksie, pod opieką Dziewiątki Bo, której wyraźnie przykazano, żeby ani na chwilę nie zostawiała swojej porucznik samej. Żebra jeszcze jej się nie zagoiły i medyczka zatrzymała ją na oddziale, dopóki nie zdecyduje o dalszym leczeniu. – Co ona sobie myślała, żeby się rzucać na serwitora bez zbroi?

– Próbowała ściągnąć na siebie ogień „Miecza Atagaris”, żeby zdążyła go zastrzelić, zanim zastrzeli ogrodniczkę Basnaaid. Miała szczęście, że nie zabił jej na miejscu. – Widocznie śmierć tłumaczki Dlique zrobiła na nim większe wrażenie, niż przypuszczałam. Albo po prostu nie chciał zabić oficera bez prawomocnego rozkazu.

– Ogrdniczka Basnaaid, tak? – zagadnęła Seivarden. Miała spore doświadczenie z bardzo młodymi porucznik, nie tak rozległe jak moje, ale wystarczające. – Czy zainteresowanie zostało odwzajemnione? Czy też to jest powód tego samopoświęcenia i leż? – Uniosłam brew, a ona ciągnęła: – Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, ilu młodocianych poruczników

wyplakiwało ci się na ramieniu przez lata.

Łzy Seivarden nigdy nie zmoczyły mojej mundurowej kurtki, kiedy byłam statkiem.

– Jesteś zazdrosna?

– Chyba tak – przyznała. – Kiedy miałam siedemnaście lat, wolałabym raczej obciąć sobie prawą rękę, niż okazać słabość. – I kiedy miałam dwadzieścia siedem lat, i trzydzieści siedem.

– Teraz tego żałuję.

– To już przeszłość. – Popiłam herbaty. – „Miecz Atagaris” przyznał, że kapitan Hetnys sprzedawała przesiedleńców komuś za Bramą Duchów.

To gubernator Giarod wygadała się, z jakim zadaniem wysłałam „Łaskę Kair”.

– Ale komu? – Seivarden zmarszczyła brwi, autentycznie zaintrygowana. – Według „Miecza Atagaris” Hetnys myślała, że handluje z lord Radch. Ale jeśli po drugiej stronie Bramy Duchów jest ta druga lord Radch, dlaczego nic nie zrobiła?

– Bo to nie lord Radch jest po drugiej stronie Bramy Duchów – oświadczyłam. – Tamten serwis do herbaty... nie widziałas go, ale miał co najmniej trzy tysiące lat. Z całą pewnością notajski. I ktoś bardzo starannie usunął nazwisko właściciela. To była zapłata Hetnys za przesiedleńczynię. I pamiętasz tamten moduł zaopatrzeniowy, podobno tylko śmieć, ale „Miecz Atagaris” po niego wrócił.

– Dokładnie wypalony w miejscu, gdzie powinna być nazwa statku. – Dostrzegła związek, ale jeszcze nie rozpoznała wzorca. – Ale nic w nim nie było, znalazłyśmy go na pokładzie „Miecza Atagaris”.

– Nie był pusty, kiedy „Miecz Atagaris” wziął go na pokład, możesz mi wierzyć. – Na pewno coś w nim było... albo ktoś. – Ten moduł też ma dobre trzy tysiące lat. To oczywiste, że po drugiej stronie bramy jest statek. Notajski statek, starszy niż sama Anaander Mianaai.

– Ale, Breq – zaprotestowała Seivarden – one wszystkie zostały zniszczone. Nawet te, które pozostały lojalne, wycofano już z eksploatacji. A my wcale nie jesteśmy blisko miejsc, gdzie się toczyły te wszystkie bitwy.

– Nie wszystkie zostały zniszczone. – Seivarden otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale uciszyłam ją gestem. – Niektóre uciekły. Oczywiście twórcy widowisk wycisnęli z tego faktu tony dramatycznych przygód. Ale zakładamy, że wszystkie już są martwe, skoro nie miał kto ich konserwować. A jeśli jeden uciekł do Układu Duchów? Jeśli znalazł sposób, żeby uzupełniać swój zapas serwitów? Pamiętasz, „Miecz Atagaris” powiedział, że osoba, z którą handlowała Hetnys, wyglądała jak Ychana, ale mówiła jak wysoko postawiona Radchaai. A Athoeki sprzedawały zadłużone Ychana pozaukładowym handlarzom niewolników przed aneksją.

– Na cycki Aatr – zaklęła Seivarden. – One handlowały z serwitorem.

– Druga Anaander ma tu swoich ludzi, ale przypuszczam, że wypadki na Ime nauczyły ją ostrożności. Pewnie nie utrzymuje kontaktu, prawie się nie wtrąca. W końcu im częściej się kontaktuje, tym łatwiej ją wyśledzić. Może nasz sąsiad w Układzie Duchów to wykorzystał. Dlatego Hetnys nic nie robiła, dopóki nie została doprowadzona do ostateczności. Czekala na

rozkazy od lord Radch.

– Która, według niej, była tuż za Bramą Duchów. Ale, Breg, co zrobią inni poplecznicy Anaander, kiedy się zorientują?

– Raczej nie będziemy musiały długo czekać, żeby się przekonać. – Wyszczyłam resztki herbaty. – I mogę się mylić.

– Nie – powiedziała Seivarden. – Myślę, że masz rację. To pasuje. Więc po drugiej stronie Bramy Duchów mamy szalony okręt wojenny...

– Nie szalony – sprostowałam. – Kiedy tracisz wszystko, co dla ciebie ważne, to całkowicie sensowne, że uciekasz, ukrywasz się i próbujesz zebrać siły.

– Tak – przyznała, speszona. – Powinnam wiedzieć lepiej, kto, jeśli nie ja? Więc nie szalony. Ale wrogi. Okręt wojenny nieprzyjaciela po drugiej stronie Bramy Duchów, połowa lord Radch gotowa do ataku i prawdopodobna wizyta Presgerów, żądających wyjaśnień, co zrobiliśmy z ich tłumaczką. To wszystko czy jest jeszcze coś?

– Na razie wystarczy. – Zaśmiała się. – Jesteś gotowa do reprimendy, poruczniku?

– Pani. – Ukłoniła się.

– Pod moją nieobecność na pokładzie pełnisz funkcję kapitana tego statku. Gdybyś nie zdołała mnie uratować i coś by ci się stało, porucznik Ekalu musiałaby objąć dowodzenie. Jest dobrą porucznik i kiedyś będzie z niej świetna kapitan, ale ty jesteś bardziej doświadczoną oficer i nie powinnaś ryzykować.

Nie tego się spodziewała. Poczzerwieniała z gniewu i oburzenia. Ale od dawna była żołnierką, więc nie protestowała.

– Pani.

– Uważam, że powinnaś porozmawiać z medyczką o twoim dawnym uzależnieniu od narkotyków. Jesteś zestresowana i może nie myślisz tak jasno, jak należy.

Mięśnie jej ramion drgnęły, powstrzymała odruch, żeby je skrzyżować.

– Martwiłam się.

– Czy przewidujesz, że nigdy więcej nie będziesz się martwić?

Zamrugnęła, zaskoczona. Kąciki jej ust lekko się uniosły.

– O ciebie? Nie. – Zaśmiała się krótko, chrapliwie, a potem ogarnęła ją dawna mieszanka żalu i wstydu.

– Czy ty widzisz to, co widzi statek?

– Czasami. Czasami proszę statek, żeby mi pokazał, albo sam pokazuje mi coś, co według niego powinnam zobaczyć. Czasami to te same rzeczy, które pokazałby ci twój statek, gdybyś była kapitanem. Pewne dane nie miałyby dla ciebie sensu, tylko dla mnie.

– Zawsze potrafiłaś mnie przejrzeć. – Wciąż była zawstydzona. – Nawet kiedy mnie znalazłaś na Nilt. Chyba już wiesz, że leci tutaj ogrodniczka Basnaaid?

Basnaaid chciała przejść do pojazdu ekipy naprawiającej kopułę na stacji. Zażądała, żeby ją tam przewieźć, kiedy spałam, a Seivarden zgodziła się, z pewnym zdziwieniem i konsternacją.

– Tak. Zrobiłabym to samo co ty, gdybym nie spała.

– Wiedziała o tym, ale i tak poczuła wdzięczność, kiedy to usłyszała. – Coś jeszcze?

Nie miała do mnie żadnych innych spraw, a przynajmniej nie chciała ich poruszać, więc ją odprawiłam.

Trzydzieści sekund po jej wyjściu do mojego boksu zajrzała Tisarwat. Przesunęłam nogi i gestem zaprosiłam ją, żeby usiadła.

– Poruczniku – powiedziałam, kiedy usadowiła się ostrożnie. Korektory wciąż oblepiały jej tors, złamane żebra i inne obrażenia jeszcze się goiły. – Jak się czujesz?

– Lepiej – odparła. – Medyczka chyba dała mi coś na uspokojenie. Poznałam, bo nie żałuję co dziesięć minut, że nie wyrzuciłaś mnie przez służbę, kiedy mnie znalazłaś.

– To chyba ostatnio? – Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, że miała samobójcze skłonności. Ale może nie zwracałam na nią dostatecznej uwagi.

– Nie, zawsze tak było. Tylko... tylko nie takie rzeczywiste. Takie intensywne. Kiedy zobaczyłam, co zrobiła kapitan Hetnys, jak zagroziła, że zabije ogrodniczkę Basnaaid, żeby cię dostać. Wiedziałam, że to moja wina.

– Twoja wina? – Nie sądziłam, że to była czyjkolwiek wina, rzecz jasna oprócz samej Hetnys. – Twoje politykowanie na pewno ją zaniepokoiło. To oczywiste, że próbowałaś zdobyć wpływy. Ale prawdą jest również, że wiedziałam o tym od początku i powstrzymałabym cię, gdybym tego nie pochwałała.

Ulga... nieznaczna. Spokój, stabilny nastrój. Słusznie odgadła, że medyczka coś jej podała.

– Właśnie o to chodzi. Jeśli mogę mówić całkiem szczerze, pani. – Wykonałam gest przyzwolenia. – Czy rozumiesz, pani, że obie robimy dokładnie to, czego ona chce? – Mogła tylko być Anaander Mianaai, lord Radch. – Wysłała nas tutaj, żebyśmy robiły właśnie to, co robimy. Czy to ci nie przeszkadza, pani, że ona wzięła coś, czego chcesz, i użyła tego, żebyś musiała robić to, czego ona chce?

– Czasami przeszkadza – przyznałam. – Ale potem sobie przypominam, że to, czego ona chce, nie ma dla mnie większego znaczenia.

Zanim Tisarwat zdążyła odpowiedzieć, do pokoju zajrzała nachmurzona medyczka.

– Umieściłam cię tu, żebyś odpoczywała, kapitanie floty, a nie odbywała niekończące się spotkania.

– Jakie spotkania? – Zrobiłam minę niewiniątka.

– Porucznik i ja jesteśmy pacjentkami i obie odpoczywamy, jak widzisz.

Medyczka chrząknęła.

– I nie miej do mnie pretensji, że się niecierpliwie – ciągnęłam. – Dopiero co odpoczywałam przez dwa tygodnie na dole. Mam mnóstwo do nadrobienia.

– Nazywasz to odpoczynkiem? – Medyczka prychnęła.

– Dopóki bomba nie wybuchła, tak.

– Medyczko – odezwała się Tisarwat. – Czy będę na prochach do końca życia?

– Nie wiem – odparła medyczka. Poważnie. Szczerze.

– Mam nadzieję, że nie, ale nie mogę tego obiecać. – Odwróciła się do mnie. –

Powiedziałabym: żadnych więcej odwiedzin, kapitanie floty, ale wiem, że złamałabyś mój zakaz dla ogrodniczki Basnaaid.

– Basnaaid przyleciała? – Tisarwat, siedząca prosto z powodu korektora wokół żeber, jeszcze bardziej się wyprostowała. – Kapitanie floty, czy mogę z nią wrócić na stację?

– Absolutnie wykluczone – oświadczyła medyczka.

– Może nie zechcesz – powiedziałam. – Może ona nie będzie chciała się z nami zadawać. Chyba nie słuchałaś na promie, kiedy jej powiedziałam, że zabiłam jej siostrę.

– Och. – Nie słyszała, za bardzo pochłonięta własnym nieszczęściem. Co zrozumiałe.

– Do łóżka, poruczniku – rozkazała medyczka. Tisarwat spojrzała na mnie, licząc na ułaskawienie, ale się nie doczekała. Westchnęła i poszła do własnego boksu, eskortowana przez medyczkę.

Oparłam głowę na poduszce i zamknęłam oczy. Basnaaid miała dokować najwcześniej za dwadzieścia minut. Silniki „Miecza Atagaris” były wyłączone, wszystkie oficer znajdowały się w stazie. Razem z prawie wszystkimi serwitorami, tylko kilka ostatnich zamykało wszystko pod okiem garstki moich Amaat. Po swoich gorzkich słowach na promie „Miecz Atagaris” nie odzywał się do mnie, z wyjątkiem absolutnej konieczności. Proste odpowiedzi na rzeczowe pytania. „Tak”. „Nie”. Nic więcej.

Na oddziale medycznym Dwunastka Kair weszła do mojego pokoju i podeszła prosto do łóżka. Niechętnie. Mocno zakłopotana. Usiadłam prosto, otworzyłam oczy.

– Pani – powiedziała Dwunastka cicho, z napięciem. Niemal szeptem. – Jestem statkiem. – Wyciągnęła rękę, położyła mi na ramieniu.

– Dwunastko, teraz już wiesz, że jestem serwitem.

– Zdumienie. Konsternacja. Tak, wiedziała, ale moje słowa ją zaskoczyły. Zanim zdążyła zareagować, dodałam:

– Proszę, nie mów mi, że to nie ma znaczenia, bo właściwie nie myślisz o mnie jak o serwitorze.

Pospieszna narada pomiędzy Dwunastką a statkiem.

– Za pozwoleniem, pani – powiedziała następnie Dwunastka, zachęcona przez statek. – Uważam, że to nie całkiem w porządku. Nie wiedziałyśmy do tej pory, więc trudno nam teraz myśleć o tobie inaczej. – Słuszny argument. – I nie zdążyłyśmy jeszcze się do tego przyzwyczaić. Ale, pani, to wyjaśnia parę rzeczy.

Niewątpliwie wyjaśniało.

– Wiem, że statek docenia, kiedy działasz w jego imieniu, wiem, że za swoją serwitorską fasadą czujesz się bezpieczna i niewidoczna. Ale w serwitury nie należy się bawić.

– Tak, pani. Rozumiem, pani. Ale jak mówiłaś, statek to docenia. A statek się nami opiekuje. Czasami wydaje się, że jesteśmy tylko my i statek przeciwko wszystkim innym. – Skrępowana. Zażenowana.

– Wiem – przyznałam. – Dlatego nie próbowałam tego powstrzymać. – Zacerpnęłam tchu.

– Więc na razie to dla ciebie w porządku?

– Tak, pani – powiedziała Dwunastka. Wciąż z zakłopotaniem, ale szczerze.

Zamknęłam oczy i oparłam głowę na jej ramieniu, a ona mnie objęła. To nie było to samo, jakbym sama siebie obejmowała, chociaż czułam nie tylko dotyk kurtki mundurowej Dwunastki na policzku, ale również ciężar swojej głowy na jej ramieniu. Sięgnęłam po to, po tyle, ile mogłam, odbierałam zażenowanie Dwunastki, tak, ale również troskę o mnie. Inne Kair poruszające się po statku. Nie to samo. Nigdy nie będzie tak samo.

Obie milczyłyśmy przez chwilę, a potem Dwunastka powiedziała w imieniu statku:

– Chyba nie mogę potępiać „Miecza Atagaris” za przywiązanie do swojej kapitan. Jednak po „Mieczu” spodziewałabym się lepszego gustu.

„Miecze” były tak aroganckie, tak pewne swojej wyższości nad „Łaskami” i „Sprawiedliwościami”. Ale na pewne rzeczy nie można nic poradzić.

– Statku – powiedziałam na głos. – Ramię Dwunastki drętwieje. A ja muszę się przygotować na przyjęcie ogrodniczki Basnaaid.

Rozłączyłyśmy się, Dwunastka wstała, a ja wytarłam oczy wierzchem dłoni.

– Medyczko. – Medyczka stała w korytarzu, ale wiedziałam, że mnie usłyszysz. – Nie mogę tak przyjąć ogrodniczki Basnaaid. Wracam do swojej kwatery.

Musiałam umyć twarz, ubrać się i dopilnować, żeby poczęstowano ją herbatą i jedzeniem, nawet jeśli byłam pewna, że odmówi.

– Czy ona mogła przylecieć z tak daleka – zapytała Dwunastka, zapytał statek – tylko żeby ci powiedzieć, jak bardzo cię nienawidzi?

– Jeśli tak – odparłam – wysłucham bez sprzeciwu. Ostatecznie ma do tego wszelkie prawo.

* * *

Moje ramię, wciąż zamknięte w korektorze, nie mieściło się do rękawa koszuli, chociaż dzięki ostrożnym manewrom mogłam je wepchnąć do kurtki mundurowej.

Dwunastka nie chciała nawet słyszeć, żebym spotkała się z ogrodniczką Basnaaid w samej kurtce, i ponuro odcięła cały tył koszuli.

– Piątka zrozumie, kiedy wytłumaczę, pani – powiedziała, chociaż ze skrywaną obawą, że jednak nie zrozumie. Piątka nadal przebywała w Podogrodzie, pomagała wszystko zabezpieczać, żeby nikt nie ucierpiał, kiedy zostanie przywrócona grawitacja.

Zanim zjawiała się Basnaaid, byłam ubrana i wyglądałam trochę mniej tak, jakbym właśnie spadła ze skały, a potem prawie utonęła albo się udusiła. Przez chwilę rozważałam, czy nie zrezygnować ze złotej pamiątkowej spinki porucznik Awn, ponieważ Basnaaid chyba się rozgniewała, kiedy ją poprzednio zobaczyła, ale w końcu kazałam Dwunastce przypiąć ją do kurtki, obok srebra i opalu tłumaczki Dlique. Dwunastka przygotowała mnóstwo ciasteczek i ustawiła je na stole razem z bagrowcem i, wreszcie, najlepszą porcelaną, prostym, pełnym wdzięku białym serwisem do herbaty, który ostatnio widziałam w Omaugh, na tamtym ostatnim spotkaniu z Anaander Mianaai. W pierwszej chwili zdumiałam się, że Piątka zdobyła się na odwagę, żeby o niego poprosić. Po namyśle przestałam się dziwić.

Ukloniłam się, kiedy weszła Basnaaid.

– Kapitanie floty – powiedziała, odwzajemniając ukłon. – Mam nadzieję, że nie sprawiam ci kłopotu. Pomyślałam tylko, że powinniśmy porozmawiać prywatnie.

– Żaden kłopot, ogrodniczko. Jestem do twoich usług. – Zdrową ręką wskazałam na krzesło.
– Usiądziesz?

Usiadłyśmy. Dwunastka nalala herbatę, a potem odeszła do kąta i stanęła sztywno jak serwitor.

– Chcę wiedzieć – powiedziała Basnaaid, uprzejmie łyknąwszy herbaty – co się stało z moją siostrą.

Opowiedziałam jej. Jak porucznik Awn odkryła rozłam w Anaander Mianaai i poczynania jednej strony lord Radch. Jak odmówiła wykonania rozkazów tamtej Anaander i w rezultacie lord Radch zarządziła jej egzekucję. Którą wykonałam. A potem, z powodów, których wciąż w pełni nie rozumiałam, wymierzyłam broń w lord Radch. Która w rezultacie mnie zniszczyła, całą mnie oprócz Dziewiętnastki Esk Jeden, jedynej mojej części, która uciekła.

Kiedy skończyłam, Basnaaid milczała przez dobre dziesięć sekund. Potem zapytała:

– Więc należałaś do jej dekady? Esk Jeden, tak?

– Dziewiętnastka Esk Jeden, tak.

– Zawsze mówiła, że tak dobrze się nią opiekowałam.

– Wiem.

Zaśmiała się krótko.

– Oczywiście, że wiesz. Dlatego czytałaś wszystkie moje wiersze. Jakie to krępujące.

– Nie były złe. – Porucznik Awn nie była jedyną oficer z młodszą siostrą, która pisała wiersze. – Porucznik Awn bardzo się podobały. Naprawdę. Uwielbiała dostawać od ciebie wiadomości.

– Cieszę się – powiedziała Basnaaid z prostotą.

– Ogrrodniczko, ja... – Ale nie mogłam mówić, nie tracąc panowania nad sobą. Ciastko czy kawałek owocu były zbyt skomplikowanym sposobem na uspokojenie. Łyk herbaty nie wystarczał. Więc tylko czekałam, a Basnaaid siedziała naprzeciwko, cierpliwa i milcząca, i również czekała.

– Statki przywiązują się do oficerów – powiedziałam, kiedy mniej więcej się uspokoiłam. – Nic na to nie możemy poradzić, tak jesteśmy zbudowane. Ale do niektórych przywiązujemy się bardziej niż do innych. – Teraz może mi się uda. – Bardzo kochałam twoją siostrę.

– Z tego też się cieszę – powiedziała. – Naprawdę. I teraz rozumiem, dlaczego złożyłaś tę ofertę. Ale nadal nie mogę jej przyjąć. – Przypomniałam sobie jej rozmowę z Tisarwat, w mojej kwaterze w Podogrodzie. „Nic nie jest dla mnie”. – Nie sądzę, że możesz sobie kupić przebaczenie, nawet za taką cenę.

– Nie przebaczenia chciałam. – Jedyne, na której przebaczeniu naprawdę mi zależało, nie żyła.

Basnaaid rozmyślała nad tym przez parę chwil.

– Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić – powiedziała wreszcie. – Być częścią czegoś tak wielkiego, tak długo, a potem nagle zostać całkiem sama. – Zrobiła przerwę. – Pewnie masz mieszane uczucia co do adoptowania cię przez lord Radch.

– Bynajmniej niemieszane.

Uśmiechnęła się smutno. Potem spokojnie, z powagą dodała:

– Sama nie wiem, jak się czuję z tym, co mi właśnie powiedziałaś.

– Nie musisz zdawać mi sprawozdania, jak się czujesz, ani wyjaśniać, dlaczego tak się czujesz. Ale moja oferta jest aktualna. Jeśli zmienisz zdanie, zawsze możesz ją przyjąć.

– A jeśli masz dzieci?

Przez chwilę nie mogłam uwierzyć, że zasugerowała coś takiego.

– Wyobrażasz mnie sobie z niemowlęciem, obywatelko?

Uśmiechnęła się.

– Masz rację. Ale różni ludzie zostają matkami.

To prawda.

– I różni ludzie nie zostają. Oferta jest zawsze ważna. Ale nie wspomnę o tym więcej, dopóki nie zmienisz zdania. Jak tam sprawy w Ogrodnictwie? Gotowi, żeby przywrócić grawitację?

– Prawie. Kiedy stacja ją wyłączyła, było więcej wody niż w samym jeziorze. Namęczyliśmy się, żeby całą zebrać. Jednak nie straciliśmy aż tylu ryb, jak się obawialiśmy.

Pomyślałam o dzieciach, które wbiegły na most, żeby karmić ryby o barwnych łuskach, purpurowe, pomarańczowe, zielone i błękitne.

– To dobrze.

– Większość pierwszego poziomu Podogrodu uniknęła zniszczeń, ale poziom wsporników trzeba będzie całkowicie przebudować, zanim znowu napuścimy wody do jeziora. Okazuje się, że przeciekało już od jakiegoś czasu, ale powoli.

– Niech zgadnę. – Sięgnęłam po herbatę. – Grzyby.

– Grzyby! – Zaśmiała się. – Jak tylko usłyszałam, że ktoś hoduje grzyby w Podogrodzie, powinnam była wiedzieć, co to znaczy. Tak, wczołgali się na poziom wsporników i zaczęli hodować grzyby. Zdaje się jednak, że konstrukcje, które zbudowali pod wspornikami, i cały ten organiczny materiał upakowany tam jako podłoże wręcz chroniły Podogród przed zalaniem dłużej, niż należało się spodziewać. Ale tam właśnie doszło do największych zniszczeń. Obawiam się, że uprawa grzybów w Podogrodzie to przeszłość.

– Mam nadzieję, że im na to pozwolą, kiedy przebudują wsporniki. – Będę musiała o tym powiedzieć administratorce stacji Celar i gubernator Giarod. I przypomnieć gubernator Giarod, że nie należy zabierać mieszkankom Podogrodu ich specjalności.

– Podejrzewam, że pozwolą, jeśli tego zażadasz, kapitanie floty.

– Mam nadzieję. Co się stało z Sirix?

Basnaaid spochmurniała.

– Zabrała ją Służba Bezpieczeństwa. Ja... sama nie wiem. Lubię Sirix, chociaż zawsze

wydawała się trochę... drażliwa. Ciągle nie mogę uwierzyć, że ona... – Zabrakło jej słów. – Gdybyś mnie zapytała przedtem, przysięgłabym, że ona nigdy, nigdy nie zrobiłaby nic złego. Nic takiego. Ale słyszałam, nie wiem, czy to prawda, że sama poszła do Bezpieczeństwa, żeby się przyznać, i już ruszyli do Ogrodów, kiedy zamknęły się drzwi sekcji.

Będę musiała wspomnieć gubernator Giarod o Sirix.

– Chyba była mną bardzo rozczarowana. – Nie mogła działać pod wpływem gniewu. – Przez cały ten czas czekała na sprawiedliwość i myślała, że może ja ją wymierzę. Ale jej koncepcja sprawiedliwości jest... inna niż moja.

Basnaaid westchnęła.

– Jak się czuje Tisarwat?

– Dobrze. – Mniej więcej. – Ogrodniczko, Tisarwat strasznie się w tobie zadurzyła.

Uśmiechnęła się.

– Wiem. Uważam, że to słodkie. – Potem spochmurniała. – Ale to, co zrobiła tamtego dnia w Ogradach, było dużo więcej niż słodkie.

– Owszem – przyznałam. – Myślę, że ona teraz czuje się trochę słabo, dlatego o tym wspominam.

– Tisarwat i słabo! – Basnaaid się zaśmiała. – No, ale ludzie czasami wydają się z pozoru bardzo silni, chociaż wcale tacy nie są. Ty na przykład powinnaś chyba się położyć, nawet jeśli na to nie wyglądasz. Muszę już iść.

– Proszę, zostań na kolacji. – Miała rację, musiałam się położyć albo przynajmniej poprosić Dwunastkę, żeby mi przyniosła kilka poduszek. – Czeka cię długi powrót, a znacznie wygodniej jest jeść przy włączonej grawitacji. Nie zamierzam ci narzucać swojego towarzystwa, ale wiem, że Tisarwat ucieszy się, kiedy cię zobaczy, a reszta moich oficer na pewno chciałaby cię poznać. To znaczy bardziej formalnie. – Nie odpowiedziała od razu. – Dobrze się czujesz? Przeżyłaś trudne chwile, jak my wszystkie.

– Nic mi nie jest. Chyba. Szczerze mówiąc, kapitanie floty, czuję się tak, jakby... jakby wszystko, na czym mogłam polegać, zniknęło, jakby nic z tego nawet nie było prawdą i dopiero to zrozumiałam, i teraz sama nie wiem. To znaczy myślałam, że jestem bezpieczna, myślałam, że wiem, kim są wszyscy. Ale się myliłam.

– Znam to uczucie – powiedziałam. Nie mogłam już dłużej wytrzymać bez poduszek. I noga zaczęła mnie boleć, bez wyraźnego powodu. – W końcu znowu odnajdziesz sens.

– Chciałabym zjeść kolację z tobą i Tisarwat – oznajmiła, jakby w odpowiedzi na moje słowa. – I z każdym, kogo jeszcze zaprosisz.

– Cieszę się. – Bez żadnego polecenia z mojej strony Dwunastka opuściła posterunek w kacie, podeszła do ławy pod ścianą, otworzyła schowek. Wyjęła trzy poduszki. – Powiedz mi, ogrodniczko, czy potrafisz wyjaśnić wierszem, dlaczego bóg jest jak kaczką?

Basnaaid zamrugęła, zdziwiona. Roześmiała się. Na to liczyłam, kiedy tak nagle zmieniłam temat. Dwunastka wepchnęła mi jedną poduszkę pod plecy, a dwie pod łokieć mojej unieruchomionej ręki. – Dziękuję, Dwunastko.

– Raz kaczką bogiem była – zaczęła Basnaaid. – Jakie to dziwne, mówiła. Pływam jak ryba, latać umiem chyba... – Zmarszczyła brwi. – Nic więcej nie wymyślę. I to tylko marne rymowanki, bez przyzwoitego stylu i metrum. Wyszłam z wprawy.

– To więcej, niż ja bym wymyśliła.

Zamknęłam oczy, tylko na chwilę. Tisarwat leżała w łóżku na oddziale medycznym, z zamkniętymi oczami, a statek odtwarzał muzykę w jej uszach. Dziewiątka Bo czuwała w pobliżu. Etrepa szorowały korytarze albo pełniły wachtę z Ekalu. Amaat odpoczywały, ćwiczyły albo się kąpały. Seivarden siedziała na koi, melancholijna z jakiegoś powodu, może wciąż rozpamiętywała stracone szanse. Medyczka skarżyła się statkowi, że lekceważy jej zalecenia, chociaż nie było w tym prawdziwej złości. Jedyńska Kair, która gotowała dla mnie, kiedy Piątka wciąż przebywała na stacji, utyskiwała przed Trójką na nagłą zmianę kolacyjnych planów, chociaż utyskiwania bardzo szybko zmieniły się w pewność, że we dwie sprostają wyzwaniu. W łazience jakaś Amaat zaczęła śpiewać. „Matka mi mówiła, że wszystko się kręci, wszystko się kręci, statek się kręci wokół stacji”.

To nie było to samo. Nie to, czego naprawdę chciałam, nie to, do czego zawsze będę tęsknić, jak wiedziałam. Ale tyle musi wystarczyć.

PODZIĘKOWANIA

Tak wiele osób udzieliło mi nieocenionej pomocy, bez której nie mogłabym napisać tej książki. Moi instruktorzy i koledzy z klasy Clarion West z 2005 roku wciąż są dla mnie źródłem inspiracji, życzliwości i wsparcia, bez których nie dałabym sobie rady. Moja praca zyskała również dzięki pomocy moich wydawców, Willa Hintona w Stanach Zjednoczonych i Jenni Hill w Wielkiej Brytanii.

Mówiłam już i powtórzę jeszcze raz, że nigdy nie zdołam dostatecznie podziękować mojemu wspaniałemu agentowi, Sethowi Fishmanowi.

Podziękowania należą się również wielu ludziom, którzy udzielali mi rad lub informacji i którzy cierpliwie odpowiadali na moje pytania: S. Hutson Blount, Carolyn Ives Gilman, Sarah Goleman, dr. Philipowi Edwardowi Kaldonowi, dr Brin Schuler, Annie Schwind, Kurtowi Schwindowi, Mikeowi Swirskyemu i Rachel Swirsky. Ich informacje i rady były nieodmiennie poprawne i mądre – wszelkie błędy są całkowicie moją winą.

Dziękuję Bibliotece Okręgowej w St. Louis, Webster University Library i Municipal Library Consortium of St. Louis County. I wszystkim ludziom, którzy stworzyli wypożyczenia międzybiblioteczne. Serio. Wypożyczenia międzybiblioteczne to coś niesamowitego.

Ostatnie, ale oczywiście nie najmniej ważne podziękowania składam swojemu mężowi Dave'owi i dzieciom, Aidanowi i Gawainowi, bez których miłości i wsparcia nie napisałabym tej książki.